DZIEJE GRZECHU

DRUK L. BILIŃSKIEGO I W. MAŚLANKIEWICZA, WARSZAWA, NOWOGRODZKA 17.

STEFAN ŻEROMSKI

DZIEJE GRZECHU

POWIEŚĆ

WYDANIE TRZECIE

TOM I

NAKŁADEM KASY PRZEZORNOŚCI I POMOCY
WARSZAWSKICH POMOCNIKÓW KSIĘGARSKICH

WARSZAWA — GEBETHNER i WOLFF — 1911 — KRAKÓW — G. GEBETHNER i S-ka

WINIETA WEDŁUG RYSUNKU
HELENY KWIATKOWSKIEJ.

Janowi Witkiewiczowi

na pamiątkę
roku 1906

ofiaruje

Autor.

J. K. Parkowski

W czasie powrotu do domu Ewa miała oczy spuszczone. Wszystkiemi siłami starała się nie patrzeć na przechodniów i unikać ich wzroku. Wiedziała przecie, że każdy przechodzący mężczyzna... Chciała widzieć i z pod powiek widziała jedynie wyślizganą szarzynę betonowego chodnika, chropowatą równię środka ulicy z jej dołami i zbitym brukiem drewnianym, nagość bezbarwną drzewek, ujętych w żelazne pręty ogrodzeń. Barwy te były podobne do jej myśli i odpowiadały potrzebie duszy. Dbała o to, żeby myśli były właśnie takie, pozbawione piękności, jak gdyby odbarwione ze wszelkiego uroku. Była bowiem szczególna wzniosłość i nieznany powab w tem dobrowolnem i pilnem wyzbyciu się wesela. Nie rzeczy się też przesuwały, lecz niemateryalne wrażenia, nikłe uczucia w różne postaci zamknięte. Przez nieuwagę jedynie postrzegała konary, gałęzie i pręty drzew skweru, profile kamienic, osrebrzone od słońca porankowego. Drzewa czarne, jakby urobione z węgla... Spulchniona rola skweru... Ślady na niej grabi, niby ślady zabawy dziecięcej. W świeżym, szarym gruncie poobcinane patyki krzewin. Na chodniku nieoczekiwane cienie drzew. Cienie smagłe,

cienie ruchowe i żywe! Widły, pnie, gałązki! Nogi wstępują na żywe pnie. Uczucie niepostrzegalne, że się niedelikatnie przeszkadza cudzemu bytowi... W okrągłych zagłębieniach pod żelaznemi kratami dookoła pniów uwięzionych — jeszcze śnieg. Czarny śnieg, przywalony nawozem, odpadkami, prochem śmieci, górami niedopałków. Ciemność mogiły... Lecz już tam trawa zielona puściła pędy. Wiatr chwieje i nagina maleńkie jej pióra. Wiatr chłodny, rozwichrzający włosy, dociera do ich korzeni. Mnóstwo wszędzie połysków, skupień światła, ognisk, polśniewań, barw...

Żebrak! Leży na chodniku przy marmurowych schodach wielkiego gmachu. Wyciągnął kule i potworne kikuty. Rozwalił się, jak u siebie na barłogu. Łachmany szare. Twarz potężna, wzgardliwa, oko głęboko nienawidzące. Wyciągnął rękę. Ujrzała podarte i zatłuszczone wnętrze jego czapczyny. Rzuciła w nie wszystko, co miała: srebrny pieniądz czterdziestogroszowy. Niespodziane zastanowienie, cudze otamowanie: gdyby tak każdemu dziadowi... W tej samej chwili serdeczny żal i tępa rozpacz: — czemu ten człowiek nie zabija, lecz jęczy, czemu nie łży, lecz błaga?

Uczucie ciężkie i nieruchome poruszyło się w piersiach i popłynęło, popłynęło palącemi strugami. W ślad za niem samowładne słowa:

— O, miasto, miasto! Gdybyż była w człowieku moc, żeby mógł przycisnąć do piersi ciebie, o miasto! Gdybyż można było odkupić wszystek nieszczęśliwy świat... Odkupić świat z rąk łotrów, z posiadania plugawych tyraniąt, z władzy oszustów, bogaczów panów, — z opieki najgorszych i najpodlejszych, — biernych widzów, obojętnych, jedzących w spokoju i pijących w weselu... Jakże tu żyć, chodząc w sukniach pięknych, co osłaniają ciało aż do ziemi — pomiędzy łachmany żebraków? Jakże można dawać jałmużnę, brud ręki swej, na pożywienie bratu — bliźniemu?

Łzy z najgłębszej krynicy serca przemknęły się między zwartemi powieki, niepostrzeżenie. Chwila głębokiej skruchy, męki strasznej i groźnej. Serce w piersiach ukrzyżowane, w niemocy swej gwoździami przebite. Wytryska zeń i szybuje żądza ofiary.

W górze nad głową wszędzieobecny, roztoczony firmament. Słowo olbrzymie, miłościwe, kojące, słowo drogocenne! Ogarnia sobą męczarnię. Jak nowy powiew wietrzyka przefruwa znowu ta sama, dawna, cudna i głupia myśl — pokuszenie, doskonałość duszy, czystość serca — jest to także egoizm. Jakże tu iść w swej czystości wśród grzechów straszliwych świata? Chrześcijanin powinien przecie zbawić ludzkość, gdyż inaczej...

Myśl ulotna przefrunęła, dziwnie szemrząc, jakoby wiatr w gałęziach brzóz. Lecz za nią nadciąga inna, myśl cofająca się w tył, myśl ślepa i zamknięta w sobie, patrząca w ziarno rzeczy i nieubłagana. Jakoby owoc przedziwnej wiadomości, którybystoczył się we wszystko, czem kiedykolwiek był — w zawiązek, w kwiat, aż do samego początku:

— Bądźcie pozdrowieni upadli, grzesznicy, obarczeni przez zbrodnie! Pan z wami, zbrodniarze. Niechaj się dusze wasze uciszą. Niech sen zejdzie na wasze

powieki. Wytchnijcie w spokoju, zbójcy i mordercy, wyrzuceni z rodu ludzkiego.

Ewa minęła szereg ulic pół-bezwiednie, nie pozwalając uczuciu swemu obniżyć się i zmaleć. Niosła je w sobie z ostrożną czujnością, podobnie, jak pierwsi chrześcijanie nosić musieli na przeciągu korytarzy podziemnych, w głębi nocy kaganki gliniane, u których końca płonął nikły knotek, zanurzony w oliwie. Na poły wiedząc o tem, gdzie jest, weszła w bramę, oddała grzeczniejszy, niż zwykle, ukłon stróżowi Ambrożemu. Uroczo zdrowymi, prześlicznymi kroki, melodyjnie pewnem stąpaniem dzikiej kozy po skałach, przebyła asfaltowy chodniczek, przeciskający się w poprzek dziedzińca między prastarym brukiem.

Wiatr gwałtowny zawiał z za drzwi obłupanych, ze starej, wiecznie rozwartej i, niestety, wiecznie cuchnącej, „chorej“ sieni. Chłodnem tchnieniem ogarnął nogi aż do kolan, wcisnął się pod suknie... Zaśmiała się wbrew woli, wewnętrznie i ustami, ujrzawszy swe śliczne, kochane, połyskliwe buciki na wysokich obcasach, i zakrzyknęła na bezczelny wiatr bez wydania głosu: — ach, ty!...

Skończył się chodniczek ową dziurą, wyłupaną przed laty, wyrwą, którą noga zna tak dobrze, jak wnętrze rozkoszne miłego bucika, — biedną, starą znajomą „kawerną“. Jeszcze w niej tai się jędza kałuża, ostatni ślad nocy wichrowych. Ewa rzuciła okiem w okna mieszkania, na brudne szyby, nie myte od jesieni, na zeschłe ślady szarug, deszczów, kurzów, na futryny obłupione z pokostu i kitu, i wkroczyła, wzdychając, na schody. Ciężko jej było iść po tych schodach poprzecznej oficyny. Były paskudne, jak życie oficynowe: brudne, lepkie od zbłoconych nóg, z wyślizganą poręczą od niezliczonych rąk, które jej dotykały w biegu, w pośpiechu ubogiego życia.

Szła, marząc, czy modląc się pragnieniami, żeby to wyprowadzić stąd rodziców, żeby to coś takiego przedsięwziąć, aby mogli wyjść wszyscy z tych miejsc, dokądś na lepsze...

Ciche, nieznane w codziennem życiu westchnienia spływały, na wargach przeistaczając się w szept, lecący w górę. Wiedziała, że nic uczynić nie może, nic poradzić, nic zmienić, ale, wiedząc o tem, oddawała się konieczności szeptania, które z jej piersi ulatało, jak oddech. Nie wiedzieć kiedy stanęła przede drzwiami. Mimowoli oparła się o odrzwia ramieniem i, trzymając już rękę na guziku dzwonka, śniła przez chwilę. Tak przykro było wracać do domu z powietrza, które już nasiąkło zapachem fiołków i drgało wiosennym gwarem... Jeszcze miała w oczach te smużki i kępki maleńkiej a połyskliwej trawy, co się koło żelaznych sztachet i ogrodzeń chyłkiem czaiły. Teraz oczy jej leżały bezwładnie na drzwiach zamkniętych, uczernionych i wyświechtanych w pobliżu klamki, — na biletach wizytowych szanownych lokatorów. Czytała z ohydą stokroć znajome litery: — Jan Faustyn Cygler — a pod tem napis głupkowaty, nie wiedzieć czemu olbrzymiemi literami: „dzwonić trzy razy!“ Obok niemniej srogimi kulfonami wylitografowane nazwisko — Stanisław Czapowski — Stud. Med. Dalej „dzwonić dwa razy“. Na górze

ordynarnym i zaiste chamskim drukiem:—Adolf Horst—Filozof—„Nie dzwonić ani razu“. Najniżej, to posępne miejsce bielsze, puste—i znaki po świeżo oderwanym bilecie, cztery czarne zagłębienia po pluskiewkach. Ewa zatrzymała wzrok na białej plamie. Czoło jej zmarszczyło się, twarz przybrała wyraz bolesny.

— Kto też najmie ten pokój? Boże, Boże! tyle czasu pokój stoi pustką!

Była to jednak obłudna, a przynajmniej na pół świadoma troskliwość. Ewa usiłowała nią zatrzeć (w interesie czystości duszy) obrazy i myśli, które ją tłumem obległy, skoro tylko rzuciła okiem na napis — „Adolf Horst — Filozof — Nie dzwonić ani razu“.

Jak żywa stanęła jej teraz w pamięci cała spowiedź, przed godziną odbyta, wszystkie towarzyszące jej okoliczności, uczucia, wzruszenia, stany bierne, a nawet ruchy i bezwiedne spojrzenia oczu. Jeszcze czuła ścierpnięcie poniżej kolana od długotrwałego ucisku kości przez ostry gzems schodka, kiedy przyklęknąwszy niewygodnie, przetrwała w jednej pozie całą spowiedź. Jeszcze czuła na twarzy swej spoczywający wzrok kapłana i oddech jego ust. Teraz ogarnęło ją przedziwne lenistwo ciała i ducha. Wszystka tajemnica i potęga spełnionego aktu spowiedzi była jakoby brzemię złożone z ramion. Nie zeszło jeszcze z głowy, nie osunęło się z myśli. Przeciwnie—minęła już rozkosz biernego poczucia, że święty obowiązek został wypełniony, wrażenie radości, że już jest po wszystkiem, które niosło ją było, niby mroczny a miły obłok przez ulice miasta i zasłaniało przed oczyma ziemię. W chwili, gdy stała

pode drzwiami domu, wracało, włamywało się do duszy i oblegało zmysły dotykalne, leniwe uczucie życia. Ewa nacisnęła dzwonek i usłyszała wkrótce znajomy tupot nóg służącej. Skoro się drzwi otwarły, wsunęła się cicho i, pochwyciwszy za rękaw kucharkę, szeptała jej do ucha ze zmarszczonemi brwiami:

— Leośka, nie masz do mnie o nic żalu? Nie gniewasz się na mnie? O nic, gadajże!

Tamta wytrzeszczyła idyotycznie oczy, zachichotała, — aż nagle poczęła z przejęciem szeptać:

— Była panienka u księdza Jutkiewicza?

— Byłam. Przebaczasz mi wszystko?

— No, przecież? Cóż znowu, nie mam przebaczyć...

— Ale, słuchaj, z serca!

— No! A do Stołu Pańskiego panienka przystąpiła?

— Nie, jutro.

— Czemu?

— Bo już było za późno.

— Widzicie! Jakże to cały dzień i całą noc bez grzechu. Panienko, chodźmy stąd! Uciekajmy!

— Dlaczego?

— No, dymajmy — i tyle!

— Powiedzże prosto!

— Nie powiem.

— Kiedy to z tobą zawsze! Chcesz, widać, żebym się w takim dniu rozzłościła.

— A to niech sobie panienka wie! Nie moja wina, jeśli panienka...

— Cóż takiego?

— A to, że znowu u Horsta ta sama dziewka, ta, co to malowana na gniado...

Obiedwie na te słowa pierzchnęły z korytarza w takim popłochu, jakby w nie z pistoletu strzelono z za węgła — jedna prosto, we drzwi kuchenne, druga na prawo.

Wbiegłszy do pokoju, który był w całem mieszkaniu jedynem schronieniem rodziny, Ewa przypadła na łóżko za parawanem. Skuliła się tam natychmiast i co tchu zabrała do pracy duchowej, zupełnie jakby się wszystka, z głową, nakryła wielkim całunem kościelnym. Siedziała z rękoma obwisłemi, z głową pochyloną na piersi, z oczyma zamkniętemi. Zrazu modliła się cicho, wymawiając boleśnie i z trudem prawdziwym wyrazy: „Panie Boże mój! Jakże ja nędzna odważę się przystąpić do Ciebie, którego tyle razy obraziłam? Panie! nie jestem godna, abyś wszedł do przybytku serca mojego! Jezu, pomnóż pokorę moją...“ W miarę, jak wielekroć wymawiała te słowa, szerzyła się w niej jak gdyby jasność owego kaganka, z którym w sobie szła przez ulice miasta. Poczęły wynikać w duszy pożądane obszary, rozwierać się i przeistaczać ni to w okolice nieznane o poranku, okryte jeszcze mgłą...

Było dobrze iść wśród tego świata duszy, iść dokąd oczy poniosą. Było dobrze i lekko, obrawszy którykolwiek kierunek, wędrować z rozstajnych dróg, na których teraz stała. Zaszemrały nad głową słowa— tchnienia, słowa — poszumy, jakoby szelest liści odwiecznych, w jakowejś ciemnej alei...

Mocne postanowienie poprawy!

— Jakże to zrobić? — zadała sobie natarczywe pytanie. — Jak to zrobić doskonale, mocno, na zawsze? Żeby módz wiecznie spać na trawie, zwanej „Baranek Czysty“? Żeby mieć boskie prawo zawsze stać przy Krzyżu duchem przez rozmyślanie, a rzeczywiście przez Komunię Świętą?

Przymknęła powieki, zacisnęła ręce, nabrała pełne piersi mocnego tchu... Idzie przed się znowu dalej w wiośniany kraj, potężnymi kroki. Poprzysięga sobie w duszy, samej sobie rozkazuje, co i jak teraz będzie czyniła. Wszystko, co w chwili tej postanawia, okazuje się do wykonania łatwe, rysuje się, jako mądre i tak proste, tak naturalne i celowe, jak, naprzykład, kształt drzwi, budowa domu, pomysł i wykonanie szafy. Czemuż człowiek nie ma być tem, czem być chce? Dlaczegóż nie być czystą, dlaczego nie być dziewicą nie tylko ciałem, lecz i duszą? Azaliż lepiej jest być czemś brudnem, niż czystem? Czyż kwiat może być brudny, oblany pomyjami? Czyż nie jest to rzecz prosta a najmądrzejsza, że kwiat jest czysty? Bóg go stworzył po to, żeby był czysty. W duszy, w pamięci, w uchu brzmią teraz słowa kapłana... Świętego Pawła słowo do Koryncyan: „Wszystko mi wolno, ale nie wszystko pożyteczno...“ A dalej przykład, wyjęty ze świętego Franciszka Salezego o drzewie migdałowem, którego owoce przemienią się z gorzkich na słodkie zapomocą wypuszczenia z pnia złych soków. Ewa zapytuje samej siebie, czemuby nie miała wznieść się do tej poprawy i stanąć w cnocie czystości obok oblubienicy z Pieśni nad

pieśniami, obok tej, co w pałcach swych przecedza myrrę, płyn broniący od zepsucia, — tej, co ma oczy przepasane przepaską złotą na znak czystej mowy, co ma oczy, jak gołębica?... Ogarnia ją rozkosz tego obrazu, porywa wyniosłość pragnienia, zdejmuje wola mocna, odurzenie przecudne, żeby się wznieść ku dobru wysokiemu. Wyplenić ze siebie obmierzłe upodobania do kokieteryi, wytrącić z duszy ową rozkosz niewymowną do szelestu jedwabiu, do piękności sukien, które owiewają ciało różowością jutrzenki, albo lazurem wiosennego nieba,—do połysku pantofelków lakierowanych,—dreszczowy czar, zwiastujący (zawsze, zawsze!) nadejście studenta (a nawet tego gałgana Horsta!). Nigdy już, przenigdy (przysięga to sobie!) nie pójdzie, niby to przypadkiem, a w gruncie rzeczy ze świadomym zamiarem ujrzenia Czapowskiego (—przysięga to sobie!) gdy on wchodzi... Nigdy już nie zaszeleści jedwabną halką, jak wówczas, kiedy to stanął na schodach i zwrócił na nią wielkie, marzące oczy... Głupiec jeden, kabotyn, oślak! Co on sobie mógł wtedy myśleć! Po pierwsze—won!—pantofle. Od jutrzejszego dnia trzewiki, klapy, błotochody, ciapostępy,—trzewiki do skończenia świata! Po drugie — halka. Won!

Zatkała uszy, żeby nie słyszeć jedwabnego szelestu przecudnej ulubienicy ze ślubnej niegdyś sukni matczynej, zachwytu swego i radości. Zamrużyła oczy, żeby nie widzieć żółtego połysku przepięknych bucików, wysmukłych, obcisłych, na wysokich korkach. Ileż to razy wycałowała je oczyma, wypieściła myślą, gdy jeszcze stały na wystawie za wielką szybą, na lustrzanej tafli. Straciła na nie wiele, wiele nocy, przepisując akta biurowe do rana. Teraz — won, won, won!

— Won! — powtórzyła raz jeszcze.

Myśli po tym rozkazie pierzchły na wszystkie strony! Jakiś tylko szum w uszach, szelest wyrazów... Wymawia się *won*, a piszę się *Vaughan*.—Księżniczka... Księżniczka Vaughan! Prześliczne, błękitne oczy, sploty włosów, głowa lekko pochylona na prawe ramię.

Na głowie kapelusik z czarnej materyi, jedwabnie lśniącej, rodzaj spłaszczonego cylinderka, z szerokiem rondem i rozszerzeniem w kierunku dna. Kapelusz otoczony ponsową woalką nieopisanie pięknego koloru. Obnażona szyja i błękitny paltocik z bufiastymi rękawami. Ach, ty śliczna, ty przecudowna, ty śmieszna! Gdyby tak teraz wyjść w tym paltociku, w tym kapeluszu, z tą woalką! Z tą bajeczną woalką! Księżniczka Vaughan...

Widywała ją tylekroć na wspaniałej miniaturze w mieszkaniu lichwiarki Barnawskiej! Zawsze posyłała jej uśmiech, jak przyjaciółce, jak siostrzyczce. Gdzież ona żyła, kiedy, co robiła. Niema jej nigdzie na ziemi, niema nigdzie. Umarła przed setką, a może przed setkami lat... Ona umarła — ten uśmiech umarł, te oczy, ten promień słońca zagasł! Ta blizka sercu, ta przyjaciółka, ta droga — to złudzenie. Ach, gdybyż to z nią wszcząć rozmowę, posłyszeć pieszczotliwe słowa z tych czarodziejskich ust, które milczą dyskretnie tyle już lat, które unikają wyznania prawdy i uśmiechają się wiecznie ponad głowami tylu ludzkich pokoleń! Gdyby ją spotkać choć we śnie...

— Księżniczko, — szłybyśmy razem w Aleje — ja i ty.—Tożby to wytrzeszczali trzeszcze, gapili się, szeptali o nas... O mnie i o tobie... O którejby szeptali, że piękniejsza. Powiedz, powiedz prawdę, księżniczko?

Spostrzegła się, o czem myśli... Spuściła oczy na książkę francuską, która Bóg wie skąd i kiedy zabłąkała się między rupiecie domowe, na *Choix des monuments primitifs de l'Eglise*—i na ów rozdział z pisma świętego Cypryana, który częstokroć musiała czytać z polecenia matki: *De la conduite prescrite aux vierges*. — „Gdy wspaniale uczesane i przystrojone zjawiacie się wśród ludzi, ściągacie na się oczy i westchnienia młodzieży, gdy zapalacie w sercach ogień miłości—cóż z tego, że nie giniecie same, skoro gubicie bliźnich, dla których niebezpieczniejszemi jesteście, niż żelazo i trucizna" —

— Ech, „żelazo i trucizna" — to znowu przesada — pomyślała (ze wzruszeniem ramion i zlekka wywieszając język), prędzej, niż była w stanie zoryentować się, jaki grzech popełnia.

Schyliła się tedy jeszcze bardziej i, zatopiwszy się wszystka w medytacyi, marzyła po polsku, czytając wiersze francuskie kazania: „Jeżeli pozostaniesz czystą i dziewicą—jesteś równą aniołom Boga. Usiłuj zachować całość dziewictwa twego i skończyć z wytrwałością, coś z męstwem zaczęła. Nie ubiegaj się za ubiorami ciała, lecz za cnotą duszy. Zatapiaj się w Bogu i w niebiosach, a wzniósłszy już oczy tak wysoko, nie zniżaj ich ku ziemi"...

— O, Boże mój!..—wzdychała z radością, wzdychała weselnie nad tymi cudnymi wierszami. Zrozumiała ich pachnący, jakoby lotny i rozkwitły sens i unosiła się oczyma ku niebu. To też z najwyższą przykrością posłyszała jednokrotny dźwięk dzwonka.

Tupot nóg Leośki. Za chwilę wsunął się do pokoju ojciec. Był po wiosennemu wyświeżony, w letniem paletku, które liczyło już sobie dziewiątą czy dziesiątą wiosnę i zdołało przybrać odcień zielonkawo-rudy. Niemniej wiosennym kolorem uderzały wąsy podkręcone, zrana uczernione na szwarc szatański, a obecnie nabierające od promieni słonecznych barwy świeżo skoszonego, aczkolwiek już nieco podeschłego sianka. Stary pan miał w dziurce klapy paltota wetknięty pięciogroszowy bukiecik fiołkowy, na prawicy rękawiczkę z palcami wielokrotnie ześcibianymi czarną nicią. W lewej ręce niósł pieszczotliwie sławną swoją laseczkę, pamiątkowy dar imieninowy od „grona" przyjaciół, z rączką notorycznie posrebrzaną, w kształcie zgiętej nogi końskiej, z monogramem stosownym i datą. Pan Pobratyński nucił, wbiegając do pokoju. Zmrużone jego oczy przeszukały kąty pokoju, ucho uchwyciło dźwięki, dolatujące z kuchni.

Gdy intelekt przyszedł do samowiedzy, że „żoneczka" nie jest w lokalu obecną, znużone ciało radośnie spoczęło w szerokim fotelu, obok szafy, obwieszonym arcydziełami szydełkowej roboty. Pan Pobratyński dumał tam chwilę, nie zdejmując kapelusza, naprzeciwko okrągłego stołu, skazanego na dźwiganie serwety i wiecznie krzywej, „ozdobnej" lampy, którą ze swej strony ozdabiał, oczywiście, abażur ze strzyżo-

nej bibułki. Gdy stopy pięknego starca, obute w kamaszki wylękłe z obwisłemi melodyjnie gumami, spoczęły na dywaniku ze strzyżonych kawałków, głowa jego pochyliła się w stronę Ewy. Blade, wypełzłe, odbarwione oczy, oczy przylaszczki spoczęły na jej twarzy. Figlarny uśmiech wykwitł na wargach.

— Jakże też tam z rozgrzeszeniem? Czy aby?...

Ewa wstała ze swego miejsca i podeszła do ojca. Nie podnosząc oczu, pocałowała go w wyświechtaną rękawiczkę. Stary pan potarł się o nią ramieniem, potem połą surduta. Przechylił głowę i usiłował zajrzeć w oczy. Oczy te były spuszczone... Za chwilę jednak uśmiech taki sam, jak u ojca, uśmiech radosny, ni to figlarny, ni to smutny, uśmiech ladaco i nie wiedzieć co, ukazał się na jej ustach. Spojrzała w wypłókane oczy. Zaśmieli się oboje wraz, jednako. Przypadli do siebie na chwilę: głowa do głowy, usta do ust, oczy do oczu. Staremu z pod powiek wylazły jakoweś quasi—łzy i wnet się skryły. Z piersi jęknęło jakoweś westchnienie—i przepadło.

— Dałabyś staremu ojcu troszeczkę tej świętości, skąpico jedna!... — szeptał cicho, patrząc z bezbrzeżną czułością na jej włosy jasne — jasne, kołysząc ją na sobie, jakby była sześcioletnią smredą, którą chuśtał na nodze...

— A to niech tatko sam sobie pójdzie do spowiedzi...—powiedziała kokieteryjnie, wodząc wargami po jego czole, między oczami, po policzkach.

— Ja... tego... Owszem, dziecko, ja pójdę. W tych dniach się nawet *ma foi* wybierałem.

— Ech!...

— Ale no! Jak honor kocham! Ja ci to mówię...

— Jak honor kocham, ale do cukierni...

— Cicho bądź, jędzo! To postępki ojca będziesz sądziła — he? Takie to mocne postanowienie poprawy życia?

— Gdzie ja tam sądzę!...

— Widzisz, Ewuś, ja już jestem stary, grzeszny człowiek. W starym człowieku, uważasz, to się tyle nazbiera grzechów, paskudztw, wiadomości... Cóż tam zresztą—ja! Grzeszny człowiek... Jabym tylko chciał, żeby na mnie nikt uwagi nie zwracał. Nic nie wymagam, to też niech i ode mnie nic nie żądają. Ja na uboczu... Dzisiaj już tego, co było dawniej — gdzie! Inna rzecz z tobą... *ma foi*... inna. Powiem ci pod słowem honoru, że niema lepszej rzeczy, jak czystość serca i to, wiesz, mocne postanowienie. Tak i tak — no i basta. Jak się było w Liceum świętej Anny... miły Boże!

Oczy starego pana rozweseliły się, zaszły mgłą. Schylił się ku córce i, nie patrząc na nią, szeptał do ucha:

— Bądź, dziecko, zawsze niewinna, czysta, wiesz, *ma foi*... Tak, jak dzisiaj... Ty za mnie i za siebie, za mamę, za nas wszystkich bądź czysta. Pan Bóg... Jak się ty za mnie pomodlisz, to na pewno, na pewno... i posada... i to wszystko, to wszystko...

— Ale żeby tatko przestał chodzić... „*ma foi*“... do tej knajpy, toby tatko był jeszcze bardziej kochańszy... — wzdychała przed nim.

— Co — co?

— Żeby tatko przestał zadawać się z tym Horstem, ulegać mu, nie dać wyciągać się z domu po obiedzie. Prędzejby się i posada trafiła, bo Pan Bóg wszechmogący...

— E — pleciesz koszały opały! — mruknął z wyraźną niechęcią. — Co ma wspólnego chodzenie do cukierni — z posadą! Gdzie Rzym, gdzie Krym! A jeszcze Horst! Cóż mi Horst? Także... Ja, zrozum to, ja muszę bywać między ludźmi!

— I co może być za przyjemność... — szeptała zapamiętale, nie słuchając tego, co mówił... — Brudno tam, obmierzle, zakopcone. Umyślnie przecie chodziłam.

— A ty poco?

— Te ciasteczka i te, żal się Boże, cukry, poprostu śmierdzą. A przecie to dzień w dzień. Przecie to kosztuje! Jakże tu mama nie ma narzekać przed ludźmi?...

— Więc i ty żałujesz mi tej jednej małej, czarnej... — mówił z rozdzierającym wyrzutem, patrząc w przestrzeń.

— Jednej małej — czarnej z pasztecikiem i jeszcze z czemś... I jeszcze z drugiem czemś, a czasami... A ileż to godzin traci się na wysiadywanie! Przytem te piękne rozmowy z Horstem.

— Właśnie tego nie rozumiesz tak samo, jak matka! Właśnie tego! Może być, nie przeczę, wysiadywanie bezczynne i bezcelowe, a może też być wysiadywanie, czynność, akcya, działanie! Tak, moje dziecko.

Złośliwy uśmiech wydobywał się na jej wargi, to też go powstrzymywała. Rzekła jeszcze:

— Jednakże wszyscy ludzie z pozycyą źle o tem mówią. Niedawno Rokicki przychodzi i prosto w nos mówi mamie: — Cóż pan dziadzia dobrodziej oczywiście w knajpeczce z Horścikiem... Już mama nawet mówiła, że wolałaby go nie stołować, żeby tylko tatki nie wyciągał. Bo jakże mama to wszystko może wytrzymać? Niema na to nerwów... Szarpie się, żyły ze siebie wyciąga...

— O, już są i te „żyły“... Naucz się tylko jeszcze tego ulubionego zwrotu mamy: — wbij zęby w ścianę! — to już przynajmniej będzie cały garnitur. Żyły i zęby! — Gdzie się co takiego dzieje? Nic, tylko przesady, tragedye, opery, hiperbole!

— A tatko znowu tak sobie powie — hiperbole i koniec. A my ani bielizny, ani ubrania. — Wszystko idzie na Barnawską. Żyjemy byle czem... Przecie tak wiecznie być nie może. Musi tatko także pomyśleć! Właśnie i dziś... ksiądz spowiednik...

— Tylko mi aby rzeczy ze spowiedzi nie rozkładaj! Wiesz chyba o tem, że tajemnica spowiedzi... Masz, chwalić Boga, dwadzieścia lat, jak obłał...

— Ja, tatusiu, nie ze spowiedzi, tylko, że wszyscy... Coraz nam gorzej, coraz gorzej... Mama jakaś rozdrażniona, rozstrojona, niespokojna... A tatko jakgdyby nigdy nic, jakby wszystko szło jaknajlepiej na świecie... Ludzie widzą... roznoszą plotki po świecie. A zresztą jest to niewątpliwie prawo boże...

— No, już ty mię aby nie ucz, co mam robić

na świecie! Matka was ponauczała tych na mnie gadań. Sama gada, Aniela gada, teraz nareszcie i ty... Ale ostatecznie, co wolno matce, tego tobie nie wolno — rozumiesz?

Ściągnął dramatycznym ruchem rękawiczkę i, wykonawszy szereg ruchów istotnie wytwornych, przesiadł się pod okno, tyłem do córki.

Stało tam, tak zwane, biurko, grat poobłupywany, ze starą politurą, przywalony mnóstwem cacek najrozmaitszego pochodzenia. Kiedy Ewa wróciła ze smutkiem na brzeżek swego łóżka, stary pan (ze zmarszczoną groźnie brwią) wydobył z kieszeni kluczyk, otwarł i wysunął szufladę i zagłębił się w pożółkłe papiery. Jedne z nich rozwijał z gazet, inne pobieżnie przeglądał, inne wreszcie starannie czytał. Ewa miała oczy spuszczone na książkę, ale myśli jej, wbrew woli, uporczywie zaglądały z za ramion ojca w owe papiery. — Wiedziała przecie aż nadto dobrze, że pod pozorem przepatrywania starych próśb o posady, świadectw, zawsze „chlubnych“, listów polecających i bilecików odczepnych, ojciec wydobywa na światło dzienne i, korzystając z nieobecności żony, odczytuje dawne listy miłosne od rozmaitych dam swego serca. Kopie się w skarbach swych. Wzdycha.

Rok rocznie przecież około Wielkiejnocy to czyni.

Gdy słońce przygrzeje, gdy fiołki zapachną w zatęchłych ulicach Warszawy, oddaje się sekretnej pasyi przeczytywania zżółkłych listów. Ewa z matką czytały je również, dobrawszy się do szufladki za pomocą pewnego kluczyka, a cała rodzina miała na określenie tej czynności wyrobioną nazwę.

Mówiono, że tatko przewietrza swe miłostki i przesypuje je naftaliną.

Oczy jej mimowoli znowu poszły ku ojcu.—Patrzała na prześliczny profil tej twarzy, widziała niezrównane piękno rysunku subtelnego nosa, doskonałego istotnie kształtu brody, zarysu oka, ucha, owalu głowy. Serce jej poczęło bić z żalu.

To prześliczne, białe czoło tak doskonale lekkomyślne, to czoło „pańskie“ poryły już, ośmieliły się poryć wzdłuż tyloletnie myśli o posadzie.—Dookoła najcudniejszych męskich oczu, oczu, nad któremi, zdawało się, starość nie będzie miała siły wykonać swej władzy, utworzyła się trwożliwa sieć zmarszczek. Białe, wypieszczone ręce, ze szlifowanymi paznogciami, ręce bezsilne i bezwładne, pośpiesznie mięły, przerzucały stare papiery. Ewa poczuła, że, zagłębiając się w myśli o ojcu, popadnie w grzech, że już się grzechowi oddaje, płacząc nad jego dolą. Bo gorzko bolała nad tem, że ojciec cierpi, patrząc na zżółkłe listy, na minione miłostki, na zaszłe już słońce swego życia... Westchnęła, patrząc mimo wiedzy na natarczywą wszędzie obecność grzechu, na jego niezwalczoną władzę.

Zrozumiała, że nie powinna teraz pozostawać w jednym pokoju z ojcem. Wstała tedy i na palcach wyszła. Było jej lekko, grzesznie, ale lekko na myśl, że wyświadczy mu usługę, gdy będzie mógł bez świadków i bezkarnie czytać swe „dokumenty“, wzdy-

chać nad nimi bez kontroli i upuszczać w martwe papiery martwe łzy.

Zamykając drzwi bez szelestu, z uśmiechem anielskim widziała, że nie odwrócił głowy. Westchnęła bez możności powzięcia myśli, że grzech już spełniony... Miała zamiar pójść do kuchni i tam między szafą i zlewem, w kącie, odprawiać dalszy ciąg medytacyi, ale oto przypomniała sobie o wolnym chwilowo pokoju i, uradowana niewymownie tem odkryciem, weszła tam natychmiast.

Pokój ów od kilku tygodni stał już pustką. Jak trzy inne był wynajmowany przez rozmaitych „kawalerów“ i nosił na sobie ślady kawalerskiego żywota. Tapety na ścianach były tak poobdzierane, pełne dziur, z których sypało się suche wapno, usiane istnemi ranami od gwoździ, bretnali i haków, wbijanych w miejscach najmniej prawdopodobnych — jakby w obrębie tych czterech ścian toczyły się jakieś zapasy na drągi, maczugi, dzidy i włócznie. Dookoła drzwiczek pieca kafle były spękane, przepalone i czarne. Rura blaszana, uchodząca z wierzchołka jego w ścianę, okryta była kurzem i popiołem, a całą okolicę swego istnienia powlekła sadzą. Sprzęty, jak łóżko, szafka, potworne obrazki, służące jakoby do „ozdoby“ lokalu—wszystko, na co padły oczy, było sponiewierane, poniekąd udręczone, jak rzecz cudza, a przecie należąca do tego, kto za jej chwilowe posiadanie płaci — więc wyzyskana i wzięta niejako za gardło. Stolik, którego najszczerzej sosnową prostoduszność suto i wielekroć powlekła politura domowego rozprowadzania, znowu miał na wierzchu swym pobojowisko, pełne dziur, bolesnych oparzelisk od węgli samowarowych, od szybko nastawianych maszynek i istne rany wystygłe od żrących jodyn, terpentyn, spirytusów, oraz kawalerskich soli i kwasów. Podłoga była nie dość, że wydeptana, ale wprost powygryzana gwoździami obcasów. W rogu, gdzie zanudzała swym widokiem ohydna „umywalka“ blaszana z drzwiczkami, wiszącymi na jednym haku, było najbardziej sponiewierane miejsce pokoju.

Ewa, wszedłszy tam, doświadczyła uczucia ohydy. Nie, nie będzie w stanie modlić się w tem miejscu! Pokój ten był czemś publicznem, zużytem i, jako właśnie rzecz publiczna, jakby oplutem i spapranem. Wszelaki brud życia zdawał się cuchnąć ze ścian, kurzyć się z podłogi, kątów, szpar, sprzętów... Wśród tego wrażenia, potykając się o myśl, co robić teraz, stojąc bezradnie z przymkniętemi powiekami, Ewa znienacka ujrzała prawdę: toż to jest obraz mojego życia przed spowiedzią!

W tejże chwili nawiedziła ją łaska skruchy i łaska głębokiego żalu. Powtóre, a z równą siłą, jak w chwili szeptania drżącemi wargami w ślad za głuchym łoskotem serca słów spowiedzi powszechnej, popadła w rozczulenie ducha. Powtóre stała się duszą grzeszną i drżącą ze wstydu pod nawałem ciężkiego aktu. Ciało, jak przy konfesyonale, osunęło się na ziemię. Kolana uderzyły o podłogę, głowa bezwładnie oparła się o plugawą ścianę.

Z warg gorzkich i suchych padały słowa surowe, niezbłagane, pełne najoczywistszej prawdy: „Ja grzeszna spowiadam się Panu Bogu Wszechmogącemu“...

Owładnęły nią ataki, głuche impulsy i dreszcze rozbudzonego sumienia. W drżeniu ciała, w trwodze i prostracyi szukała po ciemku w głębinach duszy — czy wszystko, czy wszystko?... Wyraźne, niemal olśniewające wspomnienie nasunęło tamtą chwilę: zgubiony w drodze do domu zarys twarzy spowiednika, brzmienie jego szeptu, szczególny sens każdego wyrazu i osobliwą, męską niejako barwę i bryłowatość słów. Pamiętała coraz żywiej tę chwilę, kiedy ujrzała tuż za grubą i kanciastą kratką błysk szychu stuły i jakąś fioletową jej półbarwę; dolną część ucha, nieco rdzawego policzka z sinością świeżo ogolonych włosów... Pamiętała początkowo oschłość głosu, zapytań martwych, jakby urzędniczych. Powtórnie przeżyła wrażenie przejmującego popłochu, sromu bezgranicznego, iście kobiecej niedoli, ową chęć ucieczki chyba pod posadzkę, kiedy kapłan zwrócił się ku niej twarzą, zatopił oczy w jej oczach, długo nie spuszczał wzroku z twarzy i słuchał:—Przyszło ku niej dobrotliwe wspomnienie zmiany jego głosu, przeobrażenie się suchej indagacyi w natchniony i bolesny obrządek dobrowolnych zwierzeń do gruntu, do samego dna, w tajemniczy sakrament, pełen potęgi ściskającej serce.

Gdy już była wyznała grzechy i bezmiernie zmęczona, bezsilna i jakby mieczem ścięta, blada i odrętwiała uczepiła się kurczowo palcami gzemsu konfesyonałowego—a on wtedy zaczął mówić...

O, słodka, cicha mowo! Nauko mądra i pokorna! Ewa czuła jeszcze na policzku gorący oddech i martwe, pełne mgły spojrzenie oczu. Słyszała w sobie zaklęcia i prośby, krzyki ducha tego młodego sługi ołtarza, żeby została niewinną i żeby pokochała cnotę. Mówił jej wtedy za świętym Cypryanem, że dziewice są to kwiaty wonne Kościoła, że są to arcytwory piękności, ozdoby naszej ludzkiej natury, dzieło jej doskonałe i niepodlegające zepsuciu, obraz Boga, w którym wizerunek swój ma świętość naszego Zbawcy... Mówił jej wtedy słowy aniołów z Apokalipsy, śpiewających tę pieśń nową, że dziewice są istotami „kupionemi z ludzi“, gdyż one „naśladują Baranka, gdziekolwiek idzie, a w ustach ich niemasz zdrady“.

Mówił jej słowy świętego Pawła z listu do Koryncyan, że ten, co nie pojął małżonki stara się o rzeczy Pańskie i pełen jest pragnienia, żeby się Bogu podobać. Ten zaś, kto pojmie żonę, stara się o rzeczy świata i pełen jest pragnienia, jakoby się żonie podobał. „Która nie poszła za mąż“—mówił—„stara się o rzeczy Pańskie, aby była święta ciałem i duchem“. Wspomniała sobie teraz wyraźnie, jak bezpośrednio zwracając się do niej samej, kapłan począł omawiać grzechy, niby brzemię wstrętnych rupieci, złożone u jego stóp.

Słowa jego były prawie nieśmiałe, określenia delikatne i nad wszelki wyraz dyskretne. Zdawało się, że to lekarz doskonały świadomymi palcami dotyka środka ogniłej rany. A jednak nie zapomniał o żadnym grzechu. Pamiętał każdy z nich z wszelkimi szczegółami. Widać było, że odrazu pojął całkowite życie, wszystkie sprawy domowe. Nadto stało się rzeczą oczywistą, że nietylko przewidział wszystko, co mogło się stać w da-

nej chwili, w danych warunkach, ale odczuł uczucia, wątpliwości, pokusy... Mówił śmiało o piękności cielesnej, nie jako człowiek i młody mężczyzna, lecz jako mędrzec daleki, który widzi i rozważa zjawisko, bada i roztrząsa wszystko bez wyjątku, bo nawet swój stosunek do tej piękności.

— Jesteś piękną — szeptał w natchnieniu — jak kwiat lilii, jak gałąź bzu, albo jak młoda róża. Bóg miłosierny dał tobie jednej jedynej to, czego odmówił tysiącowi niewiast: piękność niezmierną. Któż pojmie, dlaczego tak uczynił? Byłaby to rzecz straszliwa, sprawa przerażająca i haniebna, gdybyś sponiewierała ten dar niebiański, gdybyś go uczyniła swoją własnością. Byłoby to dzieło potworne, jak złupienie świątyni, jak sprofanowanie kielicha. „Ciało twoje jest kościołem Ducha Świętego, który w nas jest, którego mamy od Boga, a nie jesteśmy sami swoi". Płomienne wersety listu do Koryncyan tak mówią. Pomyśl—szeptał—wszakże niczem nie przyczyniłaś się do piękności swego oblicza. Stało się ono pięknem pomimo nawet twej wiedzy. Utwórzże w sobie duszę anielską, co w twojej jest już mocy, i stań się tak piękną, jak jesteś piękna cieleśnie, ażebyś była i duchem podobną do aniołów. Nie prowadź nigdy rozmów lekkomyślnych, bo „złe rozmowy psują dobre obyczaje" — mówi święty Paweł. Zamykaj oczy przed widokiem grzechu...

— A co jest grzech? — spytała.

— Grzechem jest zły czyn człowieka.

— A który czyn jest zły, jak poznać?

— Czyn ten musi być przedewszystkiem dobro-

Nie umiała oczywiście wyjaśnić... Jąkając się, bełkocąc sylaby, poczęła coś pleść o tem, że stan własnej cichości ducha wobec męczarni i huraganu żądz, jakie znosi ten, naprzykład, co zamordował człowieka, albo ten, co ukradł, ucieka, kryje się, truchleje — jest egoizmem, gdyż jest niejako używaniem bogactwa, spokojem bogacza w obliczu ogromu nędzy tych, co nie mają czemby płaczące dzieci nakarmić. Kapłan zwrócił na nią spojrzenie. Widziała niegasnący uśmiech na jego wargach. Wreszcie ciche, wzniosłe słowa:

— Wyucz się modlitw własnych, ukochanych, słów potęg i symbolów, które, jak miecz, rozcinają pokusy. Wzdychaj cicho, z uporem, z męstwem, z niezłomną wytrwałością. Stan łaski nie będzie ci odjęty. Gdy w tej chwili uczynisz mocne postanowienie poprawy...

Teraz właśnie nasunęła się przed oczy ducha istna radość: mocne postanowienie poprawy! Za chwilę wołała na siebie:

— Nie, nie, siostrzyczko! Nie mocne postanowienie poprawy, lecz poprawa sama!

Złożyła swój *Panthéon littéraire* na skancerowanym stoliku i chyłkiem pobiegła do kuchni. Tam, słowa nie mówiąc Leośce, rozrobiła z mąki i wody talerz lepkiego klajstru, zabrała ze sobą ścierki mokre, szczotki, butelkę z lakierem czarnym i drugą z farbą białą, nadto różne niezbędne zamszowe skórki, puszkę z zaprawą do podłóg, kredę i t. d. Obładowana tem wszystkiem wróciła do pokoju, opuszczonego przed chwilą. Zamknęła na klucz drzwi, zrzuciła z ramion stanik i zabrała się do pracy. Szybko popodklejała wiszące i odstające

strzępy tapetów skrawkami, doskonale utrafiając w deseń, z istnym artyzmem pozalepiała wybite dziury. Oczyściła piec, a czarne szpary między kaflami zaciągnęła „śnieżystą“ masą gipsowo-kredową. Wytarła potworną rurę pieca—i wówczas dopiero zabrała się do podłogi. Starła ją mokremi ścierkami i w miejscach najbardziej zdrapanych pomalowała farbą. To samo uczyniła z parapetem okna. Wówczas przyszedł czas i na stolik. Pracowicie a z bajeczną wprawą nalewała na zamszową skórkę resztki zaschłego w butli lakieru i, trąc niemi silnie powierzchnię, nietylko zniweczyła ślady oparzeń, ale nadto obdarzyła stoliczysko „wyrazem“ zupełnej (no, względnie!) nowości. Radość biła na duszę jej, kiedy stół z potwora, ze wstrętnego grzesznika przeistaczał się w cudo wdzięku. Śmiał się do niej swą lustrzaną, czarną powierzchnią ten stół z krzywemi nogami, zaiste jak twarz człowieka, któremu grzechy jego odpuszczono.

Gdy tak szybko, chwytając oddech i wyrzucając ramiona, z zaciśniętymi zębami tarła ów stolik, włosy jej rozpuściły się i burza ich spadła na obnażone ramiona. Prześliczne, królewskiej piękności ręce ustały od pracy. Do głowy krew uderzyła. Oczy zasłoniła mgła strudzenia. Ewa bez sił upadła, a później położyła się na wznak na żelaznych prętach pustego łóżka, niby na ruszcie piekielnym. Objęła oczyma pokój—i cała przemieniła się w uśmiech. Toż to już nie obmierzły „pokój pojedyńczy przy familii z samowarem i usługą“—toż to jest cela świętej Teresy.

Jeszcze tylko widoku nieba!

Wstała leniwie i mocnym ruchem na ścieżaj otwarła okno. Za chwilę leżała znowu na prętach żelaznego łoża, rżnących ciało, jak włosiennica. Jednym ruchem ręki ujęła wszystkie włosy i położyła je sobie, jak poduszkę pod głowę.

Przyszło jej na myśl to słowo: — włosiennica... Włosiennica!

Ach, spróbować! Zacząć! W tajemnicy przed wszystkimi. Mama spostrzeże... No, mamę można przypuścić do sekretu. A więcej nikt... Tatkę by można, ale to papla... Jeszczeby wygadał Horstowi... Do czego też dojść można, ujarzmiwszy włosiennicą ciało... Źródełko świętej pokory... Wówczas to—boska radości!—miała przez chwileczkę w powiekach widzenie niejakie postaci. Twarz biała, oczy zagasłe, kwef śnieżysty... Podszepnęła sobie samej wśród tumultu myśli, wśród rozruchu uczuć: święta Tereso, pójdę za tobą... Ty-żeś to, ty? Święta Katarzyno, co koło swojej męki i miecz katowski, symbole swego męczeństwa, niesiesz—ty-żeś to, ty? Pójdę za tobą... Niepokalaną duszę Nieśmiertelnemu Oblubieńcowi zachowam... Wdzieję włosiennicę i będę się biczowała codzień wieczorem.

Znikło widzenie.

Miała przed oczyma niebo. Teraz je dopiero spostrzegła i zawołała na nie z głębin otchłani duszy:

— O, niebo!

Wiosenne, kwietniowe, rozkwitłe, przedwielkanocne obłoki płynęły i powiewały w głębokości niebieskiej. Jedne były śniade, w głębiach swych kłębów stalowo-sine, lub bure, ale obrzeżone pozłocistą białością,

zrodzoną ze szczerego słońca—inne fiołkowe i miłościwe dla oczu, jak bukiety, jak smugi fiołków. Za obłokami tail się tęgi błękit, jakoby przecudny bóg młodości z łukiem naciągniętym przez niezłomne jego ramię i z czujną, chybką, pierzastą na cięciwie strzałą.

Obłoki, obłoki...

Widziały się, jakoby burza ciągnąca, jakoby przednie cugi i tabory gromów, jakoby sztandary i zwiastuny czyhających za skałami piorunów, piętrzyły się chyżo białemi masami, niby wierzchoły Alpów, a były jeno przeczystą pogodą. Tam i sam przemykał się wśród nich mars ciemnosiny, podobien do tarczy stalowej i, roztrącając rozkoszną słabość, a cichą dobroć siostrzaną, ukazywał za sobą okienko nieba wiecznego. Oto z głębin wznosiły się kłębami śnieżno-białe mocarstwa, moce panowania, księstwa... Płynęły za ramę okna i ginęły. Ginęły tamże jakoweś wojny trojańskie, punickie, wędrówki narodów, pochody krzyżowe, zmagania się plemion trzydziestoletnie, rewolucye pełne zgrozy, krzyku i krwi... Rozwierały się wybrzeża skalne, które otaczają błękitny ocean bez początku i końca... Niosły się same obłoczki rozwiane, siewne i powłóczyste, nic o sobie i swej piękności nie wiedzące, a których istnienie było po to, żeby dać świadectwo piękności — i zginąć. Ciągnęły się wzajem ku sobie i ginęły jedne w drugich, podobnie, jak miłosne spojrzenia.

Chmurki te, chyżo lecące w niebiosach, ściskały serce widokiem swoim. Złotemi nićmi, co w oczach stają się wraz poniekąd białością i błękitem, oplatały duszę. Z najodleglejszych głębin wypłynął obłoczek

biały, jak poranny śnieg—w oczach rozszerzył się, rozpostarł białe skrzydła. Usta Ewy z radością, bojaźnią i czcią wyszeptały:

— Serafin...

Wszystka istność duchowa podała się ku niemu, a ciało zawisło niejako w powietrzu. Zaostrzył się zmysł słuchu i powonienia. Zmysł widzenia i zdolność pojmowania wzrosły bez granic. Możnaby wówczas zaiste rozumieć skomlenie i ryk zwierząt, słuchać dziejów ich cierpień, wiedzieć, co wyśpiewują ptaki, pojmować, co między sobą szepcą szelesty sitowia nad głębinami wód. Możnaby ogarniać jestestwem swojem dzieje wewnętrzne skał i tragedye głębiny ziemskiej, możnaby podsłuchać czemu płaczą i jak warkocze brzóz nad wybojami dróg, zdeptanych przez bose nogi i przez kopyta smaganych koni... Jasne obłoki poczęły rymować się w dźwięki przecudne, jak wiersze, wyjęte z głębin, z pokładów mowy pospolitej, z języka narodu, jęły przepływać w melodye, których piękność i najwyższa doskonałość powinnaby zostać na wieki, podobnie, jak zostaje dyament, urodzony w grubych pokładach czarnego węgla ziemi. W duszy zabrzmiał śpiew jednogłośny duszy przeistoczonej w anioła, a może i śpiew tronów, cherubinów, serafinów, aniołów i archaniołów, rozlegający się pod niebem, płynący po rosach obłoków, po niwach, siołach i miastach na rozległości ziemskiej — hymn węglem żarzącym w sercu pisany:

— Jakże szczęśliwy jest człowiek, który zwyciężył grzech i wytrącił go z serca! Jakże szczęśliwy jest, płynąc w kompanii obłoków!

Płynie ku Bogu swojemu, śpiesząc się coprędzej, a bez odpoczynku, żeby w jego drzwi zakołatać. Jakże szczęśliwy jest człowiek, idąc na klęczkach po schodach niebieskich, na obraz chłopów, ciągnących do cudownego w Częstochowie obrazu! Jakże szczęśliwy jest człowiek, kiedy Pana może przyjąć w ciało swoje niewinne i nosić Go pod sercem czystem!

Otom się stała, Panie, aniołem Twoim, i w obłok odziana leżę w niebiesiech. Ręce mam splecione na sercu głośno bijącem, a w ciele czuję rozkosz bytowania. Nic nie wiem i jestem ciemna. Łaska Twoja, wiosenne światło—na duszy mej. Woń fiołkowa—dziecięctwo moje—znów ze mną. Jedno szczęście kołacące serca mojego pod dłońmi słyszę. Spalę się, jako kadzidło, a jako dym błękitny kadzenia z ręki anioła wstąpię przed Twe oblicze. Oczy zatapiam w Twój błękit bez granic, a ustami całuję siostry me chmury—serafiny, chmury—anioły...

Zobacz mię, Panie, grzeszną i dźwignij mię z prochu ziemskiego. Pokropisz mię hyzopem i będę czystą, obmyjesz mię—i nad śniegi bielszą się stanę. Będę, jak obłok powiewny, bielsza od śniegu, Twoich przebitych nóg rany czerwone przewijać sobą. Stanę się gładkim i wonnym płateczkiem róży rumianej, co pod słońcem wiosny ogorzał — na rany Twoich rąk przypadnę niepostrzeżona.

Z tych marzeń, jakoby z twardego snu wyrwał ją nowy głos dzwonka. Ocknęła się z trudem, z przykrością. Poznała niezwłocznie, że to dzwoni obca ręka. Tak nie mógł dawać znać o sobie nikt z lokatorów

i nikt z domowych. Niechętnie wdziała na siebie suknię, związała prędko włosy, zabrała rozrzucone naczynia, narzędzia i farby. Pomknęła do kuchni. Kuchnia była pusta: Leośka gdzieś wyszła. Ewa zajrzała do pokoju mieszkalnego. Tam siedział nad papierami stary pan. Nie wiedział o niczem. W takich chwilach nie wolno mu było przeszkadzać, gdyż był, jak poeta, w chwili natchnienia.

Ewa z pośpiechem przyczesała i przywiodła do porządku włosy, suknię, stanik, szybko umyła twarz i ręce, a gdy dzwonek powtórnie i ze zdwojoną natarczywością się ozwał, pobiegła drzwi otworzyć. Za progiem stał jegomość, mniej więcej, trzydziestoletni, porządnie ubrany. Uchylił kapelusza z zapytaniem:

— Czy to tutaj pokój do wynajęcia?

Ewa usunęła się ode drzwi i wpuściła go do korytarza, a następnie do pokoju. Pod nieobecność służącej i matki, które korzystały z niedzieli, musiała przedstawić zalety i wyłuszczyć cenę lokalu.

Młody pan z pewną mrukliwą niechęcią rozglądał się po kątach, kilkakroć w nieznośny sposób badał rurę od pieca, rewidował oczyma rokokowe przegięcia prętów i nóg żelaznego łoża. Zdawało się, że nic z tego, że nie wynajmie. Ewa, nie patrząc już na niego, czekała za progiem. Jeszcze raz spytał o cenę, o samowar, służącą, zajrzał tu i tam, a wreszcie oświadczył, że zajmuje ten pokój i zaraz zniesie tu swoje rzeczy. Wydobył pugilares i zapłacił odrazu 15 rubli za miesiąc. Ewa z radością trzymała w ręce trzy papierki i mimowoli, bez słów, modliła się dziękczynnie. Nigdy bardziej

te pieniądze nie były w domu potrzebne, nigdy bardziej w porę nie zjawiła się taka suma. Zaiste!.. Pan Bóg chyba posłał tego człowieka... Przez chwileczkę wspominała sobie pracę przedgodzinną w tym pokoju—fizyczną i duchową—i, niewiedzieć czemu—z najgłębszej, „anielskiej“ głębokości serca spojrzała przejrzystemi do dna oczyma, z dołu w górę, uśmiechnęła się do przybyłego lokatora. Wyrazy drżały na jej wargach... Gdybyż on wiedział, jak dalece ludzie są braćmi i dziećmi jednego Ojca! Gdybyż on wiedział, kto go tu posłał!..

Ale, o dziwo! wtedy dopiero ujrzała tego pana. Bokiem do niej zwrócony, od niechcenia z pod powiek i ukosa patrzał na nią. Spostrzegła jego czoło białe, prześliczne i w mig nazwała je za poetą „upojonem myślami“. Zauważyła jego prosty nos, lekki, ciemny zarost, usta wykrojone delikatnie i nazwała go w myśli „jakiś taki swój człowieczyna“. Ale nie było to trafne, boć widziała jaki to arogant i pyszałek. Wyszedł z pomrukiem, że każe tu natychmiast znieść z dorożki rzeczy. Mówił, jak do służącej, gdy stała w korytarzu... Uśmiech jej poszedł za nim, gdy się już drzwi zamknęły.

— Gdy mama przyjdzie — ileż to naraz szczęśliwych nowin! — Liczyła: — Rozgrzeszenie, pokój wynajęty, 15 rubli gotówką — i cóż to jeszcze?.. Coś jeszcze takiego... Najważniejsze to, że wynajął nie studencina, nie „obibok“, nie „byle jaki Warszawiak“, lecz ten pan. Kto też to może być?.. Tak... Zamelduje się, to pewna, ale żeby wiedzieć...

Wróciła do pokoju i usiadła w swoim kąciku,

nic ojcu nie mówiąc o tem, co zaszło. On przez ramię ze zwykłą flegmą i wielkopańskością zapytał:

— Kto to przychodził, dziecino?

Odpowiedziała niezdecydowanie, że *to tam...* lokator... Tymczasem nasłuchiwała cicho, pełna wzruszenia, podrażnienia, jakby rozłaskotania duszy. Pragnęła, żeby matka przyszła jaknajprędzej i żeby sama wprowadziła sobie owego mruka. Tymczasem dzwonek uderzył znowu. Pobiegła. Wszedł „ten pan“ ze stróżem i posłańcem, dźwigającymi jego rzeczy. Były nieliczne i niebogate: kosz, wyszarzany tłomoczek podróżny, lekka jakaś kołdra w paskach, skórzana poduszka. Wstydliwie i nie tak już wyniośle lokator umieścił swe rzeczy w pokoju, zapłacił tragarzy. Ewa czuła się w obowiązku zawiadomić go, że niektóre miejsca w pokoju są świeżo pomalowane olejną farbą, białą—tam znowu żółtą. Weszła tedy w otwarte drzwi i wskazała parapet, podłogę... Czuła przy tem, że wszystka jest w ogniach. Zrobiło jej się nad wyraz przykro i wstyd.

Przytrafiło jej się to, co zawsze, gdy była prezentowana—to jest, że nic nie widziała, traciła zdolność widzenia rzeczy. Miała o to głuchą pretensyę do tego jegomości i do siebie. To, że przed chwilą była tu bez stanika, tylko w koszuli, zdawało się być wiadome temu panu, widoczne dla jego oczu, utrwalone niejako w kliszy fotograficznej.

Zarazem przemknęło, jak obłoczek, wspomnienie anielskich marzeń w tem miejscu, gdzie teraz leżą jego obce, męskie rzeczy... Senny smutek... Smutek, wio-

senny cień... Jakowaś postać żalu, czy, z niewiadomej przyczyny, wyrzutu sumienia...

Nowy lokator kilkakroć ukłonił się chłodno a bez wdzięku. W tłoku swych wrażeń usłyszała jego głos:

— Dziękuję pani... Zresztą... To drobnostka. Będę uważał. Pozwoli pani, że się jej przedstawię: Łukasz Niepołomski.

Obojętnie przyjęła do wiadomości to imię i nazwisko.

Słyszała jego głos, jakby z pewnej oddali.—Odpowiedziała strzępkami wyrazów — „bardzo mi przyjemnie"—i pospiesznie wymknęła się z pokoju.

Uniosła ze sobą obraz jego twarzy i znieruchomiały wizerunek spojrzenia. Spojrzenie było uważne, badawcze, zdumione i zastygłe.

Była nareszcie znowu w swym kącie, za parawanikiem. Ujęła książkę religijną, rozwarła ją w dawnem miejscu, i z oczyma wbitemi w stronicę, zastygła w sobie, usnęła duchem. Był to już jej drugi dnia tego sen duszy. Poznała go po szczęściu, które rozsiewał. Wciągała w siebie szczęście, jak stęsknione płuca wciągają radosne powietrze wiosennego poranka. Odkrył się przed nią obręb samego dobra. Nagle i niespodziewanie się rozwarł, niby dolina błogosławiona w skalistych górach.

Błądziły tam powiewy bezinteresownych trwóg, lęki duszy o coś jej obcego, troski o kruchą i słabą nad wszelki wyraz koronę kwiatu, widną z za krat w pańskim, w królewskim ogrodzie. Jedno nieszczęsne potrącenie może zabić na wieki wieków bezcenny kwiat. Czyje? Jakie? Skąd przyjdzie? Przesuwały się na obraz

mgiełek wiosennych w parowach gór życzenia, zwrócone w nieistnienie, objawiały się ruchy pragnień, dążące w stronę niewiadomą, rosły w tajemnicy przed wolą i wiedzą, aż do ogromu potężnych sił i stawały się jak wybuchowe miny uczuć dusznych, których piersi nie były w stanie objąć i zmieścić w sobie.

Z burzy tej wysunęła się nagle dobroć powszechna i łaska wszechobejmująca. Ona się stała krwią i mózgiem, ona ruchem cielesnym i życiem duszy, uśmiechem ust, wzrokiem i słuchem.

Gdybyż to uczucie trwać mogło wiecznie!

Gdybyż w tym stanie łaski żyć i umierać!

Ale ono nie trwa. Coś wewnątrz niego, w samym nim stało się nagle. Stało się niewątpliwie, a znikąd, jak staje się w próżni ton muzyczny.

Rozdzielił, rozciął stan łaski na dwie połowice (jak ton rozcina ciszę), a one się jedna od drugiej posłusznie rozeszły. Wynikła w duszy i poczęła drżeć — tęsknota. Za czemś zupełnie nieznanem, za groźnem, za cudnem, za straszliwem a tak blizkiem, jak blizką jest własna dusza, własne bicie serca, własny oddech. Coś objawiało się w głębokościach duszy i stanęło przed nią. Serce kołace przed Tajemnicą. Oczy szukają w mroku. Drży ciało.

A gdy jeszcze oczy szukają i ciało drży — już smutek idzie przez duszę. Sam jeden idzie straszliwy i mądry. Wszystko przejrzał, nad wszystkiem dumał.

Przeszedł, przeszedł, wlokąc za sobą czarny swój cień.

Załamał suche, koślawe ręce... Dość ma: obaczył kres...

Serce się wznosi, czoło się dźwiga ku niebu. Oczy i usta pragną. Usta szeptają błagalną modlitwę o jedną jeszcze poprzednią chwilę:

Wróć się, wróć się, chwilo łaski...

Łukasz Niepołomski stał we framudze otwartego okna i obojętnie patrzał na zaułek podwórzowy. Obecność w tej nieznanej izbie, czy obecność w tem miejscu Ewy sprawiła, że ruchy jego zleniwiały, wola gdzieś zginęła i rozproszyły się myśli. Popadł w stan jakby wycofania się z życia swego i chwilowego powrotu do stanów półświadomych dzieciństwa. Widziało mu się, że jeszcze słucha głosu złotowłosej panienki, że jeszcze wobec niej składa ukłon, a jednocześnie, gdy trwał ów stan siły wrażenia, niosła go złuda do miejsc dawno i zupełnie zapomnianych, do wsi, we wczesnej młodości opuszczonej na zawsze. Miał w całej duszy, w oczach, w głowie, w uszach dwoistą wiadomość, dwoiste niejako wrażenie. Ta żywa, piękna dziewczyna wywarła nań urok, jakgdyby (osobliwa rzecz!) nurtu głębokiej, czarnej bujnej wody w rzece rodzinnej. Tam! Wytrysła w duszy jakby kopia przedziwna, jedyna w świecie oryginału, niepodobna doń, a przecie taka sama co do siły i rodzaju. Wodę tę, ślizkimi zwojami, skręty, kłęby pędzącą, przebijało ongi poranne słońce. Nad wartem jej bujały ważki błękitne. Widać było jej dno tajemnicze, niedostępne dla nogi, złote od piasku, czarno-zielone od ruchomych porostów. Niegdyś, w czasie

była chwila, gdy stał nad tą wodą szczęśliwy i kochał ją bez granic, wszechsiłą młodego jestestwa niewiedzieć za co i nie wiedząc o tem, czego doświadcza.

Stała się ta chwila i na wieki, nieznana duszy, zginęła w przeszłości. Teraz odnalazła ją jakowaś władza, jak zgubioną uryańską perłę i, zwolna pracując, przemieniła w silną a oczywistą ideę. Panienka, co przed chwilą z tego pokoju odeszła, była jakoby tamta woda.

Taka sama. Wiecznie żywa, bezmiernie bujna, jasna, przezroczysta. Ani jeden jej ruch nie był w stanie spoczynku. Wszystko w niej było stawaniem się i żywotem. I była w sposób niepojęty, tajemniczo pociągająca, jak tamta rzeczna woda rodzinnej wsi.

Wspomniał, a raczej ujrzał powtóre, jak słońce zanurzyło się przelotnie w jej włosach, niby w żywiole swym rodzimym, niby w samem sobie — i jęknął cicho. Poczuł w sobie dziwne wzniesienie, jakgdyby on, rzeka i ta dziewczyna—to było jedno i to samo.

Starał się otrząsnąć z tego dziwactwa i odegnać je logicznym wywodem.

— Wskutek wytężonego rozwoju pojęć rozumowych czysto—rozmyślał—zaciera się zdolność odtwarzania sobie wypadków z życia minionego z taką samą intensywnością czucia, jaka im towarzyszyła.

Są momenty, utrwalone w nieświadomem myśleniu, które mają cechę czegoś, od naszej zdolności czucia i myślenia odmiennego, jakowychś wprost poza nami bytujących stanów. Związek między nimi a nami jest luźny nad wyraz, a często żaden. Patrząc tak w odległość, doświadczamy wrażenia, że człowiek skła-

da się z szeregu postaci, które częstokroć nie mają pomiędzy sobą nic wspólnego. Przemiana materyi sprowadza ten skutek, że ciało odbudowuje się z nowych wciąż pierwiastków, z tego samego wprawdzie materyału, ale w nowych, wciąż nowych warunkach i formach bytowania. I do duszy wdzierają się pierwiastki nowe. Dawne giną. Człowiek jest, jak owa rzeka dzieciństwa. Jak tam wciąż nowe wody płyną w tem samem łożysku, tak samo w nim nieustannie nowe, rzec można, duchy przepływają w granicach tego samego ciała. Rzeka jest wciąż tą samą rzeką, lecz któż odnajdzie wody upłynione? Gdzie je odszukać? I jakże odnaleźć dokładne sformułowanie samego siebie?

Istotnie w plastycznej formie możnaby je przedstawić chyba tylko, jako szereg istot duchowych o najrozmaitszych obliczach. A im bardziej i wyżej człowiek wznosi się na szczeblach rozwoju, tem głębsze w nim zapewne zachodzić muszą różnice.

Z takiego pojmowania wieloosobowości jaźni wynika nowy świat odpowiedzialności... W tak zwanym zbrodniarzu, któż wie? karzemy może dawno pogrzebionego człowieka grzechu, może strącamy z tarpejskiej skały świętego, który z tamtym ma tylko wspólne imię i nazwisko...

Niepołomski uśmiechnął się z szyderstwem...

Przez całe życie dążył do tego, żeby poznawać, badać, zgłębiać. Wszystko, co jest pod utwierdzeniem, przekłuwać, przebijać, sondować, jako przedmiot iglicą badania, zestawiać i wnioskować. Nie miało być w nim i poza nim nic, czegoby nie znał, nie ujął pincetem,

nie rozciął skalpelem, nie rozdzielił mikrotomem i nie określił za pomocą sylogizmu. A oto przyszło wspomnienie chwili niewiedzy, momentu ciemności, który jednak był jakimś światem tajemnic, a którego niepodobna było niczem ująć, rozłożyć na czynniki pierwsze.

Jedno, z odległych skutków wnosząc, można było o naturze tamtej chwili nadmienić, że tkwi w niej jakiś splot, węzeł sił duszy elementarnych i niewiadomych, z którego na całe życie starczyć może uczuć wszelkiego rodzaju, czyli woli.

Byłaż to radość czy rozpacz, cnota czy podłość? Nic nie wiadomo.

Zadumał się, zagłębił i ujrzał przed sobą oczy o barwie gencyany górskiej i owej wody w rodzinnej wsi, oczy zaklęte, oczy wszechświat ducha, oczy najmądrzejsze i nieśmiertelne...

Usiadł na prętach żelaznego łóżka i, wodząc wzrokiem po nowo najętej izbie, posłyszał nagle z za ściany najrubaszniejszy śmiech męski i ochrypły, obmierzły chichot kobiecy. Drgnął cały i obudził się do rzeczywistości. Po chwili, chcąc rozpoznać, kto tak pięknie się bawi, wysunął głowę na korytarz. Głośny śmiech wychodził z za drzwi, ozdobionych napisem: Adolf Horst—Filozof.

Około godziny piątej tego samego dnia pan Pobratyński drzemał wśród połamanych sprężyn starej kanapy, jak zwykle o tej porze. Pani Pobratyńska pruła jakieś zatłuszczone barchany.

Ewa zajęta była reparacyą domowej bielizny.

Na drewnianym stołku, tyłem do okna siedział lokator Adolf Horst. Był to przystojny mężczyzna nieokreślonego wieku (od lat 30 do 50), z twarzą najzupełniej zadowoloną i bystremi oczyma. Był dosyć zażywny, nie do tego jednak stopnia, żeby go można zaliczyć do grubasów.

Twarz miał starannie wygoloną z pozostawieniem podskubanego wąsika, włosy strzyżone przy samiutkiej skórze, co niweczyło niemal bez śladu zarysy zbyt już rozległych kątów łysiny. Ubrany był w całem znaczeniu tego wyrazu porządnie i wykwintnie, aczkolwiek suknie jego były dosyć wytarte i powypychane na łokciach. Tuż u nóg lokatora Horsta leżał śliczny taks, długi i lśniący, nie spuszczając oka ani na sekundę z oblicza swego pana. Pan Pobratyński ocknął się już i poziewał.

Dało się słyszeć lekkie stukanie we drzwi. — Brudne barchany, zwinięte jednym zamachem w potężny kłąb, znikły pod kołdrą. Lokal zlekka zatrząsł się w posadach od podskoków matki rodu, zdążającej do kuchni dla ukrycia negliżyków poobiednich.

Pan Pobratyński przybrał pozę wykwintnie-niedbałą, jedno z arcydzieł swego ducha. Ewa otwarła drzwi.

— Państwo przebaczą... — mówił Niepołomski, wchodząc do pokoju — pragnę złożyć rządcy domu moje legitymacye. Stróż mię objaśnił, że szanowny ojciec pani właśnie prowadzi meldunki w tym domu...

— Tak jest. Proszę pana... — rzekła, usuwając się odedrzwi.

Gość wszedł do cubiculum familii (niedostatecznie przewietrzanego).

Stary pan z dystynkcyą i pewną odmianką wdzięczności przyjął wręczone mu dowody legitymacyjne. Wyszukał okulary, nałożył je na nos i dopiero ministeryalnym gestem przedstawił gościowi lokatora Horsta. Zarazem wskazał mu fotel, głęboki, jak wanna nasiadówka. Nowy lokator zapuścił się w głębiny starego mebla nie bez uczucia męstwa. Kolana jego znalazły się na linii krawata, a głowa i plecy utworzyły coś w rodzaju znaku zapytania.

Pan Pobratyński zwolna wydłubywał z szuflady papiery, karty meldunkowe, przygotowywał pióro i był na tropie flaszeczki z atramentem.

— Pan dobrodziej przybywa tedy do nas z ulicy Wilczej? — rzekł, pochylając głowę z uśmiechem poniekąd współczującym.

— Tak, z Wilczej.

— Tu ciszej, choć to i środek miasta... — dodał z ojcowską dobrotliwością.

— Kto lubi ciszę...

— A szanowny pan może woli gwar, życie. Rozmaite są temperamenty.

— Co prawda, to mi wszystko jedno. Nie myślałem o tem nigdy, co wolę: gwar, czy ciszę.

— To dobrze, o, to dobrze! To znak, że się pan łaskawy cieszy zdrowiem. W dzisiejszym wieku, wieku neurastenii... — mówił stary pan, badając jedno-

cześnie z poza okularów, jakie też wywiera wrażenie jego styl niepowszedni.

Gość nic nie mówił.

W ciągu tego czasu Horst nie spuszczał zeń oczu, mierzył go od stóp do głów, jakby mu brał miarę na ubranie, albo na trumnę.

— Nie wiem, czy s ł u ż b a urządziła panu dobrodziejowi wszystko, jak należy? — pytał jeszcze pan domu.

— Ja sam urządziłem sobie tam już wszystko, co mi jest potrzebne. Wymagam od służącej, żeby na czas czyściła obuwie, przynosiła bułki, samowar i, co najgłówniejsza, żeby nie wchodziła do pokoju, jeśli jej nie wołam.

— I żeby, oczywiście, nie otwierała bez specyalnego zaproszenia rzeczy pozamykanych... — dodał życzliwie Horst.

— Złote zasady! — wyrzekł pan Pobratyński.

— Nie wiem, czy to są jakie zasady — mruknął Niepołomski do siebie.

— Pan dobrodziej, jak widzę, żonaty? — zapytał, a raczej stwierdził, patrząc w papiery, rządca domu.

Chwila milczenia. Potem odpowiedź zimna i twarda, jak potrącenie pięścią:

— Tak. Jestem żonaty.

Horst z cicha, z ledwie dosłyszalnym odcieniem wesołości, zakaszlał. Ewa przyjęła do wiadomości słowa, wyrzeczone przez Niepołomskiego, w taki sposób, jakby ją istotnie ktoś pięścią uderzył w głowę.

Uczucie brutalne, obmierzłe, uczucie rozczarowania oblało ją od stóp do głów.

— Czy i współmałżonka pańska zamieszka tutaj? — dopytywał się rządca ze słodyczą.

— Nie.

Był to ten sam głos twardy i głuchy. Czoło zmarszczone, oczy, jak z surowego żelaza...

— Bo gdyby chodziło o szczupłość lokalu, albo, przypuszczam, o drugie łóżko... — wywodził pan Pobratyński, zdejmując wskutek emocyi okulary.

— Nie, panie. Toćbym żądał, gdyby zachodziła potrzeba. Żona moja... mieszka gdzieindziej. Przebywam tutaj, w Warszawie, właśnie w celu uzyskania z żoną moją rozwodu.

Ewa drgnęła wewnętrznie. Olśniło ją światło, owionął zapach. Była to chwila radości, chwila nowa po tylu innych radosnych bieżącego dnia. Rumieniec z policzków spłynął dokądś, jakby na miejsce cichego spoczynku — i stał się rzewnem pytaniem:

— Czemuż się cieszysz, duszyczko moja?...

— Rozwód — mówił w zadumie stary administrator — twardy to orzech do zgryzienia, jeżeli ma go się otrzymać w naszym katolickim kościele.

— *Sapristi!* — dorzucił Horst.

— Tak jest, to twardy orzech — rzekł gość. Uśmiechnął się przy tem dziwnie, połową twarzy. Jego suche, śniade, pociągłe rysy jeszcze się bardziej zaostrzyły.

— Znam się trochę na tem — prawił pan Pobratyński — bo to, szukając posady, człowiek ociera się

o wszelkie sprawy tego padołu, a nadto miałem kuzyna, który był w sytuacyi właśnie, jak szanowny pan...

— A to pan poszukuje posady? — zapytał Niepołomski dość ostro, z pewnym namysłem, ale najoczywiściej dla przerwania epopei o kuzynie rozwodniku...

— Tak jest, łaskawy panie. W obecnej chwili... Pomimo nader licznych i najsolenniejszych przyrzeczeń, pomimo bardzo wpływowych protekcyi... Taka trudność, taki zastój, takie przepakowanie ludźmi!...

— Hm... A w jakiej dziedzinie pan poszukuje zajęcia?

Stary pan rozłożył ręce, podniósł brwi.

— Wszystko wezmę, panie łaskawy, od *a* do *z*, byleby kawałek chleba...

Uśmiech, zaszczuty, pokorny, spłoszony, gotów przelać się w mars subordynacyi, czy w grymas rozpaczy i pogardy... Horst ziewał. Nawet ziewanie jego było jakieś wesołe i hulaszcze.

— Ja tak oto pytam... Nie mam tu stosunków, bo mieszkam właściwie zagranicą dla studyów.

— Pan dobrodziej jeszcze studyuje?

— Uczymy się do śmierci!... — uśmiechnął się Niepołomski. — Zajmuję się kwestyami naukowemi.

— A gdzie mianowicie pan... studyuje, jeśli wolno zapytać? — rzekł grzecznie Horst.

— Najłatwiej człowiek uczy się w Paryżu. Tam też siedzę. W Genewie również, w Belgii...

— Tak... — mruknął rządca.

— Wracając do posady... proszę pana, jakież są

pańskie... właściwie warunki, no, wymagania, kwalifikacye...

— Pracowałem po biurach, przy buchalteryi, pracowałem i w technicznej branży: byłem w Szulcowskich warsztatach magazynierem, byłem nawet ekspedytorem po redakcyach. Ale to... Mam chlubne świadectwa. I mimo to wszystko, łaskawy panie, na mój wiek podeszły wskazują. Młodzi nas biorą — oto rdzeń rzeczy. Stary pan jesteś, powiada jeden z drugim, idź precz! Młody nam składa ofertę na niższą cenę. A młodzik, panie, nieżonaty, może i za dziesięć złotych, — bo byle na knajpę i jeszcze na coś starczyło, to świat. A ty utrzymuj rodzinę... I niema rady!

— No, bo to i racya.

— Racya? Jeżeli się, łaskawy panie, przepracowało w branży lat okrągłych ośm... nieskazitelnie! „Racya“! O, nie panie, nigdy panie!

— Widzi pan dobrodziej — to sprawa życiowa, nie etyczna. Niema co!

— Mówiłem...—dorzucił Horst, zamykając kwestyę.

— Ale ja nie jestem wcale stary. Jestem pełen sił. Dziesięciu młodych, — ale co! dyabła czubatego przeskoczę. Ja, panie, za dziesięciu jeszcze obstaję, jak zechcę...

— A, jak pan zechcesz... — zgodził się Horst.

— Stary! Ja, panie, folwark miałem, to, panie, od wczesnego świtania, koń między nogi, służba, jak w zegarku!

— Krótko mówiąc, możeby mi pan zechciał

przedstawić swe świadectwa. Mam tu kolegę, przyjaciela, młodego Krafta.

— Henryka? — zapytał Horst, patrząc szyderczo, z podełba i tak przeszywającemi oczami, jakby miał zamiar Niepołomskiego natychmiast wyzwać.

— Nie, Wiktora.

— O, — mruknął tamten, — bratanek... Gruba ryba. Idealista, Wicek-socyalik. Znam tego kpa i wątpię...

— Panie dobrodzieju łaskawy... — z nabożeństwem, cicho mówił Pobratyński.

— Ten Wiktor Kraft skończył studya w Antwerpii, objął teraz schedę i zabiera się do wielkiego, celowego przemysłu na dużą stopę. Może dużo zrobić, bo głowa dobra i człowiek uczciwy. Uczyliśmy się razem, nawet robiliśmy niektóre rzeczy na spółkę. Właśnie wczoraj wieczorem spotkałem się z nim po dwu latach. Ma on dla mnie pewne zobowiązania. Możeby się udało wykołatać.

— Łaskawy panie!

— Kanalskie to jest plemię owe Krafty, ale co mi tam... owszem... — rzekł Horst.

— Zrobimy tak: ja napiszę do Wiktora Krafta list specyalny, a panu dam na rękę drugi, polecający. Jest to bowiem zasada u tych panów, że tylko za dwoma listami...

— Łaskawy panie! — szeptał stary, dźwigając się ze swego miejsca ze złożonemi rękami. Nie było w nim nic z wykwintności wrodzonej, ani z elegancyi sztucznie nabytej. Stał obok krzesła, jak żebrak pode

drzwiami. Obwisłe ręce, zdawało się, lada chwila wyciągną się z błaganiem, a kolana o podłogę uderzą.

Dobroczyńca spojrzał od niechcenia w stronę Ewy. Oczy jej były spuszczone na ręce, które splotły się na kolanach, usta ściśnięte, twarz trupio blada.

W owej chwili, bez uprzedzającego stukania, weszła do pokoju osobliwa dama. Była tak olbrzymia, że ledwie się zmieściła we drzwiach. Na głowie niosła płaski, strupieszały kapelusz, rodzaj prowincyonalnego katafalka, otoczony ruinami ponurej woalki. Wchodząc do pokoju, zdjęła ów pseudo-kapelusz ruchem zgoła męskim. Ogromna jej twarz, długa, przerżnięta wzdłuż linią nosa, a w poprzek głębokiemi zmarszczkami czoła, miała w sobie jakąś niezwykłą prostotę, doprowadzoną do najwyższej granicy. Możnaby ją było narysować kilkoma grubemi liniami. Twarz ta otoczona była włosami podciętymi „w czuprynkę“ równo, a w taki sposób, jak to lubią czynić wiekowi a stateczni gospodarze w Lubelskiem. Włosy te, ściśle rozczesane na ciemieniu we dwie strony, gładko przylegały do skóry, zlepione (prawdopodobnie) pomadą. Luźny kaftan z taniego materyału obojętnej barwy i gładka spódnica okrywały wielkie ciało przybyłej.

— Ciocia! — zapiał radośnie Horst, nie ruszając się zresztą z miejsca. — Już wiem poco — oho! już wiem... A tu właśnie będzie posada — aha!

— Proszę cię uprzejmie, mości Horst, — stęknęła wielka osoba, zasiadając bez ceremonii na kanapie, — proszę cię, zamknij-no buzię.

— Pani pozwoli, że przedstawię... — mówił wy-

kwintnie pan Pobratyński: — pan Niepołomski, nasz nowy lokator, pani Barnawska.

Dama dość niedbale skinęła Niepołomskiemu głową. Niezwłocznie zwróciła się do Horsta:

— Panie, te, panie! Masz zielone?

— A to co znowu! — żachnął się zapytany. — Słyszane rzeczy! Na wizycie?

— No, tylko bez tych tam wszelkich! Ty wiesz, mości Horst, że ja tego nie znoszę.

— Wstydź się, ciocia! Wiosna radosna nadchodzi, cała przyroda budzi się, że tak powiem, słoneczko, fiołki, a ciocia wiecznie swoje z tymi procentami. To nieładnie!

— Ty wiesz, panie Horst, że ze mną żartów niema. Pókim dobra, tom dobra...

— Ciocia jest zawsze dobra, ciocia jest nawet skądinąd...

— Ale jeśli mię tylko kto myśli zarwać, to z miejsca zadzieram ogona i rwę co pary w gnatach!

— Ładny landszaft!

— A osobliwie też z tobą, kotku angorski, ceremonii nie będę stroiła.

— No i jakież kuku myśli mi cioteczka zrobić? Możesz ciocia licytować moje efekta. Owszem! Oddaję ciepłą rączką wszystko, z wyjątkiem taksa i portretu miss Daisy.

— To tam już moja rzecz, co z tobą zrobię w razie potrzeby. Ja tylko mam zwyczaj ostrzegać.

— Żebym nawet tak chciał, jak nie chcę, to na szatana! nie mam fenia. Pan radca świadek!

— Jednak na Marcelin w małem, ale za to w doborowem towarzystwie toś miał w zeszły czwartek.

— Jużeś ciocia wyszpiclowała! Coto za organizacya! Możebyśmy jednak o tem przez wzgląd... na obecność... panny Ewy...

— Patrzajcież, jakiś ty moralny... „Przez wzgląd na obecność...“ No, ja cię, Horst, ostrzegam po raz drugi.

— Nie słyszałem.

— Żebyś tylko nie żałował!

— Gdzie ja tam będę czego żałował! Złudzenie! Niema takiej rzeczy na tym padole, którejbym żałował.

— Na nieszczęście ludzkie. Za te pieniądze, coś je przełajdaczył na świecie, możnaby zbudować szpital na sześćset łóżek dla rakowatych!

— No-no — to już ciotka dobrodziejka domy dla rakowatych będziesz budować i to z własnych oszczędności. A o moich oszczędnościach i ich zużytkowaniu proszę zachować milczenie, powtarzam, milczenie, bo to nie należy do rzeczy.

Pani Barnawska patrzyła na Horsta białemi oczyma bez wyrazu. On zapalił cygaretkę i, uśmiechając się łagodnie, mówił do Niepołomskiego:

— Muszę pana zawiadomić, dlaczego nasze dialogi są tak swoiste i barwne. Pani Barnawska, „ciocia“, jest dobrodziejką naszą, że tak powiem, kamieniczną, a nawet dzielnicową. Może i pan... Co do mnie, ilekroć uczuwam, czego Boże broń! brak gotówki, brnę do tej posępnej Canossy. Ciotczysko jest tylko

z wierzchu tak kostropate, ale skądinąd... Filantropia ma w cioci fundament, skarpę... Zaobserwowałem również, że jeśli kto zdycha z głodu, skwierczy na patelni utrapień, łysieje wskutek poderwania kredytu — ciocia zawsze takiego wyrwie z opresyi. Takie już serce. A trzeba pamiętać, że przyjaciel w potrzebie *a friend in need is a friend indeed.* Z tem sercem przyjaciółki w potrzebie ciocia przyszła na świat i z tem (już wkrótce, niestety!) umrze.

— Żebyś tylko, ty, Horst, pierwej się nie przejechał!

— O, ho-ho — jeszcze czego! Patrzcie-no państwo, na jaki się to ciotczysko koncept zmogło. Nie, matrono nasza! Już się u Świszczakowskiego suszą deseczki, trzyćwierciówеczki. Ja w tem! Mój to będzie akt wdzięczności, czysty gejzer tkliwości serca. Trumieneczka, jak pieścidełko, istna bombonierka. Gdyby nie ciocia i pan Pobratyński nie jednąby gorzką chwilę przeżył w tych czasach stagnacyi i braku posad. A tak oto ciotczysko poczciwe przyjdzie, pocieszy, pogwarzy, zagra w zielone. Jeśli już nie można w żaden inny sposób, to z musu, z konieczności, łkając w głębi serca, wejdzie na pensyę biurową panny Ewy, namówi życzliwie, żeby wziąć do domu trzy „normy“ z biura i pisać ceduły do białego ranka.

Boć praca uszlachetnia każde stworzenie w rodzaju ludzkim. Nic tak nie uszlachetnia, jak wyżej wzmiankowana praca.

— Panie Horst, panie Horst, — sykał pan Pobratyński niecierpliwie.—W moim domu... takie słowa...

— Przecie nic złego nie powiedziałem. Czy się ciocia obraża? Widzi pan przecie, jak życzliwem okiem patrzy na moje zadumane czoło.

Stara dama uśmiechnęła się pogardliwie i wyniośle.

Rzekła po chwili:

— Starasz się być dowcipnym, co nie jest rzecz łatwa, a boisz się mojego spojrzenia.

— Ja? Chyba nie, ciociu. Nigdy się jeszcze w życiu nie bałem. Skądżeby to teraz?..

— A bo teraz starzejesz się, dobrodzieju, łysiejesz. Strzyżenie przy samej skórze nie pomoże, mizdrzenie wąsiąt, wyszczypywanie siwych włosów, podczernianie zlekka baczków, czyszczenie starych marynarek od najbardziej angielskich krawców nie pomaga. Ewa nie chce widzieć twych łajdackich uśmieszków i powłóczystych spojrzeń. Tak, tak—nic nie pomoże wywracanie oczów do góry nogami...

Pan Horst zlekka przybladł.

— A widzisz, trafiłam w to miejsce, gdzie cię boli. Ja się znam na szelmostwie ludzkiem.—Tak to, tak! Śmierć i ku tobie chyłkiem podąża.

— No jużcić podążać podąża, ale w każdym razie przeżyję ciocię—i to grubo. Ciocia sobie nadweręża wierzchołki, siedząc wciąż w kurzach sądowych, trudząc się osobiście po najwyższych facyatkach, gdzie właśnie najchętniej siadają wygłodzone a żarłoczne laseczniki. Ciocia wrzeszczysz zbyt często na hołotę, zdzierasz się łażeniem do adwokatów i komorników. Schnięcie żył... Kiedy nawet sam ten uśmiech... Dziadzio Pythagoras mówi, że najstaranniejsza obłuda nie jest w możności

upiększyć śmiechu człowieka o złem serduszku. Bo w śmiechu zdradza się człowiek. A ja? Patrz ciotuchna na mnie: ja się śmieję od rana do wieczora. Ja lubię jeść dużo i tylko rzeczy pożywne, zdrowe, smaczne, drogie, pić również, dobrze i czysto mieszkać, długo spać, mało, a nawet, jeśli to tylko możliwe, nic zgoła nie robić. Więc cóż to za porównanie? Nie przeczę wcale, że i ja kiedyś, jak mówi Anglik „przejdę do większości". To się zrobi. Niepodobnaby przecie było przez wieczność całą zalegać w opłacie komornego i tych tam, Boże! procentów, chodzić na szachy do cukierni, spotykać tych samych kapcanów na ulicy i czytać artykuły tych samych wciąż kapcanów w tak zwanych gazetach miasta Warszawy. Mówię: w chwili właściwej dam się na wety pędrakom. Niechże też sprobują, jak smakuje, po najrozmaitszej hołotce, taki oto utracyusz, optymista, trwoniciel nadwartości, wydębionej z surowca przez prostaczków. Uczyni się to jednak wówczas, gdy czas nadejdzie, kiedy już wszystko będzie dokonane tak dalece na tym „padole", że po indywiduum, noszącem chlubnie nazwę Adolf Horst— nawet kura nie będzie chciała zagdakać. Dopiero wtedy.—Dziś niema o czem mówić...

Ewa niepostrzeżenie, cichaczem wyszła z pokoju do kuchni.

Przez chwilę trwało milczenie. Pani Barnawska, jakby po dokładnem zważeniu argumentu, rzekła dobitnie, a z niepowściągnionym sykiem rozkoszy:

— Rozpusta cię zeżre prędzej niż myślisz.

— Rozpusta... cóż za wyraz lekkomyślny!—Ten

kraj „ubogi a ciasny"—i rozpusta! *Merum nomen sine re.* Przecież starałem się kształcić wyobraźnię kochanej cioci... Dawałem z własnej podręcznej biblioteczki brukselskie pamiętniki wiecznie interesującej pamięci markiza de Sade, dzieła pana de Harcanville—zarówno *Histoires secrètes des dames romaines* (pamięta ciocia?), jako też Historyę dwunastu cesarzów w najozdobniejszem sztychowanem wydaniu. A sztyszki—co?

Coś, jak rumieniec, poczęło zwolna zabarwiać policzki pani Barnawskiej.

— Widzę, że sprawia cioci przykrą sensacyę to, co mówię. *Parlons d'autre chose.* Są sprawy, których poruszenie, w istocie...

— Żebym ja nie poruszyła spraw, które ciebie zabolą...

— Mnie nic nigdy nie boli, wracam też do kwestyi spadku. Po najdłuższem życiu... Bo co się stanie z kapitałem, z zaległymi procentami, z pakami rewersów, „*listów ispołnitelnych*"? Kto będzie chodził do adwokatów, dopilnowywał terminów i ścisłego pełnienia licytacyi, gdy ciocia powiększy grono dziewic? Jak stanie ta ogromna machina, *excusez le mot*, lichwy, gdy ciocia, oddawszy żałosne westchnienie, bladolica, z wywróconemi oczami, z palcami rękawiczek raz na zawsze—ehe — splecionymi, przez czterech bezimiennych drabów (a może i przez dwóch dla oszczędności) odniesiona zostanie pod kogutka?

Niepołomski miał zamiar wyjść oddawna, ale bawiła go gawędka tych osób. Siedział tedy bez ruchu,

doznając fizycznej uciechy, jak w teatrze, i słuchał, gdy Horst jeszcze mówił:

— Gdybyś zaś ciocia dobrotliwa, stygnącą rączką wszystko mnie powierzyła, — jakże jabym misternie uporządkował te wszystkie fajanse. *Sapristi!*

— Przedewszystkiem zapłaciłbyś z pewnością w Bristolu coś tam winien i zaczętoby cię znowu wpuszczać za upragnione drzwiczki.

— Otóż to, złośliwość... Zapisze ciotka siostrzeńczykowi Kamilowi, a ten będzie spuszczał nawet nie w Bristolu. Bo ja wiem, gdzie taki może wydać? Ani nawet, mówię, kult zabawy nie może się rozwinąć w tym kraju! Jakże mię serce nie ma boleć, gdy o tem dzień i noc myślę...

— Uspokój się, mości Horst, uspokój, wszystko się to jakoś ułoży.

— A tak! My zawsze po polsku, jakoś to będzie... Ale coby to była za pociecha dla nieśmiertelnego oka cioci patrzeć (przypuśćmy, z czyśca), jak ja znowu wracam do Pool'a, do jedynego krawca na kuli ziemskiej, który gentelmana ubiera z zastosowaniem do każdej okoliczności jego życia odpowiedniego *suit of clothes*, podczas gdy inni partacze człowieka z gatunku *homo sapiens* odziewają, okrywają szmatami nagość jego gnatów. Cioci się zdaje, że jakiś *silkhat* od Henryka Heath'a, że rękawiczka od Dent'a, perfuma od Rimmel'a ze Strandu (oczywiście perfuma o zapachu koniczyny, bo co do orchidei, to prym trzyma, — wierz mi ciocia, — niezmiennie Lenthéric z Rue de la Paix), — że, mówię, te wszystkie rzeczy — jest to rozpusta. I czyby to cioci nie było przyjemnie, żebym odziany w najmodniejszy *dresscoat* od Pool'a, skropion zapachem storczyków od Lenthéric'a dla odegnania nieznośnego, bądź co bądź, zapachu, jaki wydawać będzie cioci kochanej *cadaver* — szedł uroczyście i pozornie zmartwiony za trumną. A później „skrzynkę zieloną" (z ciocią w środku) złożywszy pod „czarny krzyżyk" i, zasadziwszy na tem miejscu bardzo rozłożysty krzak kaliny (albo jałowca), poszedłbym jeszcze raz zwiedzać świat. No, a cóż ten Kamil prowincyonalny, warszawski obibok? Spuści walory w ordynarnem towarzystwie i na żółtej mogiłce tyle drogiej cioci będzie tańczył kadryla, a może nawet miejscowego kankana z miejscowemi baletnicami... Wstyd mi rumieni czoło!

— Na razie każde z nas zostanie przy swojem. Pan, znakomity podróżniku, panie Horst, przy wspomnieniach i marzeniach o Paryżu, Londynie, wyspie Capri i wyspie Sycylii, a ja przy swych procentach, no i ciemnocie.

— Ależ ja gotów jestem ciocię oświecać, nawet (na razie) bezpłatnie. Opowiem wszystko sumiennie o życiu gatunku ludzkiego, wszystko, com tylko widział, com z ksiąg extra ciekawych, a rzadko komu dostępnych, wyczytał. Jest-że to bowiem życie ta opereta, którą ciocia przepędzasz? Zbijanie kabzy, mieszkanie w Warszawie, w domu własnym przy ulicy Zielnej? A nie jest również życiem wypożyczanie z tejże kabzy i nie płacenie za pokój pojedyńczy przy zacnej skądinąd familii...

Niepołomski pożegnał zebranych.

Zbliżał się już wieczór, a Ewa nie była w stanie podnieść się z ławki ogrodowej. Oczy jej z rozkoszą spoczywały na trawnikach parku, na prętach brzóz, które omgliło już listowie, na gałęziach kasztanów, napęczniałych w końcach swych jak lepkie i tłuste kule. Sprawiało jej rozkosz nieprzerywające się i wciąż powrotne zdumienie, że naga ziemia, którą w zimie tylekroć widziała była, miejsca zdeptane i nędzne, obrzydłe, publiczne — stały się teraz siedliskiem cudnych żywotów. Białe listki otwierały oczy z tej ziemi i patrzyły w oczy człowiecze z niewysłowionym wyrazem. Rodził się w duszy niepokój i zamęt, a przecie zwiększał sumę trwałego szczęścia. Gdy wzrok Ewy przenosił się z miejsca na miejsce, chodząc za wiosenną mgiełką błękitną, co się między drzewami rozpościerać poczęła, nagle zmącił się i stracił siłę swoją. Ujrzała w alei Łukasza Niepołomskiego. Szedł wolno, ociężale, po prostu — tchórzliwie. Oczy jego skierowane były w jej stronę.

Doznała uczucia niesmaku, przestrachu, przykrego fizycznie rozstroju. Zoryentowała się, że jej serce czegoś bije, jak oszalałe, i nie mogła, nie mogła w żaden sposób tego bicia powściągnąć. Niepołomski doszedł do końca ulicy, w której siedziała, i zawrócił w inną. Rzekła sobie, z pod oka za nim patrząc, że „na szczęście“ zawrócił i odszedł. Skądże więc żal i upadek niespodziany serca? Spuściła oczy na szarą ziemię ścieżki i nie podnosiła ich długo. W pewnej chwili uczuła jakowyś zewnętrzny, mrowiący niepokój i znowu bicie serca. Spojrzała i zobaczyła go o kilkanaście kroków. Szedł ku niej. Zmarszczyła brwi, przybrała mimowiednie pozę

wyniosłą i obojętną, — pomimo bicia serca, surowy wyraz twarzy. Słyszała cichy — bojaźliwy zgrzyt jego kroków, gdy nadchodził. Ogarnęła ją trwoga już o to tylko, żeby nie usłyszał, jak serce w niej bije, bo biło głośno, publicznie, jak dzwon na wieży. Leniwym, chwiejnym, jakimś mglistym krokiem przeszedł przed nią.

Czuła za spuszczonemi powiekami, że ciemne jego widmo przesunęło się. Odetchnęła ulgą, całą piersią.

Już sobie poszedł! Gniew na bicie serca i zadowolenie z odniesionego nad czemś zwycięstwa... Teraz tylko podnieść oczy, a później zaraz wstać i iść coprędzej do domu. Przyszła tu, żeby unikać tych przebrzydłych „pokus“, nie słyszeć sprzeczek ojca z matką, wywodów Horsta, żeby rozmyślać przed jutrzejszym porankiem, a oto mogła była zanurzyć się w złem, uledz pokusie. Czy grzechem jest to bicie serca? Czemu serce bije? Czy wola człowieka działa tu, czy nie? Czy tu szatan jest źródłem złego, czy ten „zewnętrzny“ człowiek? Jak zwalczyć zgiełk i trwogę serca? Poczęła, patrząc w ziemię, modlić się żarliwie:

— Panie, pomnóż pokorę moją...

W owej chwili serce ucichło, a słowa modlitwy przyniosły, jak gdyby chustę uciszenia. Słowa stały się w owej chwili, niby wieka z drążonego kryształu, ukrywające skarby zamknięte, których jeszcze nigdy pod nimi oko nie widziało. Nie były to już wyrazy, lecz poniekąd szkła wypukłe, przez które widać olbrzymi a nieznany świat łaski. Zadumała się nad owemi słowami, tajemniczemi i świętemi, jak wiosna, jak wychodzenie kwiatów i piórek trawich, jak nadwieczorna mgła

podwiośnia. W zadumie podniosła błękitne swe oczy i ze drżeniem ujrzała tego człowieka. Stał o kilkanaście kroków, oparty o poręcz mostka. Był blady, bezsilny i tak boleśnie uśmiechnięty, jakby za chwilę miał być strącony z tego miejsca i upaść na ziemię. Spodziewała się wszystkiego: natręctwa, kokieteryi, zalotów, — ale nie tego. Ogarnął ją całą, wstrząsnął nią różowy dreszcz wobec jego spojrzenia. Nie była w stanie oderwać od niego oczu, bo nie wiedziała, że patrzy. Nie wiedzieć też kiedy, jak, jakim sposobem, jakiem prawem, wskutek czyjej nad nią przemocy posłała mu z głębi duszy uśmiech najczarowniejszej litości. Wtedy dopiero spostrzegła, co uczyniła, gdy już szedł ku niej.

Znowu spuściła oczy w rozterce i w panicznym rozgardyaszu władz duszy. Było już zapóźno. Usłyszała jego głos.

— Czy nie pogniewa się pani na mnie, że przerwę jej zamyślenie...

Znowu ten sam uśmiech pokonał jej wolę. — Czuła uśmiech na własnej twarzy, pomimo, że chciała przybrać wyraz surowej powagi. Niepołomski zapytał powtórnie:

— Czy nie zrobi to pani przykrości?

Wstała ze swego miejsca, jak uczennica, odpowiadając:

— Nie.

— Dziękuję pani.

Usłyszała w tem podziękowaniu brzmienie głębokie, które, rzecz osobliwa, było również, jak poprzednie, podniesieniem duszy przez modlitwę, niby pryzmatem

z tajemniczego kryształu, ukazującym odległe głębiny. Nikt jeszcze w życiu tak do niej wdzięcznie nie mówił. Uczuła się jak gdyby obdarowana, wywyższona i uczczona. Tkwiło w tem zawstydzenie i wdzięczność. Gasła poprzednia rozterka.

— Wyszedłem z domu — mówił Niepołomski, niby to przyjaźnie i ze swobodą, jakby od dawien dawna łączył ich stosunek znajomości, a jednak ledwie chwytał piersiami powietrze. — Widziałem, że pani przyszła do ogrodu, że pani tu usiadła. — Bałem się podejść...

— Dlaczego?

— Bo tak mało panią znam. Myślałem sobie: obrazi się na mnie, jak na natręta...

Nie odpowiedziała nic na to. Tylko znów uśmiech bezwiedny, podczas gdy oczy na ziemię spuszczone.

Od kilku chwil zajęta była pytaniem, a właściwie sprawą, która ją całą znagła objęła. Chciała zadać pytanie i cofała się przed niem. Już, już postanawiała wyrzec i zamykała rozchylone wargi. Wtem dusza jej rzekła za nią:

— Czemu pan się rozwodzi z żoną?

Siedział przez chwilę osowiały, jakby przytłuczony tem pytaniem. Potem odrzekł:

— Bo ją znienawidziłem.

— Żonę swoją?

— Tak.

— Dlaczego?

— Jest podła, głupia, przewrotna, do gruntu zła.

— Dlaczegóż się pan z nią ożenił?

— Nie wiem, dlaczego. Omyliłem się.

— Czyż można się aż tak omylić?

— Można. I jak jeszcze!

— Ale ją pan poprzednio kochał?

— Dzisiaj już tego nie pamiętam, jeśli nawet tak było. Późniejsze z nią rozkosze zabiły we mnie pamięć wszystkiego. Czasami zdaje mi się, że od samego urodzenia miałem tę jędzę przykutą do ręki.

— Czyliż to można tak nienawidzieć drugiego człowieka?

— A cóż z nim robić, jeśli jest taki, jak moja miła żoneczka? Mamże ją kochać? Jakim sposobem? Gdyby pani znała te sprawy... Ale pani ich znać nie może i nie powinna.

— Dlaczegóż to ja nie? — spytała naiwnie.

— Bo... nie. Pani nie powinna nic o tem wiedzieć!

— Proszę pana... a jeśli się pan uprzedza, jeżeli się pan kieruje nienawiścią i tylko nienawiścią.

— Nie przeczę wcale, że mnóstwo spraw muszę oceniać przesadnie i wręcz źle... Ale cóż stąd? Nie jestem martwem drewnem. Nienawidzę — i to mi sprawia ulgę. Inaczej mógłbym dojść do obłędu lub samobójstwa. Opowiem pani tylko parę szczegółów, które dadzą miarę całości. Była z urodzenia wyznania protestanckiego. Dla uniknięcia kłopotów ze spowiedziami przed ślubem, braliśmy go w kościele luterańskim. Obecnie, kiedy zapragnąłem dostać rozwód, przekonałem się, że moja żonka przeszła na katolicyzm dla zniszczenia łatwości rozwodu. O rozwodzie decyduje teraz konsystorz katolicki, gdyż obydwoje teraz jesteśmy katolikami. Zrujnowałem się doszczętnie. Po ojcu, budowniczym na prowincyi, odziedziczyłem pewien kapitał. Dziś już jestem bez grosza, a sprawa nie posunęła się naprzód ani o krok. Poświęciłem się był pracy naukowej, zagranicą prowadziłem studya systematyczne, byłem na drodze do sławy. Teraz jestem rozbitek, zero...

— Proszę pana, a gdyby tak...

— Gdyby co?

— Gdyby zapomnieć! Przestać prowadzić ów proces...

— No, to mi się któregokolwiek dnia sprowadzi do mieszkania!

— No, więc to trudno! Przebaczyć, wszystko z serca odpuścić!

Spojrzała na rozmówcę i aż drgnęła. Twarz jego była oświetlona przez potworny uśmiech. Rzekł krótko głosem chrapliwym:

— No, to wolę śmierć.

— Jakże pan teraz inny!

— Jakto inny!

— Zupełnie inny.

— Nie mówmy już o tem, proszę pani. Dość mam familijnego szczęścia po całych dniach...

Zatrzymał się przez chwilę, przygryzł wargi. Twarz jego złagodniała. Rzekł cicho:

— Pani często tu bywa na przechadzce?

Nic nie odrzekła. Siedziała ze spuszczoną głową i wyrazem głębokiego rozczarowania na zmartwiałej twarzy.

— Nie — rzekła — nie bywam tu nigdy.

— Czy tak? Więc i jutro... nie będzie pani?

— Nie. Przyszłam dziś — mówiła cicho, głosem suchym, wyniosłym i rozczarowanym — bo chciałam być sama przez parę chwil. Byłam dziś u spowiedzi, a jutro mam przystąpić do Komunii Świętej. W domu nie mogę mieć samotności.

Niepołomski przypatrywał się jej z pod oka tak badawczo, że nie była w stanie nie spojrzeć nań. Zatopił wzrok w jej oczy, jakby sondę, czy hak, usiłując wyrwać z dna prawdę. Widać ją wyrwał, bo zwolna tracił pewność siebie, a wreszcie stropił się i zmieszał.

— Powinienbym odejść... — rzekł cicho.

Milczała pokornie.

— Ale tak mi żal odchodzić... doprawdy... doprawdy... Więc pani dziś... u spowiedzi? To niespodzianka!

— Dlaczegóż to niespodzianka?...—spytała z prostotą.

— Wyznaję, że ja grzeszny dawno już nie oglądałem temi oczyma, pełnemi złości, człowieka, który dopiero co był u spowiedzi. Powiem nawet więcej, że nie odrazu uwierzyłbym, gdyby mi mówiono o istnieniu takich ludzi w surdutach i europejskich sukniach.

— Pan nie chodzi do spowiedzi?

— Nie chodzę.

— Dlaczego?

— Nie będziemy dziś o tem mówili przed jutrzejszym obrzędem.

— Ależ dlaczego?

— Spełniałbym rolę szatana, który zasiewa ziarna grzechu w czystej duszy.

— Nie zasieje nic szatan, bo się będę modliła, żeby Pan Bóg dał panu stan łaski i żeby się pan mógł jak najprędzej nawrócić. Gdyby jeszcze pan poszedł do jednego księdza.

— Pani, wszystko! Tylko do księdza — za nic!

— No, dlaczego, dlaczego?! O, to uprzedzenie! Właśnie księża, znając tyle sumień ludzkich, mają możność rozważyć, roztrząsnąć wszystko do gruntu. Oni to rzeczywiście mają moc...

— Och, oni mają moc! Oni wszystko mogą. Już ja to wiem także. Czegóżby to ksiądz nie potrafił. *Un bon curé vaut mieux que dix gensdarmes*... Ale co do mnie, to rzecz stracona. Widzi pani... na mnie „łaska“ dziecinnych lat już nie spłynie, a modląc się, nie mogłaby pani słyszeć wszystkiemi władzami duszy i ciała tego, cobym ja na trzeźwo mówił.

— Czystość serca daje taki stan szczęścia!

— Tak, tak! Pamiętam... Dziecinne lata, majowe nabożeństwa. Spowiedź... konfesyonał... strach... komunia... Więc to pani jest w tej chwili właśnie w łasce u Boga. No i u ludzi... i u ludzi... — uśmiechnął się łagodnie, po dziecięcemu.

— Proszę pana, śmieje się pan ze swej własnej niemocy.

— Ja się bynajmniej nie śmieję. Ja tylko podziwiam zjawiska ducha—swego i pani... Pójdę już zaraz.

— Tak, już mrok idzie. Niech pan tu sobie zostanie. Niech pan wspomni dziecinne lata, dawne

spowiedzie, dawne uczucia i zapomniane modlitwy. A może nowe nawiną się na usta...

— Już się nie nawiną.

— Ejże! Jabym pana nauczyła tak niewątpliwych, tak niezbędnych, tak własnych.

— Dobrze. Pani dziś jest bez grzechu. Jest pani stokroć bardziej bez grzechu, niż ów ksiądz, który wyznania pani słuchał. To też pani bardziej chyba może słuchać spowiedzi cudzej, niż on. Niech mnie pani wyspowiada.

Ewa uśmiechnęła się prześlicznie, niewinnie, a później popadła w długotrwałą zadumę.

— Nie mam po temu prawa. Tylko kapłan może rozgrzeszyć człowieka. I tylko on może słuchać. Ale niech pan powie wszystko. A raczej niech pan powie tylko to, dlaczego pan nie wierzy, nie spełnia obowiązków chrześcijańskich, — dlaczego pan nie chce być zbawionym? Niech pan to powie, a ja pana przekonam.

— A to będzie spowiedź, czy tylko rozmowa?

Wahała się przez chwilę. Policzki jej zabarwiły się różem. Rzekła z przekonaniem:

— Spowiedź! Częściowa, niezupełna, bo ja nie mam żadnego prawa, ale spowiedź!

Po chwili dorzuciła:

— Dlatego, że może pana nawrócę!

— Dobrze. Cóż to mówiłem?

— Naprzód: — dlaczego pan nie chodzi do spowiedzi?

— Nie chodzę dlatego, że ja, chłopiec, który w gimnazyum spowiadał się, modlił, bywał w stanie

łaski i w stanie grzechu — już dziś nie istnieję, jako ta sama dusza, podobnie, jak już nie istnieję, jako uczeń, chodzący w mundurku, pomimo, że to samo noszę imię i nazwisko i tą samą jestem osobą fizyczną. Dawny, jak to mówią, podmiot zamienił się na przedmiot. W mojej dzisiejszej świadomości, w dzisiejszym podmiocie, czyli w zjawisku, istniejącem samo dla siebie, tamta dusza chłopca z gimnazyum odbija się, jako przedmiot. To oddziaływuje na mnie. Wskutek różnych przyczyn skłania mię do tęsknoty i rzewności. Ponieważ jednak zdolny jestem do pochwycenia pełnią świadomości tego ubocznego działania wspomnień, więc sądzę, że mam też zupełnie dokładne wyobrażenie o moim dawnym świecie duchowym. Podobnie, jak ten dawny, odbija się w mej świadomości mój dzisiejszy pogląd na rzeczy niemal zupełnie tak samo, jak się w niej odbija dzisiejsza wiara pani. Owa przecudowna zdolność duszy do przezierania świata zewnętrznego i świata wewnętrznego—jaźń—zmienia się w nas stale. A ta właśnie zmienność jaźni najdowodniej świadczy, czem jest nasza dusza.

— A cóż jest dusza?

— Dusza jest to ocean, po którym kołyszą się fale, emanacye życia. Każda z nich wzdyma się ku słońcu, ku księżycowi, pędzi w przestwory i kona kędyś na piaskach, na zrębach skał... Jesteśmy w stanie spostrzegać te narodziny i śmierć, ale kiedyś dopiero w chwili najwyższej syntezy spostrzeżemy, że nad żywotem fal panuje niezłomne prawo i że wszystkie one roztapiają się w niezmiernym oceanie. Analiza, rozbija-

jąca ocean na poszczególne fale, w pewnej chwili cudownej zestrzeli się w radosną, intuicyjną syntezę. Wówczas pojmiemy zasadniczą ciągłość żywota fal i ogarniemy ich dzieje. Ze spotęgowanej zdolności wyodrębniania i rozróżniania, czyli z analizy wypływa to dobro, że, spostrzegając wieloosobowość ducha ludzkiego i jego dzieje, oglądając w dalekiej perspektywie stopnie rozwoju, wyzbywamy się właśnie męczarni wyrzutów, poczucia straszliwej odpowiedzialności za grzechy. Natomiast ta dążność pozwala nam ściślej jednoczyć się z wszechświatem.

— Tak, to wygodna teorya. Spowiedź jest męką. Tymczasem zwalenie odpowiedzialności na kogoś, kto był, a którego już niema—to takie naturalne. Dlaczegóż to jednak tylu ludzi wiekowych przechowuje od dzieciństwa aż do grobowej deski wiarę w duszę ludzką, niby kwiat nieśmiertelny? Dlaczego? Dlaczego?

— Są to szczęśliwi ludzie, którzy nie zatapiają się w logikę, w myślenie ścisłe, w rozważanie swego stosunku do wszechświata, do czasów płynących, do gwiazd wiecznych i do nieskończoności przestworów. Wystarcza im pierwotny ruch czucia i pierwotny pęd myśli, które ja również posiadam, ale które mi nie wystarczają. Jest przecie, proszę pani, mnóstwo ludzi, którzy nie zajmują się wcale, dajmy na to, matematyką, a jej wszystkie sztuczki, formułki, koziołki i znaczki, mają za ba i bardzo. To jednak nie dowodzi, żeby matematyka była nonsensem, a tamci, nieczuli na jej wdzięki, mieli zupełną słuszność, od dzieciństwa aż do starości ją ignorując. Naprzykład, ktoś kto ma w umyśle swym,

wskutek stałego zajmowania się matematyką, pojęcie nieskończoności i rozumuje stale zapomocą pojęć tego rodzaju, ten, doprawdy, nie potrzebuje zupełnie, a nawet nie może zmieścić w mózgu swym pojęcia o „początku świata“. Tymczasem są umysły, dla których „początek świata“ jest koniecznością myślową.

— O ile wiem, dość pospolita i powiedziałabym... trywialna niewiara naszych czasów nie jest jeszcze tak nieomylnie konsekwentna i niewątpliwie uzasadniona, jak wywody matematyki.

— To zależy, co wcielimy do tego lamusa z szyldem: „niewiara“. Jeżeli ktoś rozumuje logicznie od *a* do *z* — może sobie stworzyć kryształowy pałac tak niewzruszonej konstrukcyi, że armaty piekielne go nie przemogą. Logika bowiem — to jest właśnie matematyka. A znowu wszelki rachunek staje się zuchwalstwem, jeżeli ma istnieć siła niestała, mogąca dowolnie zmieniać i przekształcać prawa, rządzące wszechświatem. Ostatnią sentencyę zawdzięcza pani niedoszłemu proboszczowi (Renanowi). Wszystkie poprzednie są moje i dlatego tak genialne. Ale może ja, proszę pani, wobec jutrzejszego... nie powinienem mówić takimi zwrotami...

— Przeciwnie, muszę o tem mówić, skoro to ma być coś pożytecznego, coś w rodzaju spowiedzi, skoro podjęłam się wyciągnąć z pana ową wstrętną, ordynarną niewiarę. Nie mogę zresztą zostawać w zwątpieniu i zamykać dziś właśnie ran mego rozumowania, które pan pootwierał, pajęczyną pierwotnego ruchu czucia. Czemuż tedy istotnie modlitwa

sprowadza do duszy światło jasnego widzenia i rodzi w nas stan szczęścia?

— Poeci dawnego świata twierdzili, że taki stan wyższy, zwany natchnieniem, zsyłają im muzy. Zdaje mi się, że doskonałe rozumowanie, tworzenie ścisłych absolutnie konstrukcyi pojęciowych sprowadza ten sam stan zachwytu, poczucie szczęścia, rodzi uniesienie górne, które pani nazywa stanem łaski.

— Panie, panie! Kiedyż to, o czem ja mówię, zaiste podane jest duszy z zewnątrz, spada z wysoka, — niech mi pan wierzy, — idzie z nieba.

Niepołomski milczał.

— Czemuż pan milczy?

— Milczę, pani. Cóż mam powiedzieć? Nie mogę tego potwierdzić, żeby jakiekolwiek uczucie spływało na panią z wysoka. Uczucie wszelkie jest w pani — w mózgu i w nerwach — to darmo. Tam się rodzi i tam trwa, dopóki nie zginie. O tyle wszelkie uczucie egzystuje, o ile są nerwy. Jeżeli gdziekolwiek nerwów niema, tam nie może być uczuć. Niema przecie drzewa tam, gdzie niema żadnych literalnie jego oznak. W chwili, gdybym utworzył w umyśle swym istotę objektywną, tak wszechwładną, że mogłaby rządzić najtrafniejszym rachunkiem mego rozumu i najsubtelniejszymi ruchami mojej duszy, owszem narzucać mojej duszy ruchy jej nieznane, musiałbym nieodwołalnie dojść do wniosku, że to jest jakieś do nieskończoności spotęgowane *ja*. Byłoby to zgodne najzupełniej z prawami naszej psychiki, ale nie stanowiłoby probierza prawdy. Najbardziej spotęgowane *ja* musi być ograniczone co do czasu

swego trwania. Osobowość i czas—są to pojęcia nierozerwalnie złączone. Nie można połączyć w umyśle ludzkim osobowości z brakiem formy czasu, gdyż się to pomyśleć nie da i jedno drugie wyklucza. Z drugiej strony nasze *ja*, choćby spotęgowane do nieskończoności, może się różnić od nas tylko co do ilości przymiotów, a nie co do ich jakości. Spinoza mówi: „Gdyby trójkąt posiadał dar słowa, to powiedziałby nam, że Bóg nie jest to nic innego, tylko doskonały trójkąt. Koło powiedziałoby nam, że natura Boga jest kulistą w najwyższym stopniu“. To też niechętnie dochodzę do wniosku, że jest jakiś byt, który nie jest skutkiem jakiejkolwiek przyczyny, i przez nic nie uwarunkowany. Ale przypuśćmy... O bycie tym nic innego nie mógłbym powiedzieć, tylko to jedno, że on jest. A gdyby nawet przyjąć za pewnik istnienie bytu bezwzględnego, który różni się od *ja* naszego co do jakości jego przymiotów, to należałoby przecież przyjąć tę konsekwencyę, że ilości owych przymiotów są nieskończone, a więc wzajemnie między sobą równe. Tyle tedy jest bezwzględne miłosierdzie, co i bezwzględny wymiar kary.

Przyjęcie za pewnik wszechwiedzy prowadzi nieuniknienie do przyjęcia za pewnik przewidywania własnych zamiarów, a przewidywanie własnych zamiarów jest zaprzeczeniem przymiotu najwyższego dobra, owszem, dowodzi współwieczności i współpotęgi złego. Jakże rozum logiczny człowieka nowego zdoła pojąć te zjawiska i uznać je za wyobrażalne?

— Czytałem niegdyś zdanie Pascala w jego: *Myślach*: *„Rien n'accuse d'avantage une extrême fai-*

blesse d'esprit que de ne pas connaître quel est le malheur d'un homme sans Dieu.

— Ach, Pascala! O Pascalu to Nietzsche najlepiej powiedział... Ale wejrzyjmy w widzenie świętego Jana, w to słowo: „I wyszedł drugi koń rydzy; a temu, który na nim siedział dano, aby odjął pokój z ziemi, a iżby jedni drugie zabijali, — i dano mu miecz wielki“. Gdzież jest miłość?

Ewa rzekła:

— Bóg jest miłość.

Po chwili zapytała:

— Skądże się mogło wziąć w ludziach to wyobrażenie, według pańskich dowodzeń tak sprzeczne z naturą ich rozumu?

— Skąd się wzięło... jest to bardzo skomplikowana historya. Gdybym chciał uczynić wywód tego zjawiska, jako mającego źródło zgoła przyrodzone, — to, pomijając już to, że nie zrobiłbym go dokładnie, mogłaby pani obalić ten wywód jednem zaprzeczeniem, albo cytatą z Pascala, Chateaubriand'a...

— Jeżeli pan nie chce zeznać prawdy, wogóle mówić o tej sprawie ze mną...

— Nie chcę mówić! Z panią! Ależ przeciwnie! Pragnę o tem mówić... Wyznać przed panią... Chyba niema sprawy bardziej dostojnej nad takie wspólne, najdalsze spoglądanie w naszą biedną niewiadomość. W takiej właśnie naradzie dwu dusz mogą z tajemniczych źródeł wynikać objawienia pełne błyskawic, przeczucia i chwile twórczych wstępowań po bezcennych, onyksowych schodach w Krainę Zachwytu. Ale boję się... Po

wiedzą o mnie bliźni: oto libertyn, który dlatego wszczyna podobne gawędy, żeby w jaśniejącej duszy zniweczyć wiarę. Na chwilę nawet nie pomyśli nikt z poczciwych bliźnich, że owe mędrkowania stanowią całkowite *uzia*, czyli jestestwo duchowe półmędrka, alfę i omegę jego duszyczki. A tymczasem ów świat przebyty został własnemi stopami, zdobyty własną myślą i pracą. Nic w nim z cudzej, narzuconej własności, nic z jakiegokolwiek dziedzictwa.

— Czy to nie złudzenie? Czy jest człowiek, którby nic nie dziedziczył? Mnie się zdaje... Ale czy mogę powiedzieć otwarcie?

— Ach, proszę!

— Mnie się zdaje, że skoro tylko człowiek wyrwie się ze sfery uczuć wrodzonych wszystkim bez wyjątku ludziom na ziemi, wówczas nabiera pewności siebie i dumy dlatego tylko, że jest inny od „tłumu“. Gdyby kto dziś zaczął podawać w wątpliwość twierdzenie Kopernika, z pewnością zaraz nabrałby dumy i gardził tłumem.

— Inna jest wiarogodność systematu Kopernika, a inna wiarogodność twierdzenia, że wiadome uczucia są wrodzone wszystkim ludziom. Właśnie to jest najbardziej uderzające, że te uczucia nie są wrodzone wszystkim ludziom na świecie. Są tacy ludzie, którzy ich wcale nie znają.

— O, to ciekawe, to, wie pan, arcy-ciekawe!..

— Istotnie. Nauka, której się specyalnie „poświęcam“, to jest antropologia, stwierdziła i ciągle stwierdza, że u bardzo wielu, tak zwanych dzikich — idee

religijne nie powstają i nie istnieją. Są to jednak, o ile sobie przypominam, również ludzie. Że to są ludzie, stwierdzają najdowodniej religie europejskie, które zaczęły o „duszę“ tych brudasów troszczyć się na gwałt ostatnimi czasy. Podobnie jak z „dzikimi“ ma się rzecz z dziećmi, wskutek rozmaitych braków cielesnych pozbawionemi możności obcowania ze starszymi od najwcześniejszych dni bytu. Osoby głuchonieme, które ukształcono dopiero w ich wieku dojrzałym, zgodnie świadczyły, że same ze siebie, w stanie naturalnym niejako ich życia, nie miały wcale myśli o Stwórcy!

— Któż zaręczy z ręką na sercu, że badania tego rodzaju mogą być przeprowadzone ze ścisłością naukową, i że są obrazem prawdy? Czy pan może za to ręczyć, że dusze „dzikich“ przenikniono do dna?

— Ja sądzę, że badania tego rodzaju mają bezcenną wartość. Ale mniejsza o to... Zwróćmy oczy na przeszłość choćby tych samych ludów, które zaległy ziemię i są teraz wessane przez silwasy, pampasy, lianosy, na etyopów, malayów, czerwonoskórych... Spojrzyjmy w noc historyi. — Czasami tylko stos kości w polu, czasami tylko ciemne smugi prochnicy w glinie powiedzą badaczowi, że tam jakiś lud wyginął, potargany przez łby katapult, albo czerepy granatów. Zdarzyło mi się jedną noc przemarzyć nad omurowanemi fosami Mantui. Czerwona, zgniła, stojąca woda i bujne platany!.. Ludzie rozstrzelani, których Goya pochwycił w szpony swego geniuszu!.. Ach, raz—małe rycinki sztycharza z początku XVII wieku, Jakuba Callot'a, zebrane w szereg p. t. *Les misères de la guerre,*

pozdrowiły mię tak straszliwym krzykiem przeszłości, żem go wyraźnie usłyszał...

— O czem pan mówi?

— Mówię ciągle o tej samej sprawie... O przedmieściach wielkich stolic, o ludziach w walcowniach i tkalniach. Zniweczenie i wytępienie jednych na korzyść innych, byleby stało się zadość widzeniu, jak „jedni drugie będą zabijali“... A nad tem wszystkiem, co było i jest, hymn: „*Te Deum Laudamus*“... Tak było zawsze. Nauka o człowieku doprowadza bezstronnego badacza...

— Ten wniosek może być fałszywy! Jak można tak bezczelnie mówić o Bogu! O Bogu! Jak można podnosić na Boga oczy i dotykać Go słowami! Umiera tak samo zabójca, jak ofiara, zwycięzca i pokonany, magnat i nędzarz. Któż może twierdzić, że życie nędzarza nie jest częstokroć tysiąc razy lepsze, weselsze, jaśniejsze od życia bogacza? A nie było jeszcze takiego bogacza, któryby nie umarł. Cóż mu z miliardów i pałaców, kiedy zjedzą go te same robaki, które zjedzą jego lokaja. A po śmierci... może ów sługa zasiądzie na prawicy Miłosierdzia, a pan wielomilionowy... Bo po śmierci jest sąd, piekło i niebo.

— No, tak. Pewna, bądź co bądź, jest w obecnym stanie pierwsza z tych czterech kategoryi. Tę musimy przyjąć do wiadomości...

— Trzeba wiele i żarliwie rozmyślać o śmierci. Wówczas dopiero rozświetla się wszystko.—Wielkość życia maleje i nędzne sprawy tutejsze, nie wyłączając wojen punickich, napoleońskich, nie wyłączając władzy miliardów i nędzy ludzi bez dachu, staje się, jak proch.

Gdyby milioner amerykański był w stanie zajrzeć we wnętrze własnej swej trumny we trzy tygodnie po pompie pogrzebowej—inaczejby żył. Święty Franciszek z Assyżu, największy skarb lądu ziemskiego, wierzył w Boga. Są zakony, które rozmyślaniem o śmierci zajmują się w ciągu wieków, a członkowie ich witają się i żegnają słowami: „pamiętaj, że umrzesz“.

— Natomiast greczyn niektóry, imieniem Sokrates, wcale nie zajmował się swoją śmiercią. — Przeciwnie, jak świadczy jego uczeń i przyjaciel Plato, nazywał ją rzeczą dobrą, a nawet zyskiem. Tak się właśnie o śmierci wyrażał: „κέρδος ἔγωγε λέγω“. Porównywał śmierć do mocnego snu bez marzeń, wzruszeń, cierpień i radości, do snu niezmąconego, który każdy człowiek za największe szczęście uznaje, a którego sam król perski nie zawsze doświadcza. Wszystek czas pośmiertny przedstawiał w istocie przemądrze i nieodparcie widocznie, jako jedną noc głuchosenną. Brzmią mi te słowa w duszy: „οὐδέν πλεῖων ὁ πᾶς χρόνος φαίνεται οὕτω δὴ εἶναι ἢ μία νύξ. A czyż nie „zyskiem“ będzie owa wieczna noc dla ludzi przeklętych od losu, zaszczutych przez sfory łotrów, dla ludzi smutnych, zranionych przez straszliwe niedole, dla tych wszystkich, którzy tu spać nie mogą, bo serce ich czuwa, a piersi bez przerwy krzyczą z rozpaczy? Zdarzyło mi się raz we Lwowie, w brukowym dzienniku, między mnóstwem wiadomości pobieżnych, przeczytać opis włamania się władz do pokoju samobójcy w hotelu, i o znalezieniu na stole karteczki z temi słowy: „Dość już nareszcie tego życia“! Jakie też było to życie, jak wesoło musiało upływać! Pani, czemu Bóg „zatwardził serce“ tego człowieka? Czemu zagasił przed jego oczyma istniejący świat? Jakże szczęśliwa musiała być nareszcie cisza wieczna i spokój, trwające, jako jedna noc twardego snu. Μία νύξ. Mnich, powtarzający za innymi rozkaz—„pamiętaj o śmierci“, jest wobec tamtego z hotelu sołdatem leniwego ducha i umysłu. Nieporównany wśród nas człowiek, Matlakowski, gdy umierał, kazał do siebie przyprowadzić ukochane dziecko; a napatrzywszy go się, napatrzywszy aż do śmierci, zawinął się w kołdrę, odwrócił do ściany i rzekł: — „No teraz już będę tęgo spał“.

— Zdaje się, że ja o tem samem...

— Nie, nie! Oto do czego dążę. Śmierć jest faktem, którego jeszcze nikt nie uniknął. Tak pani powiedziała. I to jest nowa prawda, choć wydaje się być powszechnie znaną od początku świata. Skoro zaś śmierć jest tak powszechnem zjawiskiem, więc nie rozmyślać o niej należy, jak to czynią ludzie słabi i mnisi niewolniczego ducha, lecz zapomnieć i nigdy o niej nie myśleć. Jest to wróg, który wcześniej lub później przyjdzie i zamorduje każdego z nas. Należy mieć tyle honoru, żeby pogardzić tym wrogiem. Tak czynią mężni żołnierze i wszyscy na świecie bohaterowie. Bo bohaterstwo jest to nadewszystko pogarda śmierci. Człowiek mądry nie uważa śmierci za rzeczywistość, godną myślenia. Przedmiotem myślenia filozoficznego może być tylko życie. Życie jest to ogrom niezbadany, nieprzebyty, jak podbiegunowy las dla samotnego wędrowca bez broni. Jest to wciąż jeszcze puszcza, w któ-

rej niewyrąbana jest ani jedna ścieżka. Śmierć wobec życia, wielkości zupełnie nieznanej, jest wielkością nieskończenie małą, dokładnie i ze wszech stron znaną. Śmierć daje pole do marzeń. Jest to godne uwagi, że najbardziej lubią rozwodzić się o śmierci ludzie młodzi, początkujący poeci (choć zdarza się to i starym poetom). Ci ludzie przypominają mi pewne zdarzenie. Byłem raz w Paryżu na wystawie obrazów, w salonie wiosennym. Było tam wiele dzieł niezrównanych, istnych dzieł sztuki. Przed jednem z nich siedziałem w kącie kanapki, zatopiony w marzenia, które obraz wzbudzał. Raptem weszły na salę dwie młode, strojne damy. Szły, żywo rozmawiając, sprzeczając się, dowodząc.—Przebiegały od jednego obrazu do drugiego. Na ten zwróciły swe szkła o długich rączkach (Judenstock'i), na tamten zerknęły przez ramię. Tu coś do siebie bąknęły, tam najniespodziewaniej zachichotały. Nawet i mój obraz, że się tak wyrażę, obwąchały zblizka, bez cienia uwagi.

Przebiegły, szeleszcząc sukniami, jedną salę, drugą, trzecią w ten sam sposób. Widziałem je ciągle, gdyż bez przerwy właziły mi w oczy ze swemi piórami na kapeluszach, z szelestem swych jedwabiów. Kiedy przecwałowały już przez wszystkie sale, nie zatrzymawszy się przed żadnem z dzieł sztuki, z których każde bez wyjątku było owocem wielkiej pracy, a niejedno arcy-tworem, dopadły wreszcie owe damy do małych drzwiczek w ostatniej sali. Drzwiczki te prowadziły na strych, do składu rupieci, połamanych ram, niepotrzebnych stalug, płócien i tym podobnych sprzętów. Damy poczęły dobijać się do tych drzwi, szarpać za klamkę, wreszcie kołatać. Ponieważ drzwi były zamknięte na klucz, udały się coprędzej do portyera z natarczywem badaniem, co tam jest za nimi. Chciały to wiedzieć, nie mogły przecie odejść z wystawy, nie dowiedziawszy się, co ukrywają tajemnicze drzwiczki. Rozprawiacze o śmierci robią na mnie wrażenie...

— Gdzieś to czytałam, że prawd ścisłych nie można żadną miarą dowodzić zapomocą przenośni, metafor, podobieństw i porównań. Co innego jest, przypuszczam, ciekawość rzeczy pośmiertnych świętej Teresy, albo Dantego, a co innego ciekawość owych dam, co jest za drzwiczkami na strychu.

— Ma pani słuszność. Ale owe damy przypominają ludzi, majaczących o śmierci, którzy wcale nie znają życia. Ojciec rodziny, mąż czynu, człowiek ciężko chory, nigdy ani przez chwilę o niej nie myślą. A każdy wielki charakter ma ją w najzupełniejszej pogardzie. Ów oficer japoński, który wyrok śmierci, wydany nań przez cudzoziemski sąd polowy, przyjmuje bez drżenia jednego muskułu, z uśmiechem, salutując ją po wojskowemu, jak siłę, którą się zna z matematyczną dokładnością!.. Oto wszystko. Jest to rzecz znamienna, że cywilizacya starego świata doszła do tych samych wyników, co cywilizacya tak odmienna od naszej jak japońska. Już stary wyjadacz wszelkich systematów myślenia, znawca doktryn, życia i, oczywiście, eklektyk Cycero zaklina ludzkość w swych bredzeniach tuskulańskich, powtarzając z patosem myśl od stoików na wieczne nieoddanie pożyczoną, żeby ludzie, przepraszam za łacinę, *mortem vel optare incipiant vel certe timere de-*

sistant, to jest, żeby pałali żądzą śmierci (w czem stary adwokat przeholował), albo, co jest sworzniem, zwierającym sprawy starego świata, na czem stała wieczna potęga Grecyi i wszystkie czyny żelaznego Rzymu,—żeby pogardzali śmiercią. Cóż komu przyjdzie z pytań pytagorejczyków: —„skąd przybywa duch, dokąd zdąża i poco jest posępne misteryum śmierci“? Cóż komu przyjdzie z pięknych inwokacyi Wiktora Hugo: „Co robi śmierć z naszą duszą? Jaką jej zostawia naturę? Co jej odbiera, a czem ją obdarza? Gdzie ją podziewa? Czy jej użycza choć czasami oczu ciała, ażeby dusza mogła patrzeć na ziemię i płakać“?

— Jeżeli komu rodzą się w sercu takie pytania, a pan na nie żadnej odpowiedzi dać nie może, to jakiemże prawem nastaje pan na ich bolesną ciekawość?..

Już mrok zapadał i ciemność wpływała w ogród.

Drzewa bezlistne jeszcze świeciły się konarami, lecz pnie już zatonęły w pomroce. To, co mówił Niepołomski, nie raziło już Ewy. Przeciwnie, podniosła cisza płynęła na nią z tych słów. Wszystko, czego oczy mogły dosięgnąć jeszcze w następującej ciemności, stawało się uroczyste, piękne i namaszczone.

Pnie drzew, poręcze ławek, kształty wygięte dróżyn, ścieżek, zarysy różowe dalekich gmachów—wszystko wychylało się z mroku i, stawszy się niejako istotami żywemi, zwróciło ku rozmawiającym uśmiechnięte, przyjazne i braterskie oblicza.

Unosiło się jeszcze nad nimi lśnienie szczególnego światła i wyróżniło je z tysiąca innych zjawisk i kształtów. A lśnienie owo przenikało do głębi duszy, jak

promień przenika głębiny wody. Nie takie było w rzeczywistości wrażenie od tych przedmiotów i nie to czuli patrzący na nie, ale możnaby powiedzieć, że rzeczy te i zjawiska, wrastając w szczęśliwe oczy i w szczęśliwe serca, odbywały zdala pokłony, przesyłały jakoweś znaki, symbole i sygnały. Wynikła z nich świta przyjaciół, tłum sojuszników, przypuszczonych do sekretu, który stał się wspólnym i na najświętsze zawołanie zaprzysiężonym.

Niepołomski podniósł się ze swego miejsca, ukłonił i odszedł. Przez chwilę jeszcze widziała jego szare palto w alei, poczem między drzewami znikł.

W nocy zasnęła była twardo i przez czas długi spała bez widzeń. Aż oto, jakby z otworzeliska ciemnego, wystąpił w całej zbroi sen, na podobieństwo tragedyi Szekspira.

Działy się dookoła i w niej samej rzeczy straszliwe i wzniosłe. Wszystko było w ruchu i pełne krzyku. Widziała jak gdyby ucztę osób ukoronowanych i zgiełk tuż obok ludzi uzbrojonych.—Skądś, z tłumu nadszedł Niepołomski.

Biegł w popłochu, przeciskał się przez ciżbę osób obcych, brutalnych, ohydnie twardych w spojrzeniu. Miał na ustach jakąś wieść, wiadomość, sygnał czy znak. Wyczekiwała, żeby coprędzej zbliżył się do niej i nie mogła doczekać, chciała ku niemu biedz i nie mogła. Upadła pod jakiemiś drzwiami, w których on stał, i zasłoniła go sobą.

A wokół dym, strzały rewolwerowe... Rzuciła się całem ciałem naprzód...

Ale oto prysnęło i pierzchło wszystko. Stała nad brzegiem jaru, na wsi, w miejscu, które niegdyś widziała. Zdarzyło się w jej życiu, że jechała była sama od krewnych do stacyi kolejowej małą bryczulką, zaprzężoną w jednego konia. — Pierwszy i ostatni raz jechała tamtędy przez dolinę pustą, zapadłą, zamkniętą ze wszech stron świata między wzgórzami, jakby w więzieniu.

Był tam szereg stawów, jeden za drugim idących, które z niewiadomych przyczyn skasowano. Na olbrzymich stawiskach były już teraz uprawne pola, łąki, łozy, gęstwiny i rozległe sitowia. Po stawach zostały jeno groble i ruiny upustów. Zarówno groble, jak upusty, nie wiedzieć czemu sprawiały (wówczas) wrażenie bolesne. Szczególniej upusty, — ogniłe resztki młyńskich pogródek, zzieleniałe ślady stawideł. Bystry ruczaj biegł środkiem stawisk i w szumiących wodospadach zlatywał z czarnych palów, hucząc w kilkunastu miejscach, co tworzyło bolesną muzykę. Dookoła doliny po wzgórzach wieszały się nieregularnie rozrzucone chaty długiej wsi. W głębi ze wszech stron czerniał bór liściasty. Była wówczas jesień i ciemny padał mrok na przedziwną kotlinę. Wody, pędzące w jej głębi, miały jakowyś zaciekły, oskarżający ton w swym szumie. Sprawiały wrażenie żywe, podobne do głosu dzikiego chłopstwa, które mamroce między sobą, zmawia się i protestuje w głupocie swej przeciwko czemuś, czego nie rozumie wcale, — burzy się i grozi pomrukiem, a jednocześnie

tchórzy szelmostwo przed niewiadomymi zamachy. Teraz we śnie Ewa uczuła trwogę i żal, rozpacz i boleść wobec tej wody szumiącej, czy tego chłopstwa, zmawiającego się na nią. Zeszła, niosąc w sercu to czucie ciężkie, poza ostatni staw, w miejsce, na które tylko rzuciła okiem, przejeżdżając wówczas.

Niezliczone sitowia, trzciny skrzypiące, wrzask szpaków, poświstywanie wodnego ptactwa... Mrok pada z dębów wielkodrzewów, mrok duszy samotnej wobec dziczy i krzywdy. Staw olbrzymi wyłamał w grobli wyrwę, w której zmieścićby się mogła wielkomiejska kamienica,—i uciekł. Po upuście zostały tylko wielkie, pokrzyżowane ruiny, koślawe pale i posplatane belki, niby piszczele zaciśnięte kurczowo, oplecione chwastem, obrosłe dyndającym mchem. Były to zaiste poprzetrącane kły i ohydne gnaty potwora. To, co zostało w tej ruinie, było już tak mocne, jak siła zniszczenia, i ostało się, szczerząc zęby. Woda spadała z obeschłego stawiska szumnym a ponurym ruczajem w dół i, wybiwszy głęboką jamę, biegła dalej z chyżością. — Nad ten to jar, w miejsce nieznane, którego nie mogła dosięgnąć oczyma, Ewa przyszła we śnie. Czepiała się rękoma leszczyn, tarek, rokicin, z pod których łzawiło się szkliwo zaskórnej wody, i patrzeć poczęła w dół. Wraz z bryłami mokrej ziemi zsunęła się ku rzeczułce, cicho seplenjącej w dole. Z oczyma wbitemi w jej chytrą, kryjącą się, ślepą toń, spadała, zsuwała się, szła bezwładnemi nogami. Strach, ciekawość... Aż wreszcie wstąpiła bosemi stopy w zimny, rwący nurt. Głowa jej zwisła na brzeg, a bezwładne czoło upadło na kępy zielonych

chwastów. Było duszno i gorzko na duszy. Ostry zapach wodorostów, staplanych liści...

Przestała widzieć... Aż oto wydźwignął ją i wyniósł z ciemności jakoby ojciec, czy inny człowiek. Och, wyszła stamtąd! Spieszyła teraz w nocy ciemnem polem, ciemnem polem... Po zagonach, przez samotne, opuszczone, poza-ludzkie pola. Strach ją doganiał, świszczał wiatr. Jakaś droga polna z dawno zaschłemi w mokrej glinie kolejami... Biegnie w dal, woła. O ludzie, ludzie! Piersi zduszone rękoma strachu...

Wtedy to ujrzała nagle, a tuż przed sobą ogród, jakoby raj. Daleko wschodzi błękitny poranek. Kwiat oblepił drzewa wiśniowe, wyniosłe rózgi czereśni bieleją na błękitach. Och, te drzewa! Rozkosz widzenia ich we śnie, nad szmaragdową murawą, nad rabatami spulchnionej ziemi. Poranek wchodził w ów sad nigdy niewidziany. Za wysokim płotem — pleciakiem ze świerkowych spławin, za wrotyma z ledwie ciosanych balas, tai się w mroku sad. Trawy w nim w pas. Zwarty gąszcz wyniosłej koniczyny — istny bór! Gąszczu, gąszczu niedotkniony stopą, ni dłonią! Wiatr cię jeno muska, deszcz wiosenny żywi i kąpie, a tylko pszczoły obciążają. Wielkie kule kwiatu napełnił przenajsłodszy miód i ubarwiła je szata, całująca w usta i oczy. Tam nizko, spodem... Gdzie oczy padną, zalew łaskawej dla oczu białej koniczyny, jakoby mrowie biedy, chłopskiego moc narodu... Tam i sam, tam i sam tkwią, wbite w wiotkie trawy, w miękie, jak dym czy mgła powłoki mietlicy, złotolite łby—gwoździe przydrożnika. — Ewa śni—widzi. Wyciąga ręce. Dotknęła dłońmi wrót. Mo-

kre od rosy drewna, zimna ich kora do rąk przystaje. Pchnęła zmurszałe wierzeje. Obróciły się bez szelestu na swych witkach brzozowych, obróciły się na czopach zmurszałych...

Otwarły się — ni to drzwi raju. Weszła. Bosemi nogami dotknęła mroźnej rosy. Chłodne, nad miarę bujne i wysokie badyle łechtają kolana, mokre włókna, jak węże, snują się po palcach nóg. Dreszcz!

Teraz dostrzegła oczyma z pomiędzy czarnych bugajów koniczyny wystrzelające nietykalne kule ostromlecza. Głowy ich, utkane ze światła księżycowego, najlżejszy oddech niweczy. Podano jej niegdyś do wierzenia baśniowe słowo i uwierzyła, że w tych łodygach tai się biały sok, trucizna, wyżerająca żywe oczy.

Ktokolwiek wyciągnie rękę, albo, nachyliwszy się, tchnie, zetrze głowę, uczynioną z marzeń. Ktokolwiek zerwie łodygę, temu kwiat oczy wygryzie.

Ewa patrzy oczyma, nawskróś widzącemi, w samotne, białe puchy, rozsiane tu i tam. Wstrzymuje oddech, żeby nie popsuć tkanin, wypielęgnowanych przez dnie i noce, wychowywanych przez słońce i ziemię. Nim przyjdzie podmuch zabójca, co je zniweczy, niechaj sobie samotnie dumają, niech śnią swój krótki, a na nic nikomu nieprzydatny sen. Nie ja, kwiatuszki, popsuję wasze głowiny... Nie ja... Przenigdy! Pokój wam...

Patrzą się w nią białe, okrągłe, nadobne oczy z czarnych a mokrych traw. Zapach niewysłowiony i milczenie. Oddech tajemniczego zakątka sieje w sercu uczucie rozkoszy i siłoczucie młodości. Ogromne krople rosy wiszą na każdym płatku kwiatowym, rosy wielkiej

i ociężałej. Słońce olbrzymie, — boskie Savitri, — powstało. Czerwone światło upada w krople olbrzymie jakoby połysk wielkiego miecza, słońce strąca każdą kroplę oddzielnie — to tu, to tam. Ciężko padają — pac... pac... Rosy padają w mokrą trawę. To w miody koniczyn, to w wiotką kulę ostromlecza. A te, co pozostały, Ewa ogląda każdą z osobna. Przykłada do każdej oczy i spogląda w wewnętrzny każdej świat.

Nad czarnym dachem strzelają w czerwone niebo dwa modrzewie, młodocianemi igły okryte, zielone tak, że serce bije ze szczęścia od ich widoku. W dole nad rzeką złocą się i palą ogniem jaskry. Szumi woda. Senna lekkość napełnia piersi. Wśród tej lekkości przyszło ocknienie. Ewa spostrzegła, że głowa jej zwisła za poręcz łóżka, kołdra spadła na ziemię, a całe ciało jest obnażone. Cichy śmiech objął ją słodkim, czarownym uściskiem na widok nagości własnego ciała. Serce poczęło bić, lecieć... Jeszcze słyszała kapanie wielkich ros na kule ostromlecza, na kępy koniczyny, na swe serce i na rzęsy powiek. Rozkosz cielesna i rozkosz snu, który jeszcze nie odszedł, zdawała się leżeć na jej piersiach i wzdłuż całego ciała. Położyła się rozkosz na gorących ustach, jak usta, na oczach, jak oczy, na piersiach, jak nagie piersi. Wtedy przyszła, jak gdyby z głębi domu cichymi kroki straszliwa w swej mocy rozkosz—wiadomość, że on jest tu, za ścianą, której dotknęła wyciągniętą ręką. Ewa oparła na tej ścianie dłoń z rozstawionymi palcami i, przymknąwszy oczy, poszła bez tchu, duszą stęsknioną, szybkimi kroki bijącego serca w głąb czarną wiśniowego sadu ku kroplom rosy, ku

ścigłym modrzewiom, ku trawom, boskim arcytworom i ku onemu złotolitemu słońcu...

Rano, wczas, udała się do kościoła. Ale nadaremnie, ukryta w najciemniejszym kącie, obok wejścia na chór, klęcząc nagiemi kolanami na wilgotnych kamieniach, usiłowała modlić się, wzbudzić wczorajszy żal, wczorajszą skruchę i radość mocnego postanowienia. Ten stan wydarty został z jej duszy, wyszarpany z korzeniami. Czuła w sobie obecność wzruszeń, ale zgoła innych. Były mocne i twarde, grubijańskie i niezwalczone dla modlitwy. Zrazu zdawało się, że te wczorajsze dowodzenia Niepołomskiego coś w niej zepsuły, zatrzymały zegar uczuć, ale przekonała się wkrótce, że tak nie jest. Patrzyła na obrazy w ołtarzach i nie widziała ich pozamalarskiej, usiłowanej, niemateryalnej piękności, lecz właśnie spostrzegała malarską nieudolność. Spostrzegała nędzę, pucołowatą śmieszność barokowych (a raczej jezuickich) aniołów z wyzłoconemi skrzydłami do dźwigania pokładów kurzu. Rzucała się w oczy tłustość księżulów, rozsiadających się wygodnie w konfesyonałach, dreptanie starych jędz-dewotek ku uprzywilejowanym ławkom.

Czuła obrzydliwą niemoc duszy do przełamania tych zewnętrznych, cudzych wrażeń, do stłuczenia zewnętrznej skorupy kościoła, ażeby dostać się do wczorajszej jego treści. Były chwile, że ogarniała duszę rozpacz. Ewa chciała rzucić się do pierwszego z brzegu konfesyonału i wszystko to wyznać. Chciała i nie mo-

gła. W ostatniej chwili, kiedy już rękę opierała na ziemi, żeby się podnieść, potworny śmiech ją wstrzymywał. Zapytana w owej chwili, odpowiedziałaby bez wahania, że to szatan szkarłatnemi skrzydłami okrył jej duszę. Czuła ciężar i duszenie. I najstraszniejsza rzecz:— doświadczała jakowejś satysfakcyi z tego powodu, że ma w sobie takie wzruszenia nieznane i nowe.

Przestała modlić się. Klęczała jeszcze, siedząc bezwładnie na ścierpłych nogach, z głową opartą o zimny mur. Oczy jej z niecnym uśmiechem patrzyły w głąb kościoła, gdzie jarzyć się zaczęły świece zapalone do nabożeństwa prymaryi. Tam to miała przystąpić do sakramentu Ołtarza. Rozległ się drżący dźwięk dzwonka. Cóż się z nią stało? Co się stało?

Jeszcze raz wzniosła oczy ku górze, porwała po prostu rękami za barki swą duszę i zatrzęsła nią ze wszech sił. Nadaremnie! Nic, tylko zaciekła duma, śmiech ze siebie.

Było już po nabożeństwie, kiedy powstała ze swego miejsca i, nie patrząc na kościół, wyszła. Zdawało jej się, że jest chora, przeziębiona, pół umarła. Szła tą samą drogą, co wczoraj, i ze spuszczonemi tak samo oczyma. Tylko dziś śmiała się szyderczo, gdy przyszło, jak w wybuchową minę uderzyć w myśl, że wraca, nie przystąpiwszy... Ale już ani okruszyny żalu! Weszła w ogród i bez wahania podążyła na swoją, wczorajszą ławkę. Tak musiała. Zbliżając się do tego miejsca, zauważyła po przez krzewy, ledwo, ledwo osypane kłobuczkami, że tam ktoś siedzi. Domyśliła się prędzej, niż rozpoznała wzrokiem, że to Niepołomski. Ręce miał

oparte na lasce, na nich opartą głowę. Nie widział jej. Mogła przejść niepostrzeżenie. Ale w tej samej chwili wychyliła się jasna świadomość, że to, co się stało, ma swą logikę, sens i porządek. Dlatego nie przystąpiła do Sakramentu i dlatego nie mogła się modlić, dlatego wyszła z kościoła, że jego tu spotkać miała. Ponure pytanie, którego sformułować nie sposób, trzymało ją na miejscu. Wahała się i kołysała w sobie. Aż oto — z podniesioną głową szybko podeszła ku niemu.

Podniósł oczy i wzdrygnął się. Spłonął z uśmiechu. Nie zdjął nawet kapelusza, nie wstał. Siedział wciąż tak samo z rękami daleko wyciągniętemi i wspartemi na lasce. Nieoczekiwana radość, uszczęśliwienie, spadające nagle a niespodziewanie, jak rzęsistość deszczu na spaloną ziemię, szczęście, wydające na łup wszystko odrazu—obezwładniło jego postać. Nie wiedząc, jak się to stało i kiedy, przez chwilę zatonęli oczyma w oczach, wcielili się oczyma jedno w drugie, weszli w przecudowne a rozwarte podwoje szczęścia, w rozkosz mroku spojrzenia jednego we dwu osobach. Ogarnęło ich, nie wiedzieć, krótkie, czy długie nabożeństwo wstępowania oczyma w oczy i zagłębiania się wzajem w ducha przez czarodziejskie obnażenia spojrzeń. Ewa uczuła, że ją całą, od stóp do głów, powleka rumieniec i miała wiadomość o rozkoszy powlekania się nim nietylko dlatego, że to dawało nieopisany upał szczęścia, ale i dlatego także, że oczy jego mdlały wówczas dwakroć, trzykroć, dziesięćkroć piękniej. Stawał się piękny w uśmiechu i miły, jak ów sen nocny o rannych

rosach. Był tak straszliwie piękny tylko przez chwilę, ale nazawsze w pamięci właśnie taki pozostał.

— Skąd pani wraca? — zapytał głosem mimowoli cichym, sekretnym, niemal spiskowym.

— Idę z kościoła.

— Ach, tak...

— O czem pan myślał, jak pan tu siedział? — zapytała z kolei, wiedząc dobrze, a jednak nie zdając sobie umyślnie sprawy z tego, że wywoła odpowiedź.

— O pani.

— Cóż pan o mnie myślał?

Jakoś leniwie otrząsnął się i, rysując laską na piasku gzygzaki, mówił sobie:

— „Są prawdy, których mędrzec nikomu nie powie".

— Co za mędrzec? — spytała, ze swobodą i przepyszną wesołością roztwierając oczy.

— Nie lubi pani, naprzykład, mędrców?

— A skądże ja, dziewczę z parafii, mogę mieć najsłabsze nawet wyobrażenie o historyach tak amarantowych, jak o tem, co to jest, naprzykład, mędrzec?

— Mędrzec — jest to człowiek szczęśliwy. Z zastrzeżeniem: w tej chwili. Paradoks głosi: *sapientem solum felicem esse.*

— Po łacinie? Uciekam do domu!

— Niech pani jeszcze nie odchodzi. Przecież jeszcze niczegośmy się nie dowiedzieli... Ja przynajmniej nie wiem nawet tego, jak pani na imię.

— A pocóż to znowu może być panu potrzebne?

— Do rozmyślań i spekulacyi naukowych — łacińskich, hebrajsko-babilońsko-amarantowych.

— E — wie pan co — nie powiem, jak mi na imię. Po co, na co to panu? Z jakiej racyi? Jeszcze pan komu obcemu powtórzy, narobi pan plotek...

— O tem imieniu?

— A o tem imieniu.

— Nikomu nie powiem! Sam będę to imię miał w sobie, jak woda ma czasami w największej swej głębokości słońce ze szczytu nieba.

— Och, jakie zawikłane porównanie!

— Wie pani, jest jedna taka woda na świecie...

— Nic nie chcę wiedzieć o żadnej wodzie na świecie!

— Niech pani zechce usiąść na tej ławce i posłuchać. To jest bardzo interesujące. Proszę powiedzieć mi imię swoje.

— A przecie pan słyszał wczoraj, jak Horścik bełkotał z „ciocią" Barnawską.

— Nie słyszałem... A on mówił naprawdę?

— Mówił.

— I ja, kretyn, nie spostrzegłem...

— Nie wypada mi potwierdzać...

— Ale pani teraz mi powie. Przecież tylko o imię chodzi.

— Fuksya... do usług.

— Proszę nie żartować!

— Nie ładne? Pan wolałby pewno, żeby było — Pelargonia... Ale cóż począć!

— Pani powinnoby być na imię Jasność, Jaśnienie... Czy jest takie imię w kalendarzu?

— Nie czytuję kalendarza — panie!

— Jakby też to było zdrobniale od Jasność?

— Oczywiście — Nitouche.

— Ach, jakże można coś podobnego wymawiać! Chciałem powiedzieć... Ja sobie układałem, że Jasne Słoneczko, Błogousta, Jasnotka...

— Lepiej języczek trzymać zawsze za zębami. Tę cnotę nad cnotami nawet mędrcom się chwali.

— Imię!

— No, więc cóż z tego?... Dajmy na to, że powiem. I cóż z tego? Czy panu przybędzie zdrowia, szczęścia, pomyślności, albo fortuny? Żeby choć Zofia albo Aniela, albo choć jaka Helena...

— A tu co?

— A tu... o, wstydzie! Nie, to okropne! Nawet...

— Pani!

— No, niech pan przynajmniej zamknie oczy. A tu dopiero... Ewa... pierwsza grzesznica.

— Ewa. I to na seryo?

— Niestety! Tak stoi w metryce, a nawet w biurze adresowem.

Mówiła to ze śmiechem i w tonie łobuzerskim, a jednak cała znowu pokryła się rumieńcem. Oczy jej zlękły się wzroku rozmówcy.

— Ewa... — mówił Niepołomski do siebie, głosem matowym, który zagłębił się w ten wyraz i w nim utonął.

— Ewa, po hebrajsku *Jewe*, jest to czarujący

czasownik, który w trybie bezokolicznym tylko jakby sam dla siebie egzystuje, a znaczy—*istnieć*. Ewa jest to istność, która była, jest i będzie. Jest to kobieta nieśmiertelna. Ewa znaczy to samo, co niebiańska Izys: przebywająca w przestworach nieskończoności.

Posłyszawszy te słowa, doświadczyła najmniej oczekiwanego w sobie uczucia wesołości. Miała, wbrew woli, chęć dowcipkować, wyśmiewać, ośmieszać a nawet miażdżyć i do góry nogami wywracać, zapomocą drwiny, tkliwe tchnienia duszy, lecące w dźwiękach i spojrzeniach. Skądś wyrosła w uczuciu cierpka złośliwość i chętka potargania tkanin jeszcze niezwiązanych, co się ledwie z nicości wychylały. Roiły się słowa zuchwałe i pospolite. Wszystkie wydają się dobre i godziwe. Gotowaby wszystko powiedzieć na złość sobie i na złość słuchaczowi.

Za chwilę ów dziwaczny nastrój znikł. Jakiś przestrach i popłoch...—Iść do domu!—rozkazała sobie kategorycznie. Ale jedno spojrzenie Niepołomskiego, spojrzenie z dołu, spojrzenie żebraka, bez sił leżącego przy drodze... Skądże tak przedziwne uczucie prawdy teraz dopiero znalezionej w przepaściach, skąd brzmienie archanielskie wokoło głowy? Skąd uśmiech, w którym zawarła się wiekuistość? Siła i rozkosz w całem jestestwie obojga. Niebieskie oczy jej zdawały się zostawiać w przestworzu niebiański szlak. Współzachwyt przeistaczał się i wyrażał nazewnątrz w bezwiednem naśladownictwie ruchów i wzajem bezcennego brzmienia głosu. Na oczy wpółopuszczały się rzęsy, białka zaciągały się barwą błękitną, rysy

martwiały i twarze bladły. Słowa stały się przyciszone, przejęte zawstydzeniem, zdradą, spozierające jużto naprzód, już poza siebie.

— Idę już. Do widzenia...—rzekła w zamyśleniu.

— Dlaczegóż pani odchodzi?

— Muszę do domu. O dziewiątej do biura.

— Pani pracuje w biurze?

— Tak.

— W jakiem biurze?

— W biurze zarządu kolei. W dziale przychodu...

— Czy to już dawno?

— Trzy lata.

— Jakież tam pani ma zajęcie?

— Robię „normy“.

— Cóż to za normy?

— To, proszę pana, dodawanie, czasami nawet odejmowanie, przedewszystkiem zaś pisanie. Dziewięć arkuszy, czterdzieści rubryk, czyli 250 linii dziennie.

— A pensya, jeśli wolno zapytać?

— Wolno. Zresztą, to można zobaczyć w etacie. A tak. Rubli srebrem pięćdziesiąt miesięcznie, tak, panie. Początkowo było 26 rubli i kopiejek 10, a teraz pięćdziesiąt. Słyszy pan? Jeśli zaś robić dziennie trzy normy, co jest rzecz arcyniemiła, to można zarobić jeszcze 30 rubli. Wynosi to jednak dwanaście godzin pracy dziennej, czyli wbrew wszelkim zasadom proletaryackim. Do widzenia...

Niepołomski siedział na „swym“ fotelu w mieszkaniu państwa Pobratyńskich. Fotel ów stał w ciemnym zaułku niszy, tuż obok drzwi do kuchni, a naprzeciwko wejściowych. W sąsiedztwie fotela, czyli „karła“, mieściła się „serwantka“ z wybitemi pół na pół szybami, zakurzony skarbczyk familii (szkło czeskie, fajans, flaszeczki, postumenciki, figurki świętych, garnuszki z napisami „Pamiątka z Częstochowy“, pudełka z firaneczkami, w których stare opłatki, a nawet książki — *Choix de monuments...* kilka powieści Kraszewskiego, trzy tomy „Biblioteki Warszawskiej“ z roku 1856, „Meir Ezofowicz...“)

Obok szafki, pod prostym kątem do „karła“, „zajmowała miejsce“, według opinii zamężnej córki rodu i jej ironizującego męża, kanapa. Dzieje tego mebla musiały nie być wesołe. Okolice, przeznaczone do siedzenia, zapadły się były dawno i na czas nieograniczony, tworząc wgłębioną powierzchnię, która stykała się niemal z poziomem podłogi.

To zbliżenie prawdopodobnie dało asumpt Niepołomskiemu do przezwania kanapy „niemalstyczną“ w jej niejako wiekuistem a przecie bezcelowem dążeniu do zetknięcia się, wsparcia i zjednoczenia w spokoju wiecznym z wymienioną wyżej prostą — podłogą.

Stary pan Pobratyński nie bez akcentu rzewności (czy dumy) nadawał kanapie w chwilach właściwych nazwę dość zagadkową: zwał ją „palisandrową“.

Nazwa ta budziła uśmiechy melancholijne, jeżeli nie zgoła cyniczne. Jakkolwiekbądź—okolica: kanapa, fotel, serwantka – była miejscem przenajdroższem dla

pewnych osób w lokalu. Trudno zaiste uwierzyć, jak owe stare meble, owe, powiedzmy bez obłudy, graty, przeistoczyły się owymi czasy.

Była to ich młodość powtórna, ich zmartwychwstanie z nędzy i nicości. Gdyby ktokolwiek chciał usunąć „niemalstyczną“ z miejsca, które „zajmowała“, gdyby chciał wydłubać z niszy fotel, wrośnięty w światło Rembrandta, zapomnienie i wzgardę, gdyby chciał poprzewracać figurynki, bohomazki i potwornostki, przechowywane z barbarzyńską doprawdy pieczołowitością, popełniłby zabójstwo ducha tych miejsc i rzeczy.

Od tej chwili, kiedy stary pan Pobratyński wrócił do domu z wiadomością, że, dzięki bilecikowi polecającemu Niepołomskiego, otrzymał posadę u Kraftów, krótko mówiąc, na sześćdziesiąt rubli miesięcznie, nowy lokator stał się jego i córki (oficyalnie!) bożyszczem. Zaproponowano mu ze strony miarodajnej, bo ze strony matki rodu, w sposób tkliwie serdeczny a pełen godności, żeby się stołował. Przyjął bez jednej chwili namysłu i bez wahania zaczął płacić za obiady cenę niepraktykowanie sowitą.

W ten sposób wyrugował Horsta. Przychodząc na obiad i oczekując nań, (co zdarzało się zawsze wcześniej, niżby tego okoliczności wymagać mogły), Niepołomski zagłębiał się w czarny fotel i czekał bardzo cierpliwie. Obiady podawano punktualnie ze względu na to, że Ewa przychodziła na nie z biura terminowo co do sekundy. Właściwie nie miała prawa wydalać się na obiad, gdyż regulamin na to nie pozwalał. Ponieważ jednak biura kolejowe znajdowały się w pobliżu, umiała wszystko wykonać w pół godziny.

Od chwili otrzymania posady w „Kraftach“ również punktualnie przychodził ojciec rodziny. — Ewa starała się zazwyczaj bawić „obcego“ w czasie oczekiwania na wazę. Wypadało jej siadać w rogu kanapy, w pobliżu fotela. Pięć, najwyżej siedm minut trwała codziennie ta rozmowa, zwana przez urzędnika od Kraftów dyskursem, albo konwersacyą. („Przerwijcie-no, moi państwo, waszą konwersacyę“—względnie „dyskurs“—albowiem waza wjeżdża na stół...“). Ewa posiadała umiejętność zabierania miejsca na niemalstycznej w sposób iście archanielski.

Było to na brzeżku drewnianym — zapewne — ale nie stanowiło przecież zniewagi i pohańbienia dla starej, poczciwej, sponiewieranej kanapy. Zajmując miejsce, Ewa wsuwała się ruchem fali rzecznej z owego miejsca na ziemi, które znał tylko Niepołomski — w zdradzieckie zagłębienia, zawisała na pochyłościach i upłazach, jakby w powietrzu. Nigdy nie bywała tak cudownie piękna, jak wówczas. Miała urok błękitnego obłoku, który zawisł na zrębach i szczerbach skalistej góry. — Może dlatego, że wstydziła się i za siebie i za starą towarzyszkę rodu, a wstydząc się za nią, żałowała jej odrobinę, podobnie jak się człowiek wstydzi prostactwa krewnych, a żałuje zarazem ich upośledzenia. Wtedy to oczy jej nabierały wyrazu, którego Niepołomski tak łaknął i pragnął od poranka do wieczora i od wieczora do świtu.

Zaraz po obiedzie Ewa wybiegała do biura. Wra-

cała do domu po trzeciej, czasami znacznie później, gdy pracowała ponad normę. Wówczas ośmio, albo dziesięciogodzinny czas jej pracy miał tę jedną jedyną przerwę półgodzinną.

Gdy wbiegała do domu, gdy rozległ się dzwonek, zwiastujący jej nadejście szczególnem drżeniem, urwanym, krótkim tonem, wówczas kanarek w klatce przy oknie poczynał głośniej szczebiotać... Łukasz dźwigał ze swego kąta wzrok. Oto szelest jedwabny, oto obraz jej, widny oczom już wówczas, kiedy się jeszcze nie ukazała, czarujące objawienie się jej osoby. Lekko błysnęła klamka... Światło w oczach, zanim weszła... Już jest we drzwiach... Oczy z za czarnej woalki ofiarowane czarnemu kątowi. Oczy, patrzące z za woalki, z pod ronda wiosennego kapelusza! Ledwie znać brwi i rzęsy... Szary płaszczyk usuwa się z ramion. Niewysłowiona jej postać, której piękności suknia nie jest w stanie ukryć, tak dalece, że ta suknia jest tylko uroczą zasłoną... Lekkim ukłonem się nachyla... Widać ją wówczas wszystką w ruchach niezwalczonego powabu, które zdają się wyrywać z więzów sukni. Oczy nie chciałyby jej widzieć nagą, a widzą ją mimo chęci. Spojrzenia obojga rzucają się ku sobie, zwalczając i omijając przeszkody, łamiąc tysiące zapór, wykonywując miliony podstępów. Pięć minut czasu! Na przestarzałym zegarze, którego wskazówki drgają nerwowymi ruchami, widać uciekanie bezcennych momentów. Co chwila z trwogą i żalem oczy obojga podnoszą się, badając zżółkły ze starości cyferblat, na którym stoi wypisana olbrzymiemi literami zczerniała, jeszcze z XVIII wieku zapewne, a niedościgle

trafna sentencya: *Hora perit, mors aderit.* W łańcuchach wag starego czasomierza co chwila rozlega się ledwie dosłyszalny chrzęst i daje wyczuć lekkie drgnienie, znak, że uciekła minuta. Drgnienie to przebiega przez ciała rozmawiających, miga w ich oczach, jak błysk...

Zdawało się obojgu, że nikt na ziemi nie widzi, co się święci, że ani jedna osoba nie spostrzega ich spojrzeń. Byli przekonani, że spoglądają na siebie najzupełniej normalnie oczyma tak zimnemi, jak owe Szopenisko, którego zamorusany biust tkwił na szafie. W istocie—dla pana Pobratyńskiego były „amory“ Ewy zaledwie dostrzegalną a dość miłą zabawką. Widział, jak przez mgłę, owe spojrzenia, ale nie zwracał na nie uwagi. Inaczej „ci devant“ piękność, czcigodna matka. Już pospieszne wyrobienie posady przez człowieka obcego i najwidoczniej hołysza, wydało się jej, kobiecie, co przeszła miliardy utrapień życiowych, zdarzeniem nie bez przyczyny.

Powiedziała sobie: niema karesu bez interesu — i zwróciła baczne oko. Rzecz prosta, że spostrzegła od razu nietylko sam fakt, ale zmierzyła głębokość i siłę zjawiska. Zadrżała w sobie na widok owych nagłych przybladnięć córki, gdy dawały się słyszeć kroki „tamtego“—owych osłupień obojga, gdy się witali, owego śmiertelnego uśmiechu, który zdawał się zespalać światło w wewnętrznych istotach obojga i świecił się z ich ciał, gdy się chwytali i ogarniali oczyma.

Widziała i mimowolne pochylenia postaci i oczywiste tęsknoty rąk, skazanych na wieczną rozłąkę. Sama niegdyś przeżyła miłość głęboką dla pięknego swego

małżonka i była przez szeregi lat pożerana od szatana zazdrości. Znała się na tej sprawie, którą ludzie zowią miłością. Nienawidziła tej potęgi całą duszą, patrzała na nią z dalekiego wzniesienia i pragnęła ocalić córkę od mąk nieszczęsnego uczucia.

Starszą ustrzegła. Wydała za mąż dość szczęśliwie, szybko, bez trudu i korowodów. Zdawało się jej, że nie mógłby się zjawić na ziemi taki człowiek, któryby ją podszedł i dotarł bez jej woli do serca dziecka. Pilnowała umiejętnie, nie jak zimny dozorca, lecz jak czujny kapłan. Strzegła duszy. Stąd to częste napędzanie do spowiedzi, do modlitwy, do rozmyślań i do pracy. Byłaby tego Niepołomskiego, dowiedziawszy się, że jest żonaty i rozwodnik, trzymała za progiem, choćby konał z miłości. Wdarł się, za pomocą wyrobienia posady, do domu, jak wytrychem, i, co najstraszniejsza, miał już w dziecku sprzymierzeńca. Było zapóźno. Mama dobrodziejka wiedziała to już, że jest zapóźno. Musiała (brzydko ale dosłownie mówiąc) przywarować. Powieki jej przymknęły się, ręce opadły. Tylko usta zacięte drgały a drgały...

Przyjąwszy za pewnik, że już ani religia, ani wyklęcia ze świecami i ewangelia, ani bicie, ani znęcanie się sposobami domowymi nicby już nie zmieniły, pani Pobratyńska postanowiła zabezpieczyć córkę od szaleństwa i zguby. Otoczyła ją tedy czujnością iście szatańską. Niemasz na ziemi dyplomaty tak przebiegłego, ani dyrektora policyi o takim sprycie, jakiego dowody (przed samą sobą) złożyła stara dama. Nic się w życiu Ewy nie zmieniło, a jednak była jak w kajdanach, czy

w kaftanie waryackim. Z każdej minuty godzin pozabiurowych musiała się legitymować dowodami rzeczowymi, a godziny urzędowania w biurze były nie do opuszczenia. Srogi mandryl, dyrektor biura, który bez pardonu dawał dymisyę za opuszczanie kwadransów, był tu jedynym sprzymierzeńcem. Ewa nie nadużywała swej swobody. Jej miłość była bezgrzesznem szczęściem. Niepołomski nie szukał schadzek. Od dawna oświadczył się Ewie ze swą miłością i prosił o rękę, ale był skuty dawnym ślubem, więc ani razu nie usiłował widzieć swego bożyszcza poza domem. Wyjątek stanowiły nabożeństwa majowe. Stara matka zabierała na nie córkę, o ile to było możliwe. Łukasz, aczkolwiek nienawidził kościół i wszystkie sprawy jego tak dalece, że, z natury zimny i spokojny, nie mógł mówić o tej materyi bez gniewnego uniesienia, chodził osobno, z daleka, niepostrzeżony na owe, jak mówił, zbiorowe, przedwieczorne figle. Dzieliła go zawsze od Ewy znaczna przestrzeń.

Chóralny śpiew pieśni polskich, znanych tak dobrze z dzieciństwa, obecność mnóstwa młodzieży, uroczych kobiet w jasnych sukniach, kwiaty w ręku wszystkich, szczególny zapach bzu, więdnącego szybko w gorących dłoniach, na piersiach kobiet, przy ustach ludzkich, buchający z ołtarzy zapach róż — wszystko to wywoływało szczególniejszy nastrój. Zbiorowisko ludzkie w kościele było dla Łukasza tak samo obce, jak obceby mu były rozkwitłe trawy na wielkiem błoniu nadrzecznem.

Cóż miał wspólnego z tymi wszystkimi ludźmi,

śpiewającymi i rozmodlonymi? Nic zgoła. Ogarniał go tylko urok masy żyjącej, rozbudzonej, w której tętni i buja życie obce, a napoły znane—właśnie, jak życie rozrosłych traw na łące. Ale oto cicha akompaniująca muzyka organu nagle się urywała.

W płynną melodyę pieśni, która przypominała plusk fal górskiego stawu w kochanej stronie—jakoby olbrzymi prąd wichru uderzały potężne akordy i poczynały lecieć przez człowieka strugami deszczu, zimna, mrozu.

Krew spłoszona wstrzymywała się pod sercem. Tytaniczny głos tonów, bijących pożegnanie życiu, przerzynały to tu, to tam spazmy i płacz samotnych piszczałek. Żałośnie wołały, wołały w pustyni, nad jeziorem podziemnem, w kraju ciemności.

Wtedy poczynał szukać znajomego kształtu i drogiej barwy czarnego kapelusza z obszernem rondem. Widział ją nieruchomą, z oczyma spuszczonemi, bladą i zastygłą, jakoby jedną z figur symbolicznych tego kościoła. Suknia jej czarna, spadająca aż do płyt posadzki, wlewała się w oczy czarną falą i dreszczem żywym, rozkosznym ponad wszelkie słowo przechodziła wskróś ciała. A każdy fałd tej sukni, każde załamanie, każda krzywa linia atłasu, obejmującego ramiona, stawała się linią najwyższej piękności, symbolem jej ostatecznie wiernym. Łukasz przezierał wówczas, co Ewa czuła. Wiedział, że ta muzyka, od której ściany kościoła zdają się giąć i falować, a wyniosłe filary drżeć od tego samego, co biegnie w nim, wzruszenia—sprawia i w niej zamęt, zniszczenie myśli i chaos. Wiedział, że

ona tak samo, jak on, nic w owej chwili nie wie, że jest poddana prawu muzyki, która jest mową duszy. Wiedział, że Ewa słucha, jako i on, mowy swej duszy.

Tony uderzają w duszę, jak pioruny w ciemności nocy. Przy ich niewstrzymanym blasku widać mgnieniami oślepiająco jasno ziemię i niebiosa. Ale czyż to jest ziemia, biedna ziemia nasza, siedlisko synów Adamowych, gdy ją widzimy świetlaną w połysku gromowym? Śnią się dalekie, dalekie słowa Apostoła: „Wziął Anioł kadzielnicę i napełnił ją ogniem z ołtarza, rzucił ją na ziemię, a stały się gromy i głosy, błyskawice i trzęsienie ziemi"... Byli w takich chwilach oboje, jak wędrowcy, co się w nocy piorunowej spotykają twarzą w twarz i oblicza swe, znagła wytrysłe z przepaści nocnej, widzą wśród błyskawic. Radość! Życie! W obydwu duszach zgiełk uczuć, rozruch myśli i lot postanowień, nie wiadomo jakim sposobem powstałych, nieznanych wcale a nieodwołalnych i raz na zawsze zrośniętych z istotą duszy. Łukasz wpatrywał się szalonym wzrokiem dopóty, aż tamta głowa *musiała* się odwrócić. Zamglone oczy przybywały go nawiedzić jakoby widziadła z tamtego świata. Wolno spływały na nie rzęsy, a po ich cieniu zstępować się zdawał bezcielesny powiew - anioł miłości. Trwało to krócej, niż westchnienie, pozdrawiające anioła. Łukasz zamykał oczy i pozostawał w swej ciemnicy. Wzbijała się znowu dokoła niego muzyka, wybuchały posępne pieśni o śmierci, które zdawały się, jak Samson z posad ruszać filary gotyckie, a grubymi wybuchami przetrącać sklepienie nawy. Krążył tłum ludzki.

Dusza jego składała się wówczas z dwu połowic— z Sarasvati oszalałej i Niżdali zamykającej powieki, dwu sióstr, zakochanych w Krysznie, ogarniętym przez miłość wieczności. Wraz ze zniknieniem Ewy znikała Sarasvati zostawała Niżdali, widząca jasno we wnętrznościach duszy. Stał w milczeniu i wychodził w milczeniu, obojętny na wszystko, ze spuszczonemi powiekami, bacząc na to tylko, żeby nie utracić lazurowych oczu, które widział tak jasno a niewiadomym sposobem kędyś w toniach własnych źrenic.

Poza tem widywali się tylko w czasie obiadu. Tak okrutną dla siebie zasadę ustanowił Niepołomski.

Postanowiono również, żeby nie mówić do siebie nic takiego, coby mogło zdradzić cień cienia istotnych uczuć. Okazało się wszakże, że rozmowy obiadowe, a raczej milczenie w ciągu tygodni, nie jest do zniesienia.

Łukasz powiedział to w dzień, o którym mowa.

Ewa potwierdziła, że tak jest w rzeczy samej. Wtedy szeptem „przedobiednim“ oświadczył, że uczynił pewien wynalazek: przybił na drzwiach wejściowych puszkę do listów a nad nią umieścił swój bilet.

— I cóż z tego?—spytała.

— Tam będę znajdował listy pani.

— Moje listy!..

— Tak. Gdy Wasza Przecudność będzie szła na obiad, z biura...

— Ach tak... Prawda... Doskonale! A ja?

— Tu, w domu, nie może pani mieć moich listów.

Ktoś może przejąć. Jest to rozkosz nad rozkoszami czytać cudze listy miłosne...

— Nie mogę. Ani jednego listeczka!

— Będę pisywał miejską pocztą do biura — nie często, żeby nie wzbudzać podejrzeń woźnego, który będzie pani listy doręczał. Za każdy list duży pieniądz woźnemu.

— Dobrze, Galeotto...

— A czy zadowolona z pomysłu?

— Dziękuję, dziękuję... Ach, jak dziękuję...

„Ilekroć pomyślę, że to, co tu piszę, Pani czytać będzie, pióro mi w palcach drży! A przecie sam pragnąłem szczęścia pisania do Pani i sam tę łaskę wyprosiłem. Więc napiszę wszystko i tylko samą prawdę, nic nie zataję, uczynię przed Panią zeznanie prawdy i wyznanie duszy!.. I, jak w psalmie Dawida—„serce przewrotne odstąpi odemnie, a o złe nie będę dbał“. Dlatego to pióro mi w palcach drży. Otworzę moje życie i stanę przed Panią, moim ołtarzem. Nic nie może się równać z rozkoszą tego posłania do Pani i nic nie może być męką głębszego rodzaju nad niemoc wyrażenia w słowie. Ale wzniesienie się z barłogu swego i ta radość, że wstanę, jak duch, i pójdę ku duchowi. Trzepocą się we mnie słowa niezwyciężone, ptaki cudnopióre, a ręka drży i opada, gdy je wypuścić i posłać do Pani przychodzi. Pani natchnęła mię łaską szczerości. Czarodziejskiem dotknięciem kwiatu powiedziała jej pani: wstań szczerości! Mogę otworzyć oczy i wi-

dzieć oczy Pani — o, rozkoszy! — oczy, „w których niemasz zdrady“? Czy pojmuje Pani to słowo bezmiernej czci dla człowieka — „w którego oczach niemasz zdrady“? Bo zdrada jest wszędzie, we wszystkich ludzkich duszach, we wszystkich ludzkich oczach. Nią się ludzie żywią, jak chlebem. Ona jest najpospolitszym ich czynem. Gdy ją wykonywują, ogarnia ich najwyższa rozkosz, bo wtedy wysila się, pręży i na najwyższy stopień wstępuje ich rozum — gdy jej doświadczają, najbardziej cierpią, bo wtedy do najwyższej granicy dochodzi ich uczucie. Zdrada jest powszechna, jak oddech. A w Pani oczach, jak w sercu dziewic czystych, o których mówi święty Jan—„niemasz zdrady“. Obudzę się jutro i z ufnością westchnę: jej serce wierne jest, jak serce rycerza. Ręka jej podana—to uścisk honoru. Spojrzenie jej—to spojrzenie na sztandar. To, co wyrzekła—wyrzekła. Jakież to szczęście przyjść do tej duszy i stanąć przed temi oczyma! Wszak to w tej chwili spełnia się niedościgłe, wykołysane przez tajemnicze zmagania się i męczarnie ducha Indyi:—„*ja— jestem — ty*“. Weź moją szczerość, najwyższy skarb i największe dostojeństwo człowieka! Powiem to, co jest we mnie zamknięte, czem żyję... Idę przez łazienkowski park. Czekam na Ciebie, choć wiem, że nie przyjdziesz. Chłodny poranek. Mży lekki, mglisty deszcz. Czasami przelata wiatr i korony drzew szeleszczą. Tęsknię za Tobą. Otwiera się moja dusza, jak się nigdy nie otwierała. Przyjmuję w siebie Twoją duszę. Pójdźmy... Zstąpimy ze stromego wzgórza—ramię przy ramieniu—w ciemną aleję. Stopy Twe idą po piasku, pra-

cowicie zdziobanym przez deszcz. Wszystkie słowa, które do mnie mówisz, zapisane są w mojem sercu. Powiem Ci, w co ja jedynie wierzę, czego się jedynie boję, czego zupełnie nie wiem, co będę czynił na tym świecie. Wszystko Ci oddam, powierzę Ci najtajniejszy sekret, bo w oczach Twych niemasz zdrady...“

„Na dziwnie przezroczystem, szafirowem niebie zapalają się jedna po drugiej gwiazdy —latareńki mojej tęsknoty. Podnoszę ku nim oczy z myślą pogodną i szczęśliwą. To samo niebo jest nademną i nad Nim. Nie płaczcie nademną ciche gwiazdy-siostrzyczki... Czyż nie mam, jak i wy, daru Wszechobecności?“

„Przekonałem się w ciągu tych niewielu dni szczęśliwych, że miłość jest tworzeniem, że jest absolutnie nową emanacyą, że jest doskonałą syntezą wszystkiego, którą duch z zewnętrznego świata wyłamuje i na swoje wyłączne dobro obraca. Kiedy Pani wychodzi z obrębu tych ścian, kiedy Pani niema w tym domu!... Napróżno mówić... Czemże jest świat bez Pani! Świat bez Pani! A jeśliby kiedyś zginęła dla mnie ta miłość? A jeśliby chciała odejść i nie wrócić? (Bo człowiek powinien wszystko wiedzieć...) Wmyślam się i wwiaduję w taki stan, kiedy Ciebie niema. Nie! Tego nie można pomyśleć! Tego serce nie może uczuć. Tam już niema uczuć i niema myśli. Tam już jest tylko lęk. Ja się nie lękam niczego, pogardzam śmiercią — tylko lękam się,

że może zaprzestać istnieć Twoja miłość. To jest kres. Tam byłoby już tylko przeczenie bezzasadne, rozkład ducha na cząstki i pierwiastki, byłoby samo tylko badanie zimne i roztrząsające, a bez planu, bez metody i niewiadomo, dla jakiego celu. Tam byłoby czekanie wieczne bez nadziei, zasłuchiwanie się w szmery, w szelesty... Tam byłoby tylko bicie serca, pędzące wbrew woli i wiedzy rozumu. Bądź pozdrowiona!"

„Przyszły do mnie kwiaty, by opowiadać wonne fantazye swych płatków. Układają się w przedziwne gamy i z niedosłyszalnym szelestem przepływają w gamy inne, by ukształtować jeszcze wyższy obraz piękności. Róże czerwone, pełne trójce barw — jaśnień, róż żółtych, ledwie rumianych i ponsowych... Zbyt płoniecie, o róże, zbyt jesteście kruche i nieoporne, a niezniszczalne jesteście w pięknie bez granic! Jaśnienia, Jasności, Jasnostki, Ponsy, Szkarłaty! Położę was, róże moje, na białem wezgłowiu chorego, w którego oczach pali się gorączka, w którym targa się serce, a z rozdartych płuc krew sączy się, sączy długą strugą... Więdnijcie, róże moje, gdyż zbyt piękne jesteście! Jesteście, jak pieśń wysoka, niewyśpiewana... Czy nie na tem polega wasz czar, na czem polega urok pieśni, że niema w was smutku rzeczy poznanych i dokończonych, że w waszych ogniach płonie życie?... O, wiecznie niedośpiewana, wiosenna pieśni, o, pragnienie przekwitu, dopełnienia i końca! O, płatki różane, ukrywające przyszłą swą barwność pod szaremi łuskami pąka! Kocham was, róże moje..

Uwiędły róże na piersi zmęczonej, odpoczywającej w poświacie księżyca, wśród bieli tkanin, w wązkim, wysokim pokoju. Dziwnie coś we mnie rozkwitło... Oplątują mię powojowo dziwne drobiazgi, nad którymi tylko śmiechem pobłażania wybuchnąć można. Uprawiam drobiazgowy, dziecinny kult pamiątek, które dawniej lekceważyłam. Wzbiera we mnie hucznie i radośnie moc życia. Czy Pan zauważył, że ubieram się zawsze czarno i biało, albo szaro? To było jedno z dawnych przyzwyczajeń. (Mniszka). Teraz — czasami — chcę gorąco, żeby mię owionęły radość, różowość, błękit, lazur... To, że wogóle mogłam wzrok od wieczności odwrócić i ujrzeć chaos i harmonię życia, przejmuje mię rozkosznem zdumieniem... Proszę pisać swoje listy z pozostawieniem na środku marginesu (tak jak ten list jest pisany). Każę wszystkie listy oprawić w książkę (— najcudniejszą na świecie —)".

„Oczekuję na list mojego adwokata z wiadomością o przyspieszeniu sprawy. Mam mocne podejrzenie, że mój adwokat jest to nikczemnik ostatniego kalibru, ale za to najgorszego gatunku. W dziedzinie badania spraw rozwodowych stałem się tak przebiegłym, że nieraz prześcigam nawet mego adwokata. Mózg można wytresować daleko bardziej szybko, niż konia wyścigowego. Ale nie o tem będę pisał... Powiem Pani o rezultacie wówczas, gdy się to nareszcie rozwiąże, gdy to pęknie. Teraz czekam. Moje obecne życie jest oczekiwaniem. Chwila obecna nie istnieje wcale. Istnieje tylko przy-

szłość. Czekam, czekam, czekam. Dnie, godziny, minuty... Zamykam się pod nieobecność Pani w tym samotnym pokoju, i, żeby nie tłuc się na podobieństwo bezmyślnego wahadła, czytam Szekspira. Obdarty tom znalazłem na dnie kosza, który tu w Warszawie był na przechowaniu u jednego ze znajomych. Nie miałem tej książki w ręku blizko ośm lat. Pamiętam swoje długie nad nim studya przed wyjazdem za granicę. Było to na piątem piętrze, kiedy wskutek rozmaitych okoliczności (a szczególniej wskutek lekceważenia życia), po cztery dni nie miałem w ustach nawet kawałka chleba, ani szklanki herbaty, kiedy byłem obdarty, opuszczony, samotny, zdziczały, jak zbłąkany pies, kiedy zdradził mię pewien „nieomylny“ przyjaciel. Miałem pustą, niezamiataną izbę, łóżko bez poduszki, kołdrę w zastawie. Pisałem komentarze do Szekspira na futrynie okna (w braku stołu, tudzież stołka), atrament wyrabiałem sam z materyałów chemicznych, przyniesionych z laboratoryum. Spałem wśród kości szkieletu, gdyż „jakoby“ zdawałem był wówczas z anatomii. Nie miałem lampy, ani świecy, nikt mi nie usługiwał, nikt mię nie odwiedzał i nikt nie istniał dla mnie na świecie. Miałem z głodu coś w rodzaju gorączki. Wtedy to każdą wolną chwilę poświęcałem Szekspirowi. Za drogowskaz służyła mi historya literatury angielskiej starego Taine'a. Były to czasy, o dziwo! — największego zbliżenia się do siebie, do człowieka i do sztuki. Samotne dnie z oczyma wlepionemi w symbole, pogarda zewnętrzności życia, ostrowidzenie istoty rzeczy człowieczych, dotykanie tajemnic ducha, świętego świętych istnienia, nagiemi igłami

nerwów. Śmiech, śmiech pomyśleć, że niejednokrotnie zaniedbywałem wszystko, nawet laboratoryum chemiczne, nawet możność wystarania się o 14 groszy na kupno wiadomego bochenka chleba, dla tej przyczyny, ażeby nagim, otwartym na oścież mózgiem *pojmować* (co za wyraz!) dwie tragedye w Hamlecie, albo cieszyć się wycofaną na osobność potęgą Lira, albo wszczepiać się w ów świat bajek o rodzie ludzkim, plotek o dziejach człowieka osiadłego na ziemi, ażeby z drwiną na spieczonych ustach przechadzać się wśród owego tłumu, rozdzierać, kiedy wola, tajemnicę życia i zaglądać we wnętrza trumien. Wtedy także *kochałem się* (co za wyraz!) w mojej późniejszej żonie. Nadszedł czas, kiedy rzuciłem to wszystko dla ścisłej nauki o człowieku. Teraz, w ciągu tych dni, tak bardzo podobnych do tamtych dni z „pierwszego kursu“—znowu Szekspir. Oczy padają na wiersze i nie mogą się od nich odedrzeć. Moje wiersze!

Jakimże się to stało sposobem, że ów poeta z przed tylu lat, żyjący i zmarły za ziemiami i za morzami — przeczuł mój dzisiejszy dzień i moją wewnętrzną męczarnię.

„Gdy raz tę różę zerwę — już jej życia
Wrócić nie zdołam; musi, musi zwiędnąć.
Niechże się jeszcze jej wonią nacieszę,
Póki jest na pniu...“

Chodzę po izbie i śpiewam sobie samemu te słowa. Melodye nawijają się na usta wciąż nowe. Nieraz tak dziwacznie silne, że drżę, kiedy lecą przez moje wargi

żeby przepaść w nicości. Gdybym mógł wytłomaczyć, co to znaczy, gdybym mógł wyjawić, co mówi do mnie ten Maur! Nie mogę wyjawić...

„Gdy raz tę różę zerwę — już jej życia wrócić nie zdołam“... Jestem człowiekiem silnym. Ludzie silni cierpią najstraszliwiej, gdyż nikt nie wie, nikt nie zgaduje, jakie w ich spokoju zachodzą postanowienia. Ów Maur był silnym człowiekiem. Chwilami zdaje mi się, że mam w ręce jego szpadę, że mam jego ciało, schłostane od wichrów morskich, a w sobie jego dziką duszę. To też jego męczeństwo miłosne widzę z proroczą jasnością. Szekspir wywłóczy z człowieka zrozpaczoną duszę, jak kreta z nory, i pokazuje wszystkie jej drgawki. Widać wszystko — od słodyczy miłosnej, która jest niemal jawną, aż do tego, co pierzcha i kryje się przed wszelkim wzrokiem. Niektóre jego słowa mają siłę błyskawicy, czy siłę zgłodniałego lwa, który wypadł skokami ze skalnej pieczary i ujrzał w oddali sarnę co ucieka“...

„Położyłam list Pana wśród ogromnych, jak cały stół, rachunkowych szematów, przykryłam go jeszcze większym arkuszem ceduł przychodu. Z wierzchu położyłam czysty arkusik. Miałam pisać... Podniosłam oczy z myślą radosną, że mogę pisać do Pana. Czy Pan uwierzy, czy Pan uwierzy, co się wówczas stało? Oto dwa dzikie gołębie ukazały się w czystym kwadracie okna. Leciały jeden obok drugiego nad Warszawą, chyżo szyły w powietrzu, pod chmurami. Ruch ich skrzydeł ledwie można było okiem pochwycić. Zaczęłam śledzić oczami, co się też stanie. Śledziłam tak długo, długo, dopóki mi nie znikły w błękicie. Widzi Pan... Czyż to jest zwyczajne zjawisko? Nie trzeba mi pisać smutnych rzeczy, których nie rozumiem, nie trzeba martwić słowami „gdybym mógł wytłomaczyć, co to znaczy“...

„Bon vieux marin! franc capitain de haut bord, vous dormiez la nuit, vous — et, le jour, vous vous battiez! Vous n'étiez pas un Paria intelligent comme l'est devenu votre pauvre enfant...“

Słowa, przypominające najwcześniejsze dzieciństwo, wstępną i pierwszą klasę. W notatniku mojej matki. W książeczce, oprawionej w zieloną skórkę ze złoconymi brzegami, były te słowa Alfreda de Vigny. Zachwycały moją wyobraźnię dziecięcą, zachwycały bardziej bezgranicznie, niż wszystko, co mię porywało później. Pierwsze przeczucie i przedpojęcie sztuki... Przez ileż to lat leżały we mnie te słowa.

W dzieciństwie upajałem się niemi, nie wiedząc dobrze, co znaczą, deklamowałem je, marszcząc czoło jak człowiek dorosły, jak straszny dla mnie i tajemniczy Chatterton. Mówiłem je sobie głośno dlatego, żeby słyszeć szelest i harmonię szumnolotnych wyrazów. A dziś oto przyszły znów do mnie — i błyszczą, jak świętojański robaczek w mroku mojej nocy... Ach, ileż prawdy zawierają te słowa! To mój rodzinny dom, lato na wsi, góry, staw, rzeka, cudowna moja matka...“

„Jedna z najradośniejszych chwil mojego życia była ta, kiedy wyczytałam w liście Pana, że we mnie niema zdrady. Tak, niema. Mój list nigdy Panu nie przyniesie nic złego. Wiem to napewno, że nigdy nie wniosę do życia Pana żadnego rozdźwięku, nigdy nie stworzę sytuacyi bolesnej, w której trzebaby coś kłaść na szalę i łamać się. Mówiono mi, że dziwnie nadaję się na siostrę miłosierdzia. I rzeczywiście, czasem samej sobie wydaję się siostrą-mniszką, która dusze ludzkie bierze ostrożnie i pobożnie w ręce, jak biedne, pogniecione, więdnące kwiaty. Pod mojem tchnieniem może się rozwiną zwarzone pąki. Chciałabym być jak biały posąg... Prawda, Panie, że biały posąg, choćby był płaszczem purpurowym okryty, białości swej nie traci?...

Musimy dużo zrobić dla ludzi, tak dużo, iżby szczęściem z dokonanych rzeczy zasypać otchłań rozłąki — jak różami... Prawda Panie? Bo cóż począć? Pan jest Dal, niepochwytna Dal, wyciągająca ręce do mojej Tęsknoty. Idziemy ku sobie — Dal i Tęsknota. Kiedyż spotkają się nasze ręce i kiedyż znowu nastąpi cud, a serce uwierzy, że Dal nie jest legendą... Dwoje nas tylko w czasie i przestrzeni. Prawdziwe i czyste są moje oczy i zawsze będę mogła śmiało patrzeć niemi na Ciebie... Zawsze będę mogła posyłać Ci ten sam błękitny uśmiech pogody. Błogosławioną niech będzie ta droga, która ku Tobie wiedzie, ku zaraniu... Głucha Tęsknota wzywa w mojem łkaniu... Dziś mi się marzy tajemniczy eden, dokąd się wchodzi przez wieki raz jeden... Pośród rumowisk i skalnych okruchów marzę komunię nieskalanych duchów, co się poznały w błysku piorunowym i zapłonęły i świecą dniom nowym“...

„Gdyby dusza ludzka mogła umrzeć i stać się trupem, gdyby dusza ludzka była trupem, a ciało, co je i pije, zostało sobą, byłoby tak z człowiekiem, jak teraz ze mną, Nic przedemną i nic za mną. Kopczyk popiołu leży przedemną na tacy. To Twoje umiłowane listy, panno Ewo. Przed chwilą je spaliłem. Spaliłem Twe listy. Oto, co się stało. Wczoraj była moja sprawa. Przegrałem ją haniebnie, z kretesem. O rozwodzie ani teraz marzyć! Muszę płacić mojej „żonie“ alimenta podwyższone, a to przyszło akurat w sam czas, kiedy jestem już bez złamanego szeląga, owszem, w długach. Adwokat mój radził mi dobrodusznie, żeby wszystkiego już zaniechać. Dać za wygraną. Ponieważ od dawna byłem przygotowany na wszelkie ewentualności, więc ta decyzya konsystorska nie zastała mię nieprzygotowanym. Byłem przygotowany materyalnie i moralnie. I moralnie, panno Ewo! Wyrzekam się Pani, opuszczam Warszawę, przyjmuję miejsce zarobkowe i jutro—to jest nie jutro, tylko, żal się Boże! dziś—wyjeżdżam.

Tak, dziś wyjeżdżam. Dokąd jadę i gdzie będę—nie zawiadamiam Pani i nie zawiadomię nigdy. Jest to mój ostatni list i ostatnie pożegnanie. Tak długo, tak dziwnie długo piszę. Nie znać w tem piśmie człowieka silnego—nieprawdaż? Nie widać potęgi woli, którą lubiłem się przechwalać. A jednak jestem silnym człowiekiem. Jestem jednym z najsilniejszych ludzi na świe-

cie. Nie — nie! Jestem najsilniejszy ze wszystkich ludzi na ziemi! Opuszczam Panią dobrowolnie, świadomie, w chwili tej, kiedy mógłbym Cię ujrzeć za parę godzin, kiedy mógłbym... Dniu straszliwy, pocóżem cię dożył!

Cóż mogłoby być z nami, panno Ewo? Nie mogę Pani poślubić, gdyż mam żonę, z którą skuty jestem aż do tej chwili, kiedy żyć przestanę, albo kiedy ona żyć przestanie. Kocham — ach! — nie kocham, lecz czczę w Pani wcielenie czystości, uwielbiam ducha Twego, otaczam najgłębszymi honorami Twój honor. Jestem jak oficer, który ma powierzony sztandar armii. Mógłbym Cię kochać w tajemnicy, oszukiwać, zdradzać, podchodzić Twoich rodziców, może nawet, może nawet... Nie, nie będę Twoim kochankiem! Oddałem losowi moje szczęście, jak oficer zwyciężony oddaje szpadę nieprzyjacielowi. Nie zobaczę Cię więcej. Widziałem rozpacz i trwogę w oczach Twojej Matki, panno Ewo, i wziąłem samego siebie za gardło z krzykiem: byłbyś ostatnim gałganem, gdybyś nie odszedł. A zresztą — mówię całą prawdę: Matka Pani błagała mię, żebym Cię nie gubił. Przyrzekłem, że się usunę. Usuwam się. Dla tego to—niech Pani o mnie zapomni...

Może po latach życia, może po śmierci, jak poeta wierzy „u Boga w niebie, po wiekach wieków kiedyś spotkam Ciebie i tam przynajmniej odetchnę wraz z Tobą"... Czarowne, dziecięce złudzenie! Mój męski rozum wie, że nie spotkam przecie Pani „u Boga", nie spotkam nigdzie i nigdy.

Oparłem przed chwilą na ścianie ręce, czoło, usta.

Szlochałem. Żegnaj! Pisałem w jednym z listów za dni szczęśliwych, kiedy jeszcze świeciła mi jutrznia nadziei, że proces wygram—pisałem urywek z Otella... Jakże to dla mnie w tej chwili straszliwe wspomnienie! Wówczas, gdym to pisał, błąkała mi się w duszy obawa tej chwili. Dziś przyszła sama rzecz! W tej chwili zabijam Cię, jak Otello. Stokroć gorzej, niż Otello! Tamten zabił i mógł wiedzieć, czy słyszeć na dnie więziennego lochu, że trumnę zabito i oddano ziemi.— I nic już niema! A ja?

Ja zabijam, ale usłyszę w mem miejscu wygnania, po dniach, miesiącach, czy latach, że wyszłaś za mąż.

Dosyć — och, dosyć! Dosyć, bo mi się wydaje, że nie włosy mam na głowie, lecz języki płomienia.

Latam w pokoju i dlatego tylko nie duszę się rzemieniem od kufra, który obok mnie leży, że jutro— nie! że dziś, za parę godzin muszę odjechać.

Jechać! Dzień ten świtający podleciał do mnie, jak z dawien dawna ukartowana zasadzka, jak straszliwa pułapka. I oto ja sam, ja sam przyczyniłem się do tego na siebie wyroku. Ja sam, dobrowolnie Cię rzucam! Czyżem oszalał?! Ja sam! Uszanuj we mnie to męstwo niezbłagane, jak śmierć. Gdy już zapomnisz o wszystkiem, gdy już będziesz cudzą, o tem jednem nie zapomnij, bo to było—przysięgam na moją duszę!—ponad wszelkie siły człowieka. Nigdy już nic podobnego w życiu nie spotkasz. I ja nic już takiego w życiu nie spełnię.

To jest we mnie olbrzymie.

Nie dotknąłem ustami ust Twoich. Nie dotknąłem

ustami nawet Twej ręki. Ust Twoich... Poznałem Cię czystą, jak górskie wody, białą, jak śniegi krótkotrwałe na cyplach tatrzańskich, ujrzały Cię moje oczy w dniu spowiedzi... Oblubienico aniołów, siostro obłoków! Zachowaj czystość duszy...

Nie mogę wyrzec tej prośby... Zachowaj duszę, która jest naszą, moją i Twoją! Nie! Idź za mąż — i zapomnij o mnie!

Nigdy nie dotknąłem Twoich ust ustami. — Żegnam was, usta, całuję was. Całuję was, prześliczne włosy, przeczyste, bezzdradne oczy. Wolno mi jeszcze tylko to jedno: przycisnąć usta do zimnej ściany, za którą Ty we śnie spoczywasz..

Wydało mi się, że śmierć swoją ucałowałem w usta.—Ewo"!

Tego dnia, rano, nic nie przeczuwając, Ewa przybiegła do biura i z radością otrzymała list od szwajcara. Jak to się często zdarza w dziejach ludzkiej niedoli, była bardzo, a raczej nadmiernie — możnaby powiedzieć — bezbożnie — szczęśliwa. Miała zwyczaj czytać listy Łukasza nie zaraz po zajęciu swego miejsca, lecz dopiero w ciągu pracy.

Gdy już wszystkie współpracowniczki były przy stołach i biurkach, gdy wszystkie zajęły się rachunkiem, sam pan naczelnik, skrzypiąc lakierami, przewiał do gabinetu, a i ona sama znaczną już ilość swego odrobiła, dopiero wówczas nieznacznie wydostawała z pod

arkuszów *Uczota* umiłowaną kopertę. I tego dnia to samo...

Słodka radość, sekretna rozkosz powoli, w miarę czytania przeistaczała się, przeistaczała niepostrzeżenie w kindżał, nastawiony przeciwko sercu. A serce ustawało w swym biegu, zatrzymało się złowieszczo, porwane przez zdradziecki a nieubłagany wnik nieszczęścia. Sto razy zmartwiałe oczy przebiegły pismo. Jeszcze i jeszcze... Gęsty kopeć osiadł pod czaszką i nie dawał rozumieć. Ale zwolna coś odplatało się w piersiach, odplatało raz wraz...

Wówczas nagłe uczucie, jakby się pod stopami odwaliła ściana domu. Zdumienie na widok zionącej przepaści.

Głowa zwisła nad rachunkowemi płachtami, jak lity kamień. Wszystkiemi siłami Ewa zapanowała nad swą głową, nad rękami, oczyma—i zaczęła spokojnie pracować. Pomimo zimna w palcach i zdrętwienia nóg, pomimo czadu w głowie liczyła trafnie, bez błędów, wpisywała pozycye w rubryki, nie patrząc na tytuły, bez przeoczeń, a z przeraźliwą dokładnością. Słyszała dookoła głowy swej bicie zegarów, rozmowy, wezwania, odpowiedzi, głosy ludzkie blizkie i dalekie i dźwięki rzeczy martwych. O jakimś czaisie, o jakiejś erze bezdennych dziejów tego dnia zrozumiała, że należy, jak zwykle, wyjść. Spostrzegła, że mało już jest osób w biurze.

Zadrżała w sobie. Znowu, jak na początku, ścierpła wewnętrznie. Poza wszystkiem bowiem błąkała się schylona nadzieja, że jeszcze się ten kielich od jej ust

odwróci. A nuż, przyszedłszy do domu, zobaczy, że to wszystko było tylko okropną próbą. A nuż stanie się wszystko znowu, jak być powinno!.. Teraz przed tymi podszeptami litosnej nadziei stanął lęk. Ukazywał w miganiu lustra tajemniczego istotę rzeczy. Przeszywał duszę krzykiem rozpaczy. Zdało się duszy w tych chwilach słyszeć jak gdyby grom poza sobą. Zdało się jej, że zaiste ciemny szatan towarzyszy myślom, jak oprawca więźniom, skutym w żelaza. Szczęśliwe myśli ciosami potrąca i w proch rozbija, a wyszarpuje z mroków jeno te, co są zabójcze, jak kindżał nastawiony przeciwko sercu niewiedzącemu nic a nic.

Wyszła spokojnie, rozdając na prawo i na lewo zwykłe ukłony, uśmiechy koleżankom i kolegom biurowym, portyerom i szwajcarowi. Spojrzenie, oddane szwajcarowi, wybuchło, jak lęk... Szła do domu omackiem, gdyż była zaiste na duszy ślepa. Dopiero na schodach ocknęła się i zachwyciła piersiami dużo tchu. Szła szybko na szafot schodów uśmiechnięta śmiertelnie, zdyszana, pełna męstwa, a z ustami pełnemi słów do Boga.

Ujrzała prawdę i poczuła ją, jak uderzenie siekierą w głowę. Puszka do listów, umiłowana kryjówka serdecznej tajemnicy, arka dusz, droga istota—powiernica—była wyrwana. Gwoździe, które ją przymocowywały, wyważone przez te same ręce, co skreśliły list. Po gwoździach zostały wyłupania w białej tafli drzwi. Ewa poczuła w sercu ból owych wyrwań, czarnych, przeraźliwych jam od gwoździ. Teraz dopiero zatrzęsła się od przerażenia. Stanęła oko w oko z nieszczęściem,

jakby oko w oko z zabójcą, który o ciemnej nocy włamie się do sypialni przez okno. Błyskawicami woli chwytała potrzaskane okruchy męstwa. Dygocącymi niejako palcami duszy przytrzymywała na twarzy cielesnej maskę spokoju.

Nacisnęła krążek dzwonka. Gdy otwarto, ukośnem spojrzeniem rzuciła się na prawo i zraniła po raz trzeci.

Najgłębiej! Pokój Łukasza był pusty. Przez półotwarte drzwi widniały pręty łóżka obnażonego z pościeli. Pchnęła lekko te drzwi—i zajrzała. Obłapił ją za nogi i spętał jęk tego pokoju. Pustka! Bezbrzeżny mrok przedmiotów spojrzał w nią, jakoby wyłupane, krwawe oczodoły.

Ugodziło ją teraz pod serce żegadło zbójeckie.

Skierowała swe kroki do mieszkania i weszła. Rzuciła spojrzenie na twarze obojga rodziców. Matka była zmieszana, pobladła. Dolna szczęka jej twarzy drgała kiedyniekiedy, a oczy były ciemne i głuche pod zsuniętemi brwiami. Ojca trwożne, jakby szpiegowskie spojrzenie, bolesny wywiad detektywa, przesunęło się po wchodzącej.

Jak na nieszczęście była w mieszkaniu zamężna siostra. Opowiadała coś rozwlekle i głupio.

Ewa czuła radość w tonie jej mowy. Poznawała dobrze, że Aniela wie, co się z nią, Ewą, stało. Rozumiała, że owo opowiadanie zimne i głupkowate siostra Aniela umyślnie przedsięwzięła i że będzie się ono wlokło do nieskończoności, gdyż na jej to cześć jest uczta.

Zaśmiał się w niej szatan.

Obrzuciła wszystkich wejrzeniem i spokojnie zdjęła kapelusz. Zwracając się do matki, spytała:

— Obiad prędko?

— Cóż ci tak pilno? — wtrąciła natychmiast Aniela.

— Pilno mi.

— Hm...

— Łukasz Niepołomski wyprowadził się? — spytała Ewa, zwrócona wciąż do matki.

— Wyprowadził się — odpowiedziała stara pani.

— Wyjechał zupełnie z Warszawy?

— Wyjechał z Warszawy.

— Czy był tu z pożegnaniem?

— Był.

— Kiedy wyjechał?

— Dzisiaj.

— A dokąd?

— Nie wiem tego.

— Nie mówił mamie?

— Nie mówił.

— Cóż miał mamie mówić takie rzeczy? Co to kogo obchodzi, gdzie taki facet jedzie... — wtrąciła Aniela.

Teraz Ewa zwróciła się do niej z niespodziewanym dla samej siebie pociskiem słów.

— Wściekasz się, co? Gryzie cię widok, że ci już piersi obwisły, żeś już kwoka łażąca tam tylko, gdzie Władek każe, żeś już półklępie, baba—a ja wciąż jeszcze ta sama! Smutne to rzeczywiście. Żal mi cię, kwoko. Już zębów nie można suszyć po całych dniach

do każdego lokatora po kolei. Jak mąż spojrzy, ciareczki po plecach latają. Już piersi wystawiać na nic się zdało, oczami strzydz—to samo. Nikt już nie leci na takie wdzięki...

— Zwracam uwagę—ozwał się nagle pan domu, milczący zazwyczaj czasu trwania sytuacyi naprężonych—zwracam uwagę... Jedno słowo Niepołomskiego i Kraft *turnie* mię w ciągu jednej godziny.

— Komuż ojciec zwraca uwagę?—spytała Aniela z bezczelnością osoby wyzwolonej, samoistnej, obcodomowej i moralnej.

— Zwracam uwagę tych wszystkich, komu na tem zależy, żebym miał miejsce tak krwawo zdobyte...— mówił wciąż tonem niezwykłym. Twarz miał zmalałą do wielkości ściśniętego kułaka, pomarszczoną i pełną arcyśmiesznej grozy.

— Już tam ojciec, oczywiście, „wisi na włosku", już tam pewnie pod ojcem „doły kopią".

— Milcz! Moja rzecz... Kopią doły, czy nie kopią—moja rzecz. A ty milcz!

— Tylko patrzeć rychło przyjdzie wylany, tylko patrzeć... — mówiła matka, zwracając się jedynie do Anieli, jakby tylko ta Aniela była w pokoju, a obok niej nie było nikogo.

— Ale będzie pretekst...—perorowała tamta z bystrością i logiką.—To dlatego, że się Niepołomski wyprowadził... „Jedno słówko Niepołomskiego i Kraft"...

Stary pan jadł suchą, przedobiednią kromkę chleba, obojętnie i systematycznie. Przełknąwszy piąty, czy szósty kęsek, rzekł wyniośle:

— Wtedy dopiero będzie wiadomo, co się wykonało. Ale wtedy dopiero, gdy już będzie zapóźno. Wtedy dopiero nadejdzie żal, lamenty, awantury i inne opery.

— Cóż to wszystko ma znaczyć, filozofie z pod Bachusa? Co to ma znaczyć?—zaczęła nastawać matka, odkładając na bok wszelkie względy i zabierając się do ataku.

— Powiedziałem!

— Powiedz wyraźnie! Wyraźnie, niech wszyscy słyszą!

— Powiedziałem wyraźnie. Proszę o zupę. Nie mam czasu na interwiewy. Biuro nie czeka...

Wniesiono zupę. Ewa nalała sobie talerz i szybko jeść zaczęła. Widziała, jedząc, błysk noża, leżącego obok talerza. Ręka jej drgała, żeby go pochwycić i pchnąć w piersi siostrę Anielę. W głowie miała milczący wrzask namiętności skupionych w jedno. Coś w niej rozrywało się zwolna, jak powróz, na którym zawisł ciężar tysiąca pudów. Z pośpiechem, ale spokojnie zjadła obiad, włożyła kapelusz i, nie żegnając się z nikim, wyszła lekkimi kroki.

Niby przypadkowo wyszedł za nią tuż-tuż ojciec. Pokasłując i pomrukując, dreptał obok, plątał się to z prawej, to z lewej strony. W bramie coś tam zaczął mówić. Ewa nie słyszała, nie była w stanie słyszeć, co mówi do niej ten stary człowiek. Udawała, że turkot uliczny przeszkadza odróżniać słowa. Rzuciła spojrzenie w sposób przykry. Powzięła w siebie, jak przez mgłę,

wzrok rozmarzony, oczy zaczerwienione, pełne łez i uśmiech—żal.

Ale w niej nie było miejsca na przyjęcie tych uczuć.

Doznała podwójnej przykrości na widok twarzy i oczu tego człowieka obcego jej w tym momencie. Powiedziała jakieś zdanie, szereg szybkich wyrazów, o których nie wiedziała, czem właściwie były, i odeszła w swoją stronę.

Niosły ją nogi ulicami. Posuwała się, nie widząc ludzi ni rzeczy. Praca jej ducha polegała na opanowywaniu wybuchów świadomości. Wybuchy te możnaby przyrównać do nagłych ciosów halnego wiatru, który bije skrzydłami w ciszę nie wiadomo skąd, a z nagła ustaje, nie wiadomo dlaczego i jakim sposobem. Serce zamierało, doznając wciąż ścierpnięcia śmierci. Ręce szukały oparcia. Z chaosu wyłaniał się żal czysty — okrutne, martwe, ślepe uczucie. Był on niby systemat bezzębych, tępych pił ze stali, który niestrudzonem tarciem na tafle rozpłatać potrafi całkowitą bryłę marmuru, bezkształtny, dziewiczy kloc, stworzony przez wieki wieków we wnętrznościach ziemi. A w pracy tego żalu, jak w pracy pił bezzębych była głęboka mądrość, niby mądrość, ukryta w słowach duńskiego królewicza, wpatrującego się w ogniłą czaszkę śmieszka Yoricka.

W biurze zajęła się usilnie pracą. Rachowanie, konieczność utrzymania myśli w karbach, w stalowych klubach, było dobrym przewodnikiem dla wichrów, huczących w duszy.

Godziny biurowe szybko przeszły. Ewa nie chciała wierzyć własnym myślom, że już skończyła się praca.

Wyszła ostatnia. Zadała sobie pytanie, co robić z resztą tego okropnego dnia. Nagle przyszła jej do głowy mała myśl—jak gdyby w mózg wpadło ziarenko szaleju i zrodziło myśl—że wczoraj mogła pisać do Łukasza, a dziś nie może już pisać, bo jego już niema. Ta jakby nowa myśl zjeżyła jej włosy nad głową. Tłok popołudniowy ludnej ulicy warszawskiej zagarnął ją w siebie, jak sieć zagarnia rybę. Dała się ciągnąć tłumowi, jakiemuś skrzydłu wielkiego włoku ludzkiego. Nie umiała zdać sobie sprawy, jakim sposobem i kiedy znalazła się w parku. Poszła na miejsce pierwszego spotkania z Łukaszem. Niosła tam coś jakby skargi na niego do miejsc, dróżek, drzew... I tam był tłum nadwieczorny. Ławki pozajmowane, pył w powietrzu, szelest sukien, gwar rozmów. Ludzie w tem miejscu. Ewa zatrzymała się obok pewnego drzewa, w miejscu, skąd widać było ławkę. Oczy jej chore z nieszczęścia, oczy, nie pragnące nic widzieć, oczy ugodzone—poszły ku tamtemu miejscu.

Miejsce to samo, tylekroć widziane, przedmioty obojętne—wszystko na całym świecie przemieniło się w jedno niezmierzone żalisko, pełne urn i mogił dla nikogo niewidzialnych. Nie podobna było tknąć wzrokiem żadnego przedmiotu. Minął już czas rzeczy tych. Stały się sobą, czyli przestały istnieć.

Nastał zmierzch jasności tych rzeczy wybranych, wyniesionych przez duszę czującą na wysokość symbolów.

Wszystkie odziewały się teraz w szary kir rozczarowania. Och, jakże teraz łkały drzewa, wytrącone z łaski serca osieroconego! Jak żałobne stały się drogi, ulice, aleje, trawniki, gaje i klomby. Stary dąb, ukochany, powiernik, brat... Dalekie korony drzew...

Noc nadchodziła. Straszliwa noc! Pozbawiona czaru, nie była przybytkiem, świętym kościołem miłości, lecz nadchodziła zdala, jakoby pustynia mroku zemstą ziejąca, otchłań lęku i morze bezgraniczne zatracenia.

Dźwięk—*niema*—straszliwy dreszcz rzeczy martwych przewijał się w szmerze ludzkim, w wietrze, w szeleście liści... Wynurzała się zewsząd potworna i bezdenna nuda, która załamuje najmocniejsze ręce, wstawał głód duszy nie do zniesienia, który nie ma czemby się zaspokoił na całym szerokim świecie. Pustka wokoło niema i głucha, a poza nią wszystko wbite w ziemię. Ustała w świecie wszelka praca. Skostniało przedziwne życie ziemskie, które było radością czuwającego ducha i zdumieniem młodocianych oczu.

Upadła olbrzymia siła i skazana została na próżnowanie i zanik. Wykluczone było z tego obrębu wszelkie marzenie. Rzeczywistość, która była minęła, przewyższyła wszystko, co mogłoby się zawrzeć w najśmielszem marzeniu. Ta rzeczywistość była odkryciem nowego świata, o którego istnieniu nie było wiadomo nic, nigdzie, nikomu. A teraz ta rzeczywistość, ta obiecana ziemia, przestała istnieć bardziej bezwzględnie, niż znika sen po zbudzeniu. Były chwile, że Ewa szarpała ręką rękę dla utwierdzenia się w pewności, że wszy-

stko, o czem myśli, jest w istocie, a ona wszystko dokładnie pamięta. To nie był sen. Wzamian nasuwał się dawniejszy świat. Tłoczyły się zapomniane rzeczy, sprawy, myśli z przed tamtego zdarzenia, z przed dnia spowiedzi i poznania Łukasza. Stały się teraz te rzeczy złowieszcze a nieprzebłagane. Otoczyły duszę, jak zemściwy tłok szachrajów, którym prawo pozwala bełkotać o zyskach. A prawo to — nadał im Łukasz. On! Gdzież tu iść? Jak tu żyć?

Poprowadziły ją dokądś samopas błądzące kroki. Z podniesioną głową i z mgławicami źrenic w oczach, szła, dumając o sobie, jakby o czemś nazewnątrz bytującem.

— Kto ja jestem? Co ja czynię?—pytała samej siebie, zanurzając wywrócony wzrok w ciemności wewnętrzne duszy. I odpowiadała samej sobie przez gęstą kratę wewnętrznych łez w tej rozmównicy opuszczenia:

— Jestem samotna, pogardzona dusza. Jestem bez przyjaźni i pomocy. Stałam się, jak rzecz bez wartości na nic nikomu.

Wszyscy ludzie widzą mój grzech, który w sercu popełniam i który pragnę popełniać — bez końca, bez końca.

Tak mi dopomóż Panie Boże mój! Ty mi dopomóż, który wszystko żyjące miłujesz, Ty, co jeden wiesz prawdę... Grzech mój jest błękit, który mię ogarnął — Ty wiesz! — który mię ramionami otoczył — Ty wiesz—opasał, objął. Grzech mój jest—oczy — i szelest — i dźwięk przyciszonej mowy. Kocham mój

grzech w sercu leżący i nienawidzę wszystkiego, co mię odeń odwodzi. Poza nim jest zgniła ciemność i odrażająca śmierć.

Grzech mój jest krzywa linia rozkwitłych bzów, liliowy hymn, co się w zieloną ścianę drzew tulił, gdym czekała... Grzech mój to szelest brzozowych gałęzi, szelest niewysłowionego powabu, gdy wtedy łagodny deszcz go uciszał. Słysząc go, nie słyszałam; a teraz przyszedł na serce moje... O, mowo brzóz tamtych poranków czekania!

Zwarte krzewy, coście się usuwały za wiatrem, kiedy miał przyjść, a nie przychodził...

Gdzież tu na świecie szukać ratunku? Do kogo iść i w którą stronę?

— Nikt mi nic dopomódz nie może, ani poradzić. Jestem obarczona ciężarem ponad siły. Smutek wytarga ze mnie wszelką moc. Wszyscy widzą moje omdlenie, przepatrują mój grzech ukryty i sprawia im to nędzną radość. Chcieliby pokrzyżować w ciemności drogi, przestawić znaki, zmylić sens myśli moich. A nadewszystko wyrwać serce, wyrwać serce... A ci, coby mi pomódz chcieli — nie mogą. Jest to sprawa między mną, samą jedną i moim losem. Los wygrał sprawę. A ja moją dolę przegrałam. Jestem skazana... A cóż z tego, że nieszczęśliwy jest więzień skazany i litość budzi, kiedy osądzony jest i przeklęty?

W tej chwili, gdy tak szła, niosąc w sobie bezlitosne i miłosierne moce, co jak siostrzyczki za umarłą siostrzyczką płaczą, albo jak zbóje w karczmie wśród

publicznych dziewek szydzą, znowu trafiła pamięcią, jak gdyby w wybuchową minę na te słowa listu:

„Nigdy nie dotknąłem ustami ust Twoich, nie dotknąłem ustami nawet Twej ręki“.

Porwał ją krzyk i białowargi szept tych wyrazów, dwa symbole jednoznaczące niewątpliwej prawdy.

Ujrzała całą ich głębokość i ogrom, może bardziej niezmierny, niż go widział ten, co pisał.

— To prawda... — szeptała sobie, brodząc przez chichot, idąc wciąż w świat. — Nigdy nie dotknąłeś ustami moich ust. Ani ja twoich.

Za prawdą tą taiła się, jak hyena, chwila obłąkania z rozpaczy. Obrażała teraz Łukasza tysiącem krzywdzących podejrzeń i tysiącem posądzeń. Wbiegła w bramę jakiegoś domu i oparła o mur głowę, bo coś w tej głowie kipiało i paliło czaszkę, a myśl wysadzało z kolein rozsądku. Wywinęło się znikąd (wówczas, gdy tam stała) proste i rozumne marzenie o śmierci. A w marzeniu tem była słodycz — i ani cienia bezmysłu. Był to wyłom, którędy można wyjść z labiryntu potwornych ruin, szczelina, wskazana przez dobrotliwą rękę ohydnego żebraka, co w rowie, między pokrzywami spał... Bez tej myśli o śmierci nie mogłaby już żyć. Teraz na wiotkich skrzydłach cichych rozmyślań o rodzaju śmierci, o jej miejscu i czasie, poczęła kołysać się w przestworze nieszczęścia.

Szła ku domowi zadumana z oczyma zatopionemi w olbrzymiej pustce niebios. W pobliżu domu przypomniała sobie inny werset straszliwego listu.

Powtarzała szeptem:

„Jestem jednym z najsilniejszych ludzi na świecie. Nie — nie! Jestem najsilniejszy ze wszystkich mężczyzn na ziemi“.

I te słowa stanęły przed nią nie jako dźwięki, lecz jako oczywista i dotykalna, niemal bryłowata postać prawdy samej w sobie. Zadrżała w obliczu tej prawdy i byłaby gotowa upaść na twarz przed jej majestatem.

— Jesteś najsilniejszy na świecie — szeptała w zachwyceniu. — Rzuciłeś mnie, mnie, którą tak kochały Twoje czarne oczy! Mnie, która byłam w Tobie i byłam Tobą. Wyrwałeś mnie ze swej piersi, jakbyś serce bijące wyrwał sobie nieustraszonemi rękoma.

— Usta do zimnego wapna ściany, za którą spałam, przykładałeś na pożegnanie. I całowałeś śmierć. A ja nieszczęsna nie wiedziałam! Czemużem się nie ocknęła i nie uczuła, co robisz! Nie zechciałeś widzieć mię więcej. Ostatniego spojrzenia odmówiłeś i mnie i sobie. O, jesteś silny! Przed Twoją milczącą wolą nie mogłoby się oprzeć nic ani na ziemi, ani na niebie. Ty panujesz nad ziemią, nad sobą i nade mną. Jakże cię uwielbiam! Kazałeś mi zapomnieć, a Twój ostatni uczynek nie prowadzi do celu! Panie mój! Twój rozkaz — tylko ten jeden — nie będzie spełniony. Przenigdy! Umrę. Będę tak samo silna i mężna, jak Ty. Gdy trupa mego wywloką z dołu śmierci i rozpoznają, przeczytasz sobie o tem w gazecie. Będziesz wiedział, coś zrobił! Wtedy wszystko zrozumiesz, Ty, silny, coś zrobił. Ty, coś nigdy nie pocałował mię w usta...

Pomimo, że wróciła do domu o parę godzin pó-

źniej, niż zwykle, nie pytała jej matka, gdzie była i co robiła.

W pokoju było ciemno. Stary pan siedział przy otwartem oknie. Kulawy samowar jeszcze sapał w ciemności. Ewa nie piła herbaty i nic nie jadła. Szybko rozebrała się, nie zapalając światła, i zajęła swe legowisko za parawanem. Pierwszy to raz w życiu wydało jej się w tym domu podle i nędznie. Wieczór był parny. Czuła zaduch mieszkania i podwórza, odczuwała fizycznie nędzę plugawego bytowania. Okryła głowę lekką kapą, jakby chcąc ukryć przed sobą świat. Porwał ją wnet nagły sen, twardy sen młodości zmordowanej przez nieszczęście.

Upadła ciałem i duchem, niby kamień w bezdenną toń czarnej wody. Nierychło w nocy—z tego niebytu, z czarnego otworzeliska głębiny począł wywijać się sen dobrotliwy o czemś niebywałem, o czemś innem od naszego ziemskiego świata. Zaniosły ją tajemnicze potęgi na inny świat, prawdziwie na inny glob, na odosobnioną w przestworach ziemię. Czuła lekkość w sercu swem, jak po długotrwałym płaczu w samotności, gdy się uśmiechnie znowu dola.

Nic nie wiedziała o nieszczęściu swem, ani o męczarni serca. Snu tego nigdy później nie mogła sobie uprzytomnić ani przypomnieć. Wiedziała tylko o błogosławionej rozkoszy, która była w nim od początku do końca.

Aż oto dotknęło ją nieubłaganą ręką przebudzenie.

Siadła w kuchni na posłaniu i chciała dłonią powstrzymać łoskot serca. Jeszcze nic nie wiedziała...

Pierwsza myśl wionęła ku niej z ciemności, jak czyjś czarny szept:

— Łukasza niema!

Objęła ją rzeczywistość rozpaczy obiema rękami za rozpuszczone sploty włosów. Zanurzyła w nie mgliste, chude, koślawe palce. O, któż opowie o wybuchu, powstającym znikąd, z dna serca! Podniósł się niepowstrzymany, niezapowiedziany niczem, na obraz drżenia, co wstrząsa skorupę ziemi przed wylewem wulkanu.

Ewa trzęsła się w potach, błagając, żeby tylko aby ten wybuch przeszedł szczęśliwie, przeminął i ustał.

Przechodził. Po nim westchnienie spadało na piersi — ni to kamień rzucony zza płotu przez niewidzialną rękę mściciela. Śniła się krótka chwila pociechy, pociechy błękitnej, jak niebiosa między śniadością obłoków.

Ale, jak niknie jasne niebo wśród nawałnicy, tak nicestwiała w obumarłem sercu pociecha. Coś niepochwytnie szelestne, idące zza ramion, zdawało się szeptać, wpół śpiewać na nutę współczującą, nie wiedzieć jaką, a okrutną, jak ciosy rzemienia:

— Nie — nie — nie!

Głowa opadła na ręce i leciała ku ziemi, jak głaz z wysoka rzucony wzgardliwą ręką. Poczucie wzgardy na miejscu tem, gdzie były ołtarzowe róże i gdzie stał ołtarz — nie było do udźwignienia. Oczy nabrzmiały od łez, serce biło szybkimi ciosy, biegło w bezgraniczną dal, jak wygnaniec po twardym gościńcu ziemi cudzej.

Nigdzie oparcia, nigdzie podstawy do wzmocnie-

nia się duchem. Wszystko zawiodło. Tylko łkanie nocne, zduszone przemocą w piersiach... Tylko łkanie, ostatni pocieszyciel...

Dnie, tygodnie, miesiące...

Ewa nie miała najdrobniejszej wiadomości o tem, co się stało z Niepołomskim. Poczyniła była wszelkie możliwe starania. Na jakie tylko mogła wpaść domysły — wszystko wyzyskała. Była w biurze adresowem, w biurze pasportowem, posyłała zapytania do pism codziennych...

Zewsząd otrzymała odpowiedzi jednobrzmiące: nie wiadomo. W biurze adresowem — jakże to drżała, kiedy wywoływano nazwisko Niepołomskiego! Powzięła wiadomość, że wyjechał z Warszawy. Wróciła tedy do tego właśnie miejsca, skąd wyszła. W odpowiedziach od redakcyi podawano już to stare adresy w Paryżu i Londynie, już odpowiadano krótko i węzłowato: — nie wiadomo. Utworzył się dokoła duszy jak gdyby spisek, jak gdyby sprzysiężenie ludzi, zmowa instytucyi rzeczy, zwarty kartel bezlitosnych okoliczności, popierających się wzajem wszelkiemi siłami w tym jedynie celu, żeby nic nie można było się dowiedzieć o Niepołomskim. Zdawała sobie sprawę z tego, że to przecie jest złudzenie, a jednak, gdy przychodziła skądkolwiek odmowna odpowiedź — witała ją z uśmiechem pogardy; — wiem, wiem, przyjaciele, co mi powiecie... Przyszła szybko do przekonania, że Łukasz umarł. Ale i o śmierci nie było nigdzie w świecie otaczającym wzmianki, pogłoski, echa, wieści...

Ewa przeżyła to skwarne lato w pracy bez wytchnienia.

Gdyby nie martwe i ślepe godziny mechanicznych dodawań olbrzymich kolumn, sprawozdań z podziału należności za przewóz towarów przez rozmaite linie kolejowe, byłaby oszalała. To też robiła zaciekle, zapamiętale, dwa razy, trzy razy więcej, niż dawniej. „Odstawiała“ po trzy, a nawet po cztery „normy“ dziennie bez podniesienia głowy z nad papierów i bez oderwania myśli. Nie była w stanie pozwolić sobie na jedną chwilę czasu „swobodnego“. Jej czasy swobodne zapełnione były korowodami myśli, podobnych do trupich głów w ślubnych welonach. Spostrzeżono jej zimną pilność, doskonałość jej *wykazów*, nieomylność rachunków, ogrom pracy i nadmiar gorliwości. Zarobiła w tym czasie wprost „olbrzymie sumy“. Otrzymała zapewnienie najbliższego awansu. Naczelnik biura przyszedł do wniosku i przebąkiwał, że najoczywiściej „norma“ dziennie jest ilością za małą, skoro pracownik może wykonać tyle, co panna Pobratyńska.

W tym samym czasie Ewa poczęła się „stroić“ (jak twierdziła jej siostra Aniela). W rzeczywistości poczęła ubierać się wykwintnie i subtelnie. — Suknie jej nie były, oczywiście, drogie, bogate i uderzające, niemniej jednak dobrane i obmyślane ze smakiem i niezwykłą pieczołowitością. Nadto — były uszyte w pewien osobliwy, możnaby powiedzieć, arystokratyczny sposób. Na ulicy Ewa robiła wrażenie panny z wyższego towarzystwa. — Ta skłonność do ozdobności stroju zjawiała się powoli, rosła i dojrzewała. Była

w tem doza zemsty, przechodząca aż w dziedzinę cynizmu.

Opuszczona, doznawała w tych skwarnych czasach wszystkich walk aniołów ciemności i wszystkich aniołów światła.

Sama była zwolna, zwolna przemieniona w duch cienia. Dusza jej nie miała już w sobie nic takiego, co ludzkie frazesy zowią kategorycznie cnotą, albo występkiem. Szła po ruchomej i sypkiej granicy między dobrem i złem, jakby po grani wapiennej Giewontu. Kochała cień, sekretność i niejasność swych myśli i z lubością przebywała w samej sobie. Znajdowała rozkosz w myśleniu samoistnem, bezpośrednio wysnutem z patrzenia niezmrużonemi oczyma w świat. Brała ów cały widoczny świat w swój umysł i męsiła myślą jego odbicie. Dawniej bała się, jak śmierci, tego, co nauczono ją zwać występkiem. Teraz najskrajniejsza potworność warszawskiej ulicy nie stanowiła dla niej przedmiotu pogardy. Boleść i siła zmagały się w duszy i rosły ciągle. Nad wszystkiem górował śmiech z życia. Śmiała się po sto razy na dzień z Łukasza i jego „wielkiego czynu“, ze siebie tak głupio tęskniącej, z podeptanego kurczęcia, z biedy ojca, z pracy matki, z ciężarności siostry, z posłańca-tabetyka podrygującego z ulicy w ulicę pod ciężarem pakunku, z beznosej żebraczki i z paralityka o białych oczach, wiezionego w wózeczku.

Kochała się teraz w Łukaszu do szaleństwa. Ale odmiennie, zgoła inaczej. Już on teraz prawie na ziemi nie istniał. U tych krańców tęsknoty stał się zeń nieistniejący bóg, jakowyś Hermes Trismegistos, który, rozkazawszy duchom, braciom swym, żeby mu za świtę służyli, wstąpił na gwiazdy. Dla sprowadzenia go na ziemię sprzedawała mu się, czyniła mu w sercu ofiary, ustępstwa bez końca i bez rachuby. Obiecywała mu w marzeniach rozkosze raju, byleby przybył. Śniła o tem, żeby zostać jego służebnicą, pragnęła nocami rozkoszy cielesnej z nim, grzechu tajnego, któryby złączył duszę jego z jej duszą w potępionej wieczności. Patrzyła obojętnie, jak dusza dawna, dusza miniona — szatanieje. Patrzyła ze śmiechem, jak wśród szamotań dusza brnie z występku w występek, jak popełnia miliony nieznanych jej grzechów — i pragnie wciąż nowych. Cóż z tego, że grzechy te popełnia tylko myślą, tylko żądzą i wolą, kiedy one owładnęły już sercem. Leżały zamknięte w sercu, gotowe do wybuchu, jak iskry w zimnym krzemieniu. Przyszła wreszcie do niejakiej granicy i powiedziała sobie, że życie może nie istnieć, może się nie rozwidniać jutro, byleby istniał jeden dzień z nim, dzień dzisiejszy. Życie — to dzisiaj!

Gdybyż mogła wiedzieć chociaż tyle, że umarł. Gdyby umarł, odebrałaby sobie życie i wynalazła go w piekle, czy w niebie, w raju, czy w Azgardzie, wszędzie, gdziekolwiek jest. Ale jakże umrzeć, jeśli on żyje na świecie. Żyła tedy lichwą, wydartą z ostatnich okruszyn nadziei. Z okruszyn tych częstokroć wystrzelały nagłe złudzenia, olśniewające kraje, nieznane ziemie. Z założeń tysiąckroć drobniejszych, niż ziarenko nasienne rezedy, rosły baobaby ufności, cudne wielkokrzewy, zbudowane cudownie i niemniej ściśle, niż sy-

stemat Schellinga. Ale kiedyindziej w tę metafizykę odtrącenia wpadały efemerydy potwornych impulsów, ciosy tajemniczych poduszczeń do aktów niesłychanej zemsty... Jedno częstokroć wspomnienie gestu, powiewu, jęku, — niedostrzeżone czasu dni szczęśliwych,— zasiane teraz ręką szatana w ciemności, uderzało w piersi, jak nóż, przez tygodnie...

Ewa stała się niewymownie piękna. Gdy pospiesznie szła ulicą, zatopiona w sobie, wyniosła, ze wzrokiem jakby wywróconym na nice i zatopionym w światach duszy,—nie było mężczyzny, którybv jej nie ścigał wzrokiem i westchnieniem. Były to oczy ptaka konającego, przyćmione przez powieki, jak przez całuny. Stała się blada, zimna, wysmukła, przedziwnie mściwa, jak Diana. Jeżeli na kogo wzrok jej padł, to przeszywał zapalczywym ogniem ducha — na śmierć, niby strzała srebrnego łuku siostry Apollina. Zimne błyskanie nieprzebłaganych oczu i wzgardliwy uśmiech— to najczęściej miała dla ludzi.

Wędrówki z domu do biura i z biura do domu były dla Ewy najprzykrzejsze. Wówczas rozwijała się najuciążliwsza praca wspomnień, obliczeń, zrównań bieżącego dnia i dni dawnych, nędznych małostek i nieskończoności, niewiadomych godzin marzenia i wiadomych, świeżo poznanych wielkości bieżącej godziny— wszystka niezgłębiona, nie mająca początku ni końca matematyka osamotnienia. Były pewne przysłowia, które Ewa powtarzała często, jako doskonałą dewizę swego życia, jako *słowo* wszechobejmujące. Co rana, spostrzegłszy w sobie coś nowego, mówiła to słowo,

stwierdzała z gorzkim cynizmem: „im dalej w las, tem więcej drzew". Szła coraz dalej w nieprzebyty las życia.

W ciągu tego okresu czasu kilkakrotnie doznała wstrząśnień, których później lękała się, drżąc na całem ciele. Pewnego razu, idąc po południu ku domowi, pełna usiłowań, żeby wyrobić w sobie chociaż jakiś chiński cień charakteru, rzuciła okiem na tramwaj przejeżdżający i na jego szczycie ujrzała olbrzymiemi literami wypisane słowo „Łukasz". Było to ogłoszenie jakiegoś sklepu, czy stowarzyszenia. Drgnęła wtedy, uderzona bezlitosnym prądem i na pół zabita, odrętwiała, w paraliżu wlokła się do domu.

Kiedyindziej, gdy siedziała na „swej" ławce w parku, poddana mocy prawdziwie żywiołowych nasyceń zgłodniałych uczuć pewnikiem, że inni ludzie także kochają nieszczęśliwie, nienawidzą, cierpią, są nieszczęśliwi, gniją po szpitalach i umierają,—usłyszała nagle w rozmowie dwu przechodzących jegomościów zdanie, jak odpowiedź: „życie życiem być musi, śmierć korzysta z praw śmierci". Zdanie to każdą sylabą przywarło do duszy tak nieodparcie, jak głowonóg—ośmiornica przywiera do żywego ciała kostnemi ssawkami.

Najcięższą wszelako chwilę stanowiło przejście z matką. W parę dni po wyjeździe Łukasza, w czasie, kiedy nie obchodziło jej nic, kiedy była najstraszliwiej „wichrem porwana", w chwili powrotu do domu, spostrzegła na bramie kartę z oznajmieniem, że pokój jest do wynajęcia w mieszkaniu rodziców. Bez jednej myśli w głowie, z furyą w sercu, zdyszana wbiegła na schody, przycisnęła dzwonek... Ledwie mogła doczekać się...

Gdy wtargnęła do mieszkania, natychmiast wyciągnęła matkę na korytarz i obcesowo zapytała, patrząc jej prosto w oczy:

— Mama ogłosiła, że jest do wynajęcia pokój?

— No, ogłosiłam.

— Ten pokój?

— Ten.

— Pokój Niepołomskiego?—nastawała, wbijając w matkę oczy, jak noże.

— Czyś już zupełnie oszalała?

— Nie oszalałam, nie! Ja nie dam wynająć tego pokoju!—wycedziła przez ściśnięte zęby.

— Pytam ci się, Ewa, czyś oszalała?

— Jeżeli mama wynajmie ten pokój, jeżeli do tego pokoju... pierwszy lepszy się wniesie, to ja... Przysięgam mamie! Wyjdę na ulicę i, wie mama, pójdę z pierwszym lepszym!..

Stara pani nie spuszczała z niej oczu. Sama zbladła tak samo, jak Ewa, i trzęsła się tak samo, jak ona. Chwyciła córkę za obie ręce i wciągnęła ją do pustego pokoju Łukasza. Tam ją oparła plecami o mur i w oczy zaczęła jej szeptać:

— Musisz o nim zapomnieć, musisz, musisz! Zginiesz, jeśli nie zapomnisz!

— To zginę!—odpowiedziała Ewa jednym, prawdogłośnym okrzykiem. — Mama myśli, że zginąć — to dla mnie przestrach. Dla mnie zginąć!.. Podła jestem sobaka, że jeszcze żyję!

— On nigdy nie dostanie rozwodu, — mówiła stara nieodwołalnie.—Sprawdzałam sama w konsystorzu, chodziłam do jego adwokata. Ty myślisz, że ja jestem taka głupia, jak ty.

— To niech nie dostaje. Nie dbam o rozwód!

— Więc o cóż ty dbasz? Zastanów się i powiedz, czego chcesz?

— Niczego od was nie chcę.

— Nie wróci do ciebie nigdy, przenigdy.

— Dopięła mama swego, więc cóż jeszcze?

— A bo musisz zapomnieć!

— Długo mama pożyje, żeby tego doczekać.

— A kiedy musisz!

— Nie! Nie zapomnę go nigdy — przenigdy! — szeptała w szale z zamkniętemi oczami, z uśmiechem.— Choćby bił, choćby mię kopał nogami, choćby mię włóczył za włosy po ziemi,—będę go całowała po rękach, po nogach, będę go wielbiła do ostatniego tchu! Żebym go tylko mogła zobaczyć, och, żebym go mogła zobaczyć! Wie mama teraz?—pytała z okrutną kokieteryą.

Stara zakołysała się, zaszlochała w sobie. Twarz jej skrzywiła się boleśnie. Rzekła po chwili:

— Pleciesz bez rozumu. Jesteś zupełnie zwaryowana, więc ja od dawna i wciąż myślę za ciebie. Dniami i nocami, dniami i nocami. Rozumiesz mię, czy nie? Ja myślę za ciebie bez ustanku.

— Nie potrzeba.

— Czego nie potrzeba?

— Żeby mama...

— A kiedy ty jesteś moje dziecko. Ja cię na świat wydałam, ja ci darowałam to życie. Twoje życie

to ja ci dałam. Gdyby nie ja — nie byłoby cię w tej chwili.

— To niech je sobie mama z powrotem zabierze — to życie! Jeśli tak należę do mamy, to niech mię mama zabije. Ach, żebyście wy mnie zabili, wy, dobroczyńcy!

— Ja po nocach nad tobą czuwałam, kiedyś była tylą kruszyną. A teraz, jakeś jest kobietą dorosłą, to ja mam iść precz od ciebie? Rozumiesz ty, co mówisz?..

— Nic teraz nie rozumiem.

— To ja też za ciebie pracuję teraz rozumem, tak samo, jak wówczas, gdyś miała pięć miesięcy i rok, i dwa, i dziesięć.

— Kiedyś wszyscy dorastamy, starzejemy się. Nikt nie jest dzieckiem przez całe życie od kolebki do starości. I mama niegdyś była dzieckiem... I ja już nie jestem dziesięcioletniem dzieckiem.

— Ale tego nie wiesz o życiu, co ja.

— A mama nie czuje nic z tego, co ja czuję. Ani najlżejszego drgnienia serca.

— I o tem wiem, co czujesz, bom przeżyła życie i także byłam zakochaną dziewczyną.

— Nie, nie kochała mama tak, jak ja.

— Skądże wiesz?

— Bo nie stałaby mama teraz nade mną, jak straszny kat. Straszny, bezlitosny kat! Mama to wygnała stąd Łukasza pod pozorem troski o mnie, dla mego—cha-cha-cha!—szczęścia. Mama to może wymówić słowo, mamie to może przejść przez usta, zmieści się w piersiach, mamie! — to słowo: musisz zapomnieć? Jego zapomnieć, Łukasza, zapomnieć!

— Ja ci nie każę, ja cię tylko chcę chwycić za ręce i prowadzić precz od przepaści. Musisz zapomnieć, bo inaczej przepadniesz. Ty o tem nie wiesz, a ja wiem doskonale.

— A ja wolę zlecieć w przepaść...

— Wszystko przemija. I ten twój nastrój przeminie. Jesteś młoda, jesteś do ludzi podobna. Na świecie żyjesz i wśród ludzi.

— Nastrój mój przeminie...

— Wszystko przemija. Rodzice zapominają o dzieciach. Wiesz ty, co znaczy to słowo? Widzisz, że nie wiesz, nie wiesz! Kiedyś dopiero zrozumiesz, co się zawiera w takiem zdaniu: rodzice zapominają o umarłych dzieciach.

— Dzieci zapomną o matce, co za niemi aż do szaleństwa przepadała, której serce po milion razy przeszywał czarny słupek rtęci, pokazujący gorączkę. Chodziła nocą bosa i półnaga podsłuchiwać oddechy, czatowała rankami na przebudzenie, była, jak pies, wierna, a noc tylko ciemna wie, ile dla nich przecierpiała. Serce jej było pragnieniem ich szczęścia, ręce były narzędziami do budowania ich dobrej doli... Zapomną, jak o rzeczy nieużytecznej, zniszczonej, starej, niemiłej, gdy będzie sama twarz w twarz ze śmiercią. Odejdą z uśmiechami, zwróconymi do życia, do pierwszego pięknego przechodnia. I zapomną... Mężowie zapominają o żonach, które im poświęciły pierwsze bicie serca miłującego i im się tylko oddały. Szaleją,

biją czołami o mur, pistolet przykładają do skroni. Zapominają...

— A są tacy, co nie...

— Wszystko odchodzi pod dach Wiecznego Boga. Do tego strasznego składu, gdzie już powtóre nic nie odszukasz. A ja ci tak dzisiaj radzę,—żebyś go całkiem nie zapomniała, bo już, widać, na nieszczęście, nie zapomnisz, ani zbyt mocno nie pamiętała, bo nędznie zginiesz. Weź to do serca i pracuj nad sobą. Dzień i noc pracuj!

Ewa w szlochach oparła głowę na piersiach matki. Stały długo, łkając, wcielone duchem i ciałem jedna w drugą, jakoby na nowo jeden, oplątany krwionośnemi żyłami, nierozdzielny twór natury. Ewa ocknęła się pierwsza. Zalane łzami oczy utopiła w oczach matki. Usta, jakby krwi pełne, ledwo, ledwo szeptały:

— Mamo, ja wezmę ten pokój! Będę za niego miesięcznie tyleżsamo, co on, płaciła. Tu się przeniosę i zamieszkam. Ja potrzebuję być sama. Będę zarabiała jeszcze więcej, jeszcze więcej. Przecie zarabiam tyle, że mogę to samo zapłacić, co on.

Stara pani patrzała ponuro w ziemię. Mruknęła:

— Nie wiele ci to pomoże, a nam krzywda.

— Więc ja już nigdy nie będę człowiekiem! Żebym trzysta rubli zarabiała miesięcznie, to także muszę siedzieć za parawanem? Wiecznie wasza, wasza...

— A bierz sobie, bierz pokój! Blizko dwieście rubli rocznie, jak w błoto rzucił.

Ci devant piękność wyszła z pokoju, wyniośle podnosząc głowę. Tegoż jeszcze dnia Ewa przeprowa-

dziła się do pokoju, zajmowanego poprzednio przez Niepołomskiego. Umieściła tam wszystkie swe rzeczy, cały swój dobytek. Pościel zasłała na żelaznem łóżku w taki sam sposób, jak było u niego. Rzeczy, które były w użyciu tego lokatora, ustawiła z pietyzmem. Po powrocie z biura, zamknięta na klucz, całemi godzinami zajmowała się czyszczeniem, myciem, podklejaniem tapet, malowaniem podłóg i t. d., aż doprowadziła ową izdebkę do stanu jakiejś niewypowiedzianej doskonałości i niewątpliwego uroku. Zmieniła to miejsce w świątyńkę, czy muzeum. Stare, tandetne graty stały się niemal piękne i dziwnie w swem prostactwie szacowne na lustrzanej podłodze, wobec nieskalanych ścian i przezroczystych okien. Pokój ten pełen był zapachu kwiatów i subtelnych perfum. Na ścianach zjawiły się dwie ryciny niejako wydobyte z listów Łukasza Niepołomskiego, a po długich poszukiwaniach i za drogie pieniądze zdobyte u antykwaryuszów. Jedna z nich — to był Otello, zbliżający się w nocy do Desdemony, piękny sztych angielski, — druga, to portret Alfreda de Vigny. Nikt z domowników nie przekroczył ani razu progu tego pokoju. Doprowadziwszy go do stanu doskonałości, właścicielka zamknęła drzwi na klucz dla wszystkich bez wyjątku. Drzwi były zamknięte pod jej nieobecność. Nie odmykała ich również, gdy była u siebie. Sama sprzątała. Były tam książki, których mnóstwo chłonęła teraz, już to wypożyczone z czytelni, już nabyte. Miała w zamknięciu swe listy.

Żyła tak miesiącami w zupełnem odludziu, „nic nie mówiąc“ — to znaczy, nie wyjawiając ani jednej

sylaby olbrzymiej pieśni swej duszy, żyła na pustkowiu, jakby w celi, w lesie, czy niedostępnych górach.

Dni powszednie, w znacznej części wypełnione pracą biurową, mijały łatwiej, ale niedziele i święta... Dni świąteczne były długie, pełne smutku potężnego, jak noc, smutku, który nie ustępował przed najtęższym wysiłkiem woli — potęgi, jak noc nie ustępuje przed sztucznem światełkiem człowieczem, — smutku, co odchodził wówczas dopiero, gdy dopełniła się jego niewiadoma miara. Rano w niedzielę Ewa zazwyczaj szła do czytelni publicznej. W ciągu dwu, trzech godzin przeglądała czasopisma z ostatniego tygodnia. Na jesieni, już w drugiej połowie września, trafiła się pewna niedziela niezwykła. Ewa dość już długo czytała i powzięła zamiar, żeby wyjść. Sala czytelniana, pełna kurzu, szelestu, kaszlu siedzących bibularzów, poczęła ją nużyć. Jeszcze jedno jakieś czasopismo tygodniowe— i koniec zabawy. Powrót do domu...

Wyciągnęła rękę po pismo, mając już wyryty w mózgu obraz ruchliwej ulicy, potwornej i obcej ulicy, obraz podwórza, schodów, drzwi do mieszkania. Przed oczyma miała szpalty równie obce, cudze, odpychające, jak obraz ulicy. Czuła poza sobą tłum wszędzie obecny, ścigający samotność, tłum natrętny, tłum-goniec i donosiciel... To wszystko, co było w życiu i w pismach, nie miało z nią, z jej sprawami, z jej „kwestyą“, z piekielnymi artykułami jej życia — żadnego zgoła łącznika. Zaczęła czytać artykuł w naukowym tygodniku.

Przeczytała. Nuda, nuda... Odwraca kartę, żeby zobaczyć następujący artykuł, rezerwuar nudy innego pokroju!..

I nagle — trzask w głowie, płomień w oczach, szum w uszach. U dołu artykułu podpis Łukasz Niepołomski. Nieci się w piersiach początek pożaru, cichy ogień. Jego wężowe języki pełzają wokoło czaszki, wskakują we włosy. Wicher radości buchnie w ów ogień. Adres redakcyi...

Złożyła ostrożnie pismo i bez szelestu wyszła. Szum w głowie... Na ulicy powzięła decyzyę, żeby iść niezwłocznie. Kiedyindziej, ulegając wrodzonemu uczuciu nieśmiałości, byłaby kwadransami wahała się i trwożyła. Teraz wbiegła na schody i nacisnęła dzwonek, jak do własnego mieszkania. Otworzył drzwi stary służący, z którego oczu, policzków, czerepa życie już wszystko wyjadło. Martwe oczy — szczera ziemia... Obudził w Ewie wstręt — przeczucie, jak widok glisty, czy rozdeptanego ślimaka.

— Czy pan redaktor jest w domu?

— Niedziela. Pan redaktor nie przyjmuje.

— Proszę podać mój bilet.

Rozdeptane oczy patrzą na ów bilet, później w twarz osoby z takiem zainteresowaniem, jakby patrzyły w otwarty i wystygły piec.

Dwie duże srebrne monety.

Poszedł.

Niema go, niema, niema!

Ewa marzy. Kombinuje, kłamie, obmyśla niestworzone historye, składa na poczekaniu ambaje, chwyta

z przestworza duby smalone i odrzuca jako nieodpowiednie. Jeżeli jej ten dureń nie przyjmie? Co wtedy robić? Jak wtedy postąpić?

— Pan redaktor prosi.

Gabinet redakcyjny. Stosy piśmideł wszelkiego rodzaju. Wycinki, notesy, czerwony ołówek. Kurz. Nuda. Kołatanie ściennego zegara...

Usiadła na fotelu, obok biurka. Poprawiła włosy, bluzkę, wysunęła bucik w taki sposób, żeby go pan redaktor spostrzegł od razu i nie odprawił z kwitkiem. Marzyła wówczas:

— Łukaszu, przyjdź, Łukaszu...

Czekała w rozterce, w dreszczach, wśród kąsających i tkliwych obaw — pięć minut, dziesięć, kwadrans.

Nareszcie otwierają się drzwi.

Redaktor, z grymasem gniewu zakładając na nos binokle, ukazuje się, jak Wotan wśród ogniów górskich.

Ewa spostrzega to podstarzałe, ślepnące, łysiejące, na poły bezzębe, wiecznie na pniu podcinane przez „wrogów“ megalomaniactwo. Twarz, jak stronica zadrukowanej bibuły, dostojne oblicze, zszarzałe wśród szpalt, „zasad“, plotek, oszczerstw, korekt i knajpianego dymu. Ironia, wyniosłość, cmokanie dziurawymi zęby, pochrząkiwanie, idące zarówno z niezgłębioności intelektu, jak i ze „stłumionych wierzchołków“. Ale nawet te lubieżnie plotkarskie oczy, zupełnie godne binokli w złotej oprawie, — spostrzegają. Na zmiętej twarzy maluje się rozmarzenie i romansowiczowskie zainteresowanie.

— Początkująca literatka?..

— Czem mogę służyć? — mówi redaktor ozdobnym szeptem, wśród zgniłych uśmiesząt, pełnych obietnic, sięgających jak można najdalej.

— Raczy pan redaktor darować, że ośmieliłam się zabierać jego czas, tak *dla nas* drogi. Ale sprawa wielkiej wagi... Zmusiło mię to do śmiałości...

— Proszę uprzejmie... — mówi z dobrocią potentant, kierownik opinii, zajmując nie tylko właściwą, lecz i taką pozę w bajecznem krześle z poręczami, ażeby najmniej było widać talerz łysiny.

— Jestem studentką z Paryża...

— A... bardzo mi przyjemnie...

— Wracam właśnie z wakacyi z powrotem na studya. Mamy jechać w kilka osób. Jedna z koleżanek poświęca się specyalnie antropologii. — Pracowała już dawniej pod kierunkiem p. Niepołomskiego. Właśnie ta koleżanka, która została jeszcze na wsi, poleciła mi dowiedzieć się, gdzie obecnie znajduje się pan Niepołomski. Miał i on obecnie jechać do Paryża... Szukałam adresu tego pana na wszystkie strony i nie mogłam dowiedzieć się nigdzie. Nareszcie poradzono mi, żeby się udać do szanownego pana redaktora, trzymającego dłoń na pulsie naszego naukowego życia...

— Niepołomski, — mówi redaktor, sięgając po mały notes z półeczki biurka, — Niepołomski mieszka obecnie... Zaraz... litera *N.*

Ewa zatopiła oczy w podłodze, tuż obok dyskretnie ukrywanego pantofla władcy. Czekała z miną obojętną, wśród łoskotu serca, które biło, jak alarm wiejski w czasie pożaru.

— Niepołomski mieszka—aha—we wsi Zgliszcza, gubernia lubelska, stacya pocztowa Puławy.

— Pan Niepołomski ma własny majątek? pyta Ewa nizkim, obojętnym i zimnym głosem, notując sobie w myśli każdy wyraz, każdą sylabę, każdą literę.

— O, nie, nie! Uczony, literat polski — i własny majątek. Łaskawa pani zepsutą jest przez stosunki paryskie. W naszem społeczeństwie — Boże drogi! Niepołomski jest poprostu nauczycielem w domu hrabiego Szczerbica, znanego dziwaka. — Kształci dwu podrosłych hrabiczów w umiejętnościach różnego rodzaju.

— Wobec tego należy chyba przypuścić, że za granicę nie pojedzie, i że moja koleżanka niepotrzebnie na niego czeka, a ja niepotrzebnie trudziłam pana redaktora.

— Boże drogi! z największą gotowością, z całym, proszę wierzyć, zapałem... Czy Niepołomski pojedzie do Paryża? Nie wiem tego, ale możnaby napisać. Był tu niedawno, lecz nic o tem nie wspominał.

— Był w Warszawie? Doprawdy? Jaka szkoda!.. Można się było porozumieć, kiedy zapomocą listów... Nam się spieszy bardzo. Czy dawno był ów pan Niepołomski?

— Był tu jakieś dwa tygodnie temu. Tak, jakieś dwa tygodnie temu... Ale wpadł tylko na chwilę. A pani co studyuje, jeśli wolno zapytać?

— Medycynę... — mówi Ewa, połyskując prześlicznemi oczyma, co wielkiego redaktora przyprawia o niepokojące wzruszenie.

— Prawda, mam list od Niepołomskiego... Zapomniałem. A coś on tam wspomina. Przepraszam, gdzież to ja mam ten list? Drukowałem w ostatnim numerze pisma artykuł, nawet wcale, wcale niezły artykuł z zakresu antropologii... Gdzież ja mam ten list?

Redaktor przewracał stosy swych papierów. Znalazł nareszcie.

— A, jest! Coś tu wspominał, na co nie zwróciłem uwagi.

Przebiegł list oczyma.

— A więc dobrze się składa. We środę wieczorem Niepołomski będzie w Warszawie. Przyjedzie, jak pisze, na krótko wieczornym pociągiem, a nazajutrz rano wyjedzie z powrotem. Ma być u mnie.

— Więc... we środę... wieczorem? To bardzo dobrze. Można będzie zobaczyć się z nim i umówić. Wieczornym pociągiem kolei nadwiślańskiej.

— Tak jest.

Uprzejmym ruchem redaktor odszukał książeczkę z rozkładem jazdy, wynalazł odpowiednią stronicę i rubrykę i głosem zachwycająco, aż do omdlenia grzecznym, wygłosił:

— Siódma dwadzieścia. Jeżeli pani życzy sobie, gotów jestem poinformować Niepołomskiego o sprawie, gdy do mnie przyjdzie. A może pani tu zechce odbyć z nim konferencyę. Redakcya nasza jest do dyspozycyi dla naszych dzielnych pionierek wiedzy. Ja sam...

— Dziękuję, uprzejmie dziękuję. Zakomunikuję łaskawą grzeczność pana redaktora koleżankom. Naturalnie, że najlepiej im będzie tutaj zobaczyć się z pa-

nem Niepołomskim. Na wszelki wypadek zanotuję adres. A więc: Zgliszcza — pisała Ewa literami, które miotały się na wszystkie strony, — gubernia lubelska, poczta Puławy, dom hr. Szczerbica.

Za chwilę podniosła się z uśmieszkiem. Redaktor miał możność ujrzenia niezwykłych oczu. — Oczu tych niepodobnaby było zapomocą sztuki malarskiej przypomnieć, nie możnaby muzyką wyrazić. Jaśniały na wysokościach duszy, jak gwiazdy w ciemnem niebie.

Niemal całkowite cztery dni.

Trwały te dni bez końca, były nieprzebyte w swej długości, a zawarły się w nich epoki dziejów serca.

W ciągu tego czasu Ewa załatwiła mnóstwo spraw biurowych za siebie, kolegów i koleżanki, odbywała popołudniu wielkie spacery do Łazienek, w kierunku Czerniakowa i w kierunku Woli. Pomimo wszelkich wysiłków nie mogła zabić, zepchnąć tych dni. Ulgę sprawiała noc i twarde jej sny. Sny te były daleko bardziej rzeczywiste, niż rzeczywistość.

Światy, ukazujące się tam, były miejscem pobytu, odpowiedniem dla duszy tęskniącej, duszy cierpiącej, były jej kwietnym ogrojcem, jej ojczyzną i ziemią.

Rzeczywistość dnia osłonięta była welonem senności, kurzem gęstym i nieprzenikliwym. Dusza tęskniąca nic prawie nie mogła zrozumieć z tego, co się działo naokół i była obca najzupełniej na tym świecie.

Jak potok z tamtej krainy, z ojczyzny snów płynęły myśli, w tajemnicy zrodzone, nieprzerwanemi fa-

lami przez dzienny świat. Były to myśli samotne, niezależne, poddane władzy sił nieznanych zgoła i dlatego dziwnie nielicujące ze wszystkiem. Częstokroć niewiadomo skąd wypływały słowa:

„Modrą wstążką po żółtym piasku cicha rzeczka płynęła...“

A ponad temi słowy, jak czarne motyle, a może jak błękitne, przejrzystoskrzydłe łątewki snuły się troski i nadzieje:

— Dokąd popłynie ta woda, dokąd popłynie? Czy popłynie do Tarpejskiej skały, czy popłynie na jasną łąkę, gdzie „żółte jaskry i koniczyna różowa?“

Przechodziły długie godziny głębokich dociekań, jakim sposobem się to stać mogło, że powzięła wiadomość o adresie Łukasza? Dlaczego się to stało?

Usiłowała odgadnąć, czy nie będzie szczęścia zadużo, jeśli go ujrzy. Czy nie wystarcza to szczęście, które jest? Czy złe moce, duchy ciemności, co ją trzymały w więzieniu przez miesięcy tyle, nie wybuchną zemstą na nowo? Dochodziła do niezgłębionego urwiska: czy pójść we środę na kolej? Żyła w takiem postanowieniu godziny długie, mordercze, aż do nowego kłębu postanowień. Temi myślami, jak biedny, ślepy robak systematem macek, zbadała swą dolę wzdłuż, wszerz i naokoło. Przeszła wszelkie możliwe kombinacye zdarzeń, obejrzała wszelkie wypadki. Nad najbardziej bolesnemi przypuszczeniami dumała w ciągu godzin i mocowała się sercem z najbardziej srogimi ciosy. Wiedziała już, co przyjdzie uczuć, gdy Łukasz nie przyjedzie, wiedziała również, co będzie z nią, jeśli się

okaże, że ta cała informacya redaktorska była omyłką, nieporozumieniem, niedokładnością.

Wiedziała, co czynić i jak żyć, jeśli Łukasz nie zechciałby z nią mówić i gdyby uciekł. Wiedziała to wszystko.

— Jaka to pospolita rzecz, — mówiła samej sobie, — jestem zakochana w tym panu. Ja jestem zakochana? Ja jestem? Czyliż to możliwe? Czyż to jest miłość?

Ostatniego dnia, we środę, zaszła najdalej w pracy duchowej, bo aż do kategorycznych postanowień, jak się zachować. Nie wiedziała, rzecz prosta, czy tego dnia i tego wieczora nie wypadnie jej umrzeć... Wiedziała jednak, jak ma się zachować.

Postanowiła nie ukazać się Łukaszowi. Wytargowała na złych duchach tyle, że niejako zgodziły się na to, żeby go zdala ujrzała. Tak też wobec siebie na to przyzwoliła.

Zobaczy go z daleka, z daleka... Czegóż jeszcze? Wie, gdzie on jest. Czyż to mało. To już wszystko.

Gdy minęły godziny biurowe i zaczęło się odwieczerze, Ewa, dla uspokojenia się fizycznie, dla uciszenia zupełnego nerwów, wzięła bardzo gorącą kąpiel. Powróciwszy z kąpieli do domu, poczęła ubierać się, jak na śmierć. Włożyła najczystszą, najpiękniejszą, pachnącą bieliznę i najlepsze a najwytworniejsze swe suknie.

— Należy mężnie żyć i wspaniale umierać... — mówiła sobie wciąż, czesząc cudowne włosy i wdziewając jedwabny stanik. Była gotowa na jakie dwie

godziny przed terminem, przed ową godziną straszną i cudną.

Nie wychodziła jednak z domu. Pomimo kąpieli była niespokojna. Tarła wciąż ręce. Zapominała. Gubiła rzeczy i myśli. Przez głowę i jakby przez włosy wiały wciąż dreszcze. Tłukła się w ścianach, jak motyl w skrzynce blaszanej. — Padał jesienny deszcz. Dzień był ohydny.

Krążyły nad ziemią czarne chmury, powłóczyste widma niedoli, głodu i śmierci. Błotne kałuże stały na brukach, a ohydne, ciemne strumienie sączyły się w ściekach. Drzewa pod batem wichru i deszczu sypały na ziemię poczerniały liść, który nogi ludzkie wdeptywały w ziemię. Pnie i konary były oniemiałe, jakby pogrążone w lęku i spodleniu. Park, przez który Ewa dopiero co biegła, ogłuchł, oniemiał, zestarzał się i znikczemniał. Szyby w oknie wciąż i wciąż popłakiwały, zamazane długiemi smugami...

Na trzy kwadranse przed nadejściem wiadomego pociągu, Ewa wdziała na ramiona krótki i lekki syberynowy paltot i otoczyła czarny kapelusz czarną, gęstą wualką, jak maska. (Wualka miała u dołu szlak, niby ów pas na sukniach żałoby). Ogarnęła okiem raz jeszcze swój pokoik, — i chyłkiem wyszła z domu. Biegła szybko popod murami do stacyi tramwajów. Tam wyróżniła z trudem znaki idącego na dworzec nadwiślański i, rozejrzawszy się starannie, czy jej kto nie śledzi, wsiadła z pośpiechem. Tłok, który ją otoczył, gwar rozmów, widok osób biegnących po zalanych chodnikach, równych taflach betonu, lśniących od światła

chwiejnych płomyków gazowych w latarniach, — wysoko pouginanych kobiet, mężczyzn schylonych pod parasolami — wszystko sprawiało na niej wrażenie jeszcze bardziej podniecające. Jak wracać wśród tego wszystkiego, jeżeli nie przyjedzie? — Oto pytanie. Była, jak w gorączce, w ciężkim ucisku mocy ciała. Nie była zupełnie pewna, dokąd jedzie i jakie jest jej uczucie: czy to radość, czy rozpacz? W pewnej chwili uczuła, że ona sama i wszystek ten tłum spieszy, leci i gna na Powązki, i że tam wszyscy stłoczeni, dusząc się i mordując, runą w nieoczekiwaną, szeroko rozwartą paszczę ziemi. Szczególnie, kiedy flegmatyczny tramwaj miarowymi ruchy przemierzał długość dzielnicy Nalewkowskiej, kiedy cienie nóg, przecinających lśniące tafle chodników, stały się gęste, jak sieć, a szybkie, jak od drgawek, Ewę obskoczyły setki pytań: co robią ci ludzie, czemu tak drżą i poprostu szaleją w swej pracy? I odpowiadała sobie, że zaiste na pytanie o życiu nie może odpowiedzieć nikt, bo odpowiedzi jest miliard, a na pytanie o śmierci odpowiedź jest jedna i dać ją może każdy człowiek. Śmierć jest zgnicie w ziemi, przemiana ciała i sukien w gnój, w cuchnący gaz, w ów straszliwy zapach Powązek, który była raz tam poczuła w upalny dzień majowy.

Nagle spostrzegła, że tramwaj wolno zawraca w kierunku dworca, a wkrótce ujrzała ciemność szczerego pola. Już zeszła noc. Noc pełna wichru i siekących smug wody, noc pełna złowieszczych pojęków w pustce nadwiśla. Noc strachu, lecącego polem — pustkowiem.

Oto teraz ciemne powrósła, bolesne witki ostatnich pytań opasały mózg: — jak też tędy będzie wracała?

Spojrzenie w ciemności życia, szybkie, jak błyskawica. Ściśnienie serca trwające długo. Ściśnienie niebolesne, jakoby pieszczota nieskromna rąk cudzych, rąk wstrętnych, których nic nie odtrąci. Ciało przepasał pas dreszczów, a włosienica kłójących lęków pokryła duszę. Lęki drobne i cienkie, jak włosy—dookoła, dookoła... Chwila męstwa i znowu ściskanie.

Tramwaj stanął. Ewa wyszła i w gronie ludzi nieznanych znalazła się w sali klasy drugiej. Ale natychmiast wybiegła stamtąd. Martwe spojrzenia osób siedzących osaczyły ją nieznośnie. Lepiej się czuła wśród zgiełku tragarzów, łoskotu rzeczy znoszonych, turkotu zajeżdżających powozów, świstów lokomotyw, dzwonień kolejowych i tramwajowych. Wśliznęła się poza gromadę portyerów w kapotach rozmaitej a coraz głupszej barwy, którzy, uszykowani w szereg, stanęli na ukos przez całą szerokość ogromnej sali.

Zajęła framugę okienną tuż obok kasy, w owej chwili nieczynnej, przywarła do ściany. Jakieś bolesne, zapomniane wiersze, jęk nieznanego poety, przepływają przez duszę jak wzdychanie przez rózgi nagiego drzewa w ciemności pól:

„Na jakieś bezbrzeżne, szalone odmęty
Z pogodą na czole popłynę.
I zanim mię wir ten pochłonie przeklęty,
Zaśpiewam, konając, słoneczny hymn święty...“

Ruch, zamęt. Ludzi coraz więcej, pośpiech coraz gwałtowniejszy. Bieganina posługaczów, krzyki, płacz

dzieci. Powozy zajeżdżają. Słychać trzask ich kół. Padają ciężary, stękają głucho ludzie dźwigający. Słychać czyjś krzyk rozpaczy: o, Boże! Ewa czuwa. Wszystko słyszy i wciąga w siebie. Śni jej się złuda, że to z jej piersi jęk głośny wybiegł przed chwilą. Teraz po cichu niestrudzonymi palcami odplata zwoje żmii, co okręciła serce i żywą z niego krew wysysa. Wtem łoskot ziemi. Ściany głucho oddają ciosy. Pociąg. Drzwi rozwarto. Portyerzy zaczęli głośno, miarowo, wyraźnie wykrzykiwać nazwy hotelów. Poczyna sunąć korowód ludzi. Rzecz tak zwykła wydaje się być Ewie, jak straszne, tajemnicze misteryum. Wlepiła oczy w idący tłum. Na każdą twarz padają jej oczy z przekleństwem, z okrutną grozą, z haniebnemi klątwami tragarzów, którzy są dokoła, ze stękaniem potężnych chłopów. Twarze obce, obce, obce! Krzyk w sercu: niema! Wzniosły, ohydny i niezwalczony widok posługacza, który, przysiadłszy na ziemi, zadaje sobie pasami na plecy kufer i nie może go dźwignąć. I oto nagle buchanie niepowstrzymanej niczem rozpaczy, paroksyzm żalu, egzekucya, łamanie kołem duszy. Świat powleka ciemność śmiertelna. Ciało drży. Śmierć duszy... Nie przyjechał.

Wtem! Tam daleko. Jeszcze za szybą, na peronie, w błysku latarni. Ucieleśniony sen... On! Ujrzała we drzwiach! Trismegistos!

Szedł szybko.

Od głowy, jakby z ran, z otwartych lancetem żył ścieka zimna krew aż do stóp. Do palców nieruchomych nóg płynie, co przywarły do ziemi, jak ciężary tysiącpudowe.

Szedł szybko, mijał portyerów z grymasem zniecierpliwienia. Na lewej ręce przewieszony pled, w prawej walizką. Oczy Ewy przywarły. Idą za nim. Znikł we drzwiach, w ciemnym lochu dziedzińca...

— To już po wszystkiem... cicho — cicho... — szepcą wargi białe, jak kreda, do serca bijącego boleśnie.—Przysięgłam sobie. Słowo honoru sobie dałam...

I znowu w smutku niestrzymanym:

— To już i wszystko...

Wolnymi kroki wyszła przez rozwarte drzwi. W siekącym deszczu, w mroku latają ognie latarni. Krzyk i klątwy doróżkarzów. Wynurzają się to łby końskie z pyskiem rozwartym przez szarpane wędzidła, a wywalonymi jęzory i strasznemi ślepiami, to tuż, tuż lśnią żelaziwa wzniesionego dyszla, dzwonią brzękadła chomąt. Wrzask nieznośny wywoływanych numerów, klątwy, nazwy ulic, turkot powozów, grzmot cięźki omnibusów — pochłaniają zgubione szepty nieszczęśliwych warg: Łukasz, Łukasz...

Oczy rzuciły się w ciemność. Zdało się, że między doróżkami dojrzała ciemną sylwetę. Chciała trafić do swego tramwaju, zdążyć na czas... Przemykała się między końmi, wśród latarń i kół, w tamtą stronę...

— Raz jeszcze spojrzeć, duszo moja!... Raz spojrzeć!... Nie! Już przepadł. Niema już nigdzie.

Ciemność... Szloch... Potrącił ją policyant, nastając, żeby odeszła. Krzyczał na nią stangret. Ktoś klął haniebnemi słowami. Zaczęła w pośpiechu wycofywać się, żeby iść w innym kierunku. Trafić tylko do tramwaju. Usiąść... Zimno!

Ktoś zawołał tuż za nią:

— Numer 2326!

Zadrżała i skuliła się w pół. Myśl:

— Jego głos...

Konie biegły wprost na nią. Latarnie powozu oświetliły jego twarz. Uskoczyła w bok, żeby iść, żeby uciekać! Szept honoru: — przysięgłam!

O krok od niej przesunął się, wsiadając do powozu. Wtedy, nie panując nad sobą, w spazmie rozpaczy, krzyknęła zcicha:

— Łukasz, Łukasz!

Wypadł z powozu. Twarz jego widać w przelotnych blaskach. Porwał ją za ręce, za ramiona. Olbrzymie jego oczy ze zgrozą patrzą w jej twarz. Tuż, tuż! Szept w straszliwem uniesieniu:

— Ewunia!

Wciągnął ją, wrzucił półmartwą do powozu. Cisnął dorożkarzowi jakiś rozkaz. Głowa jej w miękiem wgłębieniu powozu. Zmartwiałe wargi pod jego wargami. Serce łomoce pod jego sercem.

Czy to już dobrotliwa śmierć, czy jeszcze życie?

Po setny, tysiączny raz jego usta, kiedy się oderwą, w paroksyzmie trwogi i szczęścia szeptają:

— Ewunia!...

Koła powozu na gumowych obręczach zdają się nie dotykać ziemi. Lecą, lecą, lecą wśród bryzgów wody ulicznej. Łagodny ruch, cichy, ostrożny, miarowy łoskot, jak gdyby tętno wszystkich rzeczy na ziemi... Skórzany fartuch chroni od deszczu, buda powozu od wichru i ludzi. Lecą, zda się, powietrzem, nad ziemią i ludźmi

w czarną rozkosz nocy. Usta, szukając jej ust, trafiają na szorstką wualkę i usiłują rozedrzeć tę przeszkodę nieskończonymi pocałunkami. Ręce nie ośmielają się wznieść, żeby ją usunąć.

— Pocoś to zrobił? Dlaczegoś ode mnie ukiekł?— szepcą oniemiałe, bezsilne usta.

— Cicho, cicho...

— Pocoś to zrobił? Dlaczego wówczas napisałeś straszny list?... — Nieskończony błysk oświetlonych tafel okiennych, sznur latarniany... Biegną zmoczeni ludzie. Nieskończony korowód. Snują się za oczyma, jako chichot złego ducha. Ewa nie mogła mówić ani słowa. Czuła wszystko, lecz nie myślała. Pragnienie było spełnione. Czara szczęścia po brzegi nalana. Toć to jest powrót... Nagroda za wszystko, ale jak bezbrzeżnie szczodra! O, Boże, Ty, który wszystko wiesz!... Miała jego usta na ustach. Teraz już tylko skończyć to życie.

Wtem powóz stanął.

Łukasz ocknął się, z westchnieniem podniósł głowę.

— Co to jest? — spytała boleśnie.

— Już hotel.

— Co za hotel?

— Ja tu będę nocował.

— Ach, prawda!

— Już tu raz byłem. Przyjechałem do Warszawy chodzić pod twojemi oknami w nocy. Widziałem twój cień przez szybę.

— Ja mieszkam w twoim pokoju...

— Ewuś!...

— Cóż teraz będzie?
— Muszę tu zostać.
— A ja? Cóż teraz będzie?
— Nie wiem.
— Czy wrócisz do domu?
— Wrócę, oczywiście... Tak, oczywiście, wrócę do domu.
— A ty?
— Ja tu zostanę.
— Ale jutro? Co jutro?
— Jutro rano odjadę stąd na wieś.
— Do Zgliszcz?
— Skąd to wiesz?
— Wiem.
— Skąd to wiesz?

Cicho, krótko zapłakała. Stłumiwszy jęk, rzekła:

— Wszystko jedno! Muszę ci powiedzieć te wszystkie rzeczy, muszę powiedzieć! Gdzież ci to powiem? Antropologia jest to śliczna, prześliczna nauka! Mój Boże! jeśli znowu przepadniesz...

Milczał z oczyma wlepionemi w jej twarz. Wreszcie wyszeptał:

— Chodź ze mną...
— Dokąd?
— Wezmę numer w hotelu. Będziemy sami z godzinę. Później pójdziesz do domu.
— Doskonale! Bierz ten numer, zamawiaj! Tylko prędko! Ja tu cierpliwie poczekam.

Znikł w bramie hotelowej. W chwili jego nieobecności, wbita w kąt powozu, myślała:

— Prawda, że to ja z nim... w hotelu... A niech wiedzą, niech wiedzą! Niech się nacieszą!

Zacisnęła pięść i biła w próżnię, jak w paszczę wroga. Za chwilę Łukasz wrócił. Wręczył dorożkarzowi należność, Ewie podał ramię i szybko, co tchu, wprowadził ją w bramę i na schody. Idąc po marmurowych stopniach, wysłanych ponsowym dywanem, mówił:

— Zamelduję cię, jako swoją żonę...
— Tak, tak zamelduj!...
— Mam przecie paszport, opiewający, że posiadam żonę. Nawet i ten przeklęty paszport na coś się przydał.

Zaśmieli się w głos obydwoje. Ewa szła, jak we śnie. Śmiała się w weselu duszy, idąc cichym korytarzem rozkoszy. Otworzył jakieś drzwi. Byli sami. Wszedł służący i zabrał paszport. Jakieś dalekie, stłumione odgłosy. Huk miasta przyciszony, miły, senny. W niedalekiej rynnie plusk deszczu miły, senny. Wszystko to, jakoby przecudowna uroczystość. Dom ten — to niedostępna świątynia. Jakie to wszystko mądre i doskonałe! Są tu sami... Usiadła w aksamitnym fotelu. Blask świecy padał na twarz Łukasza. Ujrzała jego oblicze nie swoim własnym wzrokiem, lecz wzrokiem miłości. Wąsy, mała broda. Włosy z boku rozczesane... Twarz schudzona i poczerniała. Oczy dziwnie otwarte, głębokie, pełne tajemniczej niepewności. To Łukasz! Ten żywy człowiek, to już nie sen, nie marzenie, nie tęsknota, lecz Łukasz! Cóż za przedziwne uczucie, jakie zdumienie! Taka rozkosz! Taka cisza! Taka w duszy jasność! Można wyciągnąć rękę i dotknąć ręki nie obcego

człowieka, lecz Łukasza! Powiedzieć: przyjdź! — i przyjdzie! Już nie uderza w serce sztylet pustki. Można podnieść oczy i ujrzeć jego oczy. Ach, całować jego usta! Jak on pachnie!

Stanął po drugiej stronie stołu i szepnął do siebie, patrząc jej w oczy, jakby jej wcale nie widział:

„Εμοὶ δὲ αἱ μεγάλαι εὐτυχίαι οὐκ ἀρέσκουσι ἐπισταμένῳ τὸ δέιον ῷς ἔστι φθονερὸν...“

Głos ten był cichy i senny, jak szmer deszczu, jak dalekie tętno życia miejskiego. Głos pół-bolesny, pół-radosny, jakby nie jego głos, lecz nabożny werset kapłana. Ewę ogarnął nerwowy śmiech.

— Nie przy nas pisane...—mówiła kokieteryjnie, składając ręce i na bok przechylając głowę.

— Tak, nie przy nas, dawno pisane... To pisał Amasis, faraon egipski, do tyrana Polikratesa. Taki był tyran na wyspie Samos. Polikrates... Człowiek dawny, przedwiekowy, który kochał sztukę i rozkosz. Przywarły słowa do mózgu od chwili tłomaczeń na szkolnej ławce trzeciej księgi Herodota. Tam są przedziwne mądrości... Nigdy o tem nie myślałem, i dopiero dziś...

— A co znaczy? Czy ciemna białogłowa może wiedzieć cokolwiek z takich morowych Herodotów?

— To znaczy... Ewo, Ewo! To znaczy, że „boskość“ jest zazdrosna. Znaczą te słowa, że wielkie szczęście, zbyt wielkie szczęście... Jakoweś δέιον — złe czy dobre — jest zazdrosne. Należy tedy wyrzec się zbyt wielkiego szczęścia, ażeby zazdrosne bóstwo nie wydarło mi ciebie. Bo ów człowiek najszczęśliwszy, Polikrates, był później przybity do krzyża na górach My-

kale, on, któremu śpiewał Anakreon... Przybity do krzyża, patrzał gasnącemi oczyma na kraj swój, na siedlisko swojej rozkoszy, na wybrzeża ukochanych Jońskich wysp, na świątynię Neptuna i na dalekie, mgliste góry Azyi...

Gdy to mówił szeptem, jakby najgłębszą tajemnicę, ją ogarnęła bezbożna wesołość, drwinka pusta i lekkomyślna, nastrój, którego mniejby się mogła teraz spodziewać, niż śmierci. Coś zzewnątrz zadało jej pytanie: czy też szczęście tyle jest warte, ile kosztowało? Dowiedzieć się! A to, ile szczęście kosztowało, przemierzyło się w mózgu i odpłynęło stroną daleką, okolicą, jak grzmot wiosenny... Wraz nasunęła się niemal pewność, że ta potworna myśl sprawdzenia nie wylęgła się w mózgu, lecz jest nazewnątrz, wisi postronnie, jak uśmiech zdjęty z czyichś szyderczo skrzywionych ust, jak wzrok ohydnie przymkniętych oczu, patrzący prosto w mózg.

Łukasz stał wciąż nieruchomo po drugiej stronie stołu. Był jak zziębnięty, czy chory. Zacierał ręce. Oczy jego zatapiały się w oczach Ewy lękliwie, stopniowo, chyłkiem. A twarz jej stawała się powoli więcej, niż piękną, więcej, niż uroczą, przeistoczyła się w samo piękno, stała się tem, co budzi i żywi miłość i co się w miłości zawiera. Niechętnymi, bezwolnymi kroki zbliżył się, idąc po dywanie. Usiadł na krzesełku tuż obok. Później naprzeciwko... Pragnęła, ach, pragnęła, żeby bliżej... Ale nie ważyła się prosić. Czuła, że gorący rumieniec pali jej twarz i jeszcze bardziej wstydziła się tego rumieńca. Słowa zamarły i znikły. Suknie dotknęły

jego kolan. Czoło się chyli ku czołu. Pachną włosy. Oczy jej objęły go, oczy błękitny obłok, oczy najcudowniejszy żywioł ziemi. Jak długo trwało to wzajemne zaśnienie, owa zupełność i doskonałość szczęścia? Godziny, czy minuty? Siedzieli zdala od siebie, stopieni w anielski byt.

— Ty jesteś... szczęście... — powiedział cicho.

Uśmiechnęła się z za smutku, tak samo, jak niegdyś uśmiechała się ku niemu, podczas majowych nabożeństw, z za czarnej wualki.

— Czy naprawdę jestem dla ciebie szczęściem?

— Naprawdę. Przysięgam!

— Jakże to miło słyszeć! Jak miło...

— Ty jesteś boska radość...

— Bardzo dużo przecierpiałam.

— I ja.

— Dlaczegożeś to zrobił?

— Musiałem.

— Raz czytałam... O jednem zdarzeniu.

— O jakiem zdarzeniu?

— Że tak w hotelu wypili we dwoje jakiś tam kwas...

— Nie! Jadę do Rzymu.

— Kto, kto jedzie? — szepnęła blada, jak trup. Powtórzyła to pytanie kilkakroć, jąkając się i dusząc sylabami.

— Pożyczam pieniędzy od moich hrabiów i jadę do Rzymu. Mam duże szanse, że tam rozwód wyrobię.

— Czy podobna!?

— Wyrobię.

— W Rzymie wyrobisz?

— W Rzymie.

— Kiedy?

— Za jakie dwa, trzy miesiące.

— A kiedy wrócisz?

— Wrócę, wrócę! I już na wieki...

Znowu począł głosić miłą prawdę:

— Ty jesteś szczęście!

A później pod najgłębszym sekretem i najbardziej cichym szeptem:

— Jesteś bardzo piękna...

Wstała ze swego miejsca. Patrzyła na niego z tajemniczym, a nowym uśmiechem. Nigdy jeszcze takiego nie widział.

Była cudowna. Wicher w mózgu... Straszna wola rozkoszy.

Włosy przybrały same szczególną postać i nadały głowie wdzięk niewysłowiony. Jedno złotolite pasemko osunęło się na policzek. Chciała odgarnąć. Poprosił oczyma i błagalnem skinieniem ręki, żeby zostawić tak, jak jest. Wtedy uśmieszek i nowa zorza wstydliwego rumieńca pod tem pasemkiem.

— Ewo — rzekł — już musisz iść...

— Prawda. Już muszę...

— Ósma godzina.

— Tak mi żal odchodzić. Strasznie dobrze u ciebie! Z tobą strasznie dobrze! Ach, jak jest z tobą...

— Będę pisał do biura. Idź teraz!

— Taka to gościnność...

Uśmiechnął się szyderczo. Ujrzała jego białe zęby.

Wszystek drżał i tarł ręce. Twarz jego stopniowo stawała się surowa, szara, okrutna. Ewa zlękła się czegoś i stała przed nim pokorna. Znagła łkanie wyrwało się z jej piersi. Oczy błagalne, na ustach słowa, nie dające się wyjawić:

— Nie opuszczaj!...

Krótki pocałunek, raczej szybkie muśnięcie ust ustami.

Narzucił paltot na ramiona. Prędko wyszedł—pod rękę. Schody, brama. Ukłon portyera... Ciemnemi ulicami, po mokrych chodnikach, ciemnemi ulicami, wśród surowych kamienic — bez słowa, bez słowa... Przed bramą domu szybki, mocny uścisk ręki. Znikł w mroku, w wichrze i deszczu.

W końcu listopada Ewa otrzymała w biurze następujący list:

„Szanowna Pani!

Przebywający w szpitalu miejskim p. Łukasz Niepołomski, na oddziele chirurgicznym, którego jestem kierownikiem, poleca mi prosić Ją o natychmiastowe przybycie. Chory ma płuco przebite kulą pistoletową. Stan jego jest ciężki i nie budzący nadziei.

Z szacunkiem *dr. J. Wilgosiński*".

Po krótkich ciosach pytań bez odpowiedzi, ogłuszających jak uderzenie łba stępy, po sofoklesowskiem siepaniu się ducha Edypowego, który ciska w niebo

pytanie boleści—„ὦ Ζεῦ τί μοῦ δρᾶσαι" nastała w Ewie oślepiająca jasność, — owo „Τὰδ' ἤδη διαφανῆ".

Wszystko się wyjaśniło. Bezbrzeżny, zielony ocean nieszczęścia stoi przed oczyma i kołysze się w słońcu. Poprawiła włosy. Uciszyła się rozkazami woli.

Poszła niezwłocznie do gabinetu szefa biura z wystylizowaną naprędce prośbą o urlop. Gdy weszła do sanktuaryum w porze nieodpowiedniej, przyjęło ją odpychające mocniej, niż pięścią, zimne spojrzenie.

Znała już do zbytku dobrze łysą czaszkę, śpiczastą siwą bródeczkę, oczy jesiotra i wargi notorycznego kata. Wyłuszczała prośbę o urlop w sposób trafny i spokojny. Długa twarzyczka władcy nie drgnęła.

Szef nie przestał palić papierosa, a właściwie nie zmienił przerw i dystansów w paleniu. Najsubtelniej skłamane okoliczności, które przedstawiała, nie wpłynęły wcale na zmianę raz przyjętego za właściwy sposobu otrząsania popiołu o brzeżek bronzowej popielnicy.

Mumia była nieczułą na wszystko, nawet na uśmiechy kobiece. Nierychła odpowiedź, odpowiedź bez skazy politowania.

— Pani żartuje!... Skąd urlop? Jakto! Dziś zaraz urlop? Czy pani nie zna przepisów?

— Panie naczelniku!...

— Pani otrzymała w zeszłym roku urlop z pensyą. Pani chyba żartuje, powtarzam to już drugi raz.

— Nie żartuję, panie naczelniku. Są to okoliczności tego rodzaju. Ciotka, która mię wychowywała od urodzenia, jest umierająca. Ja muszę! Zgodzę się na wzięcie na moje miejsce zastępcy, na urlop bez pensyi.

— Pani sobie żartuje. Powtarzam po raz trzeci.
— Przecież mam prawo do urlopu co roku.
— Ja przez dwadzieścia siedm lat nie brałem urlopu.
— Więc nie otrzymam nawet tygodniowego zwolnienia?
— Pod żadnym pozorem.

Wyszła z biura, nie meldując się nikomu. Przedewszystkiem wstąpiła do najbliższej cukierni i wypiła szklankę ohydnej herbaty w celu przejrzenia książki z rozkładem jazdy pociągów. Gdy powzięła wiadomość, że najprędzej może jechać dopiero za sześć godzin, udała się bez namysłu do starej Barnawskiej. Jak ptak wbiegła na schody, prowadzące do mieszkania lichwiarki, schody, które w rodzinie zwały się schodami ciężkich westchnień. Ile to razy chodziła tutaj po pieniądze na życie jeszcze wówczas, gdy była dzieckiem! Ileż to razy dźwigała daninę procentu, ile razy odnosiła znaczną część miesięcznej pensyi swojej!

Zadzwoniła. Nierychło rozległo się człapanie pantofli starej Euriklei i nieufny głos:

— A kto tam?

Ewa wykrzyczała swe imię i nazwisko. Została wpuszczona. Przedewszystkiem zdjęto łańcuch, później otwarto z klucza drzwi, wreszcie usunięto zatrzask. „Ciocia“ zajmowała dwa wielkie pokoje od frontu. Całe to mieszkanie było zastawione ślicznemi szafami, które przegradzały pokoje i tworzyły mnóstwo zakamarków. Ewa znała od dzieciństwa owe szafy prześliczne z mahoniu, wykładane bronzami, o szklanych drzwiach, tajemniczo zasłoniętych zieloną glasą. Powitała oczyma znane miniatury, rozwieszone po ścianach.

Miniatur było pełno. Stara jejmość była ich kolekcyonistką. Wydała na to ogromne, pono, sumy. Wszystkie były oprawne w drogocenne ramy ze złota, z cennego drzewa, wykładane pięknemi ozdobami z bronzu.

Były to przeważnie portrety pięknych kobiet i rzeczy miłosne. Ewa lubiła zawsze, przychodząc z interesami rodziców, w czasie spisywania przez starą wiedźmę pokwitowań, upajać się owemi malowidłami, pełnemi słodyczy i zmysłowej rozkoszy! Na niektóre miniatury stara nie pozwalała patrzeć, inne pokazywała sama z widoczną pychą i zadowoleniem.

Teraz widok tych scen kleszczami ścisnął serce. Skoro tylko stanęła w pokoju i objęła go zgasłem okiem, wynurzył się przed jej duszą miniony dzień młodości i przemknął — smutne widmo.

Księżniczka Vaughan... Ewa podniosła na nią oczy pełne łez i w tem spojrzeniu powierzyła okrutną tajemnicę swej duszy.

— Księżniczko, księżniczko! gdybyś wiedziała...

Tamta patrzyła z uśmiechem radosnym, z zalotną swobodą, jakby chciała wyrazić pogardę dla cierpień.

Miłość jest wszystkiem... — zdawały się mówić jej czerwone usteczka.

Z za szafy ukazała się niespodzianie Barnawska. Ewa coprędzej przystąpiła do rzeczy. Szeregiem kłamstw, misternie spiętrzonych, udowodniła starej damie, że rodzina potrzebuje niezwłocznie stu dwudziestu rubli, a to w celu pokrycia (nieistniejącego) długu, który teraz miał

ich jakoby doprowadzić do wyrzucenia z lokalu. Ponieważ Barnawska już wielokrotnie pokryła była długi starych pensyą Ewy, nie opierała się teraz bardzo. Czyniła wstręty raczej dla zwyczaju i powagi lichwiarskiego stanowiska, niż zasadniczo.

Skoro Ewa oświadczyła, że sama podpisze rewers, i zobowiązała się pokryć dług ze swej pensyi, otrzymała żądaną kwotę wyświechtanemi trzyrublówkami, co uczyniło pakę formalną.

Uzyskawszy pieniądze, wałęsała się po mieście aż do końca czasu biurowego — dla niewzbudzenia podejrzeń.

Wróciła do domu w czasie właściwym, zamknęła się w swoim pokoju i pakowała w małą walizę najniezbędniejsze rzeczy. Wzięła wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Wieczorem, gdy już matka szła spać, a ojciec jeszcze z knajpy nie wrócił, wymknęła się z domu z walizką w ręku, wsiadła w pierwszą dorożkę, dopadła dworca, kupiła bilet i pomknęła w dal.

Przytulona w drewnianym kącie trzeciej klasy, rzucona w gwar prostactwa, między chłopów i żydów, obojętnie patrzała w okno. Oczy nieruchome, utkwione... Mrok... Księżyc świeci, ale od chmur niewidno. Ów najgorszy na ziemi tyran, tłum obcy, kiedy serce rozdziera niedola. Smugi czarnych pól. Pola niezmierne... Pasy leśne... Polna, nieznana łaska i cisza... Dobrotliwe samotnie i litosne pustkowia.

Głowa o drewnianą ścianę oparta słyszy żelazną melodyę kół i szyn, a serce pojmuje żelazny głos złej godziny. Nieubłagany głos powiada, jak dokonywują się

sprawy pomimo nas, pomimo nas... Powoli idą, lub lecą szparko w dal, jedne z drugich wychodzą, jakoby ciała z ciał, koła się zazębiają za koła zębate, nie dbając przecie o to, że zmiażdżą zwyciężoną duszę...

Samotna, zwyciężona dusza jedna jedyna jest na tym świecie. Serce jak mały biedny zajączek od psów ogromnych, od chartów zaciekłych w olbrzymich zgoniony polach... Przypadło teraz serce, jako zajączek przypada w kotlinie pod przykopą.

Wicher nad nim żałosny, a w wichrze głosy straszliwe pościgu. Lecz teraz jego krótka minuta półsnu, spoczynek z otwartemi oczyma. Słychać wszystkie głosy nieszczęścia, lecz piersi nabierają tchu do życia, do chyżego biegu w bezgraniczu pól. Subtelny niepokój nie leci światami, lecz w sobie leży. Siła jego dźwiga ciężką płytę zwierzęcego bytu...

Ewa pamięta wszystko, co było, i niemal widzi, co będzie. Doszła do stanu nadświadomości. Oczy z pod powiek przymkniętych ukośnie raz rzucone, leżą w szybie okna wagonu.

— Straciłam miejsce w biurze... — poziewając, bezdźwięcznie mówią usta.—Rzuciłam dom. Nazawsze, och, nazawsze... Już mię mama nie przyjmie. Tatko-by może przyjął, gdyby się nie bał mamy i Anieli... Biedny tatko... Łukasz chory... Ma płuco przebite kulą... Któż to mógł zrobić, mój mocny Boże!...

Jeżeli Łukasz umrze... — marzyła bez bólu — trzeba będzie... o mocny, o mocny Boże!...

Wspinała się na palce i dźwigała duchem. Przez wązką szczelinkę między ściśle zwartemi zasłonami rze-

czywistości widziała ową chwilę odległą, chwilę swoją i jego w jakowymś brzasku dalekiego świtania. Widziała tam siebie, jako cień, idący pod zorzą w czarne pola. Tak niegdyś we śnie...

Późno w nocy ludzie się w wagonie pospali. Chrapanie, smród, kaszel jesienny. Konduktorowie trzaskają raz wraz drzwiami. Jakieś ciemne stacye za spotniałą szybą. Chropawe budynki, szkielety drzew w czerwonym blasku latarni. Splątane badyle dzikiego wina z wiszącym tu i tam czerwonym liściem na ohydnym, zadymionym murze budowli stacyjnej. Kosmyki te snują się i plączą w oczach, jak obraz widomy cierpienia samego w sobie. Wciąż ostry zapach węgla, wieszczący niedolę. Pociąg leci dalej, leci, leci. Głowa o ścianę żelazną oparta słyszy żelazną melodyę...

Nareszcie szyba okienna stała się szara, szaro-błękitna. Ewa starła z niej rosę i wyjrzała. Blada jutrznia rozwidniła się już nad zagonami, nad ciemnymi moczary. Któżby uwierzył — marzyła Ewa — patrząc na potworne kępy rokicin, na czarne rozlewiska i rude role — że wy jesteście również cudownemi łąkami, że staniecie się różnobarwne jak sukienka Józefa, Jakóbowego syna? Któżby uwierzył, że ten zgniły i obmierzły moczar będzie zalany od błękitu wód, będzie kwitł płomiennemi smugami jaskrów, będzie zachwycał kępami młodocianego sitowia bardziej, niż najpiękniejsza muzyka. Zasnuje się mgiełkami wiotkiemi dal, posępna dal i nieskończone mazowieckie aleje ciągnąć się będą w oczach, jak widzenie, a duszę wzywać we świat, w wędrowania dalekie — dalekie... Jakże się to dzieje, że śmierć może

się stać życiem kwitnącem, a życie drżące i tęgie staje się śmiercią?...

— Raz mówił mi Łukasz — marzyła dalej, oczy mając wlepione w rozkisły, obdarty, chory i półumarły krajobraz — że dzieje ludzkie są, jak łąki i pola zbożowe. Gdzież się podziewamy wszyscy? Dokąd idziemy? Jesteśmy ścinani, jak te łąki, zżynani, jak te zboża, jesteśmy zjadani, jak kłosy. I niema nas na tej ziemi, jak niema teraz traw ani zbóż...

Oto rzeczka. Żelazny na niej most. Łoskot pociągu, lecącego nad próżnią. Kłąb białej pary nad rozciapanymi zagonami, nad szklistą w bróździach wodą. Idzie kłąb pary po grzbietach zagonów, jak zmora, wlecze się, jako upiór, ku nizkiej wsi. Znowu wioska, wioszczyna. Małe chałupy, drogi pełne bajorów. Tam człowiek brnie, wywlekając pracowicie buciory z grzęzawiska drogi. Oto tu ludzie mieszkają w tych budach, oblanych gnojem i kałużami, troskliwie pilnując chlewów przy chałupach i gnojówek u progu obór. Wszędzie szkli się woda i zewnątrz ścieka wilgoć. Serce przenika gnębiący smutek i niewysłowiona nuda owego ludzkiego życia, na którego obraz patrzą oczy. Przez mgnienie źrenicy na widok tej wsi, kisnącej w wiecznych brudach, widać z okrutną oczywistością, jak między ludźmi niema nic wspólnego, ani cienia pobratymstwa, jak niema między nimi nic, prócz grzechu pożądliwości i grzechu umówionej napaści, legalnego złodziejstwa — i grzechu użycia złupionych bogactw. Jakieś słowo nieśmiertelnego poety, czytane dawno, wraca się wciąż, jak natrętny przechodzień w ludnej ulicy, zagłą-

dający w oczy to z tej, to z tamtej strony: „—Jedna jest i niezawodna twemu plemieniu — śmierć“.

Śmierć!

Drga w całem ciele to słowo, jak potężny cios, ścieka smagającymi dreszczami do stóp...

Świst przeciągły.

Ludzie się budzą. Konduktorowie biegają. Ach, więc to miasto!...

Wysiadła na stacyi, obmokłej od deszczu, weszła między ludzi zaspanych i zmarzniętych. Czuła się potłuczoną i jak z połamanemi żebrami. Najęła dorożkę i kazała jechać wprost do szpitala. Łoskot owej dorożki w ciemnych i pustych ulicach... Miasto obce, nigdy nie widziane, obmierzłe i wstręt budzące.

W duszy spokój i ciche, kobiece, milczące męstwo. Chwilami, jakby ze szczeliny nieznanej ducha, wymknie się tajna modlitwa, żeby aby jeszcze zastać! Ale to krótko trwa. Nakazy co chwila, jak biczowanie ducha krnąbrnego: męstwo, milczenie, trzeźwa praca!

Szwajcar szpitalny przyjął ją jak najgorzej. Patrzał na nieumytą i nieuczesaną, w odzieniu zasypanem kurzem węglowym, jak na coś podejrzanego. Odwracał się plecami i nie chciał rozmawiać. Na szczęście nie był obojętny na blask srebrnych monet. Wyjawił tedy z kolei rzeczy przychylniej, że ów pan Niepołomski żyje, chociaż mu ta nie obiecują. Gorączka okropna, krew ustami... A że doktór Wilgosiński przyjdzie dopiero o jakiej dziewiątej. Co to jest takiego z Łukaszem, co za rana od kuli — tego nie chciał wyjawić,

a zapewne tak stanowczo nie chciał wyjawić dlatego, że, sierota, nie wiedział.

Usłyszawszy, że Łukasz żyje, chociaż mu ta nie obiecują, że krew... — Ewa zapłakała w ulicy, tyłem odwrócona, w sekrecie przed szwajcarem. Poprosiła też zaraz tego człowieka, żeby ją wpuścił, gdy przyjdzie o dziewiątej. Jakoś przyrzekł. Zostawiła tłumoczek i poszła tymczasem w ulice miejskie. Sklepy były jeszcze pozamykane. Trafiła na przecięciu zaułków na kawiarenkę, czyli „cukiernię“. Już tam zamiatano podłogi i wysypywano je piaskiem, a nawet już goście spożywali śniadanie. Ewa zajęła miejsce w kącie i kazała sobie podać kawy. Jakoś na tę „kawę“ skrzywiono się, wolała tedy poprzestać na herbacie. W pobliżu siedzieli dwaj panowie, nachyleni ku sobie i zajęci żywą rozmową. Ewa nie zwracałaby na nich uwagi, ale oni swoją zwrócili na nią w taki sposób, że musiała patrzeć i czuwać.

Byli obadwaj młodzi (mieli najwyżej po dwadzieścia kilka lat), ubrani z nadzwyczajną, przesadną elegancyą. Siedzieli w paltotach i kapeluszach. Paltoty były z jedwabnemi podszewkami, buciki lakierowane, kołnierzyki, krawaty, kapelusze, mankiety najświeższej mody.

Jeden z tych panów był bardzo piękny, z czarnym leciutkim wąsikiem, prawdziwie ozdabiającym górną, ponsową wargę. Drugi miał jedno oko wybite, czy zapadnięte, w niem monokl, rysy nie tak piękne, jak pierwszy, ale niezwykłe, niezapomniane, wpadające w oczy. Uderzyło to Ewę, że ów piękny, wyglądający

na eleganta pierwszej wody, ręce miał ohydne, jak rataj, wielkie, z ordynarnymi pazurami. Po drugie — pili wódkę w tej „cukierni“ i zajadali kiełbasę, owiniętą w gazetę. Piwo usłużnie i szybko podawała blada dziewczynka, okryta chustką, przynosząc je skądś zzewnątrz, jakby z ulicy.

Piękny brunet nie spuszczał oka z Ewy. Poczęło ją to drażnić. Spojrzała na niego po swojemu, spojrzeniem młodej, cudnej, hardej dziewczyny, gniewnem i okrutnem — żeby odtrącić o cztery mile. Ale tu, może pierwszy raz w życiu, spotkała się z oporem nie do zwyciężenia. Głębokie oczy tego człowieka nie zlękły się i nie cofnęły. Przeciwnie, podeszły śmiało, bliżej, jakby do boju. Było w tem spojrzeniu i wyzwaniu coś tygrysiego. Ewa doświadczyła piekielnego wrażenia, jakby ją za gardło chwyciła ta ręka z grubymi szponami, gruba i ogromna. Usłyszawszy o herbacie, obstalowanej przez Ewę, młodzi panowie rozkazali bladej dziewczynie również podać sobie „dwie herbat“. Uczynili to ostentacyjnie, z cynizmem i zadzierżystymi uśmiechy, w których była przeszywająca do szpiku kości siła i piękność. Ewa niecierpliwiła się. Spoglądała co chwila na zegarek. Najniespodziewaniej brunet z czarnymi wąsikami i również czarnymi pazury wstał ze swego miejsca, ujął za poręcz krzesełka i przysiadł się do stolika Ewy. Ukłonił się z elegancyą fryzyera, czy subjekta i bez ceremonii wszczął rozmowę.

— Pani z Warszawy?

Była tak przerażona jego śmiałością i spojrzeniem, że odpowiedziała natychmiast:

— Tak, z Warszawy.

— Zarazem poznał. Bo i my z kolegą z Warszawy.

— Bardzo się cieszę...

Młody frant nachylił się ku niej i szepnął dyskretnie:

— Myślisz tu pani szukać karyery?

— Co to pana obchodzi!

— Nic, ja tylko przez życzliwość. Fest z pani kobieta! Przecie i my facety nie gorsze od innych...

— Panie!

— A co się tyczy pieniącha, to mogę pokazać. Jak lodu! Możnaby pofrajdować choćby i z tydzień.

— Niech pan idzie precz odemnie! — rzekła Ewa, nie rozumiejąc dokładnie, ale czując w tych słowach coś strasznego.

Młody człowiek zaśmiał się z cicha, mrugając na towarzysza. Tamten siedział z dystynkcyą, bez ruchu, patrząc w Ewę swem jednem okiem. Słaby uśmiech wyniosłości, czy szyderstwa tkwił na jego ustach.

— Mogę odejść, czemu nie! Jeszcze się sama będziesz prosiła, jak zobaczysz nasze pieniądze...

Wykręcił swoje krzesło w powietrzu i odstawił, mówiąc w kierunku ściany:

— Moja-że hrabini Montekukuli!

Dziewczyna usługująca przyniosła herbatę, ale Ewa nie mogła jej pić. Zapłaciła coprędzej i na gwałt miała się ku wyjściu. Już we drzwiach poprosiła ową kelnerkę o pewną usługę: czy nie mogłaby gdzieś w kuchni, czy w sieni oczyścić swego ubrania? Dziewczyna z wa-

haniem i niechęcią poprowadziła ją do swej izdebki za „salą bilardową“. Była to ciemna nisza z okieneczkiem w górze, framuga w murach zwilgłych, przedwiecznych. Stał tam tapczanik z siennikiem i kołderką. Znalazła się miska z wodą, mydło i ręcznik. Ewa zamknęła się w tej celce, umyła, uczesała włosy i okurzyła suknie. Gdy dziewczyna przyszła z powrotem, Ewa była gotowa i mogła wsunąć tamtej pieniądz w rękę. Kelnerka uśmiechnęła się blado, podziękowała... Przez chwilę Ewa czuła szczególne zainteresowanie się życiem tej biednej dziewczyny, jak gdyby to było jej własne życie. Patrzyła w ciemne schowanko z niepowstrzymaną ciekawością...

— Czemu pani nie wypiła swej herbaty — spytała nieśmiało usługująca.

— Nie mogłam. Zaczepił mię ten jakiś... A mam, wie pani, ciężkie zmartwienie. Jeden człowiek jest bardzo chory... Kto to są ci panowie, nie wiadomo pani?

— Nie... — rzekła kelnerka z wahaniem i słabym rumieńcem.

— Pani wie, tylko pani nie chce mi powiedzieć.

— Boję się ich wydać... — szepnęła cicho... Oni często gęsto przychodzą nad ranem. To jakieś morowe dranie...

Właśnie w tej chwili w przyległej izbie rozległ się hałas. Młodzi eleganci, najadłszy się do syta, przystąpili do gry w bilard. Ewa wyszła z kryjówki i zmierzała szybko ku drzwiom. Brunet, który usiłował był zawiązać z nią rozmowę, przeciął jej drogę, niby przypadkiem. Gdy go mijała, obtarł się o nią brutalnie

ogromnemi dłońmi, z chichotem wyszczerzając śliczne zęby.

Po przybyciu do szpitala w oznaczonej godzinie Ewa zameldowała się do doktora Wilgosińskiego. Był już w szpitalu, ale zajęty. Czekała w wejściowej sieni.

Świat zewnętrzny, nowy, a niewiadomy jeszcze, świat zamknięty i pełen praw swoistych, świat szpitalny, to państwo przepotężne, urągające wszystkim mocom ziemi — nie był oczywiście łaskawy dla duszy. Był twardą przeszkodą w nieustannej pracy serca, w szukaniu po ciemku, omackiem prostej drogi przy pomocy biednego kija — instynktu. Chwilami przebiegała przez serce trwoga, czy doprawdy Łukasz jest jeszcze na ziemi, czy nie jest on tylko jej obłąkaną ideą, myślą zgubioną w chaosie? Cała zagadka i cała tajemnica istnienia polegała teraz na jednej jedynej zasadzie, na jego krótkiem imieniu.

Zegar szafkowy w rogu sieni wymierzył i wydzwonił niejeden kwadrans. Nareszcie szwajcar zjawił się w ciemnościach korytarza, wyszukał oczyma Ewę i wezwał gestem. Szła za nim po pasie linoleum, wśród zapachu karbolowego, cichymi krokami aż do jakichś drzwi. Sądziła, że to już drzwi Łukasza... Powstrzymała oddech i bicie serca. Szwajcar oznajmił, że to gabinet pana chirurga. Weszła. Wysoki przed nią, gruby, łysy brodacz, z wyłupiastemi, blademi oczyma, jak skorupy jaj kurzych — prowincyonalny geniusz od urzynania gnatów — srogi, straszny, gromowładny, wszystek czerwony od przelanej a niewinnej krwi pacyentów, groźny, jak belzebub, safanduła.

— Jestem Ewa Pobratyńska...—wymówiła z nizkim, panieńskim dygiem.—Pan doktór był tyle łaskaw, że zawiadomił mię listem...

— Tak. Więc to pani... No, tak, zawiadomiłem panią, bo ten waryat kwiczał mi bez przerwy...

— Jakże też on? Panie doktorze... Czy ma się lepiej?

— Ma się! — wybuchnął doktór Wilgosiński. — Źle! Moja pani, niema co ukrywać... Płuca durch przeszyte. Co tylko mogła nauka — dodał uroczyście, wywracając oczy — wszystko zrobione. Reszta w mocy Wszechmocnego.

— Czy mogłabym go widzieć? — wyszeptała błagalnie.

— Ani o tem mowy! Żadnych! Ani mowy!

— Panie doktorze!

Nieprzepuszczający nikomu i niczemu, zimny i ostry jak lancet, nieodwołalnie stały, jak sama chirurgia — ujrzawszy omdlenie i gorzkie łzy tych oczu — natychmiast chrząknął złowieszczo i zmieszał się obskurnie.

— A jak krwotok?!

— Ja tylko w kąciku, ja podedrzwiami...

— Niechże pani zechce wejść w moje położenie... Jako lekarz!... Jeżeli coś jest tak wręcz przeciwne wskazaniom nauki... Co tylko mogła nauka, wszystko, co do joty... Muszę przygotować go stopniowo, krok za krokiem.

— Nic nie będziemy mówić. Tylko przy panu doktorze popatrzymy na siebie. Tylko się popatrzymy! I ja zaraz, natychmiast, na pierwsze skinienie!

— Boże, Boże! z tymi romansami, z tymi romansami! Z temi niebieskiemi oczami... — jęczał doktór Wilgosiński, kolosalnym krokiem wychodząc z gabinetu i wskazując Ewie drogę za sobą.

Stanęli pod jakiemiś drzwiami. Doktór dał znak, żeby została. Została skulona i zmięta, jak płaszcz zrzucony z ramion, spłaszczona w jedną jakowąś fałdę.

Wszedł sam, drzwi zostawiając półotwarte. Przyłożyła ucho do szpary i słuchała:

— Mam list od tej panny... — rzekł Wilgosiński.

Głos cichy, szeptany i prędki:

— Daj doktór!

— Pisze, że przyjeżdża...

— Dawaj doktór! Będę krzyczał, będę w niebogłosy... krzyczał!

Ewa, jak łachman na ciele żebraka od wichru, jak źdźbło na polu trzęsła się bez sił.

— A żeby to wszystkie cholery azyatyckie! Leż pan spokojnie! Łokcie na kołdrze! Już przyjechała. Leżysz pan spokojnie? Łokcie...

— Gdzie jest?

— No, jest. Będziesz pan leżał bez ruchu?

— Będę leżał.

— Bez ruchu?

— Bez ruchu.

Doktór uchylił drzwi. Ewa weszła cicho, jak powiew wiatru, minęła pokój niesiona siłą nieznaną. Przyklękła obok łóżka, jakby na rozkaz. Rozpalona ręka spoczęła w jej włosach. Oczy toną we łzach i nic nie

widzą. W jego oczach szerokich, ognistych — szczęście bez granic. Głos suchy, trudny, oddech chwytany.

— Ewuś... Ewo... — szepce — przepraszam... bardzo, nad życie... Miałem pojedynek z tym... draniem... Szczerbicem...

— Mówić tyle! Żeby to!.. Morowe powietrze... z temi pannami! — jęczy lekarz.

— Bo ktoś wykradł twoje listy z mojego kuferka... Plotki w tym domu... Rozumiesz?

— Nie mów, nie mów!

— Już tylko... słowo... Odezwał się z kpinami w salonie. Trzasnąłem w pysk. Pojedynek. I tak mię... przeszył.

— To nic, to nic! Wszystko będzie dobrze... — zwiastuje mu z błogosławioną słodyczą.

— Nie będzie... dobrze...

— Będzie napewno!

— Umrę już... Ewuniu...

— To nic, to nic... — szept coraz cichszy. — Umrzemy sobie, dziecineczko, razem... Razem, oboje... Alboż to źle? Mój rycerz — sokół! Mój obrońca! Tu... przestrzelili... Tylko cicho, tylko nie mów. Przecie to wszystko jedno. Ja stąd już nie odejdę. Ani na krok! Ja tu już będę...

Położyła złotą głowę na kołdrze. Patrzy mu szczęśliwemi oczyma w oczy, w święte swe niebo. Rozchylone w ekstatycznem uniesieniu wargi śmieją się z cicha wśród łez kapiących. Szepce rozkoszne, melodyjne, pieśniane słowa, zwiastuje mu prawdę cudną a prostą, tak przecie dawno znaną nieszczęśliwym na tym padole:

— Każemy sobie... złote litery, złote litery... wyryć... na grobie...

Za miastem, na wzgórzu pochyłem szła, wyciągnięta w szczere pola, ulica bez nazwy. Ludzie, mieszkający tam, nie odbierali, prawdopodobnie, listów, nikt się tedy o nazwę ulicy nie troskał, ani nie spierał. Określano to miejsce rozmaicie: — „za koszarami", „przed koszarami", „na górze", „za miastem", „na wygwizdnem",—jak komu zresztą serce dyktowało. Ulica tamtejsza powstała niedawno, w stosunku do dziejów odwiecznego grodu. Była tam niegdyś, oczywiście, droga, a raczej szereg płytszych i głębszych wybojów w glinie. Pod koniec XIX stulecia stanęły obok drogi koszary wojskowe, budynki długie, nieozdobne, odmalowane na kolor—brr!—niebieskawy. Z biegiem czasu, przed koszarami i za koszarami, słowem na wygwizdnem, powstały domki, zazwyczaj z ganeczkami—również mało ozdobne—ale wzdłuż drogi.

Ziemia cudnej urodzajności wyhodowała wnet warzywne ogrody i owocowe sady — i tak sobie, jakoś nieznacznie i poniekąd wbrew woli, powstała ulica. Nie było to przedmieście, ani wieś, ani miasto. Człowiek łatwowierny, skory do wniosków i nie spoglądający na zjawiska z punktu widzenia materyalistycznego, przytem oczytany — mógłby był popaść w ekstazę na widok dworków, ganeczków, parkanów, sadów... Nic z tego! Dzielnica, o której mowa, nie miała nic wspólnego ani

z dworkami na Antokolu, ani z żadnemi zgoła Bożemi czeladkami.

Powiedzmy otwarcie: dworki owe były wybudowane przeważnie przez Polaków mojżeszowego wyznania ,— a nadto dodajmy — z materyałów w rozmaity sposób pozostałych od budowy wyż wzmiankowanych koszar. Nie tylko zresztą drzewo, wapno, cegła, kamień i tym podobne gonty, ale nawet farba niebieskawożawa, powlekająca ściany, była na całej ulicy jednaka, jeżeli tak można się wyrazić, koszarowo-żydowska. W dworkach od frontu mieszkali przeważnie zamożni izraelici, na tyłach mieścili się chrześcijanie najbardziej niezamożni. Mieszkania tam były bajecznie tanie ze względu na odległość do miasta, brak chodników, latarń i prawdopodobieństwo obdarcia z przyodziewku, osobliwie w nocy, każdego, kto, nie mając od natury danych sił odpowiednich i okutego drąga, zamieszkiwaćby zechciał w tych stronach. Droga, obok której stały domy, wychodziła za ostatnim już nie w pole, lecz w najpierwotniejsze pastwisko miejskie czy wiejskie, porosłe najordynarniej jałowcem, stawała się rodzimą, krętą drożyną, a wreszcie w krzakach i wrzosach, jakby ze wstydu, ginęła.

W tej właśnie wygwizdnej dzielnicy, bliżej pastwiska, niż koszar, Ewa wynalazła mieszkanie dla Łukasza, kiedy począł do zdrowia przychodzić. Przez kilka tygodni niebezpieczeństwa, kiedy leżał w szpitalu, mieszkała na mieście (w pobliżu szpitala), najmując ciupkę od pewnej niezamożnej familii. Codziennie była przy łóżku chorego, opiekowała się nim, czytała mu, grała z nim

w szachy i t. d. Kiedy dr. Wilgosiński zdecydował, że, dzięki nauce, pacyent jest ocalony i pozwolił już myśleć o kuracyi poza szpitalem, Ewa zbiegała miasto wszerz i wzdłuż. Była na wszelkich schodach i we wszelkich izbach „pojedyńczych“. Nie była to sprawa łatwa znaleźć dwa pokoje niepołączone ze sobą, a w tym samym domu, z których jeden byłby w zupełności odpowiedni dla Łukasza, przychodzącego do zdrowia. Nareszcie w grudniu wyszukała w jednym z drewnianych domów owej zamiejskiej ulicy wszystko upragnione. Dla Łukasza najęła pokój duży, suchy, z szerokiem oknem południowem, wychodzącem na ogród i czyste pola, — dla siebie z drugiej strony domu wynajęła izdebkę, bardzo zresztą nizką, ciasną, brudną i podłą. Wszystko tam wymyła, wyczyściła, poszorowała. Zniosła rzeczy niezbędne i przed Bożem Narodzeniem w lektyce pod opieką lekarza przetransportowała chorego.

Łukasz, pomimo kosztów szpitalnych, miał jeszcze dosyć pieniędzy, zarobionych w Zgliszczach. Ewa na swoje utrzymanie poczęła zarabiać. Dr. Wilgosiński, który, jak się notorycznie okazało, miał w sobie poczciwości co najmniej na dziesięciu przeciętnych chirurgów, wyrobił jej pisanie u adwokata, rzecz niebywałą w tem mieście od czasów wiekopomnej pamięci statutu wiślickiego, a może nawet i dawniejszych. Wkrótce jednak to zajęcie urwało się i to w sposób dość bolesny. Adwokat, człowiek familijny, i, co za tem idzie, moralny, pod wpływem żony, osoby również moralnej, wymówił Ewie miejsce ze względu na pogłoski, które do niej były przyczepione, a płynęły za nią, jak we-

lon. Nikt nie wiedział, kto ona jest, skąd, jak, „co za jedna“. Wiedziano natomiast, że ma związki z owym Niepołomskim, notorycznym ateuszem, awanturnikiem, nie szanującym polskich hrabiów, pojedynkowiczem... Dr. Wilgosiński, raz skompromitowany i posądzony o wspólnictwo z ateistami i, co za tem idzie, ludźmi bez moralności,—pomimo całego swego męstwa, zdaje się, stchórzył i nie miał już siły do protegowania Ewy gdzieindziej. Zaczęła tedy szukać sama. Nie znała tam jednak literalnie nikogo, a nadto zajęć, do których mogłaby się przydać, w mieście nie było. Ogłaszała się w miejscowem kołtuńsko - endeckiem piśmidle, składała oferty to tu, tam...

Nie miała tylko „chlubnych“ świadectw i „zaszczytnych“ rekomendacyi, żeby się zupełnie upodobnić do papy Pobratyńskiego. W każdym jednak razie jego maniery, przeszpiegi, metody i sposoby przydały jej się teraz. Między innemi trafiła do pewnego inżyniera powiatowego z propozycyą wykonywania rysunków technicznych.—Liczyła na to, że Łukasz jej pomoże, będzie dawał wskazówki, — liczyła na to, że można będzie przez cały dzień pracować w domu... Inżynier (kawaler podtatusiały)... owszem... patrzał jej w oczy z radością, zgadzał się na wszystko, uśmiechał się arcyozdobnie. Musiała tedy ona popatrzeć na niego w sposób właściwy i zrzec się myśli o tem zajęciu.

Ewa drwiła sobie ze świata. Powiedziała, że znajdzie zajęcie i znalazła. Zaczęła szyć. Krawieczyzna bowiem jest to zajęcie, nie wymagające, jak doświadczenie uczy, od osób, które mu się „poświęcają“, moralności, o tyle wszakże, o ile płaca miesięczna jednostki nie przekracza pięciu rubli srebrem. Ewa zaczęła od małego, więc nie zwracano zbyt wielkiej uwagi na to, „co ona jest za jedna“. Mówiono o niej w magazynie — „ta jakaś z Warszawy“—i basta. Czasami dodawano słowo „lala“, albo inne jakie, mniej estetyczne, a za to bardziej prowincyonalne.

Łączyć na maszynie przykrojone „bryty“, wszywać rękawy, paski, haftki, guziki umiała od dawna, gdyż sama sobie zawsze robiła suknie. — Warszawski jej „sznit“ i wielkomiejski gust sprawił, że stała się niezbędną dla krojczyni, która była zarazem właścicielką magazynu. Wkrótce te przymioty postawiły pensyę Ewy na wysokości 12 rubli miesięcznie. Nie potrzebowała zaczynać od terminu, czyli od stopnia „podręcznej“ z pensyą miesięczną, wynoszącą okrągłą sumę dziesięciu złotych szczerze polskich. O najwcześniejszej rannej godzinie mknęła do domu, w którym mieścił się magazyn, i spędzała tam cały dzień, aż do ósmej wieczorem. Codzień widywała to samo... Wązkie podwórko, bruk z potwornych głazów, chodniczek z ułamków marmuru. Znały już oczy to dziwaczne, pokręcone podwórko, — rodzaj długiej sieni bez sufitu, — w które z nagich ścian wpatruje się wieczny żal bolesnemi źrenicami spłaszczonych, sześcioszybowych okienek. Znały już oczy te ślepe okna z ramami oblazłemi z farby, czarne, zastawione doniczkami... Wieczny smród z owego dołu między kamienicami, z nigdy niewywożonych odchodów, brudy śmietnika, odtajałe z pod śniegu. Ohydne kloaki, szopy, chlewy... Ewa przelotnie, w biegu

wchłaniała w duszę oczyma kolor ścian żółto-czarny, porżnięty zaciekami, porypany od bryzgów brudu. Pamiętała na zawsze przeciąg zimnego fetoru w tej sieni,— okienko w czarnej, omacnej jamie z szybeczką we drzwiach, przez którą to szybkę widać mnóstwo obrazów i bardzo ohydnych świętości na mokrej — mokrej, czarnej ścianie. Tam każdodziennie wzdychała w przelocie do swego Jedynego Boga nad łóżkiem stróża i jego dzieci. Na lewo była pracownia żydowska, w której krzątały się tajemnicze, groźne, do gruntu zniszczone ludzkie kształty-szkielety. W dole, na równi z ziemią, okieneczko żydowskiego krawca. Jego czaszka, broda, oczy, śpiew... Ślusarz, suchotnik pracujący we wgłębieniu, ale, po prawdzie, na dworze... Wszędzie za temi ścianami stuk młotków, zgrzyt pilników, miarowe kołatanie, nieustający puls nędzarskiej gorączki. Dzieci wybladłe i oberwane, ślizgające się w rynsztoku. Czarne i żółte wokoło twarze ludzi. Chłód, ziąb, zapach śledzi adwentowych i matki kapusty. Ach, pewien ślepy i potargany od nędzy człowiek, chodzący z wyciągniętym przed się kijem coprędzej, coprędzej, jakby stąpał po cierniach! Nareszcie wejście na schody. Okienko i tam.

Z wysoka pada brzask mistyczny skądś, z nieprzemożonego mroku na poręcz schodów i na kilka stopni. Jak dziwnie lśniły te stopnie, urobione z brudu, wyłaniając się z pomroki! Schody, idące w górę i zupełną ciemność, które trzeba umieć na pamięć, żeby sobie nie roztrącić głowy i nóg nie połamać. Lepkie drzwi—i wnętrze pracowni. Zaduch, skrawki materyałów, śmieci, głuchy trajkot maszyn... Jedenaście panien,

zarabiających po sześć, siedm, ośm, aż do dziesięciu rubli... Mała, piegowata „podręczna“, wiecznie uprzątająca szmatki, biegnąca dokądś na miasto z gotową robotą, wyprawiana po sprawunki i w interesach. Popychadło, na którem odmierza swe poniżenie każda z „panien“. Kopciuszek, osoba za dziesięć złotych miesięcznie. Zapotniałe okna, przez które widać czasami niwkę błękitu, albo białą chmurkę-wędrowniczkę. A bliżej wokoło facyatki z szybami, przeważnie zalepionemi papierem. Za prawdziwemi szybami, ze szkła doniczki z moknącymi w nich liśćmi, dach rudy z przedwiecznej, glinianej dachówki. W niej tkwi wielki komin, zawsze dymiący w te właśnie czarne okienka.

Ta okoliczność, że mieszkanie Łukasza oraz pokoik Ewy znajdowały się w dzielnicy, zamieszkanej przeważnie przez żydów, że znajdowały się za miastem, niejako poza obrębem kultury i dobrych obyczajów — miała wielkie znaczenie. Właściciel domu, zbogacony przedsiębiorca budowlany, od którego odnajmowali pokoje, był człowiekiem jeszcze młodym, mniej więcej czterdziestoletnim. Chodził w czarnym surducie do kolan (na szabas kładł tużurek nieco dłuższy), spodnie wypuszczał na kamaszki. Używał kaloszy, kołnierzyków, mankietów ze spinkami. Miał także złoty zegarek i kapelusz — melon. Był to przystojny, wypasiony, silny ojciec rodziny. Dla Ewy okazywał stale wielką i delikatną grzeczność, a choć po polsku niechętnie mówił, dla niej, choć ze skrzywieniem, robił ustępstwo ze swej urzędowości. Kiedy Łukasz złożył w jego ręce swój paszport, w którym wymieniona była żona Róża, gospodarz o nic

nie pytał i nie wchodził w szczegóły. Paszport został Łukaszowi wkrótce zwrócony. Raz tylko uprzejmy gospodarz spytał Ewę pół żartem, gdy ją spotkał wracającą do domu:

— Czemu to państwo żyją, jak w rozwodzie? Mąż śpi w jednym pokoju, a żona bardzo daleko w drugim pokoju? To nie pasuje.

— Mąż mój jest chory — wyrecytowała Ewa, ponsowa, jak mak... — Mąż potrzebuje ciszy, wypoczynku.

— No, a gdzie to jest napisane, żeby mąż miał mieć koniecznie niepokój od żony?

— Mąż mój nie może zupełnie spać, jeśli obok niego jest w pokoju druga osoba.

— Ja mu się wcale nie dziwię. Jabym tak samo na jego miejscu bardzo mało spał... —zaśmiał się żyd. — Ale ja tak tylko grzecznie żartuję. Przepraszam... bez urazy...

Łukasz, słysząc z ust Ewy sprawozdanie o tej rozmowie, zauważył, że i obcość żydów w społeczeństwie ma swe dobre strony. Oto te dziwne domy za miastem, jakby przez Twardowskiego wydmuchnięte z piasku licho wie jakim sposobem, na coś się przydały. Cieszył się, że są sami, że ci, co mieszkają za ścianą, są dalecy, nie rozumiejący nic zgoła, że światy ich są tak odmienne, a przez to tolerujące się wzajem, jak cudzoziemcy tolerują cudzoziemców w rozległym hotelu Nizzy lub Interlacken.

Początek zimy upłynął Ewie i Łukaszowi szybko, jak upływa rozkoszny sen. Chory nie czuł przeszywających bólów w okolicy serca, Ewa nie czuła, że pracuje, jak wyrobnica. Ciemny „magazyn“ w brudnem podwórzu, nora, gdzie ścibały suknie niewolnice dla dostatku i zbytku, była dla niej miejscem błogosławionem. Bo obojętne dla niej było życie i jego jakość.

Była w istocie żoną swego Łukasza, choć nie należała do niego cieleśnie. Nie darowywała mu nawet pocałunków. Służyła przy jego łóżku, jak szarytka, jak siostra bratu, a nadewszystko, jak do szaleństwa zakochana narzeczona narzeczonemu.

Gdy przybiegała wieczorem, zaróżowiona od zimna, chyża z tęsknoty, chichocąca, z tysiącem anegdot, dowcipów, pełna szalonej swady człowieka, co skończył przeklętą, dwunastogodzinną pracę, a uzyskał swobodę przyrodzonych człowiekowi ruchów, — obydwoje wpadali w nastrój dzieci, w nastrój uczniaków na wakacyach. Wnet skwarzył się na maszynce przyniesiony od rzeźnika befsztyk lub kotlet, kipiała herbata... W „budzie“ Ewa żywiła się byle jak—bułkami, ochłapkiem zimnego mięsiwa, a najczęściej dwoma serdelkami. Herbatę, podobnie jak wszystkie pracownice, gotowała sobie w rondelku, ustawionym na żelazku do prasowania (*Omne tulit punctum, qui miscuit utile dulci“...*) Wodę do rondelków dostawały darmo, więc i Ewa. Tylko wykwalifikowane staniczarki i niektóre spódniczarki, zarabiające bajońskie sumy (15 do 18 rubli miesięcznie), wychodziły na prawdziwy „burżujski“ obiad w czasie dwugodzinnej przerwy.

Wobec tego stanu rzeczy, Łukasz od rannej herbaty musiał czekać na „obiad“ aż do wieczora. Ponie-

waż leżał bez ruchu, na wznak, wciąż w jednej pozycyi, więc w ciągu dnia nudził się bestyalsko. Czytał stosy książek, pisał ołówkiem etnograficzne i etnologiczne ramoty i ramotki na ogromnych arkuszach papieru. Wieczorem rozpowiadał Ewie o tem, co napisał, co przeczytał, co przemyślał, co chciał uczynić. Marzenia ich snuły się wciąż około faktu, że skoro tylko wyzdrowieje, pojedzie do Rzymu, uzyska rozwód. Wówczas skończy się ich tęsknota...

W końcu stycznia Niepołomski począł siadać,— wkrótce podnosić się, chodzić po pokoju. W połowie lutego w ciepłe dni wychylać się począł na dwór. Śniegi leżały duże. Przyszły mrozy.

Wówczas to właśnie zaszła w nim zmiana. Dopóki leżał, wydawało się, że to jest najście chwilowe, fizyologiczny skutek bezczynności. Ale gdy wstawać zaczął a nie ustąpiło... Nalatujący wciąż na duszę dym, czy wiatr, huragan obrazów, podchwytujący w lot i wciąż w jednym kierunku nachylający aż do ziemi wszystkie myśli... Szept nieustanny spalonych warg: — Ewa, Ewa...

Gdy powracała do domu, gdy posłyszał dochodzący zdala stuk jej zaśnieżonych bucików na drewnianych schodkach, gdy go owionął chłód drzwi otwartych... — popadał w stan nieprzerwanego szału...

Ramiona podnosiły się i pięście zaciskały, jak do bitwy, żeby się siec w pałasze ze sobą samym, żeby zdusić namiętne marzenia. Słyszał szlochanie dumy i godności, słyszał echa złożonych przed sobą przysiąg, nieodwołalnych słów honoru. Ale wszystko ginęło w gę-

stym kopciu, osiadającym pod czaszką, trzeszczało, jak łatwo palny materyał wśród sypkich iskier, co w dreszczu leciały po żyłach. Był ponad siły, nad możność zniesienia, stan obcowania z nią, uwielbiania jej, dotykania jej rąk, małych dłoni, które były tkliwe i wymowne, jak żyjące istoty. Był ponad siły stan spoczywania oczyma w jej oczach, co opromieniały wszystko, jak słońce, — zasłuchiwania się w jej nowe, niewiadomej genezy, pieszczotliwe słowa,—patrzenia w cudne uśmiechy, — muskania włosów dłońmi, jak najtkliwszymi pocałunkami... Każda suknia, każda wstążka, każdy sprzęcik zdawał się patrzeć w oczy z niemem pytaniem, jakoby rój duchów gotowych na rozkazy. Wszystkiemi siłami woli Łukasz starał się zapomnieć, potargać pajęczynę ułudnych kuszeń.

Wmawiał w siebie, że już to, co się w nim dzieje, jest to podłość, ostateczna hańba człowieka prawego,— że tego wcale być nie powinno, że niema być, — zaklinał się, żeby nie było. Po tytanicznych porywach, po wysiłkach duszy w istocie potężnych, po przyrzeczeniach w kłąb zmotanych — nastawały chwile ciszy. Ale wnet, jak z pod ziemi, wybuchał inny zdrój. Było duszno, smutno śmiertelnie, jakby co minuta miało się ukazać czyhające nieszczęście. Płomienne uczucie oczekiwania, gdy była nieobecną w domu, rozdymało żyły i napełniało pokój zapachem rozkoszy. W ciszy, dotykalnej, jak ciemność nocy, lub jasność słońca, rozlegały się jej słowa tak wyraźnie, że słychać było każde brzmienie i każdą sylabę. Szelest sukien trwał bez przerwy. Głowa płonęła, serce biło, jak zbuntowany

niewolnik. Powieki opadały na oczy i niestrzymane obrazy rozkoszy objawiały się daleko wyraźniej, niż otaczające, martwe sprzęty. Wtedy to przemykała się w mózgu cicha i skromna myśl:

— A dlaczegóżto właściwie zachowywać te skrupuły? Dlaczego? Szczęście jest jedno, a nieszczęść milion.

Wówczas wyrywał się znowu, jak z objęć dyabelskich, wznosił ponad siebie i usiłował patrzeć na wszystko, co się z nim dzieje w tej izbie, z góry, z wysoka.

— Oto, — mówił do siebie, — teraz jest chwila rozumu czystego, włada, jakby powiedział stary Plato, τὸ λογικὸν. Wszystko, co jest poza tą chwilą, jest — τὸ ἄλογον,—namiętności, apetyty zwierzęce, *cupiditates*, podła szlaka w piecu, gdzie się ma wytopić czyste żelazo. Czyliż ja to miałbym dopuścić do władzy owo *alogon?* Ja, człowiek przyszłego świata? Przenigdy! Choćby tylko dlatego.

Rzucał się do książek, do studyów, do ścisłego myślenia. Panował nad sobą w ciągu godzin. Ale rzut oka na cokolwiek, na ślad drobnych gwoździków w obcasie jej bucika, wyciśnięty na białych deskach sosnowej podłogi... Z desek tych, z nikłych, okrągłych zagłębień strzelała w górę cudowna, naga, cielesna mgła. Zasłaniał się od niej rękami, zaciskał przed nią powieki. Lecz ona była w nim, w oczach jego mieszkała od dawien dawna. Cudowne, ledwie rozkwitłe piersi, barki i ręce, biodra i łono były w przepaściach oczu i mózgu. Rozkosz i radość, dym z najcudowniejszych kadzideł, nie-

wyśpiewany czar, tajna pieśń ruchów jej nagiego ciała napełniały duszę. I znowu Łukasz pytał sam siebie:

— Jestże złem to, co ja czuję?

I czuł w sobie śmiech potężny zdrowych sił życia, jako odpowiedź, na wywody honoru i na zaprzeczenia rozumu. Wtedy także najdokładniej poznał, jak rozkosz jest dobra, jak grzech jest łaskawy, a cnota nieznośna. Cień i blask, przestrzeń i czas były na jego rozkazy. Słodycz marzeń nie miała granic.

Kiedy zbliżała się godzina jej nadejścia, pokój stawał się ciasny i mały, niby klatka. Piersi były za małe dla mnóstwa zamkniętych westchnień, nagłych szlochań i bezimiennych wybuchów. Łukasz tłukł się w izbie od ściany do ściany, od drzwi do okna, od okna do drzwi. Czekał, liczył minuty, sekundy... Uchylał drzwi do sieni, zatapiał w szparze oczy i czyhał z powstrzymanym oddechem. Stał tak przytulony do zimnego muru, drżąc z zimna, rozszarpany przez uczucia głuche i ślepe, przez trwogi wyrafinowane, przez żądze, zwątpienia, ofiary i żal. Częstokroć wtedy właśnie gromadzili się we wspólnej sieni sąsiedzi, żydzi z interesami, oraz rozmaici przychodnie i toczyli pod temi drzwiami miłosnego oczekiwania zaciekłe dyskusye materyalistyczne, załatwiali interesy i skakali sobie z paznogciami do oczu.

Wtedy Łukasz popadał w stan dzikiego rozstroju, pienił się, rozpaczał i pękał ze złości. Były chwile, że chwytał za kij, żeby rozegnać chargocącą zgraję — i znowu zmieniał się w natężony wzrok, w czujny słuch. Tęsknota wbiegała na najwyższy szczyt swej drogi i le-

żała bez sił. Zostawało tylko błaganie i cichy, ciągły jęk wewnętrzny. Gdy nagle Ewa zjawiała się, gdy nagle wynurzał się z żydowskiego gwaru jej uśmieszek, gdy mknęła ku drzwiom wesoła, różowa, szepcąca swym melodyjnie-gardłowym głosem, gdy surowo karciła za to, że sterczy pode drzwiami przeziębły i blady, — nie wierzył swemu szczęściu i ulegał nagłemu zdumieniu, prawie rozczarowaniu, prawie depresyi. Patrząc na jej żywą twarz, na oczy iskrzące się, jak wiecznie nowy i wiecznie silny mróz, uciekał na drugi kraniec miłości, w kraj zimnych rozważań i nadaremnie wszystko znowu mierzył myślami.

Ewa od dawna spostrzegła, co się dzieje.

Jeżeli przypadkowo z pod czarnej sukni wysunął się jej trzewik, jeżeli, zajęta sprzątaniem pokoju, zmywaniem naczyń, przechyliła się w taki sposób, że uwydatniły się jej piersi, — widziała wówczas z pod rzęs, że ją chwytają jego oczy, niby płomienne ręce. I jej myśli poczęły chodzić chyłkiem po elipsach szału i rozpaczy. Przysięgła sobie, że skoro tylko on do Włoch pojedzie, wróci do Warszawy. Tam znajdzie sobie z łatwością zajęcie, jeśli nie w dawnem biurze kolejowem, to gdzieindziej, — w telefonach, telegrafach, biurach technicznych, jako wreszcie kasyerka, urzędniczka i t. d. Warszawa była jej miastem. Tam czuła się u siebie, wśród cywilizacyi, gwaru, rwetesu, pracy. Miasto prowincyonalne było dla niej pustynią, o tyle mającą jakąkolwiek wartość, o ile tu przebywał Łukasz. To też co rychlej pragnęła wrócić do „miasta“, znaleźć się wśród rynków, gdzie na ręce i rozum czekają, gdzie życie

wre i myśl bezsennie pracuje. Ale jakże wrócić do Warszawy, do matki, do ojca, do owych prac, gdyby została „kochanką?“ Wrócić i stanąć oko w oko z matką — to jeszcze nic. Gdy ją zapyta o wszystko — powie wszystko. Ale wrócić i powiedzieć, że przez czas nieobecności była „u tego pana?“ Nie, wtedy już niema powrotu. Ściągnąć na siwą głowę matki pewność, wiadomość, potwierdzenie?... Kłamać? Nie, kłamać nie można. Tu może być albo prawda, albo niema powrotu. Ewa drwiła sobie ze świata, z całego świata, jak długi i szeroki, oraz ze wszystkich jego urządzeń. Łukasz — to wszystko.

Obmowy, potwarze, plotki — było to dla niej nic, owszem — uciecha, byleby tylko nie mieć na sobie ciężaru, że to, co będą mówić — to prawda. Gdyby Łukasz zażądał ofiary z ciała i duszy, nie zawaha się ani chwili. Ale pragnęła wszystką mocą ducha, żeby nie teraz jeszcze. Wiedziała, że ją czekają straszne przejścia, nim rozwód przyjdzie, słyszała swoją przyszłość, lecącą koło głowy, jak świst bata. To też pragnęła jednej tylko rzeczy: mieć w sobie siłę śmiechu z potęgi światowej, mieć grunt pod nogami, żeby na nim stojąc, żywić do końca miłość i dumę.

Kiedy spostrzegła, co się z Łukaszem dzieje, szalała z rozpaczy. Była jednak w tej rozpaczy nieopisana postać rozkoszy, rozkoszy śmiertelnej. Najdziwaczniejsze pomysły, najsubtelniejsze obrazy śmierci, bohaterstwa... Przeżywała minuty szybkiego decydowania się. Wiedziała, że cokolwiek wybierze, ucieczkę, czy oddanie swego ciała, jeśli wykona jedno z tych dwojga,

przejdzie na drugą stronę życia. Nazywała to, co się stać miało, najrozmaiciej, stworzyła całą metafizykę zstępowania ku rozkoszy. Mówiła sobie, że to jest żądza pełni życia, wola ducha, który pragnie przecudownych, nowych przeobrażeń, wyzwolenia młodości i wywołania na jaw cieniów marzenia. Mówiła sobie, że teraz chce w materyi rzeźbić potęgę ducha, stać się zarazem posągiem i rzeźbiarzem. Tłomaczyła się przed nieznanemi mocami, że nie grzech wcale zamieszkał w jej duszy i nie zdrada jakiegokolwiek ideału, lecz właśnie tajemna moc, która chce złamać zamki niewiedzy.

Nie były jej niemiłe szały oczu Łukasza, ani dziwnie zgięta linia jego ust, ani uśmiech, przejmujący do szpiku kości, uśmiech, co zdziera szaty i modlitwę wypędza z piersi na usta. Nieraz, gdy siedziała zdala, schylona nad książką, i miała oczy spuszczone, nieraz, gdy sądził, że jest do gruntu zajęta pracą gospodarską, przeszywała ją wszechogarniająca myśl nagła, ślepa ekstaza, żeby go uszczęśliwić... Nie mówiąc słowa, zdjąć suknie...

Niejednokrotnie drobny wypadek, szmer, głos daleki, sprzęt, stojący na drodze, odrzucał ten zmysł szatana na zawsze.

Łukasz doskonale panował nad sobą. Nie całował jej nigdy w usta, a w rękę całował szybko i nie patrząc.

Raz jednak bezwiednym niejako ruchem przykrył dłonią jej rękę, leżącą przypadkiem na stole. Gdy dłoń jej drgnęła nerwowo, stuliła się i zwinęła w sobie, po-

czął do niej, do skurczonej, małej pięści szeptać czerwonemi ustami:

— Mały gołąbeczek, trusia bojaźliwa, mój ptaszek biały... Boi się czegoś, czegoś drży... — Boi się ręki, która ją głaszcze? Lęka się serca, co dla niej bije?

Ewa płonęła wszystkimi ogniami ciała. Uczuła, jak dusza roztapia się w jedną jedyną litość nad jego cielesnem pragnieniem. Niejasno zdała sobie sprawę, że wszystek rozum przemienia się w myśl najprostszą o konieczności natychmiastowej ofiary. Jeszcze jedno słowo, jeszcze tylko jedno pogłaskanie. On zaczął szeptać jakby do siebie:

— Gołąbek głowę między skrzydła tuli, oczy przywiera w trwodze. Serce w nim bije! Czegóż się boi, o co tak drży?

Położyła pałające usta na jego ręce, przycisnęła do wierzchu jego dłoni ponsowy policzek. — Poczuła wśród dreszczów rozkoszy, jak tkliwymi palcami drugiej ręki wyjmował szpilki włosów i rozpuszczał ich pasma. Drżała od sypkich dreszczów, mając senną wiadomość, że zanurza twarz w fale włosów... Wtem posłyszała westchnienie. Gdy oczy podniosła, leżał półodwrócony do ściany ze zmarszczonemi brwiami i zagryzioną wargą.

Jakże mu była wdzięczna!

Wychodziła zawsze z jego pokoju natychmiast po herbacie wieczornej. Wracała chyżo do siebie. Zamknąwszy drzwi na klucz, rozbierała się szybko, gasiła światło, rzucała na posłanie i, o niczem nie myśląc, zasypiała, jak kamień.

Rano, skoro tylko przez zamkniętą okiennicę wsuwał się mizerny, niezrozumiały odblask dnia, wstawała szybko i czyniła wszystko z pośpiechem, żeby corychlej wyjść z domu.

W drugiej połowie lutego nastał szereg dni mroźnych, suchych, bezwietrznych. Łukasz mógł już odbywać spacery, więc w każdy dzień świąteczny i niedzielny wychodzili z domu za miasto. Jednego popołudnia świątecznego wyszli drożyną na jałowcową górę i dalej aż do lasu.

Już się przybliżał zachód słońca. Powietrze było przeczyste i zimne. Zachodnia liliowo-rumiana zorza ciągnęła się nieskończenie pięknie nad równinami i wzgórzami ziemi. Widać było, jak na dłoni, dalekie, rude kępy dworskich ogrodów, granatowe smugi lasów. Na zachodzie mgiełka niebieskawa płynęła przez niebo zorzane, jak zadumany anioł, co opuściwszy skrzydła znużone od lotu pracowitego kieruje się ku krańcom świata. — W wyżynie niebo było bezdenne, różowosiwe. — Ani jednego głosu, ani najlżejszego szelestu. Tylko szczególny głos kroków obojga. Na drodze, utartej sanicami drwalów, śnieg pod nogami świstał i opornie, zawzięcie pozgrzywał. Zboczyli z tej drogi i brnęli znowu czas jakiś po głębokim puchu, kierując się to tu, to tam w ślad zadętych do cna tropów lisich, czy zajęczych.

Śnieg ów był sypki, kopny i lotny, jak mąka.

W przetrzebionym lesie maleńkie świerki, pogrzebane w okrągłych mogiłach, wychylały ku przechodniom

kształty niespodziewane, tajemnicze, krzywe formy — coś jak oczy dziecięcia zdumione i zasłuchane.

Zagajniki jedliny tworzyły najcudowniejszą baśń bizantyńskich kopułek świątyni, co się w ziemię zapadła.

Małe jałowce, przydęte pół na pół, śniły w nieruchomem zachwyceniu sen o zaklętej królewnie. Krzywy dąbek, osypany martwym, rudym liściem suchym szumiał szelestem, a przyciągał ku sobie oczy, przykuwał myśli, jak znak tajemny, niezrozumiały hieroglif.

Ewa zapuściła oczy w sieć żółtych bylin, nikły ślad ongi - traw, wystający z białej głębiny. — Szła oczyma przez równie dziewicze, przez wzniesienia i zadmy rozbłękitnione, albo lekkim, niewiarogodnym powleczone różem, kolorem jednej chwili, na którego widok każde usta muszą się uśmiechnąć, — szła przez barwy i lśnienia tak piękne, jak pięknem było jej własne ciało. Nieprzytomnie o tem marzyła, że Łukasz tak myśleć musi. Przeszło, przemknęło burzliwe, szalone wzruszenie duszy... Pochwalała wdzięcznym wzrokiem otocza śniegowe dookoła wielkich sosen, co miały kształt jak gdyby stężałego wiatru, wściekłości, pozostałej w postaci widomej. (Wciąż, coraz bardziej złotolite stawały się niebiosa). Widziała dookoła siebie cienie, powstałe niespodziewanie i niewiadomo jak niknące, istne sny. Zanim sama zdążyła wśnić się w owe bytowania zadętych świerków, w żywoty fiołkowe cieniów i rumianych świateł na szczytach zasp, już pochłaniała je nicość. A to życie chwilowe cieniów, między narodzinami na puchu nieskalany i między mgłuchą śmiercią,—wy-

rażało dla Ewy jakowąś nową prawdę, którą w tej chwili miała poznać. Był dookoła niej żyjący, złożony symbol, co się rozwijał, odsłaniał i ukazywał czytelne litery.

Milczeli oboje. Kiedy Łukasz dla odpoczynku zatrzymał się, Ewa ze zdumieniem i trwogą usłyszała w tym milczącym obszarze bicie swego serca. Samotne serce zdawało się bić między niebem i ziemią, jedyne na niezmiernym, zamarłym obszarze.

Wtem on rzekł ze śmiechem:

— Owa cnotliwość Desdemony, owa wierność i posłuszeństwo wówczas nawet, gdy ją „pan i małżonek" bije, ma dla mnie coś obmierzłego.

Właściwie mówiąc, takie cielę zasłużyło na to tylko, co je spotkało. To przecie nie kobieta.

Spojrzała zdumiona. To było tak dalekie od jej uczuć! Jakby potrącił! Łukasz nie patrzał na nią, lecz w ziemię, na śnieg iskrzący się od wieczornego mrozu. Miał policzki zabarwione. Broda, dłuższa po chorobie, czyniła go pięknym, jakby nieznanym, jakby innym, odmiennym. Tak był piękny i niezwykły, jak wszystko dokoła. Z trwogą rozwierały się oczy, żeby go widzieć do syta. Nie, on jeden nie jest cieniem prześlicznym! On jeden jest wieczny!

— Kochała go wiernie, tego czarnego dyabła. .— rzekła z cicha, rysując lekką laseczką, którą miała w ręku, długie kresy na puchach śniegowych.

Kiedy tak stali przez chwilę i on nie patrzył, przyszła Ewie chętka powiedzenia mu, że go kocha... jak Desdemona. Wywinęła się słabostka, żeby mu powiedzieć o owej odmienności jego wyrazu twarzy. Podniósł oczy, jakby przeczuwając... Zobaczyła brwi zmarszczone i ów znany, bolesny uśmiech.

— „Zachować siebie, zostać szczęśliwym — oto instynkt, oto prawo, oto obowiązek..." — mówił z głębokim namysłem, głosem metalowym, do siebie.

— Cóż to znowu za cynizm, za egoizm, mój panie?

— To zdanie mądrego Holbacha, człowieka silnej rasy, tej rasy, co to potrafiła ruszyć z posad bryłę świata. Nie na naszą miarę to słowa.

— Zdaje mi się, że i dziś jeszcze dużo nabrałoby się takich siłaczów. „Zachować siebie, zostać szczęśliwym..."

— Doprawdy?

— Myślę.

Podniósł oczy pełne ognia, wyrzutu, jakby pogardy.

— A czy ty, naprzykład, potrafiłabyś zostać szczęśliwą wbrew całemu światu?

— Ja?! Cóż tam ja... — szepnęła zmieszana.

— Naturalnie, Desdemona jeszcze w was pokutuje.

— Nie rozumiem.

— Człowiek z tej samej plejady — Diderot — mówi bez wahania: „dozgonne małżeństwo jest nadużyciem, tyranią mężczyzny, który sobie przywłaszczył prawo posiadania kobiety". Cóż ty na to?

— Nic. Mało co o tem wiem. I mało mię tam ów Diderot obchodzi... — mówiła wolno, wciąż rysując laską kresy na śniegu. Czuła, że za temi słowami ukrywa

się coś innego. Łukasz wciąż mówił jednym tchem, jakby nie ją, lecz siebie przekonywał:

— Diderot mówi: „szczęście i obyczajność mogą się znajdować tylko w tych krajach, gdzie prawo nadaje powagę instynktowi“. I rzeczywiście — w Japonii panny kąpią się wobec mężczyzn bez najmniejszego zakłopotania. A Japonia — to wielkie społeczeństwo.

— Ach, z tą waszą Japonią! Japonia i Japonia na wszystkich ustach... — rzekła oschle i porywczo.

— Oczywiście — gdzieżby nasza panna mogła kąpać się wobec mężczyzny i nie płonąć ze wstydu!

— No w samej rzeczy... — mówiła Ewa, czując, że się cała pali w ogniach.

— A tymczasem wstydliwość, podobnie jak szata, jest wynalazkiem, uchwałą.

— Doszliście już do takich wynalazków, że rumieniec wstydu młodej dziewczyny jest... wynalazkiem.

— Zaraz ci na to dostarczę dowodu.

— Dowodu!

— No tak. Na wyspach Sandwich damy miejscowe, już nieco po europejsku ogładzone, podpływały ku okrętom nago, dźwigając na głowach jedwabne suknie i parasolki. W te suknie stroiły się na pokładzie wobec oficerów okrętu, ażeby się tym oficerom podobać.

Ewa wciąż rysowała znaki na śniegu.

— Na wyspach *Iles des Pins* misyonarze wywołali gwałtowny protest, żądając, ażeby dziewczęta przywdziały opaski. Polinezyjki, które usiłowano jako tako przyodziać, rozbierały się dla najbłahszych powodów.

Uczucia wstydliwości nie zna wcale całe królestwo zwierzęce i ani jedno ze społeczeństw pierwotnych ludzkich.

— No, więc cóż z tego? — spytała Ewa z uśmiechem. — Cóż z tego, że pierwotne społeczeństwa albo zwierzęta? My nie jesteśmy zwierzętami — to darmo, — ani z *Iles des Pins*. Także wzory!

— Chcę cię nieco wyćwiczyć w antropologii. Wstydliwość kobieca jest, według mego mniemania, wynalazkiem i to... mężczyzn. Otello wymyślił szczelne szatki dla szanownej Desdemony. — Pan jej, małżonek jedyny i władca. Dziedzicznie się to później przekazało córuniom.

Słuchała tego wszystkiego z wyrazem drwiącym na ustach, czego nie chciała się pozbyć. Ale w gruncie rzeczy z nadzwyczajną ciekawością przyswajała sobie wszystkie te szczegóły (już notabene jako swoje najgłębsze przekonanie).

— Dlaczegóż ty zamierzasz zawrzeć związek ze mną? — spytała wreszcie blada i pomieszana.

— Bo cię kocham nad życie swoje! Ty zresztą... Ty już nie jesteś taką! W tobie jest już męstwo człowieka i siła człowieka. Ciebie mąż nie potrzebowałby zamykać w haremie, ani okrywać gałganami. Mogłabyś kąpać się wobec tłumu mężczyzn i pozostać dziewicą, albo... być wierna jednemu, któregoś wspaniałomyślnie, według duszy swej wybrała.

Szept jego stał się zduszony od uniesienia:

— Ty jesteś Psyche, dusza najzupełniej wyzwolona...

— Nikt nie wie, czem ja jestem!

— „Ludzie, woła natura, którzy, wskutek danej wam przeze mnie podniety, dążycie do szczęścia przez cały czas waszego istnienia, nie opierajcie się mojemu najwyższemu prawu: pracujcie na szczęśliwość...

— Czyjeż to są te znowu cyniczne słowa? — spytała surowo.

— Znowu Holbacha. A zresztą... słowa wujaszka Epikura. Mądrość potępiona przez wszystkie ciocie...

Zapanowało dziwne milczenie. Wieczór już spadał. Świerki otaczającego lasu stały tajemnicze, zasute śniegiem, w objęciach mrozu.

— Gdzie jest szczęście? — rzekła nagle i spojrzała Łukaszowi prosto w oczy.

On milczał.

— Czy... to... jest szczęście — powtórzyła, drżąc na całem ciele.

Zdało jej się, że dookoła ziemia drży i kołysze się w dymach.

— Ewo... — wyszeptał. — Pocoś to powiedziała?

I wokoło niego stał teraz milczący las, jakby zapalony ogniem nadprzyrodzonym. Ziemia dygotała. Chwiały się w oczach pagórki i mieniły niknące w nocy doliny.

Martwe przedmioty na mgnienie źrenicy otrzymały twarze przedziwne, wyrazy niesłychane. W ogniu, bijącym zewsząd, Łukasz posłyszał w sobie postanowienie...

— Dziś... — wyszeptał, patrząc w ziemię.

Gdy podniósł oczy, zobaczył, że Ewa ma ręce na piersiach zaciśnięte i załamane. W twarzy uśmiech

bladej boleści, szczęście pokory. Oczy bez spojrzenia, usta zaklęte w milczenie od jego woli. Po bujnych włosach, które wiatr przerażenia wzburzył, szła teraz gładząca ręka doli.—Usiadł bezwładnie na obmarzniętym odziemku powalonego drzewa. Ewa stała obok, bezsilna i spokojna. Czuła pewność siebie i jakiś rodzaj zadowolenia z tego powodu, że już nie leży na niej ciężar „wstydliwości". Marzyła jak we śnie zapomocą dwu wyrazów: dość wyrzeczeń! Łukasz ujął jej rękę i przyciągnął do siebie. Siadła przy nim niewygodnie, z uczuciem, że to jakieś nieestetyczne, — oparła głowę (bez uniesienia) na jego ramieniu.

Czuła policzkiem zimno osędziałego futra na kołnierzu i oddalone gorąco ust. Z coraz bardziej niepohamowaną ciekawością czekała na śmiałe pieszczoty, których za chwilę miała doświadczyć.—Wargi jej ust stawały się ponsowe, napęczniałe od płomienistej krwi. Zdawało się, że te usta nie mogą się już domknąć i zacisnąć, jak zawsze, jak dawniej. Ręce, ramiona, piersi, stały się twarde, natchnione, ruchliwe, podatne i giętkie, jak lotne ciało ptaka, szybującego w powietrzu. Zimne, roziskrzone niebo, śnieżysty las, pochyła równia obmarzniętej góry — wszystko, jak we śnie...

Zakasłał. Wyrwała mu się z rąk, zsunęła z kolan, odwróciła i stanowczo poszła ku miastu. Była piękna w swych prostych sukniach, a jakby naga. Z wyżyny nieba świecił się już księżyc i nasycał blaskiem tajemne kryjówki.

Zapadł w głębiny śniegu i błyszczał miliardami promiennych kryształów, iskier błękitnych i pomarań-

czowych. Oczy Ewy pochłonięte były przez gwiazdy nieba i te gwiazdy ziemi. Śniło się, że słychać trzask światła zaziemskiego i ciepło martwych promieni księżyca.

Jak wietrzyk przewinął się w duszy zapach myśli:

— Idę sobie teraz po drodze szczęścia... Gwiazdy... Droga szczęśliwej doli... Dokąd prowadzi, dokąd idzie gwiaździsta droga?

I inna myśl, jeszcze bardziej wyraźna:

— Taka jest moja droga szczęścia... Gwiazdy...

Cisza długa duszy, cisza tak wielka, jak w tym całym, szerokim obszarze. Nareszcie, nareszcie myśl ostatnia — ni to płacz nie wiedzieć czyj, ni to okrzyk strażniczy, po którym wzdrygnienie w nogach, ni to hasło radości:

— Żegnaj!...

Gdy oboje wstępowali na strome schodki, prowadzące do mieszkania, Łukasz trzęsącemi się rękoma zlekka popchnął ją do swego pokoju.—Zamknął drzwi na klucz. Temi latającemi rękoma zapalił lampę. Stała wciąż przy drzwiach. Zbliżył się i spojrzał w oczy. Po raz pierwszy ujrzał nowe ich spojrzenie. Patrzyły z pod górnych powiek daleko—daleko... Były zagasłe, przeraźliwe, bosko żyjące, a jakby umarłe. Zdumiał się i przeląkł, patrząc w to błękitne spojrzenie, obnażone a pełne wyniosłości, jak kielich cudnego kwiatu, który ręka od łodygi i ziemi z szaleństwem oddarła. Chwytał w swe oczy to spojrzenie — miłość.

— Czyliż ta chwila—czyliż to nie jest szczęście?— zapytał jej ze łzami.

— Szczęście...—wyszeptała z pomiędzy szczękających zębów.

Wtedy to począł szybkiemi rękoma, jak waryat, rozpinać, rozrywać jej stanik, ściągać siłą ciasne rękawy, targać na ramionach guziki koszuli, zdzierać spodnice, urywać tasiemki...

Popłynęły dnie miłości szczęśliwej. Stało się czynem oddanie serca, duszy i ciała. Zstąpił na ziemię, jak uroczystość, czas poświęcenia łaskawego na wszelkie żądanie, dobrotliwego dla rozszalałych wybuchów, dla kaprysów i porywów drugiego ducha i innego ciała. Otworzyły się wrótnie ogrodu, gdzie można płakać ze szczęścia, albo płakać wskutek niezdobytych dla słowa cierpień miłości — i kresów ich pod cienistemi gałęźami drzew raju. Łzy tamte przepływają z oczu w oczy, wysychając na ukochanej twarzy, uśmiech jest wspólny, jeden we dwu ustach.

Dreszcze przechodzą z ramion w ramiona i wracają na dawne miejsce, przynosząc wieść o wzruszeniach tajnych, o uczuciach poza wszelkim wyrazem, zdolnym do wyjawienia ich bytu i siły. Pocałunki splatają nie ciała, lecz zaiste splatają dusze. Ciała nie mają dla siebie tajemnic, a dusze dążą do objawienia i do wykrycia swych najgłębszych istności.

Rozkosz cielesna, zmazująca z duszy smutek miłosny, ucisza jej niezgłębioną, wszystko z posad ruszającą muzykę. Cisza i szczęście w objęciu. — Serce wyniosłe i nieunoszone, które niebezpieczeństwem wzgar-

dziło, a zaślubiło ofiarę, serce wierne, pokorne i samochcąc uniżone, serce — niezgłębione zjawisko bije w cudownych rytmach dziewiczych piersi, w wiecznie ruchliwej fali ich, w czarodziejskiej ich tajni.

Szczęście, tętniące w niem, pracowicie mierzące czas, było pulsem całej przestrzeni świata. — Świat był to hymn, pieśń tworząca, która wychwala tworzenie. A początek i koniec życia był w uderzeniach tajnego serca.

W czasie tych dni miłość stała się zapomnieniem, zniszczeniem egoizmu, wydarciem z człowieka miłości własnej i napełnieniem go egoizmem innej ludzkiej istoty. Były to chwile łaski, chwile podźwignienia nad ziemię i przemienienia natur. Przez niesłychane wzniesienie i zamianę dusz istoty cielesne stały się nowe, cudnie odmienne i nieznane sobie nawzajem. Czułość ich wszakże i zdolność pojmowania się wzajem doszła w tym samym czasie do zenitu, z którego, jak z góry Nebo, wszystko widać. Zatracić siebie dla tamtej istoty— toż to rozkosz! Oddać jej wszystko, nawet szczęście posiadania, nawet widok cielesnej piękności, nawet samą miłość dla sprawienia radości o jednej sekundzie trwania — toż to rozkosz! Wszystko łatwo wykonać. Do najgłębszej tajemnicy dojść łatwo. Wszystko można zrozumieć i wszystko obejrzeć ze czcią wzrokiem, oczyszczonym z samolubstwa. Ziemska niewiedza przeistacza się raz wraz w płomyki świadomości, w symbole poznania — co gasną, zapadając w mrok, ażeby się, jak gwiazdy za nadejściem nocy, znowu odrodzić.

Głowy stały się ukoronowane świetlistemi koro-

nami z promieni księżyca, a z głębi nagich ciał wynikać się zdawała promieniejąca jasność. Były chwile, że on widział w niej Dianę-bóstwo, a ona widziała w nim Hermesa, równego bogom. Tworzyli rozkosz, która była posłuszna ich woli, a zarazem rozkazująca im samym, żeby ją tworzyli. Była wśród nich ciągle, była ich własnością, a nie znali jej, podobnie, jak nikt nie znał orfickiej tajemnicy w dolinie Tempe.

Nastały dzieje pewnego bukiecika fiołków. Był bukiecik pomiędzy obojgiem ust i był na piersiach, w których serce święte wiecznie bije. Stał się wonią pocałunku i zapachem odkrytych ramion. Listki jego były rozsypywane na łonie śnieżyście białem — i zagradzały drogę ustom do ust. Wargi obojga całowały go jednocześnie, a oczy jednocześnie wgłębiały się w jego ciemną toń.

Dzieje pewnego rysunku, który sztycharz angielski dla świata ocalił... Grecka idylla, gdzie para szczęśliwa, objąwszy się, śni wśród kwiatów. Dumanie nad tem, że w życiu ich stało się na jawie to, co z przed wieczności chciał wyczarować geniusz... Prosty, cudny, zabawny, aż do śmieszności rysunek! Chciał wyrazić to, co było w ich życiu, tę woń i urok, chciał bezsilnemi kreskami wyrazić szczęście, zatrzymać na wieki uśmiech, przykuć do papieru westchnienie... Darmoś się silił Artysto, drogi, kochany człowieku, wierny przyjacielu w nieznanem morzu ludzkości!...

Dzieje szarego płaszczyka i bonnetki tego samego koloru. Dzieje szarego irysa... I dzieje trzech róż, co przez jedną noc smutku uschły na sercu...

„Nie zdołam wyrazić słowami rozdarcia, którego doświadczam. Siadłem tutaj, w tym pokoju hotelowym, żeby pisać, bo to jedyna ucieczka przed zaciskaniem się serca, wzmagającem się bez miary. Lecz cóż napiszę? Poco jadę? Dokąd jadę? Czemże jestem? Gdzie jestem? Chwilami w wagonie zdawało mi się, żem zwaryował i światem lecę. Porzuciłem Ciebie. Teraz widzę, jak marnym i nędznym jestem człowiekiem. Istnieję tylko przez Ciebie. Nigdy w życiu nie doświadczałem takiego zamętu w uczuciach, takiego ucisku myśli, nawet wówczas, gdym do Zgliszcz uciekał. Wówczas dźwigała mię męska wyniosłość...

Próbowałem w wagonie czytać przewodnik po Rzymie, ale ilekroć otworzyłem książkę, drgał w ustach dźwięk jakiegoś głosu. Jestem strudzony od uczucia smutku, jakbym przeszedł o głodzie kilkanaście mil, albo przetrwał chorobę. Czego się dotknę i na co spojrzę—wybucha płaczem. Łka przestrzeń za mną i przedemną, wypominając wciąż jedno imię.

Nie mogę pójść na pocztę, bo już zapóźno, a marzę, że mógłby tam być list od Ciebie. Cóżbym dał za to, żeby go znaleźć! Jutro rano z tego Krakowa wyjadę, a wieczorem będę w Wiedniu. Żeby prędzej! Nie pocałowałaś mię, gdym wsiadał do wagonu. Płakałaś. Teraz mi tego pocałunku najbardziej żal. Och, kiedyż znowu Twe usta... Wiem, że mię kochasz. Kochaj! Najsłodsza!... Oszalałbym, straciwszy Ciebie. Nie istnieje czas i przestrzeń. Jestem z Tobą i Ty jesteś ze mną.

Czy znajdę list na poczcie jutro rano, czy znajdę

list w Wiedniu? Noc, noc! Zegary na wieżach jęczą. To czas leci. Głosy ich przerażające i pełne okrucieństwa szybują w powietrzu. Hejnał maryacki zaciska oczy pociesze, dusi za gardło nadzieję. Czy do Ciebie dolecą te głosy, czy je posłyszysz spłakana, we śnie posępnym pogrążona? To ja stać będę nad Tobą. Usiądę przy Twem łóżku... Złe przeczucia—i owo najgorsze, że Cię więcej nie ujrzę, zdaje się stać za drzwiami i rękę kłaść na klamce. Głowa boli, szum w uszach i rozłamanie moralne. Lichy ze mnie teraz podróżnik. Słyszę uszyma nie dźwięk dzwonków, lecz głosy zadźwiękowe, mało co widzę, choć patrzę na przedmioty, a w gruncie rzeczy widzę tylko smutek własny na przesuwającej się ziemi, na obcych twarzach. Nic mię nie pociąga. Wygasła we mnie siła ciekawości. Niema nic gorszego nad jazdę koleją w takim nastroju. Jakże doskonale pojąłem dziś tę prawdę, że wszystko, cokolwiekbym zrobił w rozwodowej sprawie dla naszego szczęścia, cokolwiekbym przedsięwziął, zobaczył, czego się nauczył, do czego dotarł i co zdobył — nie warte jest jednej chwileczki, uświęconej przez Twój niebiański uśmieszek. Żegnam Cię z takiem uczuciem, jakie powinno zmazać wszystkie względem Ciebie przewinienia.

Twój do śmierci — Łukasz.

P. S. Nie napisałem tutaj tego, co czuję. Jakieś słowa literackie... Na to, co czuję, nie mogę schwycić nazw, słów prawdziwych. Ale mnie zrozumie Twoje serce, otwarte na miarę anielską i może prawdę przeczytają po przez zasłony słów Twoje oczy widzące. Żegnam Cię“.

„Piszę te kilka słów z Wiednia. Mam na sercu Twój list. Dostałem go w Krakowie. Nie było czasu czytać, więc go tylko przycisnąłem do serca — i na kolej. Czytałem w wagonie. Teraz na sercu. Tak mu lżej, tak lżej, gdy na niem leży list! Zdaje się, że to Twoja głowa leży na piersiach, że Twoje jasne, jasne włosy snują się przed łzami oczu. Och, Boże, Twój list... Umiem go na pamięć, jak przecudne wiersze... Nie jest to list, lecz pocałunek... Noc znowu ciemna nade mną, a w sercu coraz dokuczliwsza kolka tarniny, coraz złośliwsza drzazga żalu. Pamiętasz naszą wiosenną rozmowę rok temu w ogrodzie? Rozwodziłem się wówczas szeroko i długo, chciałem Ci zaimponować uczonościami i greckościami...

Dziś szedłem tutaj przez olbrzymią aleję. I oto pewien konar drzewa, jedna grupa przypomniała mi tamto miejsce. Z całej rozmowy został obraz tego konara... Twoje oczy, gdyś słuchała, i Twe usteczka... Upadłem na ziemię duszą i szlochałem. Jakże Cię kocham! Jakże Cię miłuję, małżonko moja, powiernico serca, oblubienico duszy! Jutro znów dalej. A przecie, gdy załatwiam wszelkie czynności tej podróży, to właściwie nie czynię nic, nie podróżuję, nie zbliżam się do Rzymu, lecz tylko wciąż oddalam się od Ciebie. To jest jedyna czynność moja. Wszystko, cokolwiek się dzieje, to tylko ciągłe i nieskończone oddalanie się od Ciebie. Ten i ów człowiek do mnie mówi, odpowiada na moje pytania, dowodzi lub zaprzecza, a ja, tak rozmawiając z ludźmi, rozmawiam tylko z Tobą, jestem z Tobą i patrzę bez końca w Twe oczy. Chciałbym być niebem, jak

Plato w swym wierszu lirycznym—i chciałbym posiadać wszystkie oczy na ziemi, żeby patrzeć na Ciebie“.

„W Tarwis. Moja pamięć zatrzymała się na jednym punkcie, jak skazówka zegara, i oznacza wciąż tę samą godzinę. Ach, kiedyż tryby tego zegara znowu się ruszą! Kiedyż tędy będę do Ciebie powracał, jako człowiek wolny! Miejsca obce, niech was coprędzej zobaczę, gdy będę wracał! Niech zegar zatrzymany pocznie odmierzać godziny życia nowego, życia pełnego prawdy i siły, wielkości, olbrzymich dzieł i odkryć“!

„Jechałem w nocy z Wenecyi. Światło smugami padające obok żelaznego mostu w czarną wodę—hieroglify smutku, promieniste pismo klinowe, które mozolnie czyta dusza, żeby złożyć sobie samej pieśń nie do śpiewania, słowo miłości. Rano. Widać drzewa oliwne. Bluszcz oplata wysokie pnie. Rowy, obrzeżające kwadraty pól. Wzdłuż tych rowów wciąż drzewa oliwne. Wszakże to w ogrodzie oliwnym przecierpiał godzinę swoją Chrystus?.. Modlił się: „odwróć odemnie kielich goryczy“... Ty, która umiesz się modlić, to znaczy obcować z Bogiem“...

„Nie mogłem się powstrzymać, żeby na jedną noc nie stanąć w kochanej Florencyi. Mieszkam w hotelu Porta Rossa. Z okna mej izby widzę wieżę duomo.

Gdybym był tym listem, za kilka dni byłbym w Twoim pokoiku, może na Twoich ustach, może na piersiach Twoich... O, białe piersi, piersi moje... Prześniłem na was złoty sen mojego życia. Dziś utraciłem już prawie wiarę, że moje usta mogły bez przeszkody i bez rachuby tulić się do boskiej linii, która was dzieli, czy łączy, a oczy moje mogły zasypiać w olśnieniu waszej piękności. Mamże wierzyć, że to, co mię teraz ze snu porywa, jako straszliwa krzywda, to w mojem życiu napewno było? Rozkosz mojego czoła, Twoje ramiona, Twa szyja, przeświecająca z pod jasnych splotów... Jestem sam, straszliwie sam. Obok mnie jedyni towarzysze—pled, laska i tom starego Montaigne'a. Tyle zostało ze świata, w którym Ty żyjesz. To też ręka nie może się rozstać z pledem i laską. Tam, w ulicach wre życie włoskie. Światła elektryczne jednostajnie lśnią w oddali. Przed pół godziną duet uliczny z towarzyszeniem mandoliny przygłuszał gwar. Słowa pieśni miłosnej brzmią w uchu. Pieśni miłosnej... Jakież to dziwne słowo, jakie dziwne zdarzenie! Alboż inni ludzie kochają? Skądże im może być wiadomo, że istnieje miłość. Miłość jest to przecie moja sprawa. Jest to stan mojej duszy. Melodya wbiegła do izby, jakbyś Ty sama wbiegła do izby i o coś nagle zapytała. Doświadczyłem uczucia, jakbym się po dziecięcemu zachłysnął... Patrząc w ulice tego obcego, a tak swojskiego miasta, jakże zazdroszczę młodym ludziom, którzy prowadzą pod ręce śliczne kobiety, co idą dokądś, do tajemnych miejsc ich miłości!.. Ja tylko jeden, wygnaniec, szukam w tłumach, czego oczy nie znajdą, patrzę z przeraźliwą ciekawo-

Izdebka mała, ciasna, jak kaftan waryata, o ceglanej podłodze. Cóż z tego? Cóż z tego, że fundusze są minimalne, że z nich we dwoje nie wyżylibyśmy tu, jak była mowa, żadną miarą.

Trzeba będzie szukać na gwałt roboty. Ty jesteś ze mną w ciszy tej izby. Będę tu sam całymi miesiącami, nie pragnący niczyjego towarzystwa. Ty *jesteś* ze mną. Ach, teraz już każdy dzień upłyniony będę zwalał za siebie, jak tragarz zwala z ramion przydźwiganą do celu pakę cukru. Z rozkoszą notorycznego lichwiarza obliczam zyski na czasie, na szybkości pociągów, na krótkości noclegów w tej drodze, którą poznałem. Każda moja myśl zaczyna się w taki oto mądry sposób:—gdy będę jechał z powrotem... Obmyślam przeszpiegi i podstępy. Już byłem raz w kancelaryi wielebnych patrów. Ale o tem nie będę pisał, ja się do tego biorę z zakasanymi rękawami. Och, księża! Teraz moja sprawa z wami"!

„Czekam już kilka dni na pierwszą konwersacyę z pewnym dygnitarzem w skromniutkiej rewerendzie. Nic, nic, ojczulkowie, ja umiem czekać. Choćbym zginął, to się doczekam!

Broda moja pod słońcem Italii, miasto zczernieć, przybrała kolor jeszcze bardziej niezdecydowany.

Zdaje mi się, że stanie się kiedyś podobną do kwiatu nasturcyi. Ale za to co za oczy! Jakże piękne mam oczy!

Biada ci, Ewo! Jeżeli nie będziesz mi wierną, uzy-

skawszy od zacnych kapłanów rozwód, pojmę tu w mieście wiecznem jakowąś grubo posażną Seforę i będę się trudnił, zależnie od posagu, już to pasterstwem, (po pierwszem *s... t*—koniecznie!) już wyrabianiem podobizn sera szwajcarskiego, albo zgoła założę tawernę pod miastem w Bosco Sacro. Nim to jednak nastąpi, jestem, skądinąd, wyznać należy, dosyć niezamożny. Dziś dałem do podzelowania buty.

Jutro tedy będę jeszcze piękniejszy o całe podeszwy. Dziś, niestety, siedzę w domu bez podeszew, a nawet na łóżku, z podwiniętemi nogami, albowiem posadzka z cegły nie jest wcale ciepła. Czy się nie lękasz, że to wszystko może we mnie zapalić miłość dla mojej ongiś żony?

Drżyj, Ewo! Jestem od tak dawna zanurzony w celibacie... Szatany tęsknoty, szatany marzeń o Tobie mieszkają we mnie. Wylewam tedy na cały ów Rzym czarę żółci z cytryną i mówię mu, jak Jonasz pewnej Niniwie:—bodajbyś skisła, ty księża Niniwo, która mię tu trzymasz siedzącego na łóżku, w skarpetkach (dziurawych“!)

„Ewo! dostałem w tym Rzymie zarobek, „posadę“, jakby zaraz powiedział poczciwy papuś.—Było to tak. Pewnego razu, czytając w domu, gwizdałem sobie aryjkę polską. Gwizdałem raz i drugi. Aliści rozlega się pukanie do drzwi. — Otwieram — jegomość nieznajomy. Mieszka w tym samym hoteliku, tylko niżej i znacznie lepiej.—Przedstawia się, nazwisko niemieckie — Gertler—ale pyta, czy mówię po polsku. Polak z Wiednia. Jest to polskość po bardzo zniżonej cenie, poprostu—cztery sztuki za grosz. A przecież aryjka polska zwabiła go do mnie. Gadu—gadu z kiepska po polsku. Jest dosyć znacznym urzędnikiem w ambasadzie austryackiej. Po długich z nim gawędach powziąłem wiadomość, że w owej ambasadzie można znaleźć zajęcie, nawet zyskowne. Tłomaczą z jej poręki rozmaite dokumenty historyczne w sekcyach naukowych, zbierają dane, piszą referaty.—Otóż—wyobraź sobie — przydał mi się język staro-słowiański, grecki i, *mirabile dictu,* polski! Już od kilku dni siedzę w biurach Watykanu i pracuję. Tłomaczę, jak obecnie, stare dokumenty na niemieckie. Określonej pensyi nie mam, bo jest to zajęcie od sztuki i od nawału roboty. Ale widziano już moją pracę i już mi to nie uciecze. Taki antropolog da sobie radę! Sprawa idzie nieźle. Zapracuję się i, jeśli tylko nie zdechnę, będę wolny i wiecznie Twój“.

Pomiędzy dniami szczęśliwej miłości i dniami osamotnienia Ewy zaległa wielka zasłona.—Zdawało się na początku, że zasłona jest cienka, jak płócienna chusta, a ruchoma, jak chmura. Ale gdy długie poczęły mijać dni, chustka otworzyła tajemniczy swój wymiar wszerz i stała się daleką okolicą, krajem rozległym, wielką ziemią.

Nad krajem tym leżała wieczna noc. Nigdy tam nie wstawało z za widnokręgu słońce i nigdy nie jaśniała zorza z zachodu. Gdy oczy przywykły do mroku,

ujrzały zarysy tej krainy wygnania, kształty na niej żywiące, a nawet drogę, co się włokła w nieskończoną dal, drogę, po której miały iść stopy skazane.

Ileż to razy, brnąc w swe wygnanie, Ewa marzyła, żeby spotkać istotę współwygnaną, ktokolwiek miałby nią być—żebrak, sypiający w rowie przydrożnym, czy pies sparszywiały, odpędzany kijem i krzykiem od każdych drzwi. Ale nie było nikogo. Nikogo!

Była sama jedna, jedyna, jak ostatnie drzewo nasienne w pustkowiu po wyciętym lesie. Z tego to zapewne bytowania w samotności wyrodził się w duszy jakby nowy organ poznawczy: drapieżna, dzika czujność.

Czego za światła, w dobie radosnej miłości nigdyby oczy nie zobaczyły, to teraz było jedynie jawne. Zarazem mnóstwo przedmiotów dawniej oczywistych znikło teraz z powierzchni ziemi i zostało złożone w duszy, w jej podglebnych składach, chodnikach i zaułkach. Kraj samotności, przez który Ewa szła w swem niestrudzonem pątnictwie, był krajem najbardziej bezwzględnie należącym do Boga. Błąkając się tedy w ciemnościach świata zewnętrznego, błąkała się w Bogu. Kraj podziemny był krajem duszy. Kryjąc się przed światem zewnętrznym, kryła się w duszę swą tak zupełnie, jak kret kryje się w macierzystą ziemię.

Tam to jedynie mogła wyrażać cierpienie swoje bezgłośnymi krzykami, co stały się językiem jej codziennym, mową jej pospolitą. Tam jedynie mogła iść naprzód i wracać coprędzej po własnych śladach, rzucać się, jak lis w kluczowe skoki dla zmylenia pogoni

nieszczęścia. Zzewnątrz okryta była własnowolnem milczeniem, kamienną ciszą i lodowym spokojem. Jak dawniej, chodziła do magazynu mód, jak dawniej żyła życiem normalnem. Owa idyotyczna praca w magazynie, trawienie dni w gronie głupkowatych wyrobnic igły, wędrówki z domu do magazynu i z magazynu do domu—były to nawet konieczne dla niej podniety do życia. Gdyby tego zabrakło, jużby nowych szukać, a tembardziej znaleźć nie była w stanie. Podobnie było niegdyś w biurze kolejowem. Tylko tamto było kaprysem dziecka wobec tego, co na nią teraz upadło.

Miała przeczucie, że zaszła w ciążę.

Brak znanych objawów, szczególna fizyczna żarłoczność, silne, a dawniej nigdy niedoświadczane bóle głowy i twarzy, nagłe zawroty, zjawiające się bez przyczyny i przechodzące bez skutku, rozdrażnienie, nieustający ogień w gardle, a nadewszystko obmierzły smak w ustach — wszystko to zaczęło ją osaczać, ogarniać i zwolna nauczać. Żyła w nieustającym pościgu obawy, wśród symptomatów czyhającego nieszczęścia.

Zdarzyło się, że wszystkie owe zwiastuny przycichały.

Wówczas oddychała całą piersią. Ale wkrótce... Budziła się rano z nieznośnym smakiem w ustach, który, wzmagając się stopniowo, doprowadzał do mdłości—i oto furye rzucały się na nią z poczwórną pasyą. Nie miała wcale dokładnej wiadomości o tem, co się z nią dzieje. Wiedziała przypadkowo, ze słuchu, stąd i zowąd, cośkolwiek. Teraz te wszystkie wiadomości poczęły wyrastać, jak przeraźliwe gorgony, chimery, charpie, łby

psie i sowie, jak strzygi i drzewa wielkokrzewy, jak straszne góry, otaczające dolinkę życia.—Szła pamięcią za każdem z owych podań, docierała szalonymi skokami do źródła, skąd, z czyich ust wytrysła każda w przeszłości (obojętna wówczas) wiadomość lub półsłówko—i oceniała wartość każdej z tych wieści rozumem tak wyostrzonym, że niemal tworzyła sobie z niewiedzy i nicości prawdę istotną. A na drzewach owych prawd, wyszarpanych z mroku, rozsnuwały się nieskończone pasma, włókna i nici przesądów. Była przez te nici opasana i zaplątała się w nich, jak mucha w pajęczynie. Każda chwila dawnego życia, to jest czasu, kiedy była razem z Łukaszem, teraz dopiero stała się zrozumiałą. Każda z owych chwil wchodziła w miejsce swe i łączyła się z innemi za pomocą powinowactwa, hierarchii nieubłaganego porządku. Wszystko stało się zrozumiałe, jako przyczyna i skutek.

Zjawiska wyłupywały się ze zjawisk. Zdarzenia, napozór proste, otwierały swe łona zamknięte, w których taiły się przerażające widoki. — Leciał z tamtej, prześnionej krainy ku duszy polotny, sypki szelest długowłosych brzóz, naginanych od ciepła suchego wiatru. Płynęła stamtąd na zgaszone oczy falista chełb zbóż, snująca się poprzez łany młodego żyta i rozłogi pszenicy.

Zamarły widok kopuł bzu pachnącego, w deszczu zmoczonych, wlewał się w oczy zalane łzami. I tak objąwszy ciało, opasawszy duszę, złe moce rzucały skałę na piersi z krzykiem potępienia: tam się urodził twój grzech! Widziała wtedy wzrokiem użyczonym, podczas

gdy włosy jeżyły się na głowie, a w uszach syczał świst i łopot tajemniczych skrzydeł nieszczęścia, wszechmoc namiętności. Widziała kształty ich czyste, figury, pozbawione wszelkiej osłony. Patrzyła na to, jak one służą tylko samym sobie.

Badała je w jasnowidzeniu, przez nieskończenie zbliżające szkła nieszczęścia, z ciekawością i uwagą, nieznaną ludziom, którzy chwilowo bytują poza krajem niedoli. Widziała rozmaitość namiętności, ich rodzenie się, rozwój, bujanie w przestwór i zgon. Dostępny dla jej czułego poznania świat namiętności był nieskończenie cudaczny, jak świat chorób, jak świat drobnoustrojów, albo jak świat z dna morza. Były godziny, że z wlepionemi w swą przyszłość oczyma, z rękami wbitemi we włosy pytała się minionego świata z krzykiem i rozpaczą:

— Któżeś ty jest? Skądżeś się wziął na nieszczęście ludzkie? Kto cię utworzył i — na co? Kto oddał dusze ludzkie w twoje wszechmocne szpony?

Odpowiedzi nie było nigdzie.

Było poczucie władzy nieodwołalnych wypadków. Była ponura pewność, podobna do takiej, jakiej doświadczyłby człowiek patrzący na to, że miejsce, gdzie wykwitły przenajcudniejsze okrążki i listki korony kwiatu jabłoni zajęła powłoka gruba i mięsista, w której z dnia na dzień rozchodzą się twarde i tłuste komory owocu.

Stawanie się, żywot i przemoc faktu, dokonywanie się jego poza wszelką siłą i wbrew wszelkiej woli prowadziło duszę coraz dalej i dalej w kraj subtelnej ciemności. Z chwilą, gdy dusza poznała cośkolwiek z rzeczy

i spraw ciemnonocnych, cierpienie oswoić się, przywyknąć, pogodzić się i spocząć nie dało jej ani na chwilę.

Coprędzej gnało ją dalej. A gdy, upadłszy na ziemię, wbijała palce w grunt znany i zlewała go krwią łez, zaciskało sprzączki smyczy i wlokło ją zduszoną na śmierć, gdy trzpienie wbijają się w podżuchwowe gruczoły, a rzemień dławi gardziel.

Nieraz zdruzgotana na śmierć postanawiała, leżąc pod progiem szaleństwa, nie dać się światu. I cóż z tego, że będzie miała dziecko nieprawe z człowiekiem, który ją samą zostawił i gdzieś zagranicą przepadł? Rodziły przecie i rodzą młode dziewczęta dzieci, chodzą długo ciężarne, bezkształtne, rozdęte, a później wracają znowu do pięknego świata, widzą znowu oczyma bez i jaśmin, słyszą znowu wesołą muzykę i męski śmiech. Ubierała się staranniej, szła do magazynu, pracowała spokojnie, brała w siebie przemocą wesołość i spokój. Ale nagły poryw wymiotów wśród pracy — spojrzenia śmiercionośnej ironii, ciskane przez koleżanki — tłumna ich a najżywsza radość na widok jej strwożenia — szept szczęścia wśród ich zastępu, gdy nie mogła ukryć, co się z nią dzieje i truchlała — wszystko to wracało ją nazad do ziemi nieszczęścia. Porywał ją spazm wewnętrzny przed światem, wielka, ponad wszystko bojaźń prawa umówionego między ludźmi w ciągu wieków przeciwko ciężarnej dziewczynie.

Gonił ją ulicami śmiech kobiecy, który depce nogami i włóczy w błocie. Smagały ją zjadliwe a milczące spojrzenia. Trzepały się nad nią czarne skrzydła słów plugawej zniewagi. Biły ją po głowie kije drwin

męskich, ulicznych piosenek o ciężarnej dziewczynie, które była niegdyś słyszała. Stawała się znowu dla samej siebie niczem już więcej, tylko przedmiotem pośmiewiska. Przeobrażała się zwolna w stojącą u pręgi, na którą ludzie ze wszech stron i z całkowitą rozkoszą miotają swoją zemściwą głupotę, plują niecnym swoim dowcipem, mszczą się za pomocą grubego i brudnego konceptu. Nie mogła sobie zrobić tej ulgi, żeby uwierzyć ku pocieszeniu serca, że ta złość świata jest tylko czasowem jego skażeniem i zależnem od mnóstwa przyczyn zepsuciem. W strasznej niedoli swej przychodziła do drzwi gorzkiej prawdy, że ścigająca zemsta jest jedną z najbardziej normalnych właściwości natury ludzkiej. Sama jedna, jako ciało, i sama jedna, jako dusza, przybiegała do domu i, padłszy na łóżko, miotała się po niem, nadaremnie prosząc bezlitosną śmierć, żeby ją grzeszną zabiła.

W tych minutach zaszczucia przychodziło kiedy niekiedy, ale bardzo rzadko, przedziwne uczucie: uczucie wielkości. Zdawało się wówczas, że ją dźwiga i unosi ramię mocnego demona. Stawała się czemś zgoła odrębnem od świata i była od niego niewątpliwie wyżej. Stała wówczas poza ludzkiemi uczuciami, troskami, poza drżeniem i lękiem w obliczu niedoli, które są przecie stokroć gorszemi od niedoli samej. Przeobrażała się w czystą siłę cierpienia, która się wznosi ponad życiem ludzi i ponad nędzą ciemności, wreszcie ponad życiem własnem. Siła jej wówczas stała blizko wszechrzeczy, a jednak w odosobnieniu od wszystkiego, co jest rzeczą i sprawą. Przenikała wszystko aż do samego dna, jak po-

wietrze—i spoglądała we wszystko nawskróś, jak światło słońca. Subtelną i potężną władzą siła cierpienia uderzała w sprawy ludzkie i oddzielała jedne od drugich nieomylnie, cicho i dobrotliwie. Gdy bolesne oczy ciała błądziły po nagich ścianach, po miejscach, obnażonych z wapna, po rysunku, powstałym z wypaści i pęknięć, sęków i skaz, wzrok cierpienia widział pismo czytelne. Z kresek, plam, z osędzielizn kurzu i połysków zabłąkanego światła tworzyły się lica szczególne. Zarysy ich zabijały nadzieję i strącały w przepaść pociechę, gdy dźwigając się, znikąd powstawała -- rosły znaki przeklinające i rysy jakoweś, które możnaby nazwać nutami poznania. Zdarzenia, wypadki, fakty przemieniały się na nuty pisane po ścianach, na martwe znaki, według których dusza snuła symfonię swoją zaświatową. Symfonia była olbrzymiego zakresu, straszliwej piękności, niestrzymanej siły. Oczy ducha widziały nuty, a słuch pełen był zaświatowej symfonii.

Wykwitał na rozchylonych ustach i w wyschłych oczach uśmiech zwycięski. Powiew wzniosłego podwyższenia, gardzące wszystkiem uciszenie ochładzało znużone skronie. Wówczas dusza na własny swój użytek, dla samej siebie tłomaczyła wypadki, sądy ludzkie, uczucia przeżyte, rzeczy widziane, dnie szczęścia i noce rozpaczy. Przekładała sobie nędzę żywota na nowy język, który był jej językiem, i wiązała z nich po bielonych drewnach ścian jakoby napisy, aforyzmy, zdania nieodwołalne. Z tych zdań, łagodnie, znikąd przychodzących, wysuwała się mądra, niezłomna, nieomylna wiedza duszy, jej *pismo.*

Lecz chwile tych halucynacyi prędko mijały,

gdyż rozwiewała się wiedza duszy pod uderzeniami maczugi.

Ostatni list Łukasza Ewa otrzymała w połowie maja. Później przestały przychodzić. Minął cały czerwiec i mijał lipiec. Zarazem w tymże okresie czasu ustaliła się w umyśle Ewy pewność, że jest przy nadziei. Zmieniła się zupełnie jej figura. Ewa czuła już w sobie ruchy płodu i bicie jego serca.

Nie mogąc ukryć tego stanu przed oczyma ludzkiemi, przestała w dzień wychodzić z domu. Magazyn mód porzuciła zupełnie. Dnie spędzała u siebie w izbie. Późnym wieczorem, okryta chustką, wymykała się na miasto po pożywienie, które kupowała w coraz odleglejszych zaułkach miasta, częstokroć na drugim jego krańcu dla uniknięcia wszelkich z ludźmi stosunków i dla zatarcia wszelkiego po sobie śladu. Mieszkanie miała zapłacone za cały rok wówczas jeszcze, gdy je wynajmowała wspólnie z Łukaszem. Na żywność traciła bardzo niewiele. Trochę pieniędzy zostawił jej był Łukasz, trochę miała zarobionych w magazynie. Jadła tylko chleb i wędlinę. Do tego miała specyalny gust, a nawet całodzienne łaknienie. Jadła późno w nocy, gotując sobie na maszynce herbatę. Sypiała długo w dzień, do dwunastej.

Około dwunastej w południe zjawiał się był dawniej listonosz. To też teraz, w ciągu długich tygodni, około dwunastej, stale na niego czekała. Czekała, leżąc na wznak, z oczyma półwidzącemi, z których kątami

płynęły łzy bezsilne i martwe. Przychodził dawniej ów stary człowiek z rudym zarostem tak punktualnie, że mogła była czekać nań, patrząc na skazówki zegara. Był wówczas, jak wykonawca, jak ścisły przestrzegacz woli Łukasza. Był wówczas, jak dobrotliwy zwiastun miłości i jak najżyczliwszy powiernik. Dawała mu za każdy list złotówkę, albo czterdzieści groszy. Uśmiechał się też, skoro tylko drzwi uchylił. Na jego twarzy, zmęczonej od astmy, w oczach, okrążonych czarnemi obwódkami, rozniecał się przelotny, nikły blask. Znała odgłos jego kroków w podwórzu, na czterech drewnianych schodkach, znała sposób stukania do drzwi.

I teraz codziennie ściskała w ręce srebrny pieniądz. Trzymała go w dłoni przez całą noc, śniąc na jawie i śniąc we śnie, że rano list nadejdzie. A po ocknieniu wszystka zmieniała się w słuch, w czekanie na znany odgłos kroków. I nieraz zawodne, mściwe zmamienie dawało jej słyszeć daleki, znany łoskot. Bił odgłos w jej serce, podwajał szybkość jego uderzeń — zbliżał się, zbliżał się... Z zamkniętemi oczami, nieruchoma, prosiła się tego głosu, żeby się zlitował — i chłodła, jak kamień, gdy tonął w nieskończonej ciszy. A straszliwa cisza otaczała ją znowu i przywalała ją znowu, jak pole wielkiej gliniastej ziemi. Schodziło na nią fizyczne bezczucie, albo najcudaczniejsze zachcenia.

Były dnie, w których ciągu żyła złudzeniem najdoskonalszem, że wcale nie stało się to, co się stało. Do nieskończoności natężone pragnienie niosło w chwile młodości, kiedy jeszcze nie znała Łukasza i była wolną dziewczyną. Leżąc na krzyżu, z rękoma zasuniętemi pod

głowę, z oczyma, utopionemi w bielonych deskach powały, śniła na jawie, że w czerwcową noc po całodziennej pracy w zaduchu biura, po strudzeniu mózgu, kości, mięśni i nerwów — idzie sama jedna w ciemny łazienkowski park. Zdala pachną jaśminy i różowe akacye. Nie ciągle, nie stale, tylko kiedy niekiedy szeleszczą wielkie drzewa. To stary, ukochany dąb na wzgórzu... Ach, jak szeleszczą te wielkie drzewa, drzewa widma żyjące! Jak dziko, jak uroczo! Zdala, zdala, z otwartego gdzieś okna dolatuje nokturn Chopina. Muzyka smutna a pełna siły najbardziej głębokiej... Muzyka smutna, a nie zawierająca w sobie ani rezygnacyi, ani wyrzekania.

Smutek i spokój spływa z tej tajemniczej, z tej bosko pięknej muzyki w ciemnoszelestny park, między widma drzew. Niema w niej grozy i niema rozrzewnienia, co kruszy wyniosły smutek i we łzy się wylewa. Nokturn ów — druga noc, druga obok tamtej... Jak noc—nokturn ów zawierał w sobie smutek, który mógłby ogarnąć cały ród ludzki i wystarczyć dla wszystkich dusz, co cierpią na tej ziemi. Jak wielka, cicha, tajemnicza noc był siłą niewiadomą, zamkniętą w sobie i wiecznie żywą, co zachęca, ażeby mężnie i wyniośle iść swoją drogą przed się, iść daleko, z oczyma utopionemi w gwiazdy ciemnego nieba. Jak noc wołał i porywał ku nieskończoności. Szła też wówczas pełna młodych sił, jak powietrze przesycona zapachem jaśminu, owiana szelestem czarnych drzew, jak ciemność pełna tonów nocnej muzyki Chopina.

Co chwila podsuwali się ku niej z uliczek jacyś

ludzie, zaglądali w oczy, szeptali jakieś słowa i zagradzali drogę propozycyami. Słowa te spadały koło niej, jak rzucone kamienie. Nie słyszała ich prawie, spojona uczuciami. Na zaczepki najbardziej bezwstydne odpowiadała w myśli krótką zniewagą:

— Odstąp, głupcze! Jestem człowiekiem spracowanym. Chcę odetchnąć po mojej niewoli. Chcę być sobą przez małą chwilę i czuć, co daje niebo, noc i muzyka. Chcę być sama jedna z moją nocą, z moją muzyką i moim jaśminem...

Na wspomnienie tamtych chwil palce jej zakrzywiały się, jak szpony — wyprężała się wtył, a z gardła wypadał skowyt rozpaczy. Widziała to oczywiście, że tamto już przeszło na wieki i skonało bezpowrotnie. Nie tyle żałowała swej dziewiczości, ile swej duszy dziewiczej, wolności wewnętrznej dumy człowieczej, zachwytu i porywu serca. Mówiła sobie, że zdradziła nie tyle rodziców, ile wieczność. To też dobrowolnie poddawała się widzeniom i złudom. Mamiła się całemi godzinami (aż do wybuchu rozpaczy), że wcale nie oddała się Łukaszowi, że była jeszcze tą samą, co dawniej. Wszystko skupiło się we wspomnieniu szarego płaszczyka, dawnej, panieńskiej okrywki. Iluż to uczniaków, studentów, iluż poetów ów szary płaszczyk budził ze snu, gdy chodziła na pensyę! Skoro się ukazywał w ulicy, ileż serc młodzieńczych biło i ile oczu gorzało. Lubiła zarzucać jednę jego połę, gdy szła z pośpiechem... Mówiono jej o tem i pisano w tajnych liścikach, że poły tego płaszczyka — to skrzydła anioła... Lubiła teraz nawracać śnieniem do tamtych dni, ale nadewszystko lubiła marzyć o chwilach, kiedy się opierała Łukaszowi, kiedy się broniła na zabój... Widziała znowu dzień wietrzny, w czasie marcowej odwilży, kiedy stali na pochyłości góry. Był wtedy szczególnie wzruszony i miał oczy pełne łez, a w ustach słowa tak zachwycające, tak miłe, tak cudne!... Musiała była odejść, a on w tem miejscu zostawał. Kiedy na pożegnanie przywierali do siebie wzajem ustami, zdawało się jej, że już przestała żyć i leci w rozkosznym, zimnym wichrze, razem z nim, jako pył, jako pył ziemski. Zimny wiatr okręcał jej suknię około jego nóg, a zimowy płaszczyk dookoła jego ramion. Byli spleceni i mieli oboje jak gdyby te same dwa skrzydła. Upadła wówczas przed nim na kolana, objęła jego nogi rękoma. Była to rozkosz nad rozkosze patrzeć nań z dołu, na związanego rękami, gdy w swem krótkiem futerku nachylał się i uśmiechał. Dookoła był mokry śnieg. Dziko szumiały gałęzie świerków. Słyszała teraz w sobie szum tych drzew i razem z szumem leciała w wichrze.

A w parku, w ciemną noc! Siedzieli przytuleni, sami jedni, oddani sobie nawzajem duchem i ciałem. Słyszała i teraz jeszcze, jak w nim biło wzburzone serce, czuła ustami ogień jego policzków. Słyszała jeszcze błagalny szept...

Nigdy jednak nie ważyła się wchodzić myślami razem z nim do tamtego pokoju. Stawała na tym progu z załamanemi rękoma, jak obca dusza, i biła nieszczęśliwem czołem o te drzwi. To było blizkie tak bardzo, że nie można było spojrzeć nań zdala. To było tajne,

sekretne i wykonane pod przysięgą. A teraz oto zdradzone zostało wszystko!

Najgłębsza rozkosz nocna, o której wiedział tylko on sam, Łukasz, i ona sama—rozgłoszoną została po rogach ulic przez straszne, obce siły, poznana jest przez najbezwstydniejszych szyderców, przez wrogów najbardziej mściwych!

Pewnego odwieczerza, w drugiej połowie sierpnia, Ewa siedziała w oknie swej izby, martwo patrząc w podwórze domostwa.

Coraz częściej zdarzał jej się teraz ów stan pozornego odrętwienia. Roztyła się i zbrzydła. Oczy miała podkute, rysy zgrubiałe i jakby opuchłe, cerę żółtawą. Sypiała coraz dłużej i wstawała coraz później. Już od miesiąca nie rozmawiała z nikim, chyba w sklepiku. Raz tylko odwiedził ją gospodarz domu, zbogacony izraelita. Wszedł chyłkiem, niby to od niechcenia. Usiadł na stołku i, rozglądając się pilnie po stancyi, gawędził. Oczy jego długo zatrzymywały się na twarzy Ewy i zatapiały w niej z uwagą. Ją wówczas poczęło przebiegać mrowie. Pot zimny oblał ramiona i plecy. Czuła, że ten człowiek ma zamiar coś z nią zrobić, że on to, nie kto inny, jest teraz jej władcą. A jeżeli on wie wszystko? A jeżeli już zawiadomił rodziców? A jeśli za chwilę powie, że ojciec już przyjechał, albo Aniela?

W tej samej chwili rzuciły się myśli trwożące, że on ją komuś wyda, że ją z mieszkania wypędzi, że na mocy jakichś tam praw każe zabrać... Przeczuwała, że

na nią czyha siła fizyczna, brutalna napaść, zamach, który nie będzie końcem, lecz najwyższem spotęgowaniem niedoli.

Gospodarz „grzecznie“ rozmawiał, czynił figlarne aluzye do jej stanu. Dopytywał się od niechcenia, gdzie jest mąż, czemu tak długo nie przyjeżdża. Odpowiedziała blademi usty, że niedługo już... przyjedzie... Żyd jeszcze raz począł żartować. Oczy jego zamgliła żądza, którą Ewa już nauczyła się rozpoznawać. Wtedy uczuła, jakby ją ktoś ciął w głowę ostrzem siekiery. Powiedziała sobie wtedy, że musi umrzeć. Od owej chwili, która w jej umyśle wciąż była przytomną, minęły tygodnie nudy tak głębokiej, że nieszczęście w niej byłoby pożądaną rozrywką. Żyła w zupełnej ciemności, w gnuśnem zaniedbaniu.—Stała się, jak rola zarośnięta zielskiem. Nic już nie było przed nią i za nią.

Nie chciało się jej wracać do znanych cierpień, a nowych leniła się poznać. Straciła wiarę w to, żeby mógł istnieć jakiś inny świat uczuć, zgubiła w ciemności wiadomość nawet o tem, że żyją ludzie na świecie. Ziemia dla niej była pusta. Myśli wygasły, wola ginęła. Czasem jeszcze miotały się nerwy, jak odruchowo miotają się członki zwierzęcia, związanego powrozami. Nastało bezwzględne bankructwo wszystkiego. Już teraz rzadko kiedy widziała, jak jej, stojącej nad przepaścią, ziemia z pod nóg się sypie. Nadchodził bezwład. W tej nocy okrutnej i nieskończonej nawet wspomnienie o Łukaszu uległo zaćmieniu. Pamiętała o nim nie jako o człowieku, lecz jak o czemś, co ma w sobie światłość. Ta światłość — to był przedewszystkiem bolesny żal. Jak

człowiek, w nocy i ciężkiej gorączce pogrążony, który nie wie nic dokładnego o świetle słonecznem, a tylko o niem śni, czuła za sobą, w tej stronie, dokąd Łukasz pojechał, brzask gasnący. — I to światło już nicestwiało.

Domyślała się, że i ono wkrótce pożarte zostanie przez ciemność, że nie będzie w jej sprawie życiowej nic a nic znaczyło, tak samo jak nic nie znaczy matka, ojciec, Aniela — jak wszystko co niegdyś było, a później przestało być, a wreszcie żadnego literalnie nie ma znaczenia. Pisała jeszcze wciąż listy i pod dawnym adresem wysyłała je do Rzymu, ale po co to czyni, co to ma za sens — już nie wiedziała.

Jeżeli do czego zwracały się jeszcze uporczywie jej pożądania, to do jednej jedynej sprawy... Do sprawy nicości.

Nie być! Gdybyż to ktoś zakradł się znienacka i zabił ją w półśnie! Wszystko już przeżyła. Strwoniła swe szczęście, a teraz, obskoczona przez skutki, przez pętlice, stryczki i węzły męczarni, nie może znaleźć wyjścia. Jeżeli nawet jest gdzie wyjście, to bezwład nie da się dowlec. — Myśl sama sili się jeszcze nadaremno i próżno kołacze to tu, to tam.

Resztkami obumarłych władz pragnęła nieraz dowlec się do jakiegokolwiek kresu i ujrzeć jakikolwiek widnokrąg. Naprożno! Bezwładność, jak płynny muł, oblegała duszę...

W upały sierpniowe po całych dniach wysiadywała przy otwartem oknie, z głową opartą na obu rękach, wpatrując się w przeciwległy kąt podwórza, gdzie stała

nowa, drewniana kloaka. — Wiązadła, płatwy, drzwi, gonty, schodki i ściany tego budynku wryły się już w mózg i stały symbolem śmierci. Jeżeli, choćby przypadkiem, zwróciła oczy w tamtą stronę, już ich nie mogła oderwać. Myśli wpadały, jak w łożyska i kluby, jak w zaciosy i fugi, któremi nieodwołalnie mknąć musiały. Sam żółtawo szary kolor desek natychmiast przyciągał i porywał ku sobie.

W mgnieniu oka tworzył się szemat umysłowania o nicości. Skóra z lekka cierpła, przez włosy leciał sypki mróz, oczy wlepiały się w tamten kąt podwórza. Jak dojść do nicości. Oto są drzwi pokoju. Drzwi te otworzyć. Cztery schody prowadzą na podwórze z wązkiej sionki. Podwórze. Trzydzieści kroków. Znowu schodki. Pięć schodów...

I drzwi. Któż je otworzy? Kto udźwignie rękę ciężką, jak skała? Kto udźwignie nogi, ciężkie, jak góry? Kto wsunie i przekręci klucz w zamku? Tam jużby łatwiej.

Zamknąć tylko oczy, westchnąć do Boga, rzucić się głową na dół, w otwór szeroki. Przez chwilę będzie bardzo źle, ohydnie. Rozkraczone nogi, zadarta spódnica... Ale za to stanie się nicość. I noc. *Jedna noc!* Stanie się owo greckie, tajemne słowo. Nareszcie się skończy i przetnie ucisk duszy. Bo „dość już tego życia!“ Nie będzie wcale ciężaru hańby, leżącego na piersiach i na czole. Ani cuchnącego wokół powietrza cnoty obywatelskiej. I bólu w sercu, i żalu, i czekania. Już nikt nie przyjdzie z drwiącym swoim pyskiem, nikt nie shańbi

spojrzeniem posiepaka. Nikt już nie spoliczkuje przymrużeniem oczu. Noc jedna cicha...

I tego dnia, o którym mowa, siedziała, jak zwykle. Myśli jej ociężałe snuły się około tego pewnika, że pieniądze, które posiadała, już są na wyczerpaniu. Mieszkanie zapłacone do końca roku, to prawda, ale z czego żyć, gdy wyjdzie ostatni grosz? Przeliczyła troskliwie swój zapas, myląc się, jak zapisał, przy każdem obliczeniu.

Wkrótce i tym rachunkiem, niby ciężką pracą zmęczona, zapadła w zwykły półsen o nicości. W chwili, gdy tak siedziała, przesypując nędzne myśli, jak piasek, spostrzegła jakiegoś pana, chodzącego po podwórzu to tu, to tam, zaglądającego z kolei do wszystkich sionek.

Był to śliczny, młody człowiek, zapewne dwudziestokilkoletni, wysmukły blondyn, z małym, jasnym wąsem, ubrany w strój angielski, w pończochy, grube trzewiki, jasną marynarkę i mały, zielonkowaty kapelusz z piórem.

— Strój od Pool'a, od jedynego krawca na świecie, który człowieka ubiera... — uśmiechnęła się Ewa do wspomnienia o Horście.

Zdziwienie jej nie miało granic: taki człowiek na tem podwórzu! Bywali tam tylko mniejsi i większi starozakonni handlarze, sołdaci i służące. Tymczasem młody człowiek, spostrzegłszy Ewę w oknie, przyjrzał się jej z uwagą i do jej właśnie drzwi skierował kroki. Usłyszała wkrótce jego stąpanie. Zmieszała się i nie mogła zatamować bicia serca, pomimo, że rozum mówił wyraźnie o jakiejś chwilowej pomyłce. Dało się słyszeć pukanie, drzwi się uchyliły i nieznajomy, nie zdejmując kapelusza, wszedł do stancyjki.

Gdy uchylił wreszcie kapelusza, Ewa mimowoli spostrzegła, że jest bardzo ładny. To ją jeszcze bardziej zawstydziło.

— Przepraszam...—mówił spokojnie wykwintny pan—czy nie tutaj mieszka panna Ewa Pobratyńska?

— Tak... mieszka...

— To pani?

— Ja...—mówiła Ewa, stojąc bezradnie i zwijając w palcach jakiś strzępek.

— Proszę pani... Przychodzę tutaj z polecenia pana Łukasza Niepołomskiego.

— Łukasza!—krzyknęła, zapominając o wszystkiem. Oczy jej spłonęły od płomienistych łez, usta owiał uśmiech. Serce porwało się i nagle ścichło, jak przecięte mieczem. Złożone ręce przycisnęły je i zdawały się błogosławić przychodnia, dobrego zwiastuna.

Młody pan stał obojętnie, z bezwzględną jednak ciekawością z pod oka patrząc na Ewę.

— Gdzie jest Łukasz—zawołała.

— Pan Niepołomski jest w Rzymie.

— Wciąż w Rzymie?

— Musi się pani przygotować na coś gorszego.

— Gorszego...

— Pan Niepołomski jest w więzieniu.

— W więzieniu!

— Wszystko to pani w paru słowach wytłomaczę.

Muszę naprzód powiedzieć, kim jestem. Nazywam się Szczerbic.

— Hrabia Szczerbic? To pan kulą przestrzelił Łukasza?

— Tak, to ja. Miałem z nim sprawę honorową i przestrzeliłem go w pojedynku.

— A!.. Więc to pan.

— Teraz otrzymałem od niego polecenie.

— Do pana pisał?

— Nie pisał sam, lecz ktoś z moich znajomych w Rzymie pisał do mnie na skutek jego prośby.

— Cóż on zrobił takiego?

— Dokładnie pani powiedzieć tego nie potrafię, gdyż sam nie wiem. Przyjaciel mój pisze w ogólnych wyrazach, że Niepołomski, który dostał się, jako płatny dyetaryusz do ambasady austryackiej i był używany do kopiowania starych dokumentów, niektóre najcenniejsze akta zdołał wynieść z archiwów i posprzedawać antykwaryuszom amerykańskim...

— Łukasz?!

— Wkrótce się to jednak wykryło. Schwytano go na gorącym uczynku kradzieży jakiegoś cennego rękopisu i tym sposobem dostał się do więzienia już w maju.

— Ach, już w maju, już w maju...—szepnęła.

Oczy jej były rozjaśnione, jakby posłyszała najpomyślniejszą nowinę. Teraz już wszystko wiedziała. W duszę spłynęło odbicie dawnej rozkoszy miłosnej i stało się jakby uczucie szczęścia samego.

To pochłonięcie w ciągu krótkiego momentu na

nowo, od jednego porywu i rzutu duszy całych dziejów miłości było dla Ewy czemś tak nieoczekiwanem i nowem, że zapomniała o obecności nieznajomego pana. Dusza jej w owej chwili była, jak ciemna, zapomniana woda pod nawisłemi drzewami w pejzażu Jana Stanisławskiego — jak posępna, sama dla siebie bytująca samotnia, w którą z wyżyny niebios wpadła srebrna strzała gwiazdy. Gwiazda, niewidzialna dla oczu, przebiła wodę do dna i brylantowy wizerunek swój roznieciła w odrętwiałej wodzie. Nim czarna, nim wieczna noc wróci, opuszczona woda przez chwilę piastuje w łonie swem gwiazdę wieczną, świeci nią samej sobie w mrokach... Stała się na chwilę jasność i napełniła mrok.

Hrabia Szczerbic przyglądał się Ewie, zwolna otwierając żółty pugilares. Usiadł swobodnie na brzegu stołu i z przegródek pugilaresu wydobywał papierowe pieniądze. Ona podniosła na niego oczy i z pewnem zdziwieniem przypatrywała się jego sposobowi bycia. Lekki uśmieszek pogardy wygiął jej wargi. Przyszła do głowy myśl, że i ona jest szlachcianką, równą temu jakiemuś tam hrabiczowi. Cóż to za wychowanie siadać tak na brzegu stołu wobec kobiety i w cudzem mieszkaniu?..

Spojrzała na niego jeszcze raz i nagle *uczuła* za pośrednictwem fizycznego bólu w piersiach, że to ten przestrzelił płuca Łukaszowe. Krew jej uderzyła do głowy. Straszny gniew! Rzucić się z pazurami i poszarpać tę buzię! Zamieć myśli:

— Szubrawiec! Szuja! Szpicel! Czytywał cudze listy miłosne i zużytkowywał do plotek ich treść!

Hrabia Szczerbic wydobył wreszcie pięćdziesiąt rubli rozmaitymi banknotami i położył je na stole.

— Proszę pani — rzekł, chowając szybko pugilares — pan Niepołomski prosi mię za pośrednictwem mego przyjaciela, żebym pani dostarczył nieco pieniędzy do chwili jego powrotu. Nie wiem, co to znaczy, kiedy on myśli wrócić. W każdym razie zostawiam obecnie pięćdziesiąt rubli. Jeśli pani będzie potrzebowała mej pomocy, proszę mi dać znać listownie—Zygmunt Szczerbic w Zgliszczach. To wystarczy.

Straszliwy gniew rozrywa węgły rozumu i bucha w pola obłędu. Porwie te pieniądze i rzuci mu w pysk! Jeszcze chwila...

— Jakże teraz zdrowie pani?—zapytał grzecznie.

— Dziękuję... — syknęła, wszystka szkarłatna od wewnętrznych ogniów.

Szczerbic spojrzał na nią z pod rzęs wzrokiem dziwnym, przeszywającym, a jednak struchlałym. Ledwie dostrzegalny uśmiech szyderstwa, który tkwił na jego wargach, nicestwiał i znikł. Ewa pod wpływem uczuć, które nią raz wraz wstrząsały, stała się prześliczną, stała się taką, jaką była w istocie. Wynikło coś królewskiego ze złamania i skrzywdzenia tej piękności. Haniebna krzywda, co się słała dokoła jej postaci bezsilnej i zbezczeszczonej, wystąpiła teraz z oczywistością. Szczerbic poczuł, jak potwornie rysują się papierowe pieniądze, które złożył przed chwilą na sosnowym stole. Niesmak, wstyd, żal, czy rozpacz, jak zaduch, ogarnęły go ze wszech stron. Ewa milczała.

Młody hrabia ujął swój niezwykły kapelusz i, zlekka kłaniając się nim, niezgrabnie wyszedł za drzwi.

W końcu września Ewa ponownie była bez grosza. Sumę, zostawioną przez Szczerbica, wydała prędko, a raczej strwoniła bezmyślnie. Sprawiła sobie dwie nowe suknie, letni kapelusz, płaszczyk (szary), kupowała wciąż paki łakoci i cukierków.

Nie była w stanie oprzeć się natarczywym pokusom i dziwnym smakom, które nią rządziły. Dopóki miała jeszcze trochę pieniędzy, żyła, jak dawniej, w stanie doskonałej bezmyślności. Kiedy wydała niemal wszystko, od razu wpadła w rozpacz. Ponieważ Łukasz i teraz nie dawał znaku życia, wyrosło do niebywałych granic poczucie, że on jest w więzieniu. Po nocach, wmyślając się w to, co się z nim dziać może, Ewa doszła do przedziwnych jasnowidzeń. Były półsny, w których ciągu przebywała z Łukaszem w mrocznych czeluściach,—i były dnie, że nie mogła sobie przypomnieć jego twarzy, głosu, ruchów. Wówczas napadała ją furya przerażenia. Rwała włosy, tłukła głowę o ścianę i w ciągu godzin wzywała go, żeby przyszedł. Oczy jej straciły wszelki zgoła wyraz i były pełne straszliwych snów. Rozkudłana, w poplamionym szlafroku błąkała się wśród czterech ścian swej izby.

W czasie jednego z takich dni, popołudniu, przyszło na nią ostateczne nieszczęście. Wałęsając się po izbie, miotana przez rozpacz, uczuła, że zwisa nad nią niżej i niżej zabójcza myśl. Miała wrażenie, że ta myśl

skręca się w pewien kształt, w senną, krzywą postać i daje jej znaki. Nie chce wyraźnie oznajmić prawdy, lecz każe się samej domyślać. Ewa rzucała się w szale po kątach, uchodząc przed tą myślą. Zakrywała twarz rękoma i, jak wroga, biła nieszczęście pięściami. Wreszcie, oparta o ścianę, wysłuchała wszystkiego w urywanych łoskotach serca:

— Łukasz wymyślił owo więzienie. Jest to pozór. Przysłał przez tego Szczerbica pięćdziesiąt rubli, żeby się odczepić. Odczepić się raz na zawsze. Swej dziewce... pięćdziesiąt rubli...

Przeżywszy tę myśl, Ewa ścierpła, zziębła i osłabła. Usiadłszy na brzeżku łóżka, myślała, co pocznie ze sobą i z tem dzieckiem, które w niej żyło. Zdawało jej się, że siedzi na brzegu gliniastego parowu, gdzieś w Sandomierskiem. W dali, Wisła...

Wtedy poczęła się w niej dusza szamotać, targać i szaleć, jak zbrodniarz, wleczony do policyi... Aż od jednego zamachu i od jednego ciosu woli postanowiła. Oczy jej stały się dzikie i złe, jak u psa na łańcuchu. Porwała ze stołu piękny, starożytny fermoir, który jej Łukasz na pamiątkę zostawił, i rozbiła ten sprzęcik o ziemię na drobny mak. Potem zaczęła się ohydnie śmiać i upadła twarzą w łóżko.

Nazajutrz rano, po zupełnie bezsennej, *białej* nocy, odziawszy się w najlepsze suknie, zabrała resztę pieniędzy i wyszła na miasto. Na targowisku miejskiem, po długich poszukiwaniach, wynalazła chłopa, który był przywiózł drwa do miasta i z pustą furą wracał w stronę Zgliszcz. Chłopina zgodził się chętnie podwieźć ją do

pałacu, choć go to, jak mówił, narażało na zboczenie z gościńca. Wziął za to ledwie trzy razy tyle, co taka usługa mogła kosztować. Wysłał słomą siedzenie między drabinkami i Ewa pojechała. Postanowiła w nocy, nad ranem, zrobić ten krok, żeby powziąć wiadomość od młodego Szczerbica, czy jej przypuszczenie o Łukaszu trafne jest, czy nie. Dłużej już sama ze sobą nie mogła tego roztrząsać. Nie miała już ani źdźbła siły. Pojedzie tedy do tego człowieka. On jeden przyszedł w ciągu nieskończonych dni... A gdy będzie z nim razem w jakimsić pokoju, padnie mu do nóg i będzie całowała jego buty, żeby jej tylko prawdę powiedział, co jest w liście o Łukaszu. Któż wie? Może on da jej do przeczytania list swego przyjaciela? Może jej oczy wyczytają w tym liście słowo pociechy? Przez jeden kwadrans zajmie swemi sprawami pięknego hrabiego Szczerbica! Wyżebrze z niego prawdę, wypłacze istotę rzeczy.

Cóż z tego, że powie mu wszystko, że będzie zmuszona więcej wyjawić, niż on w jej listach miłosnych wyczytał (—co za los i co za śmieszność!), cóż z tego, że zmuszona będzie zdjąć ze siebie wszystkie zasłony, że mu przedstawi nagość swych grzechów, — cóż z tego, że ten człowiek obaczy jej trwogę, upadek, rozpacz i nicestwo, które dotychczas widział jeden jedyny — Bóg?... Cóż z tego? — Jeśli jej powróci cień nadziei, że Łukasz jest ten sam, którego pokochała..! Jadąc na furze i odpowiadając na kretyńskie pytania gadatliwego gospodarza, nie myślała o problemacie, który był celem jej podróży. Rada była, że jedzie przez

puste pola, przez nieznane równiny, wśród zrudziałych ściernisk, które cichy deszczyk zlekka pokrapiał. Patrzała na poorane role o barwie brunatnej i rudej — i czuła, jak w nich pod deszczem rodzą się siły wieczne, z których powstaną znowu trawy, chwasty i krzewiny. Patrzyła na obłoki zwisające, jesienne zasłony polskich pól...

O jakie dziesięć wiorst od miasta chłop pokazał jej aleje zgliszczańskie, kępy drzew i białą w nich kamienicę, zwaną pałacem. Ewa ścierpła na ten widok.

Wtedy to przyszło jej na myśl, że w tym pałacu wezmą ją przecie za kochankę młodego Szczerbica. Cóż ona powie? Przesunęli się przed jej zamyślonemi oczyma jacyś lokaje, fagasy, służące dworskie. Poczuła, że w duszy jej zrywa się znowu burza. Żeby zażegnać to najstraszniejsze z nieszczęść, postanowiła nieodwołalnie wracać do miasta. Prawie wszystkie pieniądze wydała już na furmankę. Zostawało jeszcze parę złotówek.

Chłop podwiózł ją do miejsca, gdzie z gościńca należało zboczyć na prywatną drogę dworską. Ewa kazała stanąć i wysiadła. Włościanin, odebrawszy swoją należność, pomedytował zapewne na ten temat, czy nie udałoby się jeszcze cokolwiek wydębić, wreszcie zaciął konia i dobrodusznie pojechał dalej. Mogła teraz dowoli śmiać się ze siebie. Śmiała się też dowoli, brnąc po głębokim piasku szerokiej drogi. Doszła wkrótce do alei, wysadzonej odwiecznemi lipami. Przytulił ją do swego serca lekki, jesienny szum wielkich drzew. Pogłaskał ją po głowie roztrzaskanej podniebny szelest

lipowy. Usiadła w rowie, na przykopie, pokrytej wilgotną, przyżółkłą trawą i wśród szeptania usychających liści zapadła się duchem w siebie samą, w głębokie, podziemne chodniki jestestwa. Stowarzyszył się z nią śmiech, nieodstępny obserwator, i ukazywał to tam, to sam z błyskawicowem jasnowidzeniem nędzę jej bytu. Aż oto wskazał nareszcie to, co było najtajniejsze w niej samej. Szepnęła samej sobie:

— Dziecko!

Poczęła śmiałemi myślami wdzierać się w norę tego zagadnienia. Rzuciła się w siebie samą z bohaterstwem. Zimny pot zrosił jej czoło, drżały nogi z rozdętemi żyłami, biło serce... Cóż uczynić, jeśli ją Łukasz zdradził? Rzucił? Dokąd pójść? Jak przestać żyć, jeśli będzie żyło to dziecko? Pomyślała ze śmiechem, że, chcąc żyć, trzeba powrócić do Warszawy — z tem dzieckiem. Z odcieniem szczególnej satysfakcyi, wśród dzikich zapędów gniewu uprzytomniła sobie siostrę Anielę, Horsta, Barnawską — a nadewszystko swój głupkowaty zachwyt dla Łukasza, swoją dla niego cześć. Rozmowy o tem z matką... „Choćby bił, choćby kopał nogami...“

Spojrzała w pola osierociałe. Odmieniła się niepogoda. Deszcz ucichł. Miękie chmury rozpadły się i potworzyły ze siebie szeregi kształtów, idących stronami. Słaby, czysty, jesienny blask oświetlał miękie podorywki — i owe białe, dalekie chmury. Te same to były pola, które niejednokrotnie widział Łukasz. Tu mieszkał, tu był... Był!

Nie jest legendą, snem, rojeniem dziewiczem, ten

człowiek, którego imię leży na piersiach, jak ogromna szkarłupa ciosowego kamienia na grobie. Jakże to było fenomenalne, jak niezbadane, że on był w istocie, był na tej drodze... Łukasz tu był! Po trawie tej ślizgały się jego oczy, może o niej zadumane, kiedy tą drogą przejeżdżał. Ujrzała go pośród drżenia szczęsnego w grzesznem swem sercu, w oczach pełnych wiary, jak tą drogą samotny przechodził. Widziała żywo jego głębokie, posępne oczy, usta, które tak rzadko nawiedzał uśmiech... Objęła myślami jego czoło umęczone — i odpuściła mu z głębi serca.

Nic się nie zmieniło, nic nie polepszyło w niej samej. Była tą samą, wyśmiewającą się z duszy swej, depcącą nogami serce. Wstała z tego miejsca i powlokła się z powrotem w stronę miasta, myśląc wciąż, jak śmiesznem bez miary jest nieszczęście, jak głupim i potwornie niedołężnym jest człowiek, zaplątany w jego sieci i od niedoli powalony na ziemię...

Jesień. Po dniach suchych, po niezdrowych spiekach, co napełniały całe powietrze pyłem dróg, po długotrwałych upałach jesiennych, co utrzymywały na gałęziach drzew zagasłe już liście, nastały dni wichru, noce zalane burzą.

Zdarzało się w ciągu tych ostatnich dni ciąży, że Ewa chodziła na pocztę. Bóg wie poco. Chodziła, żeby czekać pode drzwiami, na kamiennych schodach gmachu. Wstępowała na owe schody i patrzyła w czarne drzwi. Wchodzili i wychodzili ludzie zajęci, zaambarasowani, weseli, albo zrozpaczeni. Naznaczała sobie terminy tego rodzaju: gdy ów pan wyjdzie, to ja zaraz pójdę, bo z nim razem wstyd... A gdy wychodził, naznaczała jakiś inny kres pod wpływem głupich przesądów. Raz zaczepiła urzędnika pocztowego, który siedział za drewnianą balustradą, czy niema listu *poste-réstante* pod adresem „Ewa". Dowiedziawszy się, że niema, wyszła z pośpiechem zdruzgotana od wstydu. Ale od tego dnia chodziła stale pod drzwi pocztowe. Spotykała tam wielokrotnie człowieka-starca w łachmanach, opuchlaka, sparaliżowanego na rękę, nogę i mowę. Zazwyczaj drzemał na pocztowych schodach. Zasypiał nagle, skoro tylko siadł. Chrapał i kiwał się arcyśmiesznie. Gdy się ocknął, bełkotał do siebie niezrozumiale, siedząc ze skurczonemi nogami. Miał na tych nogach grube buty, z których zostały tylko cholewy, a przyszwy, podeszwy i obcasy tworzyły jakoweś strzępy, związane do kupy szpagatem od cukru. Obiedwie kieszenie rudego paltota miał oddarte i zwisające, jakby na dowód, że w tych kieszeniach nie posiada żadnych walorów, obieg w kraju mających, żadnej wogóle własności prywatnej.

Pewnego razu, widząc Ewę, wstępującą i zstępującą ze schodów, człowiek ów przestał wydrapywać wszy ze siebie, ze swych europejskich sukien, gałganów i włosów. Coś półzrozumiale zagadał. Pojęła tyle, że on tu wyczekuje na listy jakiejś pani, pani Zatockiej. Stojąc tak bezradnie na schodach, Ewa popatrzyła na owego człowieka. Ujrzała go z poza swego snu, jakby przez gęstą mgłę. On jeden jej nie wyśmiał. To-

warzysz... I oto, schyliwszy się nizko, pocałowała go w opuchłą twarz, pogłaskała ręką jego rękę, trzęsącą się od pijackiego delirium. Poszła wówczas do siebie, szlochając zcicha i naprzemiany śmiejąc się zcicha.

Powstała w niej teraz zdolność do tworzenia ze siebie dziwacznych podobizn. Przymknąwszy raz oczy nie tyle śniła, lecz miała pewność, że jest motylem. Wyfrunie przez to okno przeklęte, wyfrunie raz na zawsze...

Innego dnia, patrząc się w puste obszary podmiejskie, w zeschłe ścierniska, porznięte rowami, — utroiła sobie, że jest psem, biegnącym w kraj temi polami, polami... Nagle poczęła szeptać żałośnie:

— Już teraz drugi pies tam, za mną nie pożenie polami, polami...

Ocknienie z takich zamroczeń wpędzało ją w najstraszliwsze doły rozpaczy. Miała za sobą, przed sobą, wszędzie i zawsze wielkooki strach. Straszyły ją rachunki w biurze, nieskończone schematy i słupy cyfr. Wewnętrzny dreszcz przebiegał ciało i wichrzył myśli. Drżała na wspomnienie pomyłek, których się mogła była dopuścić. Buzia naczelnika, plugawy ryj z czyhającemi ślepiami, z uśmiechem, przypominającym do złudzenia błysk światła na gumowym kaloszu... Straszyły ją oczy Horsta, przerażały oczy matki i siostry. Widziała nieraz poza sobą zimne kamienie pod czołem Barnawskiej, gdy jej tłomaczy skłamane historyjki, żeby wyłudzić pieniądze. Spychała ją w otchłań lęku wieść przebolesna, że Łukasz został zraniony... Straszył ją świat cały, a nadewszystko śliczny, ciemny brunet, którego

spotkała niegdyś w cukierni, a później wielekroć na ulicy. Szyderstwo jego oczu przebijało, jak nóż zbójecki. Bała się wszystkich ludzi i często bez przyczyny oglądała na wszystkie strony.

Onego wieczora świecił księżyc. Chmury skrzydlate leciały z zachodu na wschód przed nieruchomą światłością tarczy.

Zimny blask spadał w okno, rozwidniał izbę, obchodził kąty, jak wzrok szpiega—i znikał nagle w pomroce.

Już kilkanaście godzin Ewa siedziała na swym barłogu, szczękając zębami, w bólach. Czasami jeszcze zrywała się w szale i wałęsała po izbie. — Nadeszła wreszcie godzina, w której ciągu straszliwe skurcze, wynikające wbrew woli, łamać poczęły raz za razem jej krzyż, brzuch, uda.

Szukając przeciwko nim ratunku, opierała się plecami o ścianę i, wobec każdego napadu, za pośrednictwem tłoczni brzucha, podległej woli, przychodziła sobie z pomocą.

Ręce jej, jak czujne pomocnice obdarzone rozumem, raz wraz badały tajemnicę dzieła, straszliwy akt, dokonywający się poza granicami rozumu. Usta były suche, jak drzazgi, język spieczony i chropawy. Kolana trzęsły się i nogi w łydkach kurczyły. Kilkunastominutowe ataki wzmagających się bólów poczęły powtarzać się, wzmagać, przeszywać na wylot, jak rozdzierający sztylet, jak cienka szpada, którą ktoś mściwy a rozszalały zadaje cios po ciosie. Strach i szał! Ręce chwyciły

krawędź łóżka, stopy wparły się w słomę siennika. Przeraźliwe ognie poczęły latać po kościach i tańczyć przed oczyma. Najsroższy ból rozdarł wnętrzności na poły. Zdawało się, że ból ów rozsadzi kości i rozerwie nogi. Czuła w sobie zgrzyty czegoś twardego.—Wrażenie, że pół brzucha pękło. Jeszcze jeden, drugi ból, jakoby wbijano na pal... Ruchem rąk, bez wiedzy o tem, co czyni, namacała główkę dziecka. Dzika podnieta pchnęła ją w odmęt wytwarzania nowego, świadomego bólu.

Oto wywaliły się barki małe, tułów... Nowonarodzony, zwalany w mazi płodowej, wysunął się między uda. Opłątywały go sznury pępowiny grubości małego palca. Ręce matki brodziły w pętlach, w skrętach tętniących krwią żywą, bijących jakoby samo serce. Ewa nie widziała, co się dzieje. Czuła tylko ulgę zwierzęcą i leżała z uśmiechem, bez ruchu.—Ale oto wśród skrwawionych wód płodowych, w zwojach, tętniących coraz słabiej, coraz słabiej — rozległ się krzyk.

Porwała się przerażona, namacała palcami i dłonią zacisnęła usta noworodka, jeszcze zalepione śluzem.

Włosy zjeżyły się na głowie.

— Łukasz — szeptała — Łukasz! Na pomoc!

Rozejrzała się wokół, wokół. Światło księżyca smugą białą, nieruchomą leżało na podłodze, ostrym klinem zimnym, bolesnym przerzynało ścianę. Cisza wszędzie. Niema nikogo.

Poznawszy zapomocą oczu, że jest sama, Ewa zadrżała od smagań strachu. Poty zimne, mokre, ślizkie. Cała spocona leżała bez poruszenia, nasłuchując, czy

nie idą żydzi z sąsiedniego mieszkania. Zdała sobie sprawę z tego, czy też mogli usłyszeć krzyk.

Kilka obłąkanych myśli latało w sklepieniu czaszki, pod zwichrzonymi włosami. Uczucie jakieś biło śmiertelnie skrzydłami w głębi piersi.

Nowy ból, towarzyszący odklejaniu się i wyłonieniu łożyska, zmusił ją do nowej pracy fizycznej. Drżała teraz z zimna czy ze strachu i rozgrzewała swe ramiona oszalałemi dłońmi. Gdy wreszcie wszystka masa łożyska wypadła między uda na ciałko małej istotki, Ewa poczuła, że jest wolna. Jasna myśl, jak błysk piorunowego ognia, oświetliła jej wszystko.

Niezłomna wola, jakby czyjś rozkaz, pchnęła ją z łóżka.

Ewa wstała na równe nogi. Ciepłe smugi krwi sączyły się po jej kolanach i łydkach. Od jednego zamachu zwinęła cztery rogi prześcieradła i wszystko brzemię wraz z niemowlęciem, łożyskiem i sznurem pępowiny porwała w ręce. Cicho na palcach podeszła do drzwi. W ciągu chwili nasłuchiwała. Przez uchyloną szparę patrzyła w sionkę. Było cicho. Wiatr sennie jęczał. Słyszała jedynie rozgłośne ciosy swego serca. Ujrzała podwórze. Leżało w cieniu domostwa. Światło księżyca stało na dachach, na ostrzach sztachet i płynęło przez parkan na ściany sąsiedniej posesyi.

Wybiegła. Nie wiedzieć kiedy, od jednego susa znalazła się na schodach, prowadzących do kloaki. Lekko wskazującym palcem odrzuciła haczyk. Weszła cicho, jak duch, bezszelestnemi nogami.—Ujrzała nagle przed rozwartemi oczyma, w ciemnym otworze

grzązką i płynną powierzchnię. Powierzchnia cała zalana światłem miesięcznem. — Z cichym okrzykiem podniosła ręce i z tajną rozkoszą, z niezwalczoną siłą, z całej mocy rzuciła prześcieradło w otwór dołu. Nachyliła twarz i szpiegowała oczami, co się dzieje. Ujrzała, jak się płótno zwolna rozwarło, niby kielich olbrzymiego kwiatu, nakrapiany wielkimi plamami czarnej krwi. Malutkie rączki, podobne do pylników tulipana, prędko—prędko otwierały się i zamykały. Brzuszek wyprężył się. Małe kolanka zginały się raz wraz, raz wraz, coraz szybciej. Posłyszała żałosny krzyk, jakby podziemne stękanie. Wówczas, źgnięta zbójeckim nożem straszliwego żalu, rzuciła się głową w otwór, z wyciągniętemi rękami, żeby ratować. Ratować! Boże wszystkowiedzący,—ratować! Piersi jej grzmotnęły się o coś twardego, głowa odwaliła na bok. Mrok zasłonił oczy. Nastała cisza.

Ocknąwszy się, powzięła zmysłami wiadomość o tem, że głowa jej leży w kale, a ręce ściskają kurczowo płatwę poprzeczną. Wspomnienie... Rzuciła głowę przed się i przez otwór kloaki ujrzała już tylko płynną powierzchnię dołu, zalaną przez oślepiająco jasne światło miesięczne. — Nie było nic. Jeno na tem miejscu, gdzie widziała była prześcieradło, pokryte czarnemi plamami, rączki i nóżki szarpane od drgawek, — było nieznaczne wgłębienie, jakby wklęśnięta mogiłka.

Cichy śmiech radości wstrząsnął przemarzłe piersi. Zerwała się z miejsca i, jak mogła najszybciej, wionęła do izby. Szarpały ją bóle wewnętrzne srogie i nieprzerwane. W bokach ból, jak najmocniejsze rwanie próchnie-

jącego zęba. — Wściekły ból w krzyżu, przeszywający kręgosłup od końca do końca.

Od pachwin do kolan jakby wyprówano żyły. Szczękając zębami, poczęła wić się po izbie na drżących łydkach — w kółko, w kółko, na wzór owych obręczy, co ją wewnątrz coraz silniej ściągały. Chwyciła haust wody z garnuszka, żeby spalone wargi ochłodzić. Ale zimno przerażające pchnęło ją, żeby na rozgrzewkę biegać, biegać...

Ściany izby poczęły wirować. Światło księżyca, okno, stolik, łóżko — wszystko leciało pędem — a wokoło, a coraz niżej, niżej... Dopadła swego barłogu i runęła weń, szlochając głucho, zcicha, sennie wyjąc, żeby zaś nie posłyszeli sąsiedzi.

Ani złamanego szeląga, ani jednego strzępa, który możnaby sprzedać. Nic!

Siedziała przy oknie z oczyma wlepionemi we drzwi kloaki. Strzegła tych drzwi za dnia i w nocy, za dnia i w nocy przez dwa tygodnie. — Patrzyła pilnie, czy z nich nie wyjdzie tajemnica. Mrowie wilgotne, nigdy nie doświadczane, łechtało ramiona, gdy myślała, że zajedzie wóz do przewożenia brudów, a obcy ludzie, chłopy cuchnące, z rozjuszonemi oczami, z pyskami pełnemi moralności wyniosą na światło tajemnicę. Była już jako tako zdrowa. Mogła chodzić bez wielkiego bólu. Wydalając się na miasto, przechodząc przez podwórze, przypasywała pod suknię gruby jasiek, żeby się przed sąsiadami okazywać, jak dawniej, ciężarną. Chodziła

z umysłu ociężale, przewalając się z nogi na nogę. Gdy ją idącą wyszydzali żołnierze, oficerowie i młode piszczyki miejskie, wystające całemi popołudniami na rogach zaułków, śmiała się doskonale. Osypywała ich wszystkich (w myśli) najhaniebniejszemi wyzwiskami, które była, nie wiedząc o tem, posłyszała u progu szynków,—które zrodziły się w niej, we snach straszliwych,— które wylęgły się w jej duszy...

Jedno jedyne marzenie silne tak samo, jak moc życiowa, karmiło ją teraz i trzymało na nogach: uciekać!

Jeżeli zdoła uciec niepostrzeżenie, ślady mogą się zatrzeć do cna. Żyła tu pod obcem nazwiskiem, pod imieniem Róży Niepołomskiej, żony Łukasza. Któż ją odnajdzie w Warszawie, gdy tam zamieszka pod swojem własnem nazwiskiem? Wrócić do wolności, do piękności, do stroju kobiecego! Zarabiać na utrzymanie, jąć się roboty! Zatatrać, zagrzebać, zaklepać wszystko, co było! Uciec od siebie dzisiejszej, wyrwać się ze siebie samej! Nadewszystko — uciec od tego miejsca kaźni, z tej izby, w której zamknięte jest wraz z nią ciche piekło!...

Wyczyściła już była swą jedyną suknię. Powypierała plamy krwi z podłogi. Powynosiła nocami przekrwiony barłóg z łóżka. Zatarła wszelkie ślady, zniszczyła wszystkie własne sprzęty, papiery, aż do ostatniego gałganka. Nie zostawiła na miejscu ani jednego sznurka, ani jednej nitki, któraby ją mogła zdradzić.

Obmyśliła wszystko bez wyjątku, przygotowała się do drogi. Tylko na bilet nie miała złamanego szeląga.

Już bardzo dawno nie jadła nic gotowanego, nie

piła nawet herbaty. Żyła kawałkami starego chleba. Oszczędnie kruszyła ostatni bochenek, przewidując, że może przyjdzie jeszcze długo czekać. Wiedziała doskonale, że musi coś przedsięwziąć dla zdobycia przynajmniej trzech rubli na bilet kolejowy. Zważyła już wielekroć myśl jazdy bez biletu i odrzuciła ją ze względu na obawę zaplątania się w dochodzenie, kto ona jest, skąd i dokąd jedzie. Musiała jechać swobodnie, gdyby można, drugą klasą, ażeby jak najmniej zwracać na siebie uwagi.

W jej przebiegłych planach, w szeregach myśli niedościgle śmiałych, wśród kombinacyi nad wyraz sprytnych, zawsze przesuwał się właściciel domu, krótkopoły żyd.

Stokroć już zamierzała prosić go o „pożyczkę“. Udzieliłby tej pożyczki napewno, gdyby go się zapewniło oczami, minami i z pomocą nic nie mówiących frazesów, że później, kto wie, może... Ale i to mogłoby zwrócić jego uwagę, skierować na nią jego uważne oczy. Odrzuciła tę myśl daleko od siebie i na zawsze. Przebiegała myślami domy i sklepy tego miasta, twarze widziane, stosunki... Budowała i burzyła plany podejść, szachrajstw, kłamstw, wyłudzeń...

Tak oplątana przez myśli troskliwe i pomysły ostre aż do szału — siadywała przy oknie, zawsze mając spojrzenie zwrócone na drzwi kloaki. Jeżeli tam ktokolwiek wchodził, drżała, dopóki nie wyszedł. Najlżejszy ruch, gwar, głos na dziedzińcu przyprawiał ją o szalone bicie serca.

Pewnego ranka Ewa spostrzegła, nie zdając sobie

zresztą z tego sprawy, że żona właściciela domu wraz z dziećmi wyjechała dokądś dorożką. Odjeżdżający czynili nadzwyczajny hałas, kilkakroć wsiadali do wehikułu i wracali z gadaniem do domu, widocznie po zapomniane drobiazgi. Ich krzykliwe zachowanie się drażniło i przerażało Ewę. Stąd zapewne o wyjeździe licznej familii wiedziała. Po wydaleniu się całego tłumu dzieci, w sąsiedniem mieszkaniu było cicho. Około godziny pierwszej z południa Ewa posłyszała, że tam ktoś podśpiewuje. Domyśliła się, że to szanowny gospodarz. Znowu nasunęły się splątane o nim myśli, pomysły wydobycia od niego trzech rubli...

Drzwi gospodarskiego mieszkania otwarły się. Słychać było majufesowe podśpiewywanie daleko wyraźniej. Potem zgrzyt klucza w zamku. Ewa dobrze słyszała chropawy trzask.

Uczuła jakby to w jej głowie ów głos coś otwarł na oścież. Gospodarz przez chwilę stał w sieni. Ewa wiedziała, co on tam robi. Mieszkając w tym kącie tak długo, poznała doskonale (a raczej wyczuła cieleśnie) wszelkie obyczaje, przyzwyczajenia i tajemnice domowe.

Gdy cała rodzina żydowska wydalała się z domu, chowano klucz z pewną szparę węgielną. Ewa nieraz go tam widziała, przebiegając przez wspólną sionkę. I teraz posłyszała znany, charakterystyczny szmer, gdy gospodarz starannie zasuwał klucz między bale.

W myśli Ewy stanęło niejasne postanowienie, plan całkowity od początku do końca, lecz osłoniony jeszcze welonem tajemniczym. Przymknęła powieki i z uśmie-

chem patrzyła w doskonałą konstrukcyę swego planu. Serce zlekka, radośnie biło. Namiętna żądza wykonania natychmiast była ponad wszystkiem. Powstały niespodzianie ból głowy począł uwierać w skroni. Tymczasem echo kroków żyda oddaliło się, przycichło i zgasło.

Wstała wówczas i cicho, na palcach poszła ku drzwiom.

Wyjrzała przez uchylone. Deszcz padał na dworze. Było zimno. Liście żółte we mgle... — Żal w sercu... Wiatr miotał drzwiczkami furtki. — Z zagryzionemi do krwi wargami pobiegła na podwórze, przemknęła się chyżo pod ścianą domu i wyjrzała na ulicę. W oddali widać było postać gospodarza, ociężale wlokącego się pod parasolem ku miastu. Ewa natychmiast wróciła do sieni spokojnie (choć z pośpiechem), wydostała ze szpary klucz i bez wahania otworzyła drzwi do lokalu sąsiadów.

Odrażający zaduch nieprzewietrzanej siedziby powstrzymywał ją na progu, jak zaklęcie. Słuchała pilnie, pilnie...

Gdzieś w głębi mieszkania cykał zegar. Pamiętała, gdzie chowano pieniądze, kiedy tu niegdyś płaciła komorne za chorego Łukasza. Było to w bocznym pokoju. Chciała otworzyć drzwi, ale te właśnie były zamknięte na klucz. Drzwi to były niewielkie, całkowite, z dużym zamkiem zewnętrznym i zawiasami od strony wejściowej. Ewa skombinowała, że bez trudu można te całe drzwi wyjąć. Ująwszy je za zamek i dolną, żelazną zawiasę, wydobyła rygiel z za odstającego haka i wydźwignęła zawias. Weszła do izby następnej. Natych-

miast rzuciła się do ohydnej komody, nakrytej wyświechtaną serwetą, i próbowała odsunąć szufladę. Szuflada nie była zamknięta na klucz, lecz mocno zatarasowana. Ewa znalazła jakiś stary gwóźdź, porzucony za łóżkiem, i za jego pomocą zdołała odsunąć szufladę. Teraz już była zmęczona, spracowana, drżąca. Krew biła w kościach skroni, serce drgało w piersiach, różowe mgły zasłaniały oczy. Straszliwe paroksyzmy strachu, od których cierpła na całem ciele, paraliżowały ruchy rąk. Dygocącymi palcami wyszukała pudełko, które była niegdyś bez uwagi spostrzegła. Z trudem oderwała pokrywkę. Było dużo rozmaitych papierowych pieniędzy. Przez chwilę dumała spokojnie z łokciami opartymi o brzeg grata, — czy nie zabrać wszystkiego. Roztropność nakazała dla niepoznaki wziąć tylko tyle, ile trzeba na drogę. Ewa pomyślała jeszcze, że musi zjeść kawałek mięsa, wobec czego dobrała jeszcze drugie trzy ruble. Zamknęła uważnie pudełko, ustawiła je w tem samem miejscu, zasunęła komodę. W to samo miejsce rzuciła zardzewiały gwóźdź. Nie mało miała trudu, zanim wstawiła drzwi w zawiasy i zamek. Ukończyła tę czynność wszystka w pocie, drżeniu, ogniu i łzach. Zmiotła oderwane kruszyneczki wapna, obejrzała wszystko uważnie, wysunęła się do sieni i zamknęła pierwsze drzwi na klucz. Tam schowała klucz w wiadomej szparze. Wróciła do siebie. Odetchnęła całemi piersiami. Wzniosła ręce ku skroniom. Chwiała się, chwiała na nogach przez długą chwilę — aż runęła przy łóżku na kolana. Wstąpił w jej piersi jęk modlitewny,

szloch wyzywający przed obliczem Boga, który ją widział, strzegł i wyrwał...

Po chwili — jedno spojrzenie, ostatni cios oczu we drzwi zamkniętej kloaki. Krwawa pieczęć, położona na tamtych drzwiach. Krzyk duszy rozerwanej od miecza. Ostatnie przeklęte słowo na tę izbę... Wybiegła... Szła szybko bez podnoszenia oczu, chwytając usilnie dech w piersi. Bił ostry, zimny, przenikający deszcz jesienny. Na pierwszym rynku dopadła do dorożki i kazała się wieźć na dworzec. Była bez kapelusza, bez chustki, w starym staniku i wyświechtanej sukni. Siedziała w rogu nastawionego pudła, wtulona w głąb, ze szklanemi oczami, które patrzyły w próżnię. Szeptała samej sobie bezmyślne, radosne słowa, tryskające życiem i szczęściem. Na dworcu wsunęła się niepostrzeżenie do sali klasy trzeciej, usiadła w najciemniejszym kącie. Pociąg w stronę Warszawy miał nadejść dopiero po upływie dwu godzin. Siedziała tedy, jak na szpilkach. Kiedy nareszcie prawie pusta sala napełniać się zaczęła, kupiła sobie w bufecie wędliny i pieczywa. Następnie nabyła bilet. Szybko zaspakajając głód, bacznie wciąż łypała oczyma, czy czasem nie wejdzie na salę żyd, właściciel domu. Każde otwarcie drzwi przejmowało ją śmiertelnem drżeniem...

Zmęczona, bez sił, dowlokła się ulicami, które jej się wydały szumne nie do zniesienia, przed dom rodziców. Weszła wyniośle w bramę i oddała zwykłe skinienie głową stróżowi na jego życzliwy ukłon. Udała

się na schody kuchenne i bez żadnego planu w głowie, co ma mówić rodzinie, jak ich przywitać, stanęła u drzwi.

Z zupełnej prostracyi duchowej wyrosło wtedy niespodziane uczucie pychy. Teraz dopiero zrozumiała, co uczyniła, przyjeżdżając tutaj... Cóż za straszny krok postawiła! Tu przyszła po tem wszystkiem, co było! Jakże tu wejść do mieszkania? Snuły się w głowie kłamstwa jakieś, głupkowate pomysły, awantury zełgane — i znikały natychmiast. Przez chwilę marzyła, żeby odejść na zawsze od tych drzwi i nigdy już nie zbliżyć się do tego progu. Pycha wzbierała w piersiach. Chęć namiętnej kłótni z matką i Anielą... Błyski, płatki gniewu poczęły latać przed oczyma.

Oparła się plecami o ścianę i dumała. Dumała, co począć... Obok był zlew, należący już do mieszkania rodziców. Odpadki, gnijące w nim—to już były resztki ich stołu... Płacz w piersiach... Szlochanie. Suche rzężenie boleści... Ręką chwyciła się za krawędź tego zlewu. Była tak zmęczona! Miała nozdrza zasypane sadzą węgla, w oczach nieodstępne widziadła żyda, pod sobą drżące nogi, w piersi serce, pełne drgającego lęku. Przybyła teraz jeszcze owa kłótnia, niepowstrzymana niczem, z matką i siostrą, — owe nieznośne, potworne kłamstwa, które należało podjąć i z precyzyą wykonać. Teraz wykonać te wszystkie kłamstwa? To ponad siły!

Nagle otwarły się drzwi i służąca z wrzaskiem stanęła przed Ewą.

— Matko Boska Cudowna! Przecie to panienka!

— No i czegóż tak wrzeszczysz? — z cynicznym śmiechem zapytała Ewa.

— Matko Boska Cudowna! — trzepała wciąż Leośka drżącemi wargami, nie spuszczając z Ewy wytrzeszczonych oczu. Miała minę tak głupią, tak nadzwyczajnie głupią, że Ewę opanowała wyniosła złość, pasya rozgniewanej „panienki“ na wiecznie głupią służącą.

— Panienka! — jeszcze raz wybełkotała ta istota „do wszystkiego“.

— Czy pani jest w domu?

— Pani?.. A jest. Gdzieżby miała być?

— A pan?

— A pana niema. Jezus, Marya, Jezus, Marya!

— Gdzież pan?

— A no... nie wiem. Przecie-że w knajpie.

Niespodziewanie w oczach Leośki zamigotała jakaś twórcza myśl. Oczy te stały się chytre i badawcze. Podeszła do Ewy bliżej, szybko ujęła prawą jej rękę, potem lewą rękę. Obiedwie te ręce podniosła do góry, pod światło, i szczegółowo obejrzała dłonie, jedną po drugiej. Spostrzegłszy, że te tak wypieszczone niegdyś ręce są spracowane, pokłute, pozbijane i szorstkie, Leośka pokiwała nad niemi głowiną, uśmiechnęła się do nich przedziwnie, jakoś świadomie, mądrze a miłosiernie, i jedną po drugiej z szacunkiem pocałowała. Ewa nie spostrzegła nawet tego zachowania się Leośki. Jej oczy były zamglone od widoku znajomych sprzętów kuchennych. Służąca, zdobna już w całkowitą głupotę wyrazu twarzy i obfitująca w nadmiar kretyńskich ruchów, wciągnęła ją do kuchni. Sama, wierzchem dłoni

obtarłszy wargi, weszła do pokoju. Ewa ze spuszczonemi oczyma stała obok komina. Czuła teraz, że krew ucieka z jej twarzy, że milionem szybkich drgań zdaje się spadać aż do ziemi, spadać dalej i dalej. Trzęsła się od śmiertelnego strachu, chwytała oddech i strzępy jakichś podłych, ohydnych myśli.

Odgłos pantofli! Drzwi do pokoju rozwarły się z trzaskiem. Ewa ujrzała przeraźliwy gniew w obliczu matki. Nie była to twarz, lecz pędząca chmura. Oczy wypęczniałe od straszliwych łez. Wielka twarz stała się dwakroć większa. Rysy twarde, szare, jakby z piaskowca wyciosane. Usłyszała krzyk, wyrwany z głębi piersi:

— Precz! Łajdaczka! Precz!

Dwie zaciśnięte ręce, kamienne pięści przeleciały przed oczyma. Uciszyło się serce. Już, już nareszcie!

Tak, lepiej, że już wybuchło — i że tak właśnie. Nareszcie spokój — i poczciwa, wyniosła, ostatnia pocieszycielka — pycha. Ewa zabrała się do odejścia. Cyniczny uśmieszek wygiął jej wargi. — Wycedziła przez zęby:

— Jeszcze dotychczas nie byłam łajdaczką. — Może teraz zostanę.

— Milczeć! Nie waż się mówić do mnie! Ty, — szelma!

— Może mię mama przestanie poniewierać przy służącej. Także!

— Milczeć! Szelma, szelma!

— Proszę mię zostawić w spokoju! Nie przyszłam do mamy, tylko do ojca. Przyszłam zobaczyć się z ojcem Mam do niego interes.

— Precz!

— Pójdę, tylko zobaczę się z ojcem. Czy mogę zobaczyć się?

— Nie!

— Tyś mi opowiadała... — zwróciła się ze spokojem do Leośki, — że pan jest w domu.

— Nie w domu, tylko w knajpie. Gdzieżby pan teraz wysiedział w domu? Nie w domu, mówiłam, tylko w knajpie.

— W której?

— Ale niechże panienka zaczeka! Gdzież to panienka będzie po knajpach ganiała? Żeby znowuż nie można było z panem się w domu rozmówić? Rodzonej córce? Słyszane rzeczy! To już rzeczywiście! O, niech panienka usiądzie na stołku,—o, przy ogniu... Ogrzać się! Przecie cała mokra — i trzęsie się... Żeby rodzonemu dziecku ogrzać się w kuchni nie dać — to już honor, jak Bozię szczerze kocham!...

Leośka frygała po stole statkami i przewracała na kominie fajerki.

— Milcz i ty, flądro! Pójdziesz *wont* — razem z tą! Razem *wont* — obie!

— Przecie-że pójdę z takiego znowu zapowietrzonego domu! Żeby pani wiedziała, że pójdę — razem z panienką! Takie matkie mieć, to Jezus, Marya!

Rozległ się w przedpokoju brzęk dzwonka. — Leośka rzuciła rondel, który trzymała w ręce, i w pod-

skokach pobiegła. Po chwili słychać było przez otwarte drzwi jej szept:

— Panienka, panienka...

We drzwiach kuchenki stanął stary pan Pobratyński.

Przekroczył próg cichymi kroki, ociężałymi ruchami. Ewa podniosła na niego strudzone oczy. Nie ruszała się z miejsca, myśląc sobie dobrotliwie i spokojnie, że on, jak zawsze, zaakceptuje rozkazy matki. Ale stary pan szedł ku niej z uśmiechem jasnym. Gdy był o krok, przyciągnął ją do siebie i przycisnął tak mocno, że jej zabrakło tchu w zgniecionych piersiach. Ogarnął obadwa jej ramiona trwożnem ramieniem i pociągnął ją siłą we drzwi pokoju. Głaskał jej głowę, twarz, ręce.

Z jakąż radością poczuła znajomy zapach cygar i kochany zapach fiksatuaru! Szloch jeden, drugi...

Matka stała we drzwiach. Z krzykiem, zapalczywie, ledwo chwytając dech w piersi — wołała:

— Nie waż mi się brać jej do domu! Ja tej dziewki nie przyjmuję! Słyszysz?! Nie przyjmuję! Szelma, ścierwo! Słyszysz?! Nie przyjmuję! — Szelma, ścierwo! Nie przyjmę nigdy, przenigdy! Tak mi Panie Boże dopomóż! Nie przyjmuję! Słyszysz?!

Stary pan podniósł wyblakłe, załzawione oczy. Wzrok jego pierwszy raz w życiu był kamienny i straszny. Stary pan mówił półgłosem:

— Milczeć, milczeć! Zejdź mi z drogi, bo teraz zabiję! Zatłukę! Na śmierć zatłukę!

Lustrzane tafle w ramach, imitujących łagodny mahoń, stoliki z blatami, naśladującymi żółty marmur z Sieny, różowy grecki, *rosso antico*, albo bezcenny, zielonkawy—posadzki, udające mozaikę kościoła świętego Marka — niby bronzy, którym w fabryce nadano umyślnie cechę starości... Wszędzie, gdzie oko pójdzie, lśniące jaja, albo greckie ample świeczników elektrycznych. Tam i sam zwinięte węgle żarowe lampek, umieszczone w bronzach kształtu kwiatów, w podobiznach pąków różanych, owoców, łodyg rozsiewały światło rozpustne i lubieżne, ponsowe i niebieskie, a powtarzając się po stokroć w lustrach, sprawiały wrażenie nieokreślonych połysków i drżenia sprzętów. — Gdzieindziej — lampy, schowane w kloszach, obwieszonych rżniętemi szkłami, tworzyły źródliska barw łagodnych a różnorakich. Niewolniczy, wiecznie równy, sypki żar lamp łukowych, białe światło w szklanych kielichach, nie żarzy się, lecz trwa niespracowanie, wyobrażając duszę wiernego lokaja tłumu.

Wszędzie bezduszne rozwidnienie, perłowe albo nieznośnie błękitne, powolne a niewyczerpane w sile swej nieskończonej. Wielkie szyby okienne, jak tonie niezgruntowanej wody. Wieczny ruch drzwi od ulicy, bezszelestnych, chodzących wtył i naprzód — wieczny ruch drzwi, prowadzących do kuchni — niby wieczne działanie potwornej gęby i kiszki odchodowej. Zawsze jednakie twarze lokajów, obłudnie eleganckie, chytrze uległe, pod pozorem jowialnego wesela brutalne i znudzone aż do wściekłości. Oto stoi kilku tych mężów z wypomadowanemi głowami. Marzą o własnych kawiar-

niach i o legiach własnych kelnerów. Przyszli obywatele, filantropowie, znawcy sztuki oraz patryoci. Miny i teraz mają uroczyste, ale wskutek bezsenności twarze porysowane, poryte i jakby podeptane. Są poważni, jak kapłani, oczekujący na chwilę wykonania tajemniczego obrzędu. W gruncie rzeczy, stojąc, drzemią. Wyzyskują tę chwilę czasu, by wytchnąć po nocy wiecznie bezsennej. Białe ich fartuchy snują się, jak żałobne linie szat tajemniczych. Powietrze nasycone i przesiąknięte błękitnym tytuniowym dymem. Niezliczony, nieustający, nieprzebrany tłum mężczyzn. Oficerowie, studenci, wykwintne damy, którym stroje nadają pozór i kształt widomy męskich rojeń i samotnych widziadeł namiętnego snu. Połyskujące cylindry, wykwintne paltoty z podniesionymi kołnierzami, modne gorsy, jaskrawe krawaty, wąsy, wąsiki, brody najróżnorodniejszego kształtu i barwy, oczy zawsze bezwstydne. Tam i sam stolik drogocennych kokot w wielkich kapeluszach i szeleszczących sukniach. Wobec tego motłochu, który gada o rzeczach nieznanych, giestykuluje, szepce, który wybucha śmiechem i drwi — Ewa, zamknięta w klatce kasyerki, niby w konfesyonale, jest samotna, jak w głębi lasu, lub na puszczy. Piękność jej powróciła, jak po zimie powraca wiosna. Znowu, jak królewski dyadem, wznosiły się nad czołem szczerozłote włosy. Czoło stało się białe, nieposzlakowanej barwy, jak kora brzozy — oczy, zawarłszy w sobie tajemnicę życia i tajemnicę duszy, stały się głębokie, ukrywające w sobie niedocieczony świat. — Na ustach osiadł uśmieszek okrucieństwa. Na nowo poczęła teraz ubierać się wykwintnie,

perfumować i pieścić sobą. Włosy jej uczesane były w sposób niezwykły, skromny, a przecież zwracający wszystkie oczy. Ręce wypiękniały od gruntownych zabiegów około ich utrzymania. Już tak od kilku miesięcy urzędowała w najwykwintniejszej cukierni, w zakładzie urządzonym na wzór europejski. Miejsce to wyrobiła jej Barnawska przy pomocy filozofa Horsta. Ta dobroć i zapobiegliwość Barnawskiej o dobro Ewy miała tło zgoła utylitarne. Chodziło o odbiór sumy, pożyczonej podstępnie przed rokiem.

Stary Pobratyński stracił był posadę. W domu panowała skończona bieda, ledwie osłaniana dawniejszemi resztkami egzystencyi.

Skoro tylko Ewa zjawiła się na horyzoncie, Barnawska przystąpiła niezwłocznie do wyszukania dla niej „odpowiedniej“ posady—w tym celu, oczywiście, żeby można było wejść na pensyę miesięczną. Aczkolwiek wszelkie pozory były doskonale zachowane (—mówiło się wszem wobec i każdemu ciekawemu z osobna, że Ewa bawiła przez rok u krewnych pod Wilnem—) to jednak wynaleźć jakieś lepsze miejsce trudno było nad wyraz. Dokądkolwiek zwrócono starania — zewsząd pod najrozmaitszymi pretekstami następowała odmowa. Tymczasem Barnawska nie myślała czekać. Puszczony został przez nią w żywy ruch sam Horst. I dziwna to była dla wszystkich rzecz: ten abnegat w parę dni wynalazł miejsce. Początkowo Ewa odrzuciła ze wstrętem tę najnieznośniejszą dla niej propozycyę siedzenia w kasie cukierni, ale pod naciskiem złowieszczych pogróżek Barnawskiej, pod wpływem namów rodzicielskich i za-

chęty ze strony przyjaciela Horsta — przyjęła. Adolf Horst mieszkał, jak dawniej, w korytarzu rodzicielskiego mieszkania. Ponieważ jednak stary pan Pobratyński nie miewał już częstokroć „drobnych“ na poobiednią „małą z kieliszeczkiem“ — Horst chodził sam i już nie do dawnej dziury, lecz właśnie do pierwszorzędnej cukierni. Miał tu swój kącik, który zajmował stale, mniej więcej od godziny czwartej po obiedzie do późnej nocy. Stoliczek Horsta miał szczególniejszą siłę przyciągania towarzyszów. Byli tam starzy i młodzi, mniej i więcej zamożni. Horst ich oświecał, wtajemniczał, oprowadzał po Europie, bawił opowiadaniami. Tu dopiero miał możność wyładowania całokształtu swego systematu filozoficznego, oraz kolekcyi pikantnych anegdot.

Wesoły stoliczek mieścił się tuż obok „loży“, w której królowała znana już i podziwiana „panna Ewa“. Ilekroć powiodła oczyma po ciżbie, widziała zawsze i przedewszystkiem okrągłą głowę Horsta, jego psa i przyjaciół.

Słyszała ciągle jego monologi. Jeszcze nie zaczął się zmierzch, jeszcze nie płonęło światło, a już Horścik miał swą kompanię, całkowity zespół, tworzący codzienne symposion—i mówił w takie, dajmy na to, słowa:

— Pozwólcie mi, optymaci, którzy spoglądacie na ten padół przez najdokładniejszy teleskop (mam, oczywiście, na myśli ucho od kufla), żebym was dziś ściślej zapoznał z usposobieniem i najistotniejszym kierunkiem myślenia kmiotków polskich. W te spostrzeżenia o naturze kmiotka polskiego, której fenomena zaraz tu wyłuszczę, zaopatrywałem się w doczesnej wędrówce bardzo starannie! Będę mówił, współlikieraci moi, absolutnie bezinteresownie, z najgłębszą i najszczerszą ufnością, że ani wesołe pepeesy, ani mniej wesołe endusie nie zwrócą na to, co tu będę wieszczył, najprzelotniejszej uwagi. Nazwą to objawami ciemnoty i zapowiedzą, czego Boże broń! zapomocą proklamacyi, że oni tę właśnie ciemnotę zniweczą, skoro tylko dorwą się do władzy. Nie będę wam, o wybrani, udawadniał, że do władzy dorwie się naprzód ten, który najbardziej schlebiać będzie rodzimej ciemnocie, a znowu najbardziej ten się zmęczy, kto będzie niszczył ciemnotę, kto jej wypowie walkę najbardziej nieubłaganą!

Albowiem ostatni, którego sprawiedliwość nakazuje zwać lekkomyślnym, będzie walczył jednocześnie z dwoma wrogami. Jakże wyż wzmiankowany może odzierżyć władzę? Przenigdy! Mędrzec, dążący do władzy, winien snobizm (w języku polskim kołtunizm, czyli kołtuństwo) uczynić najistotniejszą częścią swego „programu“, dać kołtuństwu możność rozkwitu, nazwać kołtun najpiękniejszemi naukowemi nazwami i popierać go entuzyastycznie.

Nigdzie bowiem kołtun tak nie zakwitł z prawieków, jak w Polsce (*plica-polonica*). Biada obcinającym kołtun polski! Kłonice ich nie miną. Tyle co do teoryi. Przechodzimy do wypadków. Wypadek pierwszy. Była w pewnym powiecie (dajmy na to, że rzecz dzieje się w piotrkowskiem) wielka suma pieniędzy. Dawne jakieś, wojewódzkie pieniądze. Procentując przez kilkadziesiąt lat, urosły te sumy do monstrualnej wielkości. Zwiedzieli się o nich dwaj „ludzie dobrej woli“, dwaj młodzi obywatele ziemscy i po dokładnej deliberacyi po-

stanowili czynić wszelkie możliwe starania o przeznaczenie tych sum na przeprowadzenie szosy bitej z powiatowego miasta do jednego z miasteczek najbardziej zapadłych. W istocie — cała okolica byłaby niezmiernie zyskała, bo ziemia tam urodzajna, gospodarstwa dobre, a tylko drogi iście dyabelskie. Władze miarodajne przystały na wyasygnowanie owych sum na budowę szosy, o ile na to przystaną gminy, których obszar nowa droga miała przecinać. W to naszym szlachcicom graj! Kije sękate w garść do obrony od burków — i od chaty do chaty z agitacyą! Jeden z nich przez szereg lat był sędzią gminnym, znał tedy ludzi, stosunki, wady, obyczaje, okoliczności, przywary. Wojtka tak zaczepi, Ignacego tak zagadnie, Magdę podmówi, żeby swemu przełożyła. Robota szła, jak po maśle. Chłopy jeden w drugiego, każdy na osobności przytakują. Któżby też ta nie chciał szosy murowanicy? Przecie i wóz i koń i transport... A czy ta na jarmark, czy ta na odpust... Jednem słowem! Obeszli szlachcice moje wszystkie sześć gmin, zmachali się setnie, ale rzecz ukuli. Jedność, zgoda, karność! Dobra nasza! Nawet już bodaj—„z szlachtą polską“...

Przyszedł nareszcie tyle oczekiwany termin wielkiego zebrania. Zeszły się na jedno pograniczne miejsce wszystkie sześć gmin. Przyjechał komisarz włościański, przyjechał i sam gubernator. Przyjechała i szlachta gromadą. Moi szanowni inicyatorowie jeden po drugim wchodzą na stolik i palą świetne mowy. Chłopi przytwierdzają ochotnie. Nareszcie wstępuje na stolik komisarz włościański i mówi:

— Tak jakże, chłopcy, zgadzacie się przeznaczyć owe sumy powiatowe na budowę szosy?

Okrzyk wszystkich sześciu gmin, jakby jednego człowieka:

— Nie chcewa! Nie chcewa! Nie chcewa!

Wypadek drugi.

Trzeba zdarzenia, że w pewnej dziurze (łomżyńskie) zjawiło się w tych fatalnych czasach grono czułostkowych inteligentów, zwane pogardliwie przez rdzenne, miejscowe kołtuństwo „ochroniarzami“. Grono to ujrzało nagły a niewątpliwy ratunek na wszelkie „niedomagania“ w bardzo powszedniej oświacie i z furyą, godną lepszej sprawy, postanowiło w wyżej wzmiankowanej dziurze własnemi siłami zbudować ochronę wzorową. Tkliwe indywidua tego grona wyimaginowały sobie, że potrafią wydobywać dzieci ze świętych, ale śmierdzących „ognisk“ rodzinnych, z chałup — szkarlatynek i w swej fiksackiej ochronie zapomocą dokładnego, a ściśle naukowego freblo-patykowania umysłów urabiać przyszłych „obywateli“ i tym podobnych „członków“... Imaginujcież sobie, współbiesiadnicy, co się dzieje! W środku pól czterech poblizkich, graniczących wiosek, było gromadzkie pastwisko, wspólna własność. „Wspólnota“—*if you please* „opole“... Jeden z najbardziej zaciekłych „ochroniarzy“ zwołuje wieś, do której pastwisko należało, wygłasza płomienną i (samo przez się) absolutnie niezrozumiałą oracyę z cytatami poetów, prozaików—i proponuje: — Obywatele! puśćcie nam w wieczystą dzierżawę pół morgi waszego

pastwiska w tem miejscu, gdzie będzie najbliżej do każdej z trzech wiosek.

— My na tym pasku ziemi zbudujemy wzorowy, murowany dom szkolny, za kilka tysięcy rubli, i oddamy go na własność waszej gromadzie. Dzieci wasze będą miały prawo do bezpłatnej nauki w tej szkole na zawsze. Żadnych kosztów ani na budowę, ani na utrzymanie szkoły wieś wasza ponosić nie będzie. Żadnych nigdy nie będziecie płacili podatków. Ileż będziecie żądali za dzierżawę roczną pół morgi tego pastwiska?

Po długiej naradzie wieś wyniosła odpowiedź: dacie nama po 50 rubli rocznej dzierżawy.

— A ileż — spyta idealista — kosztuje dzierżawa morgi najprzedniejszej roli uprawnej w tej okolicy?

— Kosztuje dwanaście rubli.

— To pół morgi pastwiska czemuż ma kosztować pięćdziesiąt.

— Bo będzieta na tym placu stawiały budynek, dom murowany.

— Ale ten budynek rejentalnie będzie opisany, jako wasza własność i wasza szkoła.

— Tak to ta ono, ale taniej nama nieporada z dzierżawy spuszczać...

Wypadek trzeci i t. d.

Światło elektryczne cicho weszło, jak duch—i odtąd żywie w naczyniach. Światło wyłupane z nicości w głębinie ziemi przez pracę niewolników, których płuca potargał kaszel gruźliczy. Światło, stworzone przez mękę nędzarzy, których domowe ognisko oświetla ko

peć lampki naftowej. Całościenne tafle lustrzane tworzą teraz złudzenie mnóstwa sal, dalekości, przestrzeni. Odbijają w sobie tłum krążący. W oczach i mózgu tworzył się wieloraki, olbrzymi obraz, wielokroć odbity w ścianach korowód postaci wesołych, migotliwych, pochód strojów, przemarsz widziadeł o kształcie ludzkim, niosących na licach wszystkie uczucia, od szczęścia — do rozpaczy — wizyę nieskończoną rodu ludzkiego. Nawet mając oczy spuszczone, rachując, pisząc, Ewa widziała przed sobą to sunące pasmo ludzkie. Jakże często w tej ciżbie mężczyzn, wyrostków, chłystków, starców, zjawiała się jakaś twarz urocza, młodociana, jakiś owal lub profil niewiarogodnie piękny, zadziwiający i bezprzykładnie miły! Oczy nie mogły się odeń oderwać... Częstokroć jakieś oczy błagały godzinami, albo napastowały w ciągu nieskończonych wieczorów. Ewa musiała wyuczyć się spokoju, zdobyć formę twardej obojętności, pewną postać ponurej tyranii. Ugrzeczniona, dobrotliwa bezczelność, łaskawa pogarda niewidzenia... Łagodny uśmieszek ślicznych ust mówił:— patrz sobie, koteczku, patrz!... Patrz, śliczny paziu... Wypatruj piękne oczęta... A choćbyś patrzał dzień i noc, i cały adwent, i cały karnawał, i wielki post, nie, sierotko, nie wypatrzysz jednego drgnienia brwi. Wiem ci ja, o co ci idzie. Chciałbyś mię dławić temi białemi rączkami o szlifowanych paznogciach, chciałbyś rozgniatać mi usta i piersi... Wiem, wiem. Nic z tego, nic, bo jestem, widzisz, wierna Łukaszowi, którego może na świecie już niema... Oczy jej widziały tłum, myśl dostrzegła natężenie zabawy (aczkolwiek rządziła nieustającym pra-

wie rachunkiem), lecz to, co w oczach widzi, ta władza, która jest zdolnością widzenia, dostrzegała zarazem światy dalekie, dalekie... Za spokojnym uśmiechem, w miarę kokieteryjnym, który był, jak maska papierowa, wdziana na twarz od godziny dziewiątej rano do późna w noc—żyło senne marzenie, niezmiennie trwałe niemal tak samo, jak światło elektryczne w amplach. Marzenie o tem, że kiedyś to wszystko musi się skończyć, że kiedyś zniknie z oczu ten korowód bladych cieniów, wszystek ów orszak ludzki i tłumy chłopów, o których bajał Horst... Oczy, patrzące w ścisk wieczorny, widziały miejsca i tłumy inne, dalekie, dalekie...

Tam pójść! Ciepło radości na wzór słońca jesieni ogrzewało zmurszałe serce wobec tego marzenia, że kędyś na ziemi jest samotnia, gdzie na bardzo długo można znaleźć ciszę taką i taki błogosławiony spokój, jaki przepływał przez ową dawną, dziewiczą noc... Ewa czuła, że jest to marzenie zgubne, że stokroć gorsza jest dola tych, co ni dachu, ni chleba nie mają wcale, co klną życie dla głodu, lecz mimo to marzyła... Niekiedy przebiegał znajomy dreszczyk... Oczy latały, jak nietoperze, i padały w ciżbę ze zgrozą, chyłkiem przeszywając wszystko od drzwi do drzwi.

Lęk... Zimno...

Ciche kwilenie gdzieś za uszami, jakby w ścianie. Malenieczkie rączki drgają, małe kolanka tłuką się o siebie. A nuż wysunie się z tłumu żyd, właściciel domostwa — i spojrzy! Włosy przez moment jeżyły się i niedosłyszalny, suchy trzask sypał się wewnątrz uszu. Mroźne iskierki mknęły po krzyżu, po udach, po nogach... Dumanie, szybkie jak owe iskry, którędy uciekać, jak wysunąć się z kojca, jak niepostrzeżenie skoczyć w ulicę, którymi zaułkami gnać do domu. Dumanie, czy biedz do domu, czy biedz wprost nad Wisłę? Czemu nad Wisłę? Tam... Nad Wisłę...

W znużoną, bezsilną duszę spływała pociecha:— powiedzieć Łukaszowi... Tylko to jedno: powiedzieć mu wszystko, wszystko, jak było—a potem wszystko już jedno! Ale umrzeć, ale zginąć, ale pójść do kryminału i nie powiedzieć mu wszystkiego, jak było, nie wyskarżyć całej duszy!... Na samą tę myśl ciało drżało i serce tłukło się z boleści.

Gdy wreszcie późna noc kończyła dobę przeżytą i Ewa opuszczała „budę“, Horst również zachęcał pieska do porzucenia zakładu. Na ulicy przyłączał się do powracającej i towarzyszył jej do domu. Z biegiem czasu przywykła do jego asysty. Nieraz była z niej zadowolona. Gdy miasto ogarniała dżdżysta noc, gdy chodniki stały się lśniące od lepkiej wilgoci, a latarnie o spłoszonych i lękliwych płomykach, rada była, gdy obok niej szedł wierny towarzysz. Dawniej, przed rokiem, nie znosiła jego cynizmu, sposobu mówienia, jego osoby i towarzystwa. Teraz przeciwnie — on to właśnie był dla niej przyjemny, jego sposób widzenia rzeczy poniekąd najrozumniejszy, a rodzaj zachowania się najbardziej naturalny i poprawny. Horst nigdy nie mówił do niej o swych uczuciach. W kawiarni darzył ją płomiennemi spojrzeniami, ale z pod oka, kiedy był pewny, że tego nie spostrzeże. Nigdy nie uścisnął jej ręki, kiedy razem wchodzili na ciemne schody i roz-

stawali się w ciemnym korytarzu, dążąc do swoich izdebek. Było jej przyjemnie (o czem zresztą nigdy nie myślała), że on kocha ją wytrwale, a bez wynurzeń. Nigdy w rozmowie ich nie było wspomnień przeszłości, nigdy żadnej wzmianki o Niepołomskim, nigdy aluzyi do spraw, które się zdarzyły podczas nieobecności Ewy w Warszawie. Horst był jak lekarz i pedagog. Rozmawiał wiele, ale tylko o tem, co jest teraz, o sprawach nowych, bieżących, wesołych, o tem, co mogłoby Ewę zaj.ć i wciągnąć w życie. Ona wiedziała doskonale, że ją poczciwy Horst dla siebie obłaskawia. Z tych jego mądrych zachodów śmiała się dobrotliwie, z cynizmem, który rozpostarł się w jej duszy. Owszem, nieraz zużywała filozofa, darząc go niepostrzeżonemi i nie obowiązującemi do niczego okruchami łaski. Czasem skinęła na niego, wychodząc z miejsca pracy, gdy się dla niepoznaki ociągał, czasem posłała mu nawet dziwaczny i nic nie znaczący uśmiech, jak się daje grosz dziadowi, co na nasze miłosierdzie czyha pod bramą. Nauczona doskonale, co znaczy życie zupełnie samotne i odludne, chowała na czarną godzinę przyjaźń wiernego Horsta. Zresztą i teraz nieznośna była dla niej samotność. Nie cierpiała ulic, zadymionych sinawą, gęstą, zimną mgłą.

Gdy oko zanurzało się w jej nieskończoność złowieszczą, czuła w sobie natychmiast lęk i popłoch. Domy z oślizgłemi ścianami straszyły ją swymi kształty, bezmyślnie i bezładnie spiętrzonymi, latarnie snuły się w oczach żywym a bolesnym korowodem. Czuła wówczas, że jest sama na świecie, że sama jedna idzie w mroku bez granic po żywym cmentarzu, gdzie się

błąkają tłumy trupów. Dokądkolwiek szła, wszędzie potrącało ją to, co już było. Nie istniało dla niej nic a nic z tego, co rzeczywiście jest, a istniało tylko to, co było i wcale już nie istnieje. Stokroć chwytała się na sekretnych marzeniach o tem, że teraz jest jeszcze to samo, czego już w rzeczywistości zupełnie niema. Ach, jakże łkał wówczas w samotnem sercu natarczywy widok ruchliwego miasta! Olbrzymie domy i olbrzymie kramy, zgiełk bez ustanku i wieczny pęd naprzód, a ona jedna jedyna stoi w środku bezmiernego wiru, nie mogąc ani iść naprzód, ani tam wrócić, skąd wyszła. Dookoła biedni ludzie, wciąż w popłochu, całemi gromadami oddani drgawkom pracy, wieczyście osaczeni manią prześladowczą, okropnem a nieśmiertelnem widziadłem głodu i chorób — ludzie ubodzy, zawsze i wszędzie posępni, groźni nawet wówczas, kiedy hulają, jeżeli nie sami przez się, to przez obraz i sposób swojej hulanki... Miasto nocne było, jak jej dusza, pełne lęku, rozterki, o której nie wiadomo nic, po co jest i jaki ma cel. Najboleśniejsza z trosk, że cierpienie i rozterka nie posiadają żadnego celu, że są same dla siebie, że cierpienie nie ma nigdzie nagrody... Wieczny a nieopisany smutek ludu i wieczny jego ferwor, jakby ferwor głupiej maszyny stalowej... Nigdy nie dający się zapełnić ogromem pracy ogrom potrzeb... Owo wiekuiście to samo życie nędzarzy... Straszliwe głupstwo takiego życia... Ohydna brzydota prac i brzydota lic ludzkich, skażonych w pracy bydlęcej... W tych tłumach spostrzegała teraz siebie. Jedną z tłumu... Skoro samotna szła ulicami, doświadczała uczucia, którego nie można słowami wyrazić.

Czuła, gdyby tak powiedzieć, że jest przykuta do potwornego tłumu, a jest samą, lecz że w niej, w niej jednej, jest to całe wielkie miasto. Czuła, gdyby tak powiedzieć, że ona to jest z konieczności żywy głos niezmiernego zbiorowiska domów, ludzi, zamkniętych w tych domach, i ludzi, pędzących z ulic w ulice. Głos zamknięty w niej wiedział wszystką cyniczną prawdę i rozsadzał piersi, żeby się wyrwać. Lecz ona sama nie wiedziała — i nie mogła go wydać. Więc tylko samotne wzdychanie niemocy, wzdychanie za wszystkich tłoczyło piersi — i głęboki smutek, korona cierniowa — oplatał głowę.

Pewnego razu, gdy późną nocą zdążali do domu, Horst, po długiem milczeniu, rzekł:

— Czy nie chciałaby pani zapoznać się z panią Niepołomską?

— Z kim?

— Z panią Niepołomską.

— Nie rozumiem... Kto to... taki?

— Żona Łukasza Niepołomskiego, który mieszkał u państwa rok temu.

Ewa posępnie milczała. Rzekła wreszcie:

— Dlaczegóż to pan proponuje mi tę znajomość?

— Wydało mi się, że mogłaby pani dowiedzieć się czego o Niepołomskim od tej pani.

Ewa chciała zakrzyknąć nań, ale zamilkła, uległszy jakby zachłyśnięciu od tych słów Horsta. Szła, nie

wiedząc, że idzie, nie pamiętając, gdzie jest. Dawno już, dawno wytracała w sobie to nazwisko — Niepołomski. Nie chciała o niem nic wiedzieć, nie chciała o niem myśleć, podobnie, jak człowiek chory na suchoty nie chce wiedzieć o swem nieszczęściu, które z nim jest zawsze i wszędzie, utajone poza wszystkiemi jego myślami i poza każdem jego uczuciem.

Opanowawszy siłę wrażenia, mówiła do Horsta:

— Skądże to panu przyszło do głowy? Nie rozumiem doprawdy!

— Et... proszę pani. Wiem, co mówię i robię.

— Jakimże to sposobem pan się mógł zapoznać z żoną Niepołomskiego. To ciekawe.

— Jakim sposobem? Szukaliśmy tu przecież pani po całym świecie. Szukaliśmy śladu, cienia, poszlaki. Udało mi się przypadkiem posłyszeć o egzystencyi tej damy. Byłem u niej, myszkując, czy się czego nie dowiem o miejscu pobytu jej męża, bośmy przecież nie wiedzieli, gdzie on się podział. Już jeżeli Barnawska nie mogła trafić na ślad pani...

— Cóż to za kobieta?

— Tak... Kobieta, jak inne. Mieszka na ulicy Złotej, numer 40. Zechce pani, to ją odwiedzi, nie — to nie. Zresztą nie mówmy o tem, bo to panią denerwuje.

— Mnie nic nie denerwuje. Jestem spokojna i najzupełniej wesoła.

— Świetny stan. Ja również jestem zawsze, jak wiadomo, spokojny i najzupełniej wesoły. To też podoba mi się coraz bardziej ostatnie usposobienie pani.

Najzupełniej mi to jest obojętne, co się panu podoba.

— A naturalnie! Tak być powinno...

W najbliższą niedzielę około godziny pierwszej Ewa udała się na ulicę Złotą i weszła do bramy domu, oznaczonego numerem 40. Zatrzymała się przed listą lokatorów i czytała spokojnie. Ale oto oczy jej trafiły na nazwisko: Róża Niepołomska. Ewa doznała uczucia zdumienia i lęku na widok tego nazwiska. Było już tak daleko, a oto znowu zbliżyło się do niej to nazwisko. Przyczołgała się na górę zapomnienia i znowu stacza się do jaskini przeklętej. Stała bezradnie o oczyma, utkwionemi w listę lokatorów, i nie mogła poruszyć się z miejsca. Wicher gorący zahuczał dokoła głowy... Daleki grom zatrząsł posadami duszy. — Ocknęła się i poszła wprost na schody bocznej oficyny, pod numer, wskazany na liście lokatorów. Wkrótce stanęła przede drzwiami. Gdy miała nacisnąć krążek dzwonka, zastanowiła się, co ona tu robi, poco tu idzie. Co powie? Pierwszy popęd uczucia doradzał powiedzieć czystą prawdę. Rzucić tę prawdę pod nogi żonie Łukasza i doprowadzić ją do stanu drżenia, do stanu rozpaczliwej niemocy, zrównać jej stan ze swoim. Wtedyby można coś skorzystać, wyrwać w rozmowie, w kłótni, czy w bójce jakąś o nim wiadomość. Wyznać, kim się jest — to działać otwarcie, bez obmierzłych wykrętów i ohydnego milczenia.

Już podniosła rękę i już się dźwignęła ciałem

i duszą na stopień tego szafotu, gdy nagle znów się cofnęła.

Uczuła się, jak naga na placu. A jeśli nic się nie dowie? Pocóż mówić o sobie? Poco? Inna pobudka zawładnęła duszą, wykrętnie ubrała się w słowa Alfreda de Vigny: „*Seul le silence est grand et tout autre est faiblesse...*“ Więc wrócić się z tych schodów i cofnąć do izby swej na niedzielną nudę spoczynku?

Wszystkie wahania połknęła nagła ciekawość: jaka też ona jest? Byłaby ostatnią gęsią, gdyby jej powiedziała wszystko o sobie. Poco? — Przypatrzy się jej, przypatrzy tej towarzyszce w czekaniu na Łukasza Niepołomskiego, pośmieje się z niej wewnętrznie, odniesie tryumf, że ona to jej wydarła męża, i pójdzie z powrotem do domu.

— Otwórz, siostro, — wyszeptała ze śmiechem, opierając czoło na przybitym do drzwi bilecie wizytowym Róży Niepołomskiej. Podniosła ociężałą rękę. Zadzwoniła.

Dały się słyszeć kroki. Drzwi otwarto. Weszła. W ciemnym korytarzyku stała jakaś osoba. — Trudno ją było tam rozpoznać.

— Czy mam przed sobą panią Różę Niepołomską? — spytała Ewa.

— Tak jest. Czego sobie pani życzy?

— Chciałam prosić o chwilę rozmowy.

— Proszę uprzejmie.

Ewa weszła do dużego pokoju z alkową.—Okno wychodziło na ogrody. Było widno, jasno w tem mieszkaniu.

Ewa odwróciła się czemprędzej, żeby zobaczyć osobę, idącą za nią. Przez chwilę nie panowała nad gwałtownością swego wzroku. Stała przed nią kobieta jeszcze młoda i dosyć ładna.

Była to szczupła (nieco za szczupła) szatynka z rysami nadzwyczaj regularnymi, które jednak wkraczały w granice zbytniej ostrości. Wszystko w tej twarzy było prawidłowe, narysowane prostemi niejako liniami. Bardzo piękne, mądre, szerokie czoło miękko i miło otaczały włosy rozczesane w sposób oryginalny, a jakby z umyślnem dążeniem do postarzenia twarzy. Usta i równy, chrząstkowaty nos tworzyły spokojne, „greckie“ linie. Oczy były zimne, pełne rozumu i stanowczości. Przenikliwa siła skupiała się w blado-przezroczystych źrenicach, pełnych promieni światła. Pani Niepołomska przez chwilę cierpliwie i uprzejmie czekała na nazwisko Ewy, a nie mogąc się doczekać, z pewną stylową oziębłością wskazała jej ręką nizki fotel w środku pokoju. Ewa czuła dobrze, że należało przedstawić się, i myślała nad tem, co ma czynić. Miała nadzieję, że inną w tem miejscu zastanie kobietę. Od pierwszego wejrzenia poznała, że się zawiodła. Niespodzianie dla samej siebie rzekła:

— Przedewszystkiem... muszę pani powiedzieć swoje nazwisko...

— Pani nazwisko— to Pobratyńska. Panna... Ewa Pobratyńska...

— Czy pani mnie zna?

— Nie znam pani.

— Skądże?

— Domyśliłam się. Gdy pani tutaj weszła i spojrzała na mnie, pomyślałam sobie natychmiast, że to właśnie panią zgubił mój nieposkromiony małżonek.

— Z czegóż to pani wywnioskowała?

— Ze spojrzenia oczu.

— Nie wiedziałam, że moje oczy zdradzają tak karygodnie wszelkie tajemnice.

— Zdrady nasze rodzą nowych zdrajców w nas samych, w naszych rękach, oczach, ustach.

— Nie popełniłam zdrady względem nikogo. Chyba względem własnej duszy i względem wieczności. Może względem rodziny. Ale i rodzinie mojej nie przyrzekałam nic takiego, czegoby później...

Pani Niepołomska siedziała bez ruchu. Broda jej oparta była na dłoni, łokieć ręki na poręczy fotela. Patrzyła z dołu na Ewę swemi spokojnemi oczyma, które były blado-niebieskie, jak mgła daleka, a przejrzyste, niby woda górska. Niepochwytny dla wysłowienia wdzięk spokoju i rozumu widniał w jej całej postaci. Jednakże Ewa dostrzegła, że jej przeciwniczce krew zwolna uderza do głowy. Widziała, że krew ta nie zalewa policzków, tylko nieznacznie, stopniowo rozczerwienia uszy, rubinowemi liniami podkreśla dolne powieki, rozpala wargi. Ewa czuła niemal za tamtą i rozumiała, co się w tamtej dzieje. Było jej to przyjemne i zajmowało to przedewszystkiem, że ów urok spokoju łamie się i pęka pod uderzeniami wrażeń.

— Nerwy w niej grają... — myślała wobec samej siebie.

Chciała korzystać z tego stanu rozdrażnienia i po-

stanowiła podnieść go do potęgi. Spytała tedy ze skrajnie złym uśmieszkiem:

— Czy pani kocha jeszcze swego męża?

Róża Niepołomska nie odpowiedziała. Powieki jej zakryły zwolna oczy. Suchy, nerwowy kaszel zakrztusił ją na chwilę. Gdy znowu podniosła głowę, spytała cicho i grzecznie:

— Nie dowiedziałam się, czego pani właściwie życzy sobie ode mnie?

Ewa nie była przygotowana na to pytanie. Rozumiała, że grunt wysuwa się z pod jej stóp. Wypadnie iść, a nie dowiedziała się nic. Nic! Przez mgnienie oka myślała o tem, że teraz przyjdzie zstępować po ciemnych schodach, że się będzie wlokła ulicą, wróci do domu—tak samo nieszczęsna, tak samo zdeptana i podarta na strzępy. Straszny żal nagle wybuchł w piersi i stoczył się po sterczących głazach, po targających korzeniach w bezdenną wyrwę nicości. Siedziała sztucznie uśmiechnięta, poruszając w bezradnej ręce ściągniętą rękawiczkę, która jej się wydawała ciężką, jak sztaba żelaza. Nie miała siły wstać i nie miała tyle siły, żeby podnieść oczy. W wichrze uczuć, zozszarpujących serce, trzymała się oburącz jednego marzenia, żeby dowiedzieć się czegoś nowego o Łukaszu — i wyjść. Choć małą, choć drobną, na nic niezdatną pogłoskę, choć wiadomostkę, choć echo wieści... Usłyszała głos tamtej, który jej się wydał jakimś dalekim, odległym, przyciszonym:

— „Jak kwiat człowiek powstaje i skruszon bywa. Przemija, jako cień...“

Ewa podniosła zbolałe oczy. Smutny, aż do śmierci smutny wzrok utopiła w oczach przeciwniczki. Oczy Róży były szczere i prawdomówne bez granic. Uważnie i głęboko patrzyła w Ewę. Uśmiech, boleśniejszy od gorzkiego płaczu, stał na jej ustach.

— Tak, niegdyś, — mówiła, — miałam i ja chwile szczęścia. Wstałam i ja z domu moich rodziców, jak kwiat. Byłam człowiekiem dla samego siebie istniejącym, jak kwiat. Łukasz dostrzegł mię i ułamał, ażeby nosić przy piersi, pókim mu pachniała. Później spostrzegł, że dosyć. Wszyscy, kogo kochałam, pomarli. Rodzice, brat. Zostałam sama z nim. Gdy mię chciał rzucić na ziemię, broniłam się zapamiętale. Pani to zresztą musi wiedzieć lepiej ode mnie, bo nie byłam w stanie wszystkiego złego zapamiętać, którem, z podziwieniem ludzi, tworzyła. Dopiero później przypomniałam sobie. Musiał pani mówić, bo lubi o mnie mówić źle, jak najgorzej. A pani przecież była teraz najbliższą jego sercu... Nowym jego kwiatem...

— Tak, mówił mi o pani.

— Więc wciąż mówi źle? — spytała Róża z uśmiechem nader dziwnym dla Ewy.

— Istotnie... mówił źle.

— Już mię to dzisiaj nie boli. Już to nie wpływa na mój spokój, ani na sposób mówienia o nim. I tego spokoju nie wyrzeknę się już za nic!

— Nie kocha pani Łukasza? — spytała Ewa powtórnie, cicho, nachylając się ku niej.

Róża spojrzała ociężale. Płomień szczególnej namiętności błysnął w jej oczach. Nierychło odrzekła:

— Nie może pani widocznie zrozumieć mię. Zadawałam istotnie Łukaszowi rany ciężkie, ciosy wszelkiego rodzaju. Walczyłam z nim bez wyboru broni, a to w tym celu, żeby mię kochał, jak wówczas, gdy byłam jego narzeczoną. Dochodziłam w tej walce do granic zemsty. Wszystko to było.

— Mówił mi o tem.

— Aż jednego dnia ujrzałam, pomimo i wbrew woli, wszystkie rany jego duszy, które mu zadałam, i wszystkie jeszcze niewykonane zamachy moje na niego. Zadrżałam ze zgrozy.

— Już go pani nie kocha?

— Cóż mam powiedzieć? Od tego momentu już nie knuję nic złego przeciwko niemu. Może pani teraz łatwiej zoryentuje się, że nie mogę odpowiedzieć na pytanie, czy go kocham.

— Przebaczyła mu pani, że panią opuścił?

— Nie wiem tego. Czyż ja to mogę dziś wiedzieć?

Wyrzekłszy te słowa, Róża po namyśle wstała i z wdziękiem wydobyła z szuflady starożytnego biureczka dziwnie piękny safianowy portfel, w którego środku była oprawiona fotografia Łukasza z lat dawnych. Fotografia była urocza, pigmet włoski bez retuszu. Łukasz na nim był uśmiechnięty złośliwie, ale porywająco, mądrze, głęboko. Oczy jego patrzyły, jak żywe. Zarost był inny, włosy wzburzone.

Ewa przywarła oczyma... Róża usiadła na swem miejscu, nie wypuszczając z rąk fotografii. Siedziały obok siebie, stykając się niemal ramionami, zapatrzone w wizerunek Łukasza. Źrenice ich zaszły łzami. W oddali huczało miasto, czas leciał... One nie wiedziały, że upływa. Róża rzekła cicho:

— Teraz wydaje mi się już nie tylko we śnie, ale często na jawie, że go kiedyś spotkam nieskończenie stąd daleko. Wtedy on ujrzy moje przemienienie i zobaczy rany, które w gniewie i zemście zadał mojej duszy. Wówczas ujrzę go takim, jak tu, na tej fotografii... takim samym, jak był wówczas. Staniemy się znowu równi sobie, podobni do siebie, oczyszczeni z brudów, które nas pokryły. Pozdrowimy się wtedy, jak za wiosennych dni naszej młodości.

— Ale jak przyszła ta zmiana? Jakim sposobem tak nagle? — pytała Ewa z doskonale utajoną nienawiścią.

— Znużyło mię złe. Znudziło mię do cna, jak fetor. Obmierzło mi wszystko, com robiła. Wtedy to wynikła konieczność wycofania się z tej matni. Zarazem ukazało się ślepym oczom moim, pomimo mej chęci i woli, to, 'co mię już nie zawiedzie nigdy, co mię już nie oszuka i nie okłamie.

— Jakże w sobie znaleźć taką skłonność?

— Nie wiem, pani. Trzeba jakoś dojrzeć do tego, żeby uczuć nadzwyczajną rozkosz w pohamowaniu swych żądz.

— Tędy cię wiedli... — pomyślała Ewa. — Bardzo to mądrze ukartowane.

Róża mówiła dalej z błyszczącemi oczyma, choć cała jej postać nie zatracała spokoju:

— Trzeba znaleźć w sobie przyjemność zrzeczenia się swych nałogów cielesnych, pogardzenia nimi.

Wtedy już łatwiej dostać się do kraju jasności, jakby się w mozole i upałach przeszło łańcuch gór, przełęcz strzelistą, gdzie się zdobywa każdy kamień i każdy krok okupuje bezmiernym wysiłkiem. Od tej chwili poskromienia siebie i zobaczenia oczyma ran Łukasza ja przynajmniej weszłam do doliny spokoju, dostałam się na jasną łączkę, która doprawdy jest początkiem wieczności. Sądzę, że uczucia, które tam ożywiać nas będą, takie są właśnie. Teraz widzę, że byłam chora, a mogłam przecie w tym samym czasie być zdrowa. Moje wyzdrowienie dokonało się bez mojej woli i żadnej w tem mojej niema zasługi, jak bez mojej zasługi istnieją kwietne doliny i liściaste lasy na południowej stronie Tatr, a straszliwe głazy i rozwarte przepaście na ich szczytach.

Chwilę milczała a później rzekła, uśmiechając się czarownie:

— Jednej jeszcze tylko rzeczy pragnę gorąco. Oto spotkać Łukasza i wszystko, com mu zrobiła złego, wyznać. Jego wszystkie rany założyć tą cudną pajęczyną, co snuje się u nas w jesieni nad złotemi rżyskami...

Ewa słuchała. Jej powieki były przymknięte. Do serca nie trafiały te łagodne słowa. Zamknęła je wszystkie w jeden wyraz — „deklamacya“ — i odrzuciła od siebie.

Biedziła się nad tem, jak zadać pytanie o Łukaszu, jakiego użyć wybiegu, żeby się czegokolwiek dowiedzieć. Ach, — i gdybyż jej wyrwać z rąk tę fotografię! Rzekła, nie podnosząc oczu:

— To wszystko stosuje się do pani. To wszystko charakteryzuje piękną duszę pani. Ale mnie chodzi o jedno: jaki jest stosunek pani do Łukasza! To w danej chwili interesuje mię najbardziej. Jeżeli Łukasz nie jest już dla pani tem, czem był dawniej...

— Któż to powiedział?

— Pani sama!

— Bynajmniej!

— Ach, ciągle w koło... Jest to przecie pewnik niezbity, że nie chciała pani zgodzić się na rozwód i że ten upór był źródłem wszystkich nieszczęść. Cóż z tego, że pani doskonali swą duszę, skoro zgody na rozwód dotąd niema...

Ewa mówiła to już w sposób gwałtowny i posępny. Teraz w pamięci jej poczęły ukazywać się cierpienia, a nadewszystko konieczność wyjazdu przymusowego do Rzymu, wyjazdu wtedy!... Złowieszcze iskry błyskały w jej oczach. Róża Niepołomska siedziała na swym fotelu, oczy mając wbite w ziemię. Po długim, głębokim namyśle mówiła z bolesnym uśmiechem na ustach:

— Nikt teraz... nie zwracał się do mnie z tem żądaniem.

— Bo rezultat wiadomy!

— Kto wie, jakby dziś wypadł rezultat... Mojaby to dziś była rzecz powiedzieć tak, lub nie. Ale i ja jestem człowiekiem. Należy mówić do mnie, jak do człowieka.

Ewa ciągnęła swoje:

— Czy Łukasz obchodzi panią jeszcze do tego stopnia, żeby go pani mogła ratować?

— Ratować? Z czego ratować?

— No, z jego teraźniejszego nieszczęścia.

— A cóż się stało Łukaszowi?

— Żeby go wydobyć z tego więzienia! Może pani ma jakie środki, znajomości, stosunki?

— Z więzienia? Łukasz jest w więzieniu? Gdzie?

— Nie wie pani tego! W Rzymie!

— W Rzymie...—szeptała Róża blada, jak śnieg, wstając ze swego miejsca i nachylając się nad Ewą, jakby chciała utaić przed światem to, co szepnie:

— Cóż on zrobił takiego?

— Kradł.

— Łukasz... kradł? — szeptała wciąż Róża.

Twarz jej była śmiertelnie blada, krople potu oblały czoło. Ręce jej poczęły drżeć. Oczy utonęły we łzach. Równa, spokojna, delikatna twarz złamała się od boleści, jakby ją nagła siła nieszczęścia spoliczkowała strasznemi rękoma. Bez sił, szlochając, upadła na swój fotel i zasłoniła twarz dłońmi. Ewa dopięła swego: pogrążyła przeciwniczkę w stan podobny do swego. Nadto powzięła pewność, że Róża o Łukaszu nic jej powiedzieć nie może. Obejmowała okiem nagość jej ramion, bioder, piersi, nóg — i myślała:

— Chuda... Chociaż takie miewają czasem ładne uda i są namiętne. Nie! Już do niej po mnie nie wróci. Po mnie nie wróci!..

Patrzyła jeszcze przez czas pewien z żalem i dziwną radością na dłonie i łokcie tamtej, wciąż drżące od płaczu. Później, rozglądając się po pokoju, spostrzegła portfel z fotografią, leżący na dywanie. Schyliła się, podniosła i niezdecydowanie zatrzymała go w dłoni. Wstała ze swego miejsca, ziewnęła od wewnętrznego zimna... Gdy Róża nie przestawała płakać, rzekła cichym głosem:

— Żegnam panią... Już muszę iść...

Nie otrzymała odpowiedzi, więc poszła ku drzwiom, radując się za każdym krokiem niebiańsko, w głębi serca, wskutek wciąż dochodzącego odgłosu płaczu i płacząc sama. W milczeniu, przyciskając do serca fotografię, zstępowała ze schodów.

Pewnego dnia, zatopiona w myślach, spostrzegła, że ktoś jej się pilnie przygląda. Czuła na sobie wzrok nieprzyjemny. Mężczyźni patrzyli na nią ciągle z wiadomym jej wyrazem. Teraz jednak odczuwała na sobie wzrok nieznośny. Podniosła od niechcenia oczy i ze drżeniem spuściła je na swą kasę maszynową. Przy kontuarze, zastawionym pudłami cukrów, stał hrabia Szczerbic. W kapeluszu i paltocie wybierał pomadki, wskazując je rączką laski,—a jednocześnie rzucał przeszywające spojrzenia w stronę Ewy. Gdy mu pakowano nabyte słodycze w duże pudło, od niechcenia odwrócił się tyłem do kontuaru i bez przerwy patrzał w stronę kasy. Po chwili, gdy mu subjekt z eleganckim ukłonem wręczał pakę, obwiązaną kolorowemi bibułkami, młody pan zbliżył się do kasy, trzymając między palcami kartkę z sumą należności. Ewa ujęła kartkę i poczęła

układać srebrne pieniądze reszty na miękiej ceratce. Twarz jej była spokojna, ruchy rąk zdecydowane, ale serce łomotało w piersiach i nogi skostniały. Szczerbic powolnymi ruchy zbierał drobne monety i chował do portmonetki. Czynił to najwidoczniej dłużej, niż należało, Ewa podniosła oczy na jego twarz, zdobywając się wszystkiemi siłami ciała na spokój. Młody hrabia patrzył na nią z pod oka. Dostrzegłszy jej oczy wzniesione, nieznacznie uchylił kapelusza — i wyszedł.

Tej nocy Ewa źle spała. Człowiek ów z jej najgorszych momentów życia stawał przed oczyma, jak upiór, budził ją z pół-snu, nachylał się i składał straszny swój ukłon. Bała go się w nocy. Rano ów lęk rozwiał się, ale został nieokreślony niepokój, bojaźń, wzmogła się podejrzliwość. Żyd właściciel znowu począł snuć się w myślach, a nawet w oczach...

Około godziny trzeciej z południa, gdy w kawiarni najmniej było osób, znowu wszedł hr. Szczerbic. Widać było po jego sposobie zachowania się, że w kawiarniach nie bywa. Szukał przez chwilę miejsca, zmieniał je, wreszcie usiadł w taki sposób, że twarzą zwrócony był do Ewy. Nie zdjął ubrania. Jego lekkie, drogie, karakułowe futerko i kapelusz zwracały uwagę nawet w tej pierwszorzędnej cukierni. Kazał podać sobie kieliszek wina i „Times“. Gdy po raz pierwszy podniósł do ust kieliszek, skierował oczy w stronę Ewy i, spotkawszy się z jej spojrzeniem, znowu złożył jej lekki i szybki ukłon. Ona odpowiedziała obojętnem i dość niedbałem skinieniem. Teraz nie lękała się już tak bardzo. Owszem—było jej troszeczkę przyjemnie,

że ten śliczny i wykwintny pan, na którego zwracały się oczy wszystkich, zarówno kelnerów, jak gości, poznał ją i pozdrowił.

Następnego dnia, wieczorem, podczas największego natłoku osób, Szczerbic znowu przyszedł do kawiarni. Tym razem krótko bawił. Wychodząc, zbliżył się do kantorka Ewy i rzekł do niej półgłosem:

— Nie jestem pewny, czy pani przypomina mnie sobie...

Uśmiechnęła się i z nieporównanym wdziękiem podniosła głowę. Szczerbic mówił szybko:

— Pragnąłbym z panią porozmawiać o niektórych ważnych rzeczach, które pani dotyczą. Kiedy się kończy to zajęcie?

— Wieczorem.

— Późno?

— Tak, późno.

— Nie chciałbym, żeby pani z mego powodu uległa przykrym posądzeniom... Czy nie mógłbym którego dnia widzieć się z panią?

— Tylko w niedzielę mam czas wolny.

— A... więc w niedzielę.

Ktoś z płacących przerwał rozmowę. Hrabia odszedł na drugi koniec sali do szafy z gazetami i jedno z pism czytał dosyć długo, jakby dla dania Ewie chwili czasu do namysłu. Gdy miał wychodzić, a właśnie przy kasie nikogo nie było, zapytał:

— Może pani będzie w kościele świętego Aleksandra przed godziną dwunastą w niedzielę? O dwu-

nastej będę przed kościołem. Moglibyśmy, idąc Alejami, rozmawiać swobodnie. Czy dobrze?

— Dobrze... — rzekła z pośpiechem, żeby tylko odszedł i nie narażał jej na pytające, jadowite, podejrzliwe, szpiegowskie spojrzenia Horsta.

W niedzielę ubrała się w najlepszą swą, czarną suknię, włożyła paletko, sięgające ledwie do pasa, jedyny dawny zabytek zeszłorocznych elegancyi, — na głowę czarny kapelusz, otoczony grubą, jakby żałobną wualką, czarne rękawiczki. Blada jej twarz, prześliczne, smutne oczy z za tej czarnej zasłony przeglądały niewymownie. O dwunastej, wyszedłszy z kościoła, zobaczyła Szczerbica, idącego chodnikiem. Gdy wysunęła się z tłumu i podeszła do niego, ledwie ją poznał. Długo, krocząc obok niej, nie odrywał oczu od jej wysmukłej, czarnej postaci. Był to jeden z ostatnich dni lutego, dzień wyjątkowo słoneczny. Bryły i skiby śniegów spadały z dachów na chodniki, woda huczała w rynnach. Wróble radośnie szczebiotały, nastroszywszy pierze, po żelaznych sztachetach i w nagich gałęziach drzew. Ewa czuła, że Szczerbic jest nią zachwycony. Było jej to przyjemne. Szła okok niego dużymi, „modnymi" krokami z wdziękiem nienaśladowanym. Gdy osób było mniej na trotuarze, powiedziała:

— Cóż to pan hrabia miał mi zakomunikować?

— Przedewszystkiem muszę pani zrobić wymówkę za to, że mię pani nie zawiadomiła o zamiarze... o zmianie miejsca pobytu... o wyborze zajęcia. Jestem przecież opiekunem pani.

— Pan? Moim opiekunem?

— Doprawdy tak jest, tak jest!

— Nie wiedziałam.

— Ale teraz będzie to pani brała pod uwagę?

— Muszę t oszeczkę pomyśleć, muszę pomedytować, jak to jest. Wracając do rzeczy... Proszę powiedzieć, co pan hrabia chciał mi zakomunikować?

— Tak. Mam dla pani wiadomość. Czy mogę mówić otwarcie?

— Tak — tak... Ale... z oględnością...

— Chcę tylko zapytać o to, czy pani wciąż... To jest... czy pani chce wiedzieć, co się dzieje?

— Chcę wiedzieć! — mówiła Ewa gwałtownie, idąc coraz szybciej.

— Pisał do mnie znowu, po raz drugi, mój przyjaciel o Niepołomskim.

— Cóż pisał?

— On jeszcze nie jest na wolności, ale jest już osądzony. Odsiaduje teraz karę więzienia... — mówił Szczerbic szybko, ze zrozumieniem duszy słuchaczki, jakby ze siebie wyrzucał te szczegóły.

— Panie! — rzekła Ewa z gwałtownym wybuchem, — zaklinam pana, niech mi pan powie całą prawdę.

— Daję słowo honoru szlachcica, że mówię prawdę.

— Więc owo więzienie i... te wszystkie sprawy nie są wymysłem?

— Czyim wymysłem?

— Ach! moim wymysłem...

— Rozumiem... rozumiem... Nie, nie są wymysłem.

Doszła pani tedy do takich słupów granicznych. Biedna pani, nieszczęśliwa pani...

— Nie jestem wcale biedna! Jestem, jak pan widzi, tylko nizko podejrzliwa i bardzo podła.

— Och, ordynarne wyrazy—na oznaczenie uczuć cennych.

— Cóż jest w tym drugim liście?

— Nic ciekawego. Są pytania o panią. Na te nie mogłem odpowiedzieć wcześniej, bo tam, gdzie pani mieszkała, powiedziano mi...

— Pan tam był? — spytała Ewa, czując, że się pod nią nogi zginają, a straszny wstyd bucha do głowy krwawemi falami.

— Niech się pani uspokoi... Żadnych obaw! — mówił Szczerbic cicho, jakoś sennie, dobrotliwie. — Wiem tylko ja jeden. Temu żydkowi zapłaciłem...

— Zapłacił pan? — jęknęła.

— ...I zagroziłem, że go zniszczę, zmiażdżę, gdyby pisnął.

— O czem? — mamlała, dygocąc na całem ciele.

— O jakichś tam, o jakichś tam... pewnych... długach, należnościach...

Odetchnęła lżej, lecz szła bez sił.

— Zrobiłem pani przykrość, wspominając... Ale sądziłem, że to pocieszy.

— Po co się pan w to mieszał! Po co? Po co? — bełkotała wciąż, czując, że jej włosy powstają na głowie, a zęby szczękają z przerażenia. Nagle olśniła ją okropna myśl, że teraz żyd może do niej odnaleźć przez tego Szczerbica drogę, że ją chwyci, skoro się tylko zbrodnia wykryje. A nadto—toć ona teraz jest w mocy tego Szczerbica. — Ogarnął ją szał tak straszliwy, że o mało nie rzuciła się na ziemię, żeby ze siebie rwać suknie, targać włosy i krzyczeć, co tchu w piersiach. Oto była już spokojna, miała dach nad głową, miała pracę, żyła po ludzku. Mściwy los zesłał na nią tego człowieka i wszystko runęło w dawne bagno.

— Pani Ewo... — mówił Szczerbic głosem łagodnym i coraz bardziej miłościwym — wiem, że zrobiłem pani wielką przykrość, wspominając o tych sprawach. Ale musiałem to powiedzieć, żeby wszystko wyświetlić! Tylko tym sposobem pani się uspokoi. Wiem to aż nadto, że słyszeć odemnie, człowieka obcego... Ale ja pojąłem... Była pani w okropnem położeniu...

— Niech pan już do mnie o tem, przez litość, nie mówi!

— Nie będzie już o tem nikt mówił na tym świecie! Jedno słowo z ust ludzkich już o tem nie wyjdzie! Przysięgam pani! Teraz pomówmy, czemu pani przyjęła miejsce kasyerki?

— Nie mogę mówić o takich drobiazgach.

— Nie jest to drobiazg.

— Gdyby pan wiedział wszystko!

— Była pani w okropnem położeniu. Ale dlaczego było nie zwrócić się do mnie?

— Nie mogłam. Niech pan tylko zechce sobie wszystko uprzytomnić...

— No, tak. Skończmy!

Byli przy bramie, prowadzącej do Łazienek. Weszli tam.

Ale ziemia pokryta była tającym śniegiem i rozmiękła głęboko. Musieli wrócić. W odległości kilkunastu kroków od tego miejsca stał szereg dorożek. Szczerbic wahał się przez chwilę, a wreszcie zdecydował się na propozycyę:

— Gdyby pani nie obraziła się na mnie, tobym poprosił, żeby wsiąść do dorożki i przejechać się po Łazienkach. Czas śliczny, a chodzić niepodobna.

Ewa była zmęczona, jakby przeszła kilka mil drogi. Nie mogła już iść. Zgodziła się, nie myśląc wcale o tem, co robi. Wsiedli do jednokonnego powozu z nastawioną budą i wolno zjechali w pustą zupełnie ulicę parku. Czarne, obmokłe drzewa, niezliczona ilość gałęzi, prętów i czarnych witek, rózg chwiejnych i polotnych zaściełała widnokrąg. Ewa siedziała w rogu powozu, patrząc przed siebie szklanemi oczyma. Nozdrza jej były wytężone od trudnego oddechu, ręce bezwładnie leżały na kolanach. Szczerbic patrzał na nią bez przerwy, nie mogąc nasycić oczu jej pięknością bez granic. Pukle jasnych, jasno-złotych włosów, wykwitające w tyle głowy z pod ronda czarnego kapelusza, z pod węzła czarnej wualki, rysy prześlicznej twarzy jakby pochłonięte przez cienie zasłony, postać urocza tak blizka niego, a tak nieskończenie daleka... Doświadczył uczucia niewymownego smutku z prostej racyi istnienia doskonałej piękności, którą miał tuż obok siebie. Zachwyt wzmagał się i już nie palił, lecz gorzał w sercu, jak roztopiony ołów.

Szaleństwo, tajny szatan, popychało do jakiegoś niewiadomego kroku. Rzucić się do jej kolan! Dotknąć ustami jej czarnej sukni, leżącej bez ruchu nadobnemi liniami!

Wyżebrać jedno muśnięcie po twarzy przez jej ręce, przez te cudze, obce, zaprzedane ręce o wązkich dłoniach i palcach z niczem co do piękności nie dających się zrównać! Szczęście bez granic i rozpacz szarpiąca szamotały się w piersiach, szlochając i wyjąc. Łzy, jak gdyby bryzgi zdziczałej wody morskiej, wpadały do gardła i paliły ogniem goryczy.

Jakże się rozstać z myślą o niej! Czyż podobna odwrócić oczy i odejść? Czyż jest na ziemi cośkolwiek poza nią? Ach, niema nic! A trzeba było zrozumieć, że ona to właśnie jest cudzą własnością, cudzą kochanką, cudzą metresą, cudzą dziewką do nocnych uciech! Ta!.. Ona!.. Bogini Diana, nieśmiertelna!... Promienistość słoneczna, zamknięta w kształt kobiecy... Trzeba to było zrozumieć.

Szczerbic milczał.

Chciał odnaleźć w niej coś wstrętnego, cechę gminności, prostactwa, chamstwa, coś, coby mogło zmierzić, coś, coby się dało rozdąć, rozwinąć w przypomnienie... Szukał.

Ale, jakby na przekór, wysuwała się sama przecudność.

A nadto — poza nią, poza fizyczną pięknością, jak za przeczystem szkłem, ukazywała się niepostrzeżenie rozkosz kobiecości, nieznana, głęboka, czuła dusza—niezmierna władza ugłaskań, spieszczeń, złagodzeń wszystkiego, co jest w tem życiu smutkiem i niedolą. Oto zobaczył teraz, czem może być ta kobieta...

zakochana. Uczuł, jak to ona otaczać musi umiłowaną duszę atmosferą blasku, zapachu, uśmiechów...

Ale to ona właśnie jest kochanką owego draba...

Chwytały go teraz, nieznane dotychczas drgawki w piersiach, ruch fizyczny i kłańcanie paszczy nienasyconej. W oczach straszliwe, krwawe obrazy. Obrazy, co wloką za włosy aż na brzeg i spychają, strącają z tarpejskiej skały...

Postanowił mówić obojętnie, z przyjaźnią. — Nie dać poznać ani cienia, jak na szlachcica przystało. Wystąpi w jej i Łukasza interesie, złoży dowody jak najoczywistszej opieki nad ich miłością. Tak. Znaj pana!

Nie mógł jednakże otworzyć ust. Więc milczał.

Oczy jego stężały w nieruchomem zachwyceniu. Nie mogły się teraz oderwać od profilu głowy, przepysznie, jakby z orlą dumą osadzonej na ramionach, od rozwarcia bark, w którem osiadło niezwalczone piękno kobiecego kształtu. Od ruchu powozu promienie włosów poprzemykały się z pod ronda to tu to tam, napełniły wzrok i mózg widzeniem złotem. A gdy tak milczał w dziwnem zaklęciu, śniło mu się na jawie, że jest dzieckiem ledwie podrosłem, które patrzy na jakieś prześliczne jezioro w Alpach — może na Klöntalersee, a może na Grimsel...

Od chwili do chwili przemykał nieznośny wstyd, że to on, Szczerbic, ulega czarowi tej... kasyerki z cukierni, która z innym miała dziecko nieprawe! Były sekundy, że usiłował wyskoczyć z powozu i pójść precz od tej romansowej donny. — Dać jej pieniędzy, wyrzucić z dryndy i wyrzucić z myśli wiadomość o jej

istnieniu. Nieruchome, zastygłe oczy nie mogły odejść. Bezsilne usta wyrzekły z dobrocią:

— Czy się pani już uspokoiła?

— O, już.

— To możebyśmy wspólnie rozpatrzyli pewien projekt?

— Proszę pana hrabiego...

— Nie trzeba tego tytułu.

— Przepraszam, jeżeli panu to sprawiło przykrość.

— Krótko powiem. Obecnie mam zamiar wyjechać na Rivierę. Bardzo być może, że wypadnie mi być w Rzymie.

— Ach, mój panie!...

— Chce pani, żebym się widział z Niepołomskim? Dobrze. Daję pani słowo, że się z nim zobaczę, wszystko powiem, co pani każe, oddam mu listy...

Ewa pod wpływem nagłego impulsu, pochyliła się, chwyciła rękę Szczerbica, przycisnęła ją do ust, zanim zdążył zrozumieć, co to się dzieje. Po jej twarzy płynęły ciche, obfite łzy. Płakała tak długo, długo, niepowstrzymanie, zagryzając ze wszech sił drżące wargi. Powóz przebył długą aleję, wyminął domek z posągami dwu półnagich bogiń. Widziała przez łzy — drzewa, posągi, dach domu, ale gdzie jest, dokąd jedzie, nic nie widziała.

Poczęła mówić, jak dziecko spłakane, które we łzach ulgę odnalazło:

— Jaki pan dobry! Jaki szlachetny, szlachetny! Gdybym ja stąd uciec mogła, pojechać tam, do Rzymu!

Czemu ja głupia nie pojechałam? No głód, to głód, robiłabym wszystko, wszystko! — Gdybym mogła otoczyć go opieką, zasłonić sobą świat przed jego wykłutemi oczyma, jak to już zrobiłam, gdy go pan kulą prześtrzelił...

Szczerbic miał teraz oczy przymrużone i skierowane na plecy dorożkarza. Coś kombinował, czy liczył.

— Proszę pani — rzekł niespodzianie, z oczyma błyszczącemi, jak brylanty — jeśli sobie tylko pani życzy... Niech pani jedzie do Rzymu! — wyszeptał gwałtownie.

Roześmiała się dobrotliwie. Wydał jej się arcyzabawnym ze swą nieznajomością życia.

— Mówię poważnie — nastawał hrabia. — Jeżeli takie jest życzenie pani, to niech je pani wykona. Jest to obowiązek!

— Ależ za co? Moją pensyę prawie w całości zabiera lichwiarka, od której pożyczyłam pieniędzy. Resztę biorą rodzice. Te suknie, co mam na sobie, biorę na kredyt za poręczeniem lichwiarki Barnawskiej. A muszę się ubierać przyzwoicie, bo to należy do mego fachu.

— Wszystko to — lichwiarka, rodzice, cukiernia — wszystko to nic nie znaczy.

— Dla pana — tak, ale dla mnie!

Szczerbic uczynił znak ręką, że nie chce mówić przy dorożkarzu. Jednocześnie zawołał na tego woźnicę, żeby stanął. Zaproponował Ewie chwilę przechadzki w oddalonej części parku, nad wodami łazienkowskiemi.

Dorożkarzowi kazał zaczekać. Wśród drzew leżał lód na szerokich drożynach. Szli ostrożnie. Gdy byli daleko od powozu, Szczerbic zaczął mówić z żywością:

— Pani Ewo! Przysięgam na mój honor, że w tem, co zaproponuję, nie mam żadnego wyrachowania, że nie knuję żadnego zamachu na panią, że nic złego nie mam na myśli. Jestem winien wobec Łukasza Niepołomskiego, a nadto... a zresztą... Tak się wszystko złożyło! Otóż proszę — niech pani jedzie do Rzymu i zostanie tam aż do chwili uwolnienia narzeczonego z więzienia. Ja wszystko zapłacę.

— Nie! — krzyknęła, spoglądając na niego zpodełba oczyma, które przez mgnienie złowrogo zaświeciły.

— Jeszcze nie powiedziałem. Zapłacę długi, które pani ma, uwolnię panią z więzów i pożyczę tyle, ile będzie trzeba na drogę i na przeżycie w Rzymie. Gdy pan Niepołomski skończy karę i zacznie pracować, oddacie mi wszystko.

— Wzięłam od pana kilkadziesiąt rubli... — Ale wówczas... Byłam bez sił. Teraz mogę robić. Nie jestem jeszcze tak podła, żebym się miała sprzedawać.

Szczerbic śmiał się, idąc o krok za nią (gdyż szła szybko i wyprzedzała go).

— Lepiej jest zginąć w tem jarzmie i dać się jarzmu zadusić, niż je potrzaskać na kawałki i wyjść na wolnego człowieka. Cóż ja pani proponuję? Używa pani wyrazów...

— Już ja wiem, co mówię.

— Nie, pani się myli. W stosunku do mnie... Na

początku tej rozmowy powiedziałem: daję słowo honoru, że nie knuję podstępu. Pani na to nie raczyła zwrócić uwagi...

— Czy pan się mną interesuje tylko ze względu na Łukasza? Czy nic innego? niech pan da na to słowo honoru!

— Nie, na to nie dam słowa honoru!—krzyknął wyniośle. — Są i inne względy. Piękność pani powinna zasiadać na tronie, nie wśród kelnerów i lowelasów modnego szynku. Myślę sobie, że dobrze czynię, wydobywając panią z tego odmętu pospolitości. W zysku, wyznaję, miałbym to szczęście, że mógłbym... z oddali patrzeć na panią, czasem rozmawiać, myśleć, że jestem czemś... że jestem...

Spojrzała na niego z podziwem. Ujrzała oczy jego napełnione mgłą. Cicho wyszeptała:

— Nie mówmy już o tem... Proszę pana!

— Pojechalibyśmy, jeśliby była taka wola pani, w jednym pociągu, ale w osobnych wagonach. Stawalibyśmy w innych hotelach. Moglibyśmy wcale nie rozmawiać ze sobą, jeśliby taka była... wola pani. W Rzymie moja rola byłaby taka, żeby pani ułatwić widzenie się z mężem i wyrobić pozwolenie na częste odwiedzanie go. Najęłaby sobie pani mieszkanie, z łatwością znalazła pracę...

— A pan?

— Ja nazajutrz, po załatwieniu spraw pani, pojadę na Rivierę. I więcej pani dręczyć nie będę.

— Tak. To cudowny projekt!

— Ów mój natychmiastowy wyjazd z Rzymu?

— Nie.

— Więc co?

— Nie wiem! Nie wiem! A tutaj... Moi rodzice, cały mój kochany, cacany świateczek, któryby mię po powrocie godnie przywitał. Jakbym spaliła siedmnaście wsi!...

— No więc?

— Powiedzą, żem z panem pojechała zagranicę i że pan mię poprostu...

— Woli pani „dobrą opinię“ w swoim świateczku, niż wyzwolenie duszy Łukasza i swojej z kajdan? Ja pani mówię jeszcze raz: oddacie mi wszystko, gdy będziecie mogli! On może zarabiać gdziekolwiek — we Francyi, w Niemczech — byle nie w Austryi... — dodał z niemiłym uśmiechem.

— Jego żona zgadza się na rozwód... — szeptała Ewa w zamyśleniu, na wpół do Szczerbica, na wpół do siebie, cicho, jak głęboką tajemnicę. — Mogłabym mu zawieźć dar — własną jej ręką wystawione żądanie rozwodu. Moglibyśmy wziąć tam ślub. O, Boże mój! Boże mój! Po co mi pan to wszystko ukazał? Co ja teraz, nieszczęsna, pocznę? Jakie ja teraz będę miała noce!

— Cóż panią wstrzymuje?

— Ojciec.

— A ojciec pani czem się trudni?

— Mój ojciec...—rzekła z błędnym uśmiechem...— szuka zawsze posady. Jest to moje jedyne, kochane, najmilsze, niewinne, bezradne dziecko. Stary malec... Jeżeli go i teraz rzucę, to już z kretesem zginie. Och —

już wtedy zginie! Ma długi, a właśnie znowu stracił posadę.

Szczerbic skrzywił się nieznacznie i w milczeniu począł zapalać papierosa.

— Widzi pani, taka jest na to rada. Obecnie wielebym dać nie mógł, ale, naprzykład, spłaci się długi ojcowskie i to zaraz, jeśli, dajmy na to, nie przekraczają tysiąca rubli. Po powrocie z zagranicy mogę wyrobić ojcu pani posadę — synekurkę. Pani mi w drodze zagranicę wyjaśni, co staruszek mógłby robić.

Ewa szła naprzód zamyślona, zasłuchana, machinalnie przytakując głową.

— Więc tak — mówił Szczerbic, kończąc palić papierosa — wynotuje pani długi swoje i ojcowskie. Nadmienię, że wolałbym, aby te długi nie przekraczały na ogół tysiąca rubli. Mam teraz do rozporządzenia pewną sumę i wolałbym ją zaoszczędzić na sprawy zagraniczne. Widzi pani — jestem jej mości do usług ministrem spraw wewnętrznych, zagranicznych, a nadto finansów. Kiedy moją monarchinię zobaczę?

— Nie wiem. Kiedy?

— We czwartek.

— We czwartek. A o której godzinie? — pytała półsennie, patrząc weń wielkiemi, oszołomionemi oczyma.

— Gdyby pani mogła przyjść o godzinie dwunastej w południe na wystawę obrazów. Dobrze?

— Doskonale. Właśnie mam wtedy chwilę wolną i to niedaleko od mej budy.

— Będziemy się krótko widzieć. Przyniesie mi

pani następujące dane: ile mam dać pieniędzy na spłacenie długów natychmiast — i — kiedy wyjeżdżamy?

— Kiedy wyjeżdżamy... — powtórzyła głosem przerażenia.

— Niech pani zachowuje zupełny spokój. Dla niepoznaki — owszem, niech pani będzie w wesołem usposobieniu. Przecie pani pojedzie do narzeczonego! Nasz wyjazd musi nastąpić przed pierwszym marca. Droga na Wiedeń, Pontebbę i Wenecyę.

Wracali ku dorożce. Szczerbic miał twarz rozpromienioną i wesołą. Ewa posuwała się krok za krokiem, poślizgując się na lodzie. Gdy stanęli przy stopniu powozowym, młody hrabia rzekł:

— Niech pani teraz sama powróci do domu. Ja tu zostanę.

— Ale pan przemoczył sobie obuwie.

— To nic. Jestem przyzwyczajony.

— Cóż pan tu będzie robił sam, w tej alei? — spytała naiwnie, siedząc już w powozie.

Szczerbic uśmiechnął się gorzko. Wskazał poza sobą ślady bucików Ewy i rzekł po francusku:

— Będę tutaj przypatrywał się temu, co dla mnie z pani pozostało...

Uśmiechnęła się, jak do brata, wyjawiającego uczucia wrodzone i dawno wiadome. Podała mu rękę. Rzucił dorożkarzowi srebrnego rubla i skłonił się Ewie. Powóz potoczył się w górę alei.

O naznaczonej godzinie Ewa kupowała bilet wejścia w kasie wystawy obrazów. Czyniła to, oglądając się podejrzliwie na wszystkie strony. Po białych stopniach marmuru szła cicho i bojaźliwie. Ręką przyciskała zbiegane serce. Minęła jedną salę i drugą. Tak dawno nie była w tym przybytku, niedostępnym dla nieszczęśliwych! Obrazy, nawet liche, wywierały na nią wrażenie, które było urokiem. Snuły się w oczach, jakby tłumy uczuć cudzych, pochody wstrząśnień duchowych obcych, które na nią, idącą samotnie, nagle zwróciły uwagę, skoro tylko weszła. Cisza ją ogarnęła i zaraz szczery żal, subtelne żądło włoskiego sztyletu.

Szczerbic stał w głębi trzeciej sali. Nie było tam nikogo. Widok jego miłej postaci, łagodny uśmiech i dobrotliwe spojrzenie uciszyły wzburzenie. Podała mu rękę z radością, jak obrońcy od wszelkiego złego.

Szepnął zaraz:

— Jedziemy?

— O, panie!

— Jedziemy?

— No... tak!

Tyle nocy nie spała, tyle godzin walczyła ze sobą i wszystkiem, żeby wreszcie powiedzieć to słowo. Oto je wyrzekła. Oczy zaszły szybkiemi łzami, którym, jak żebrakom, ukazywać się nie wolno.

— Czy pan mię nie opuści?

— Nie! — wyrzekł głosem szczególnym, któremu nie mogła nie wierzyć.

— Czy pan mię nie zgubi?

— Nie!

— Jestem teraz w ręku pana, jak rzecz.

— Dałem słowo — mruknął. — Kiedy wyjeżdżamy?

— To od woli pana zależy.

— Musi pani natychmiast wyrobić sobie paszport. To musi pani wykonać sama, ale w najgłębszym sekrecie przed domownikami. Dobrze?

— Dobrze. Naturalnie... — mówiła z wypiekami na twarzy.

— A wykaz długów?

Ewa wyciągnęła z pod rękawiczki kartkę z notatką długów swoich i ojcowskich. Było tego razem czterysta kilkadziesiąt rubli. Szczerbic wydobył niezwłocznie z pugilaresu pięć storublówek i wręczył je Ewie. Musiał polecić jej, żeby schowała te pieniądze, gdyż je dzierżyła, jak na pokaz, w drżących rękach. Sto rubli wręczył jej nadto na wydatki i koszta podróży do Wiednia.

— Gdy pani wyrobi paszport, da mi pani znać przez posłańca. Proszę napisać jeden jakiś wyraz. Nazajutrz wyjeżdżamy. Jadę w jednym z panią pociągu tylko dlatego, że muszę opiekować się... Przecie pani nie była jeszcze zagranicą. Gdyby nie to, pojechałbym sobie wprost na Rivierę. To już wszystko.

— Wszystko... — szepnęła rozpalonemi wargami.

— Ach, jeszcze jedno! Byłbym zapomniał. Dowiadywałem się o ojcu pani, ale skąpe mam informacye. Wiem tylko, że mieszkał niegdyś na wsi, później był tu i owdzie, wreszcie u Kraftów. Wszak prawda?

— Mieszkał... Miał własną wioskę... Był u Kraftów.

— Otóż właśnie. Nie zupełnie dobrą miał tam notę, ale nic złego. Proszę powiedzieć ojcu, żeby się zgłosił do kantoru nowego domu komisowo-handlowego pod nazwą „Unitas“. Ja tam jestem jednym z członków założycieli i współwłaścicielem. Niech pani pośle, niby to przypadkiem zasłyszawszy, że tam można dostać miejsce. Mógłby tam być magazynierem. Będę w tem, żeby go zaraz umieszczono.

Ewa ścisnęła jego rękę.

— Pożegnam już panią, gdyż tu lada chwila ktoś mógłby nadejść. Do widzenia... w wagonie!

— Do widzenia...

Usiadła na kanapce w środku sali i zapadła w marzenia. Władze duszy zgasły. Drzemała. Ciche śnienie przesuwało się, jak obłoki jesienne, miękie i chłodne. Płyną obłoki w odległy kraj, w omglone równiny, gdzie topolowe aleje i łany zbóż, gdzie ledwie widoczne wiatraki machają skrzydłami...

— Pocóż ten człowiek to wszystko robi? Jaki ma w tem cel, żeby mi dawać tyle pieniędzy? Dlaczego chce dać posadę ojcu?...

Uczuła, że łzy spływają po jej policzkach, a nie miała siły ich otrzeć. Myślała ociężale i obojętnie:

— Czy też to jest rzecz dobra, czy zła, wyjednać posadę ojcu, dać chleb i spokój matce? Czy też to jest cnota zostać nadal w kawiarni i żyć tutaj z roku na rok, aż do chwili zupełnej zguby? Coby też kazał w dniu dzisiejszym uczynić Łukasz? Czy on pochwali to, co zrobiła, czy ją za to odtrąci, że wzięła od Szczerbica pieniądze?

I znowu szereg tych samych myśli:

— Dlaczego Szczerbic dał mi te pieniądze? Co ma za cel, jaką myśl? Czy on jest szlachetny, czy łotr?

Jakieś słowo okropne przesunęło się obok zmysłu słuchu, — słowo ciemne, jak otwór lufy rewolwerowej, słowo niewątpliwe, jak trzask złamanej kości. Uśmiechnęła się do tego słowa mężnym uśmiechem. Wejrzała w nie spojrzeniem nieustraszonem. Nagle przesunęła się myśl:

— Żyd... Właściciel domu...

Od jednego drgnienia — porwała się na nogi. Dotknęła palcami pieniędzy schowanych za stanikiem, żeby się przekonać, czy je posiada. Zapięła się, poprawiła suknie i cichutko wychodziła, żeby się wymknąć niepostrzeżenie. Gdy była w połowie pierwszej sali, ujrzała Horsta, siedzącego na zielonej kanapce pod palmą. Trzymał rączkę laski przy ustach, — kapelusz miał na głowie, — oczy utkwione w jakiś obraz. Wstał, gdy się z nim zrównała, i skłonił się ozięble. Twarz jego miała wyraz drwiący, zwykły, lecz w oczach tlał jadowity płomyk.

— Pan tutaj? — spytała zmieszana, pokrywając to zmieszanie tonem nienaturalnie szyderczym. — Nie wiedziałam, że pan popiera sztuki piękne...

— Ach, bo pani mię zawsze nie doceniała, a ja tymczasem jestem sobie daleko więcej wart, niżby na oko sądzić można.

— Doprawdy? A czy się pan tylko nie przechwala?

— Przysięgam na dydka, że nie! Prawdę mówię.

Więcej jestem wart od niejednego hrabicza, chociaż się wywodzę z najprozaiczniejszych burżujów.

Ewa wyciągnęła do niego rękę na pożegnanie.

— Niech pani jeszcze nie odchodzi, — mówił z zapałem, — na ulicy rozmawiać źle, w tej budzie pani niepodobna, a ja mam powiedzieć wiele ciekawych rzeczy. — Niech-no pani sobie tu usiądzie...

Zajęła miejsce na sofie — z pytaniem:

— No, cóż to tak interesującego ma mi pan powiedzieć?

— Przedewszystkiem muszę zrobić wymówkę... to jest, uwagę, że spotkania na wystawie należą do rodzaju bardzo *shoking*. To nie uchodzi!

— Panu nic do tego!

— Oczywiście. To też chciałbym mieć miłe prawo do robienia pani uwag...

— Tego towaru nie kupi tak łatwo.

— Nawet gdybym się uroczyście oświadczył o rękę pani?

Ewa zwróciła nań łagodne oczy i poczęła się śmiać dobrodusznie. Po chwili rzekła:

— Oto mi przynajmniej godny kandydat do stanu małżeńskiego. No, a miss Daisy?

— Miss Daisy była osobą płatną.

— Cóż się stanie z portretem tej „płatnej osoby"?

— Będzie umieszczony nad szafą w bibliotece.

— Czy można wiedzieć, gdzie się znajduje szafa i zawierająca szafę biblioteka?

— Wszystko to jest w mej głowie.

— Fiu!

— Pani nie zna jeszcze problematu pod nagłówkiem — Adolf Horst! Świsnę — i będą natychmiast tysiące rubli.—Tupnę nogą i natychmiast wyskoczą...

— Żydzi z wekslami.

— Wcale nie! Wyskoczą: salony, karety, lokaje, liweranci...

— Niechże pan tupie co tchu i zapłaci Barnawskiej nieprzeliczone dłużki.

— Powoli, powoli... Tupnę tylko na rozkaz pani... Bez tego... dla mnie niema... Jeszcze mi pani nic nie odpowiedziała, więc pocóż miałbym sobie psuć miłe wczasy z ciocią — Jagą?

— A prawda, że to jeszcze jakoś nie odpowiedziałam. Ale bo też pan... Żeby pan zaczął staropolskie „konkury", „starał się" o mnie, zbierał mi o rannej rosie konwalijki, wzdychał choć trochę, grał pod mem oknem na mandolinie, harmonijce, albo choć na drumli. Żeby pan, naprzykład, zapłakał z miłości. Co, panie Adolfie? A tu tak—prosto z mostu: moja panno z kawiarni—zrobię ci łaskę, — ożenię się z tobą. Ale ja wiem, dlaczego to tak... prosto z mostu...

Horst siedział z pochyloną głową. Zamruczał:

— „On nie płakał, nie jęczał..."

— Któż to jest ów — „on?"

— No, Szczerbic.

— Ejże, panie, panie!

— A co, śliczna panno Ewo?

— Byliśmy zawsze przyjaciółmi, dobrymi sąsiadami. Żebyśmy się zaś nie podarli... Więc — nasze kawalerskie!

— Niema strachu! Pani wie, jakie uczucia żywię.

— *Sapristi!* jak to pan mówi. „Uczucia“ i „żywię...“ Tego właśnie—ani w ząb, jakie to są uczucia?...

— Żartuje sobie pani.

— Żartuję.

— Co pani robi?—zaczął szeptać coraz ciszej.— Co znaczy ten Szczerbic?

— Nic panu do tego! Jak pan śmie!

Zerwała się z miejsca i chciała odejść. Pochwycił ją za rękę.

Twarz miał brunatną, niemal czarną. Oczy mu posępnie gorzały.

— Puszczaj mię... pan!

— Nie, nie! Niech mię pani słucha. Oto Barnawska już wie o stosunku pani z tym Szczerbicem i gotowa powiedzieć matce. Ojcu już powiedziała.

— Pan ją uwiadomiłeś?

— Ja.

— I cóż pan myślisz na tem szpiegostwie wygrać?

— Wszystko. Chcę panią uratować od zguby. Bo teraz — to już zguba!... Ja znam życie. — Któż je zna, jeśli nie ja? Ja jeden wiem, co należy robić. To też — przysięgam! — ja nie dam, ja nie dam!

— Ja również... znam!... Precz! Wiem co robię.

— Nie pozostaje mi więc nic innego, tylko zabić tego szubrawca!

— Zabij go pan z łaski swojej. Tkliwy Werther!

— Zrobię to prędzej może, niż pani sądzi.

Ewa śmiała się serdecznie, marząc, jak o szczęściu, o chwili wyjazdu. Przypomniała sobie jednak słowa

Horsta, że Barnawska powiedziała już ojcu o znajomości ze Szczerbicem. Spytała tedy:

— Więc ta jędza już powiedziała memu ojcu, że ja znam się z hrabią Szczerbicem? To jest prawda, czy wymysł?

— Powiedziała.

— Zaraz do niej pójdę i rozprawię się.

— Co pani chce robić? Jeśli pani rozdrażni babę, to ona może zgubić i panią i całą rodzinę. Niech pani weźmie pod uwagę moją propozycyę. Jest to wyjście ze wszystkiego. Przekona się pani!... Jest to tak proste...

— Panie Horst, jesteś zabawny ze swemi aspiracyami do kobiet tak nizko upadłych, jak ja.

— Kocham panią nad życie! Nie chłopiec lekkomyślny to mówi, lecz ja, Horst...

— Ech, nudny pan jesteś ze swą miłością „nad życie“. Niby ja nie wiem... Chciałoby się być moim „narzeczonym“ z półtora roku—prawda? Chce mi pan towarzyszyć do Barnawskiej?

— Ja? Po co?

— Mówiłam panu, że się rozprawię z jędzą. Może będę potrzebowała męskiej pomocy. Skoro mię pan tak kocha — (Horst i „kocham nad życie...“), to niechże mię pan broni w potrzebie... — W przeciwnym razie gotowam pomyśleć, że umie pan być tylko agentem cioci Barnawskiej.

Uśmiechał się złowieszczo. Kiwał głową, gdy zstępowali ze schodów, milczał, gdy szli ulicami w kierunku mieszkania Barnawskiej. Skoro zadzwonili, musieli, we-

dług zwyczaju, czekać dość długo. Nareszcie szczęknął opuszczony łańcuch, a zgrzytnął klucz w zamku i odsunął się zatrzask.—Stara służąca, po wielu pytaniach i troskliwem skonstatowaniu tożsamości osób, wpuściła ich do przybytku. Barnawska siedziała na fotelu, obitym czerwoną skórą, z kolosalnemi nogami, obwiniętemi we flanele i opartemi o mały taborecik. Czuprynka jej była świeżo uczesana i obficie zwilżona pomadą.

— Bagatela! We dwoje...—zawołała radośnie, — czyżbyście już byli po słowie?

— Jeszcze niezupełnie...—odrzekła Ewa, siadając naprzeciwko starej damy. — Przyszłam właśnie poradzić się cioci. Co do mnie... Lękam się, że pan Adolf jest dla mnie za młody, za lekkomyślny... Przytem niedoświadczony...

— Swoich zaś doświadczeń życiowych panna Ewa nie chce ryzykownie ekspensować tylko dla mego szczęścia...—mówił Horst, zwrócony do Barnawskiej, jak do sprawiedliwego sędziego.

— Rzeczywiście... — podchwyciła Ewa, — wolę już sama dźwigać brzemię moich nieprawości, niż najmować współtragarza. Widzi ciocia, że jestem szczera.

— Bądź sobie szczera, czy nieszczera, to mię ani grzeje, ani ziębi. Źle robisz...—perorowała Barnawska z poważnym a dobrodusznym wyrazem twarzy.—Horsta ja znam, dziecko, do gruntu. Któż go zna lepiej ode mnie? A jednak ja ci radzę, ja właśnie. Rozważ — ja radzę. Musiałabyś trzymać *toto* w łapie — to pewna.

— Ja sądzę, — podchwycił, — że może już lepiej trzymać *toto* w zamczystej śpiżarni.

— Ale gdyby się zaprzągł do roboty! Przecie to jest, moje dziecko, skończony inżynier z paryskich dróg i mostów, chłop zdolny, zdrowy, jak bizon. Wałkoń dziś — nie przeczę, — któżby mógł przeczyć?... Ale ten sam wałkoń, gdyby tylko chciał, mógłby lekko zarabiać kilkanaście tysięcy rubli rocznie. Samabym dopomogła.

— Ależ to z cioci swatka! — zachichotała Ewa.

— No, jużcić wolałabym cię widzieć żoną Horsta, niż donną hrabiego Szczerbica.

— Panie Horst!... Słyszysz pan? — rzekła Ewa z wyzywającym uśmiechem. Nozdrza jej rozdęły się, przez oczy przeleciał błysk.

— Nie... bo ciocia jest pobożna, widzi pani...— szeptał cicho Horst.

— Cóż to, chcesz mnie może wyzwać na pojedynek? — spokojnie pytała Ewy Barnawska.

— Nie, wcale! Pani jesteś napewno poza linią strzałów pojedynkowych. Ja tylko proszę pana Horsta, żeby sprawdził swoje informacye, których pani udzielił, u mnie, u źródła.

— Jestem gotów, panno Ewo.

— Na czemże pan opierał swe przypuszczenia, że ja mogę zostać „donną hrabiego Szczerbica?“

— Na kilku spostrzeżeniach i własnym niepokoju.

— Słowem na twojem dotychczasowem postępowaniu, — dorzuciła Barnawska. — Co tu zresztą długo

gadać? Krótko ci i jasno powiem: wyjdź za Horsta, jak Bóg przykazał, to wszystko będzie dobrze.

— Zapłaci naprzód, co pani winien... — ciągnęła Ewa.

— Zapłaci, co mi winien, a tybyś za to, dodam: musiała ręczyć, — no, potem zapłaci mi twoje długi, twego ojca długi. On się na to zgodził. — Słyszysz? Bo już mię ta twoja cała rodzinka poczęła nudzić. Ja ci powiem, że ze mną niema żartów. Wezmę którego dnia i trząsnę wami. Wylecicie na żebry, jak z procy. Ani się obejrzysz!

Ewa patrzyła na starą damę przygasłemi oczyma. Dzika zemsta... w głębi piersi... w spokojnem sercu.

— Cóż ty na mnie ślepkami łypiesz?—mruknęła stara zimno i nie ruszając się z miejsca. — Rób, co radzę. To moje ostatnie słowo. Trzeba się wziąć w kupę, romansowa panno! Znów może gdzie wyjedziesz, zabrawszy moje pieniądze—i szukaj wiatru w polu. Ganiaj z wywieszonym ozorem po tropach, jak ogar za zajączkiem. A mnie to poco?

— Jeśli tylko zechcę, to wyjadę... — rzekła Ewa spokojnie. — Cóż mi pani może zrobić?

— A ja cię mogę zamknąć w kryminale, heliotropie pachnący!

— Mnie? — jęknęła.

— Ciebie, złotowłosa Elsinoe!

— A za cóż to, ciociu, za co? — pytał tkliwie Horst, przysuwając bliżej swe krzesełko.

Jakby w odpowiedzi na ten jego ruch, Barnawska przygarnęła ku sobie chustkę, leżącą na poblizkim stoliczku, a wraz z tą chustką, leżący pod nią, przedmiot jakiś niewielki a ciężki.

— Za co, kochany Abelardzie, to moja sprawa. Z twoich zaś spojrzeń szatańskich, bladolicy rycerzu, nic a nic sobie nie robię.

— Zawsze jednak niech pani w taki sposób w mojej obecności do panny Ewy ani jednego słowa więcej nie mówi — *bon?* Żeby niby zgody między nami nie psuć. Najlepsza jest, wypróbowana przez ojców inkwizytorów metoda: *maxima cum charitate et minima sanguinis profusione...*

— Tak będę przemawiała, jak zechcę.

— Zapewniam panią mojem burżuazyjnem słowem honoru, że nie przemówi pani w podobnym tonie ani jednej sylaby. Wracajmy do rzeczy. Panno Ewo!

— O co chodzi? — spytała, budząc się z głębokiej zadumy.

— Miała pani rozmówić się z ciocią Barnawską. Proszę.

— Rozmówić się—ach, tak! Chce mnie, jak pan słyszał, zamknąć w kryminale. Nie wiem jeszcze za co, ale się nic a nic nie boję.

— Dobrze, motylku, dobrze. Rozmów się ze mną.

— Bo ja rzeczywiście jestem motyl. Już byłam raz motylem... Gdyby pani wiedziała! Któż uwięzi motyla? Trzeba go złapać, a później szpilką przebić. Lecz motyl, który siada gdzie chce, nawet na czole Psyche, tylko rozłoży złociste skrzydła — i już jest w niebie. A ja jestem motyl.

— Jest na wszystko prawo — i na motyle złociste... — śmiała się dobrodusznie Barnawska.

— Wykonawczyni i, że tak rzekę, pomocnico prawa! Znów powracamy do niemiłego tematu.

— Ty, która czynisz według prawa i której każdy krok zgodny jest z literą prawa, dajże wszystkie weksle mego ojca i wszystkie moje rewersy, kwitki, notatki, gdyż to wszystko w tej chwili zapłacę.

Barnawska nie ruszała się z miejsca. Jej zimna twarz wyrażała spokojny namysł i, pod maską tego spokoju, ostrożną ciekawość.

— Czekam na rewersy! — mówiła Ewa dźwięcznym głosem. Jednocześnie wydobyła pieniądze i zwitek ich pokazała Barnawskiej.

— Fiu-fiu! ostro idzie, — mruknęła stara.

— Czy dostanę rewersy? — mówiła Ewa głosem rozszalałym, który w sobie z całej mocy powstrzymywała.

— Ciekawam, czy też ojczulek i mamusia wiedzą o tych nowych źródłach dochodu?

— Wiem o nich ja i mój narzeczony, Łukasz Niepołomski, który przyjechał do kraju i będzie mię bronił od zniewag!—szeptała Ewa w natchnieniu, w górnym nastroju, z oczyma wzniesionemi w niebo. Łzy toczyły się po jej policzkach. Wierzyła całą duszą w kłamstwo, które z radością wygłaszała.

Barnawska mlasnęła ustami. Zaraz też wydobyła z zamczystej szuflady swój gruby, skórzany portfel i, założywszy kopalne okulary, poczęła szukać w nim i przewracać gorliwie.

— Kiedyż to Niepołomski powrócił? — spytał Horst zachrypniętym głosem.

— W tych dniach.

— Widać teraz jeździ z ambasadorami...

— Przez swego przyjaciela, hrabiego Szczerbica, przysłał mi te pieniądze, żeby mię nareszcie wykupić z niewoli lichwiarskiej, żeby mego biednego ojca uwolnić ze szponów łotrowskich. Żona Łukasza już się zgodziła na rozwód.

— Co pani takiego opowiada?—zaśmiał się szyderczo.

— Niech pan do niej pójdzie i zapyta w mojem imieniu, czy to nie prawda.

— Pójdę, pójdę.

Barnawska ułożyła na stole szereg kartek, kwitków na małych arkusikach i na dużych arkuszach. Poczęła liczyć, pisząc cyfry szyferkiem na małej tabliczce. Dodawała głośno, jak gdyby obok niej nikogo nie było w pokoju. Gdy wreszcie po długich deliberacyach podsumowała wszystko i ogłosiła sumę, Ewa położyła na stół pięćset rubli i zażądała reszty.

Po chwili sama brała jeden rewers po drugim i sprawdzała rachunek. Upewniwszy się przy świadku Horście, że ani ona, ani nikt z jej rodziny nie jest nic winien Barnawskiej, zgarnęła kwitki i z rozkoszą poszarpała je, podarła, potargała na drobne kawałeczki. Otworzyła lufcik i całą garść frygnęła za okno.

Wtedy wstała i przesadny, panieński ukłon złożyła przed matroną, która śmiała się z niej grubo i serdecznie.

Pokoik Ewy znajdował się na czwartem piętrze hotelu *Suisse* w Nicei. Szklane drzwi wychodziły na długi i wązki balkon z żelaza, biegnący wszerz całego gmachu. Siedząc w głębi pokoju, leżąc na łóżku—Ewa miała przed oczyma morze. Z wysokości czwartego piętra gmachu, stojącego na samym brzegu, nie widać było wcale ziemi. Było się, jak gdyby zawieszonym w powietrzu nad morzem.

Ewa już miesiąc mieszkała w Nicei, wciąż w tym samym pokoju. Przybyła na wybrzeże francuskie z Rzymu (wraz ze Szczerbicem), ponieważ Łukasza Niepołomskiego tam już nie zastała. Przed jej przyjazdem wypuszczony został z więzienia i znikł. Władze więzienne nie umiały o nim nic powiedzieć, prócz tego, że został odwieziony do granicy francuskiej, do stacyi Ventimiglii. Nic więcej, pomimo najściślejszych poszukiwań. Ewa nie mogła, nie śmiała, nie czuła się na siłach, żeby wrócić do kraju. Usłuchała tedy rady Szczerbica i udała się do Nicei. Obiecał czynić poszukiwania Łukasza we Francyi. Przypuszczał, że może Niepołomski zechce grać w Monte-Carlo dla zdobycia pieniędzy...

Ewa przyjechała do Nicei. Pędziła życie jednostajne, senne, bezbarwne. Przebywała najczęściej w swojej izdebce na czwartem piętrze. Ze Szczerbicem prawie nie widywała się.

Przekazami pocztowymi przysyłał jej pieniądze na opłacenie pensyonatu. Czasem spotykała go na spacerze, gdy sama szła ku Villefranche. Raz rozmawiała z nim dłużej w kawiarni *Regence* na *Avenue de la gare*, gdy tam usiadła w dzień gorący.

Bała się bardzo Szczerbica. Jeszcze w Wiedniu kupiła sobie była (za jego pieniądze) rewolwer i nie rozstawała się z nim ani na chwilę. W Rzymie, mieszkając w hotelu, czekała wciąż po nocach, że przyjdzie do jej pokoju. I teraz w Nicei, aczkolwiek uspokojona, trzymała zawsze broń przy sobie. W pokoiku wązkim i ciasnym stało wygodne krzesło na biegunach. Wysuwała je na środek pokoju i, wpół leżąc, zatopiwszy oczy w morzu, rozmyślała w ciągu nieskończonych godzin. Kochała dzienny błękit morza, albowiem owijał się około ran jej duszy, jak gdyby pas błogosławiony, jak gdyby chusta gojąca. Kochała głęboką, bardzo ciemną noc nad wodami. Nawprost jej okna, w dalekim bezmiarze głębin, zatopionych w mroku, gdy mistral wzdymał wały morskie i walił nimi w skały wybrzeża, błyskała morska latarnia. Kochała błysk latarni i zżyła się z nim duszą tak dalece, jak z niczem teraz na ziemi. Zdawało się, że to chmury lecące krzeszą ogień z morza. Czekała zawsze z utęsknieniem nocami na światło nocne. Oto i tej nocy... Nareszcie! Przeleciał elektryczny, milczący znak — raz-raz! Nastawał poprzedni mrok. I znowu — światło — raz-raz! Otchłań ciemności wylewała z odległych samotni, z tajnych okręgów pustyni ryk i wzdychanie na ludzki brzeg...

Ewa cicho mówiła do samej siebie, a po prawdzie do tych odległych, piorunowych błyśnięć — spowiedź powszechną, wylewającą się z duszy. Bo tam był anioł groźny nad niezgruntowanemi wodami... Skrzydła jego od zachodu na wschód... Śniło się, że z jego nie-

zmiernej ręki, kołyszącej kadzielnicę ponad odchliskiem, pada ognisty miecz w dalekie rozcieki, skąd wracał może bezsilny od pracy rybak, lub żeglarz, który stracił ostatnią nadzieję. Przy tem świetle niemem a tak nieskończenie wymownem — poczynała widzieć z poczwórną siłą swe sprawy. Oczy jej zagłębiały się w duchową pomrokę, a rozum stawał raz wraz w wielkich olśnieniach. Rozważała w głębi duszy swej, co ma czynić. Czuła głębokością serca, że nie zobaczy już nigdy Łukasza. Tęsknota stoczyła jej duszę, a żal zniweczył jestestwo. Wyjścia nie było. Tak miało zostać na zawsze. Niegdyś jej mówił: „gdy mię porzucisz, będę straszliwie nieszczęśliwy...“ Te słowa własną jej krwią były wypisane w sercu. A teraz—on to ją właśnie porzucił. Cóż mogło wyrazić straszliwą prawdę tego pewnika? Nasuwało się proste pytanie: czy można żyć jeszcze, jeszcze dalej? I, jak powtórny brzask morskiej latarni, świetlała odpowiedź, że trzeba — albo przestać żyć, — albo spodleć i ohydnie pogodzić walkę wewnętrzną ze sprawami życia. Należy wybrać. Ale cóż wybrać? Kochać i tęsknić, — marzyć, żeby przyszła znowu chwila rozkoszy cielesnej, żeby wszystkie inne na szereg lat zatłukła swoim ogromem?

Nowy błysk myśli, co zda się, na morzu wyrósł i, przebiegłszy otchłań ciemności, przeszywał wskroś duszę, błysk nowy, bezlitosny w swej nagości: któż to jest Łukasz?

Wszakże Łukasz jest to mężczyzna, jak tysiące tysięcy innych na świecie. Kochał dawniej inne kobiety i podeptał je, odchodząc w swoją stronę. Kochał żonę

i, odchodząc, podeptał ją na miazgę. Ten, którego tak uwielbiała! Dla którego poświęciła wszystko — został w pamięci z całą okropnością męskiego pożądania. Ponad duszę, ponad najlepszą część ludzkiego jestestwa zapragnął bardziej rozkoszy cielesnej. Nie pytał się, czy połamie ciało, czy zdepcze duszę. Jego żądza zmysłowa była ponad wszystko.

Znów nowy, senny, daleki znak z czarnego morza: — a ty sama, a ty?

Ja jestem, — wyznawała, — tak samo grzeszna, jak on. Wszakże nie dosyćby było ujrzeć jego twarz, jedyną na ziemi. Wszakże nie dosyćby było utonąć w ukochanych oczach. Zawrzeć ustami rozpalone usta... Wszakże tli się w piersiach nieugaszone pragnienie wieczyście nowego grzechu z nim!

Och, być przezeń znowu przewróconą, zduszoną, pokonaną! Zesłabnąć w uścisku jego wszechwładnych dłoni — i ustąpić! Poczuć na sobie jego ciężar. Zamknąć oczy i dobrowolnie oddać mu się na łaskę. Na łaskę! — Ustami czuć jego usta, nasycić się jego ciałem i oddać mu na własność swe ciało...

Myśli rozpierzchły się w nicość. Zostało tylko drżenie spalonego ciała. W pamięci wspomnienie fizyczne Łukasza. On jeden był i jest na świecie! Widziała oczyma przedział boczny w jego włosach, kołnierz i rękawy szarego surduta... Słyszała jego szept, gdy po chorobie wbiegał do jej pokoju i chwytał przemocą oddech przestrzelonemi płucami. Widziała najdroższy uśmiech, rodzący się w surowej twarzy, rodzący się, jak zorza nad ciemnością morską. Była blizką jego ust.

Usta różowe... Białe zęby w głębi ciemnego zarostu... Wargi szepcą bezmyślne wyrazy, w których zamknęło się szaleństwo rozkoszy. Padały teraz te wyrazy w jej serce, na ramiona, na plecy, na piersi, uda, jak jego pocałunki obłąkane, gdy kazał zdejmować suknie i przyciągał bezsilną na swe kolana.

Załamanemi rękoma dusiła serce, walczące w piersiach, i usiłowała spętać szaleństwo. Zbliżała się do siebie samej ze wspomnieniem zabitego dziecka, z łańcuchem piekielnych dni i nocy. Wlokła samą siebie pod pręgierz. Stawiała sobie przed oczy hańbę bezgraniczną i wstyd poznany.

Błysk źrenic powitał nowy błysk światła w morzu. Rozmyślanie stało się zimne, chłoszczące, jak samo morze, które się drze w ciemności.

Grzech!

Zuchwały krzyk w duszy: czy jest grzech?

Skąd się wziął, dlaczego przyszedł? Jest, jak mówił wówczas młody ksiądz, przeciwko niemu rozum własny, inny rozum, zewnętrzny, wielki a niezmierzony... Jakże się może dokonać grzech wbrew woli tamtego rozumu? Jakim sposobem wynika bunt cielesny, bezprzykładna żądza, jak przed chwilą? A z żądzy tej jakim sposobem jedna za drugą wychodzą zbrodnie? Wspomniała wszystko od początku do końca, ujrzała dawną wolę i dawny rozum, jak samochcąc podniosły się z nicości i wydźwignęły ponad Boga. Mogła teraz dokładnie odróżniać dawną niewiadomość od teraźniejszej wiedzy — i cicho, cicho uśmiechała się, patrząc na siebie dawną, minioną, przeszłą, skończoną...

Nowy, silny krzyż światła latarni przerąbał ognistem ramieniem otchłań — raz-raz. Dusza Ewy dźwignęła się i podniosła. Mówiła do ciemnego morza:

— Dążyłam do swego celu. Cel mój był — Łukasz. Podeptałam wszystko, co było na mojej drodze. Podniosłam rękę na Boga. I odstąpiła mię łaska. W tym dniu, gdy byłam w łasce, ukazał się przedemną Łukasz. On się stał wieczną pokusą mego serca. Jest. Dlaczego tak się stało?

— Teraz — mówiła — nie spuszczając oczu ze świetlistych pełgań — muszę dać woli boskiej zadośćuczynienie, które będzie karą za moje grzechy. Kara, jaką ponoszę, sprawi, że sprawiedliwości boskiej stanie się zadość. Za zniewagę Boga dźwigam na ramionach moje cierpienie. Potrzebne jest Bogu moje cierpienie. Z niego wyrasta, jedynie z niego, najcudniejszy kwiat ziemski: skrucha. Ze skruchy, jakoby z kwiatu, ulata zapach: mądrość pokuty. A z pokuty staje się tajemniczo—świętość.

Tak to — dumała — z mej nocy, gdym zabiła dzieciątko, wyrasta moje cierpienie. Z cierpienia kwiat ziemski: skrucha...

Śmiech głuchy zabulgotał we łzach, przepełniających piersi. Głowa zwisła na poręcz fotelu, gdyż myśli płynące przez głowę obróciły się w głupstwo. Poczęło ćmieć w całem jestestwie głuchonieme, samo w sobie bytujące cierpienie. Obmierzłym stał się czas, sam dla siebie bytujący — przestrzeń pusta... Czas, nie napełniony niczem oprócz ćmiącego bólu, ukazał się, jak wróg żywy, pełen mocy dyabelskiej. Stał przed oczyma

olbrzymi, nieprzebrany i niezwyciężony, jak liguryjskie morze.

Rozdarł ciemności błysk nowy i rzucił w duszę niczem niezachwianą niezłomność pragnienia.

— Zniweczyć czas pusty! Rozedrzeć długość jego szaloną i zmiażdżyć ją w sobie! Nie czekać już i nie drżeć całem ciałem na rozkosz złudzeń oczu i pamięci! Nie pragnąć już rozkoszy cielesnej i nie pamiętać o nocy rodzenia. Nie pamiętać, nie pamiętać, nie pamiętać! Na wieki zapomnieć!

Odejść i spocząć między lądem i falą wieczną...

Głębokie drżenie wewnętrzne. Czy to tam szatan świetlisty przez środek ciemności idzie?

Zalśniły ruchome odmęty wodne. Poślizgnęło się światło morskie z fal na fale. Zdało się oczom skostniałym, że ujrzały w mroku... Marzenie dziwne i straszliwe.

Śniło się im widziadło mocnego anioła, który zstąpił z niebios i stoi w głębiach nocy, odziany obłokiem.

Postawił prawą nogę na morzu, a lewą na ziemi. Stojąc tak na morzu i na ziemi, podniósł rękę swoją ku niebu. Skądże w uszach te słowa straszne, równe morzu i niebiosom, wichrowi i wschodzeniu słońca, które drżeniem prędkiem przejmują, jak od trzaskania piorunu?... „Przysięgał przez Żywiącego na wieki, który stworzył niebo i to, co w niem jest — i ziemię i to, co w niej jest, i morze i to, co w niem jest — że czasu już nie będzie...“

Najbliższymi sąsiadami Ewy w numerach hotelu *Suisse* była para małżeńska Anglików, ludzi niemal starych.

W stadle tem mąż — był to mężczyzna wysoki, zawsze *fashionable and stylish*, w monoklu, który wrzucał w niezrównaną wprawą. Był wysoki, chudy, łysy. Małżonka ubierała się wytwornie, ale zawsze czarno i jak gdyby niezmiennie w te same suknie. Zarówno na twarzy męża, jak żony, panował jednaki wyraz. Ewa znała te dwie osoby ze spotkań przy stole, w czytelni i na windzie hotelowej. Kilkakroć zamieniła z nimi nieco słów.

Uważała, że wyraz twarzy obojga musi być „angielski, dżentelmeński“, wyższy, taki właśnie, jaki należy nosić przedstawicielstwu wielkiej rasy. — Jakież było jej zdumienie, gdy pewnego popołudnia żona-Angielka zastukała do jej drzwi i weszła do numeru. Oczy przybyłej patrzyły dziwnie, jakby z obłudą, nie widząc — na podobieństwo ludzi wielkiego świata, którzy nie chcą poznać na ulicy tych, z kim zapoznano ich wbrew woli. Ewa wstała ze swego miejsca i zapraszała damę na kanapkę. Tamta usiadła i długo mówiła z przymusem o rzeczach obojętnych, kalecząc francuszczyznę imiesłowami i seplenieniem. Widać było, że za tą pozorną swobodą rozmowy kryje się coś innego, coś nad siły tej Angielki. Twarz jej była coraz bardziej ciemna od bezbrzeżnego spokoju, nieruchoma, jak maska. Nieznośnie i boleśnie dla patrzących oczu przyklejony był do tej twarzy miękki uśmiech towarzyski. Ewa czekała.

— Czy pani nie wybiera się jutro do Monte?—

zapytała niespodzianie Angielka, podnosząc głowę ciężką, jak młyński kamień.

— Do Monte Carlo? — szepnęła Ewa, pochylając się ku niej. — Nie byłam tam nigdy!

— Nigdy!... Przepraszam... Sądziłam, że gdyby pani jechała...

— Gdybym jechała, pani, to co?

— Gdyby pani... jutro... to... możebyśmy pojechali razem.

— A państwo wybierają się?

— My... — zaśmiała się szyderczo... — my... tak.

Oczy jej przez chwilę z wyrazem badawczego pytania spoczywały na twarzy Ewy. Boleść bez granic przesunęła się przez tę twarz, ale w tejże chwili znikła pod połyskiem mękiego uśmiechu.

— *A propos...* — rzekła po chwili. (Kaszel nerwowy odjął jej mowę). — *A propos...* czy pani nie byłaby w możności... nie byłaby łaskawa... na dni kilka... lada dzień... — szeptała coraz ciszej... — Mąż mój pragnąłby... mąż mój...

Ewa siedziała bezradnie, zaskoczona w sposób jak najbardziej nieprzyjemny. Miała przy sobie około trzystu franków... Szczerbica. Doznawała formalnie łamania duszy kołem na widok męki tamtej. Wahała się przez chwilę, piastując jakąś niedorzeczną nadzieję, że może Angielka sama cofnie swą prośbę. Ale tamta nie miała zamiaru cofać tego, co wyrzekła. Twarz jej poryta została przez zmarszczki, brózdy, stoczona przez cienie głuchej rozpaczy. Ewa wstała ze swego krzesełka

i, nie mogąc znieść błagalnego wzroku, ujęła chude a wypieszczone, bezsilne, żółte ręce.

— Mąż pani gra? — spytała skrycie.

— Tak, pani... — wyszlochała.

— Wszystko przegrał?

— Wszystko.

— Cały majątek?

— Cały, co do joty...

— Co do joty?

— Jeżeli pani nie może... Ja już odejdę, gdyż... Przepraszam...

— Ależ nie! Nie! — krzyknęła Ewa. — Pani nie pójdzie! Dam wszystko, co mam! Wszystko, niech pani weźmie...

Rzuciła się do komody, wydobyła wszystkie pieniądze i wcisnęła je w suche, drgające ręce. — Angielka nie mogła liczyć. Patrzyła z jakiemś roztargnieniem nieznośnem to tu, to tam. Kilkakroć wykonała ruch, jakby chciała powstać i, wskutek napastujących mdłości, wychodzić. Ewa zatrzymała ją jeszcze delikatnie, osadzając na miejscu.

— Państwo dawno tu już jesteście? — spytała niby o sekret.

— Siedem miesięcy.

— Więc... Duży to majątek, dużo przegrał?

Zapytana chciała odpowiedzieć, lecz coś, jak czkawka, suche histeryczne łkanie wyrwało z ust wyrazy.

— Jutro z panią pojadę do kasyna! — krzyknęła Ewa. — Jutro przyniosę wam szczęście. Mąż pani wygra.

Angielka chwyciła ją za rękę i przyciskała tę rękę sobie do piersi, do gardła, do serca, do ust, zcicha, bezsilnie skowycząc...

Następnego dnia, około godziny dziesiątej rano, Ewa oczekiwała na dworcu miejskim na spóźniający się pociąg z Cannes. Towarzyszyła parze cudzoziemskiej. Dzień był ohydny, wietrzny i zimny.

Mr. Dwarf chodził szybko po pustym peronie oszklonej sali stacyjnej, żartował, przekomarzał się z Ewą co do jej wrażeń, mających dnia tego nastąpić w domu gry. W trakcie tych rozmówek co chwila zwracał się w stronę Cannes.—Zaciśnięte usta milkły a dokoła nich roiły się drgające zmarszczki. Mrs. Dwarf dotrzymywała mężowi kroku i zdawała się cieszyć chwilami z jego dobrego humoru. Ewa czuła doskonale, jak potworne uczucia kryją się za uśmiechami tych ludzi, ale było jej wesoło w ich towarzystwie.

Kiedy niekiedy spoglądała na nich z pod oka i przelotnie marzyła: gdybyście mogli wiedzieć, ile jest wesołości we mnie wesołej, gdybyście mogli wiedzieć, jakiem głupstwem jest wasza ruina wobec mojej ruiny! I to ja właśnie wyświadczam dobrodziejstwo panu Dwarf z Anglii! Zajączek z Polski i dwie zbiedniałe angielskie żabki...

Pociąg zdyszany, obmokły od deszczu nadbiegł niespodzianie i pomknął dalej, ledwie mieli czas wskoczyć na stopnie wagonów. Tunele, błyski światła dziennego, morze huczące od wichru, z białą runią pian, zielono-szare fale... Pola różane, lasy palmowe, wreszcie Monaco. Winda, snująca się po pochyłości w cieniu stromej skały, wyniosła odurzoną Ewę i jej milczących teraz towarzyszów podróży pod drzwi kasyna. Pani Dwarf ujęła Ewę pod ramię i wprowadziła, pan Dwarf ułatwił formalności w biurze na lewo od wejścia.

Wkrótce Ewa otrzymała różową kartę wstępu i znalazła się w sali gry. Była godzina dwunasta. Światło zza chmur wpadało przez olbrzymie okna, Dwarf'owie zbliżyli się do stołu pierwszej z brzegu rulety. Osób było jeszcze bardzo niewiele i dużo krzeseł wolnych. Ewa była tego dnia wykwintnie ubrana. Kapelusz i suknie, które miała na sobie, kupiła w Nizzy. W hotelu posiłkowała się małem i źle zawieszonem lustrem. Teraz, stojąc przy stole gry, spostrzegła swą postać w jednem z ogromnych zwierciadeł między oknami. Nie mogła od siebie oderwać oczu. — Spoglądała ukradkiem a raz wraz. Musiała sama pochwalić się za piękność. Była zdziwiona własną wspaniałą urodą.

Słońce południa i wiatr morski nadały jej twarzy nową, złotawą barwę. Sponsowiały usta, niby poranna róża, co z pąka wykwitła pod ciepłem słońcem, nim ludzie ze snu powstali. Jeszcze bardziej rozwarły się błękity oczu. A był w nich teraz jak gdyby połysk błyskawicy. Sama z rozkoszą patrzyła na niezrównany kontrast bujnego pukla złotych włosów, wybuchających z pod ronda czarnego kapelusza, na swe barki rozkwitłe, na prześliczne linie piersi. Całkowita postać miała w sobie lekkość chmury czy dymu, a zarys głowy był jeden jedyny na ziemi. Cicha, namiętna radość zapaliła się

w piersiach. Było to bowiem oczywiste, że piękność jej w tym tłumie nie ma współzawodniczki, że ani jedne męskie oczy, które ją dnia tego ujrzą, już obrazu jej nie zapomną nigdy, przenigdy. Wodziła oczyma po stropie, ścianach, filarach, po dziwacznych stołach gry, lecz zajęta była tylko sobą. Czuła wciąż, że w niej drży chybka i niewstrzymana nadzieja. Och, coś się tego dnia stanie! Coś się przybliża. Gdzież jest i co to? Zwracała w napływający tłum oczy niby to bezmyślnie-niby obojętnie, a w gruncie rzeczy bez wytchnienia czekając, że w tym tłumie ujrzy... Tak niegdyś na kolei...

— I wtedy tak było. I wtedy tak strasznie... przyszedł...

Uśmiechnięte usta rozchylały się, a śliczne zęby tłukly się ze szczękaniem, gdy samej sobie podszeptywała jego imię.

Mr. Dwarf grał. Stawiał na rozmaite cyfry ostrożne *enjeu* po 5 franków.

Przegrywał i wygrywał małe sumy. Ewa zatrzymała na nim przez chwilę wzrok, nie była jednak w stanie zająć się jego sprawą. Siedział wyprostowany, poważny, bez monokla. Twarz jego była szara, zęby ściśnięte, wyraz twarzy doskonale obojętny. Oczu ani na chwilę nie podnosił od znaków i przedziałów zielonego sukna. Pani Dwarf trzymała w ręku pokratkowaną papierową tabliczkę z cyframi, które uważnie szpileczką przekłuwała. Lewa jej ręka nieznacznie była wsparta o ramię męża. Ewa tylko spostrzegła, że palce jej ręki, jak szpony były wbite w sukno surduta.

Przybywało osób coraz więcej. Ewa znalazła się

w pierwszej linii tłumu, otaczającego stół rulety. Czuła oddechy mężczyzn, stojących za nią i obok. W pewnej chwili ośmieliła się postawić pięciofrankówkę na liczbę sześć (suma liter imienia „Łukasz“). Patrzyła jak gałka w kole rulety, odbijając się, skacząc płochliwie, prawie kokieteryjnie biegła, zatrzymywała się, wahała i mknęła znowu. Serce drgnęło... Pięciofrankówka znikła, zagarnięta przez grabki *croupier'a*. Coś, jak fatalna ulga. Powrót do pewności, że miłosny sen o Łukaszu, to sen tylko. Gdy się raz wyśnił, już nie powraca nigdy, przenigdy, choćby człowiek miał władzę króla królów. Podniosła oczy na *croupier'a*, który zagarnął jej pięciofrankówkę.

Był to przystojny mężczyzna w średnim wieku, kędzierzawy, siwiejący brunet. Miał włosy krótko ostrzyżone, małe wąsy, sympatyczną twarz. Zachowanie się jego było spokojne i poważne, bez afektacyi, jak u poważnego urzędnika, który godnie i należycie spełnia swe obowiązki. Ewa poczęła zasłuchiwać się w brzmienie sakramentalnych formuł, które ciągle wygłaszał, i dusza jej, dumając, znalazła się w poddaństwie i rozpostarciu pod monotonnemi słowami. Leżała daleko, w nocy. Morze ciemne i szalone. Przeszywający błysk latarni. I wciąż te słowa, sens wszystkiego na ziemi: *Faites votre jeu messieurs*. Słyszała w tych dźwiękach głos siły niczem niezachwianej, wyraz okrucieństwa, które się samo żywi, okrzyk potęgi, która porywa wyciągniętą prawicą na własność swoją wieczną i użytek — łuk i koronę.

Ocknęła się ze swego zaśnienia i powiodła okiem

po znacznie zwiększonym tłumie. Zrozumiała, że Dwarf musiał wygrać. Dość pokaźny stosik złota leżał przy jego rękach. Anglik łamał słupki, złożone z monet dwudziestofrankowych, stawiał po kilka to tu, to tam, na pewne cyfry, na *manque* lub *passe* i na rozmaite kombinacye, zwane *cheval*, których nie pojmowała. Po ponownym obrocie rulety znowu grabki *croupier'a* podsunęły panu Dwarfowi porcyę luidorów. Ewa spostrzegła twarz pani Dwarf. Była to twarz dziewicza, niemal dziecięca. Wargi, napełnione krwią, dyszały radośnie. Oczy spuszczone. Ręka wciąż na ramieniu męża. Serce Ewy uderzyło, a oczy zaciągnęła mgła wzruszenia. Nie chciała teraz popadać w stan smutku, o którym wiedziała dobrze, że czeka na nią wszędy poza murami tego domu. Postanowiła bawić się. Powiodła z uwagą oczyma po tłumie. Gdy wszystkie oczy wbite były w koło rulety, sama jedna, obojętna na wyniki gry, mogła obserwować bezkarnie. To też oczy jej przerzucały się z twarzy na twarz. Wlokły się przez rysy zdławione, podeptane i jakby wykręcone z zawias a nastawione według innej, przygodnej zasady — przez oblicza zimne i uważne, niby cyfry niezbłaganego rachunku — przez mordy wynędzniałe, głupie i spoliczkowane raz na zawsze od bezgranicznego, wielkookiego strachu — przez facyaty, w których niema już nic a nic, prócz nieustannych drgawek nerwów i fizycznej boleści. Naprzeciwko Ewy i *croupier'a* siedziała staruszka z siwymi włosami, które okrywał starożytny stroik. Twarz cioci-rezydentki w zapadłym dworze Podola czy Polesia, zażywnej jejmości, lubiącej kawę i plotki.

Teraz pod tą starą skórą, rozprażoną i zczerwieniałą, jak na pieczonem jabłku, wre zgrzybiała krew, niby klej stolarski, zagotowany w skorupie nad płomykiem lampy — wszystkiemi porami, wszystkiemi nadtrzaśnięciami zieje szalona namiętność. Ciało drży i śmierdzi, drżą ręce, głowa się trzęsie, oczy zachodzą łzami, u nosa zwisa co moment kapka. Wyschnięte palce o skórze szklistej, poprzecinanej żyłkami krwawemi, posuwają złote pieniądze, tkają je to tu, to tam z beznadziejną rozpaczą, cofną i znowu niosą w rozterce śmiertelnej — a raz wraz przekłuwają cyfry w papierku. Patrząc na tę starą, Ewa poczuła taką odrazę, jak do kupy podmiejskiego nawozu. Miała myśl, że gdyby tak silnie z góry uderzyć pięścią w to stare czupiradło, a nacisnąć ją z całej siły, jak purchawkę, to pękłaby szaro-zielona powłoka, a z wewnątrz buchnął pewnie kurz czarny, gąbczasty, cuchnący...

Nie mogąc znieść widoku starej klępy, a nadewszystko nie mogąc znieść widoku lekkiego a prawie niepostrzeżonego uśmiechu *croupier'a*, gdy wzrok jego padał na tę starą damę, Ewa wysunęła się z tłumu i odeszła w głąb sal. Tam, wśród krążącej ciżby, odetchnęła. Szła przed się, od jednej rulety do drugiej, trafiła do stołów, gdzie grano w *rouge-et-noir*. Tam zajrzała przez ramiona w twarze grających, tu objęła okiem jakąś figurę, profil, pochwyciła jakiś gest — i szła dalej. Widziała dwu Duńczyków czy Szwedów, którzy śmiali się doskonale i gwarzyli głośno, garnąc ku sobie, lub odsuwając bez cienia żalu stosy złota. Notowała sobie bezwiednie w pamięci zmiętoszone twarze strojnych ko-

kot. Zapamiętała szczególniej jedną, wysmukłą, bladą, bardzo piękną, gdy, przegrawszy stawkę na *inverse*, przemieniła się w strzęp, w jakiś badyl złamany i odeszła, przymknąwszy czarne, dziwnie wydłużone oczy. Zamyśliła się przez chwilę nad obliczem starego człowieka, w którem malowała się niewysłowiona jasność duszy... Cóż tego tu przygnało? — marzyła chwilę. Wzniosła się szybko na jakąś wyżynę, patrząc z boku na posępne łuki brwi pewnego gentelmana i na zapadłe jego oczodoły, w których, jak w gniazdach, czatowała duma i żądza. Przez chwilę panował nad jej myślami wyraźny obraz życia jakiegoś dandysa z uczernionymi nietylko wąsami, ale i brwiami, później widok twarzy najoczywistszego hulaki, birbanta, knajpiarza, który się teraz zwijał w kłębuszek po kapitalnej przegranej i chuchał w swoje nieszczęście. I oto nagle, tak nagle, że nie mogła pojąć, co to się stało, poczęła myśleć o ojcu. Stanął przed nią, jak żywy, uroczy, lekkomyślny... Usłyszała jęk, zamknięty w jego sercu. Ujrzeć go jeszcze! Jeszcze tylko raz w życiu spocząć na jego piersiach, poczuć pieszczotę drżącej ręki, gdy głaszcze nią włosy i coś poważnie, bardzo poważnie, bardzo mądrze i wskutek tego bardzo śmiesznie wywodzi! Gdyby tu był! Czemuż go niema tu, gdzie jest cały świat? Czemuż przemarnował życie na szukaniu posadek, czemuż zadręczył swą piękną głowę w małostkowej gonitwie za nędzną i śmieszną pracą? Gdyby tu przybył i zaczął grać! Wszakże grają wszyscy, a on wygrałby napewno! Te stosy złota przeszłyby prawowicie do jego kieszeni, bo złoto kocha tych, którzy je

lekceważą, którzy niem gardzą. Tęsknota popchnęła jej wolę. Napisać do ojca, żeby przyjechał, posłać mu na drogę pieniędzy! Zamieszkać w Nicei—razem! Ujrzeć go tutaj, być z nim ciągle, wyrwać go z nędzy i przeklętych brudów niedoli. Pędzić tu życie lekkomyślne i wesołe, życie bez troski i wiecznych łez, wiecznych morałów i wzdychań matki! (Postanowiła wysłać list zaraz po powrocie do Nicei).

Właśnie przesunął się obok jakiś pan, wykwintny starzec, różowy, spokojny, wesoły. Szedł obok młodej, strojnej damy, gładząc od niechcenia śnieżnie-białe *whiskers* — przystrzyżone i zaczesane ozdobnie. Gwarzył wesoło, przymrużając piwne oczy.

W pewnej chwili, mijając stół gry w *trente-et-quarante*, wysunął z bocznej kieszeni kamizelki biały papier tysiącfrankowy i, przeprosiwszy uprzejmie swą towarzyszkę, postawił na *couleur*. Dama przystanęła i, przechyliwszy głowę, obserwowała grę. Stary pan chwilę czekał, żując wstawionymi zębami i uśmiechając się dobrodusznie. *Tailleur* rozłożył karty i wnet posunął mu tysiąc franków. Starzec ujął obadwa białe papiery, wsunął je z przelotnym uśmiechem do kieszeni i, raz jeszcze przeprosiwszy swą towarzyszkę za chwilę zwłoki, ze spokojem i powabem ciągnął rozmowę. Ewa szła za tą parą przez chwilę i oto niespodziewanie, jak wszystko, co się z nią przytrafiało w tem miejscu i w tym dniu — wybuchł w jej sercu ku temu człowiekowi spazm nienawiści, morderczy paroksyzm zemsty za jego właśnie anielski spokój. Ujrzała rozwartemi oczyma nizkie, czteroszybowe okna magazynu mód,

ciupy ciemne, pełne wilgoci i wiecznego smrodu, podwórze zalane błotem, nagie mury sąsiednich kamienic, pokryte wieloletnią sadzą. Ujrzała głowy szwaczek, schylone nad cudnemi sukniami ostatniej mody. Dzień jesienny, kiedy przez brudne szyby sączy się do izdebek mętne światło, a śniady jego półton pada między liście roślinek, moknących w doniczce na ramie opuszczenia. Uczucie całej gromady tamtych dziewcząt, złość, mściwość, nienawiść wysłannice podłości, które w ich duszach zaszczepiła nędza żywota. Ewa zatrzęsła się od straszliwego śmiechu i ze ściśniętymi zębami szła dokądś, z powrotem, ku wyjściu. Nie miała jednak zamiaru opuszczać kasyna. Ze zdumieniem spostrzegła, że służba zapala nad stołami lampy ze światłem skoncentrowanem. Góry złota poczęły jaśnieć z podwójną siłą. Wówczas uległa powszechnemu ożywieniu. Porwał ją połysk i żar tego życia. Ogarnął ją i wciągnął namiętny a przyciszony szmer. Coś, jak niezwalczony szelest poczęło płynąć w jej żyłach. Błądząc w gromadzie ludzkiej, co chwila stawała wobec samej siebie, odbitej w wielkich lustrach. Patrzyła na swe złote włosy, bardziej teraz złote od stosów pieniędzy na zielonych stołach. Patrzyła w swe oczy i kołysała się z dziwną przebiegłością w doskonałym rysunku swych kształtów, w nieposzlakowanem pięknie ramion, piersi i bioder. W pewnej chwili, gdy tak stała, patrząc w zwierciadło, ujrzała w niem poza sobą idących ku wyjściu Dwarf'ów. On wrzucał machinalnym ruchem monokl i wypuszczał go z oka. Na twarzy pod dolnemi powiekami miał ogniste wypieki, wargę obwisłą, głowę bezwładną

na chwiejnej szyi. Pani Dwarf prowadziła go pod rękę. Była spokojna, cicha, nieznośna w swej ciszy i trzeźwości. Ewa domyśliła się. Ale nie było w jej cudnych piersiach ani cienia współczucia. Śmiała się, że to przecie jej pieniądze przegrali. Wolno podeszła do pary, posuwającej się wraz z tłumem ku drzwiom.

Dotknęła ręką ramienia pani Dwarf. Ta spojrzała na nią zgasłemi, obojętnemi oczyma, ale nie mogła ze siebie wyłamać ani jednego dźwięku.

— Czy już wszystko? — spytała Ewa.

Skinienie głową.

— Dokądże państwo teraz?

Skinienie głową. Oczy zamknięte. Usta nieme.

Ewa odsunęła się i wróciła na salę. Szła przed siebie. W oczach miała ciągle tę parę. Wspomnienie ruchu monokla, który Dwarf wrzucał w oko — dziwnie podniecało gniew. Myśli miotały się nieporządnie szybkimi ruchy skorka. Rozjątrzenie, pasya, niecierpliwość— wybuchały jak proch i szybko, jak proch — gasły. Głowa płonęła. W oczach był jakiś niebieskawy dym...

Zatrzymawszy się przy jednym ze stołów gry, stała długo bez ruchu, zatopiona w chaosie uczuć. Wszystko, co się dookoła działo, widziała i słyszała, a jednak była od tego miejsca jak najdalej. Podniosła oczy i spostrzegła Szczerbica. Stał naprzeciwko w tłumie, po drugiej stronie stołu.

Gdy dostrzegł spojrzenie Ewy na siebie zwrócone, skierował się ku niej. Miała chęć, zamiar, powzięła nagłe postanowienie ucieczki przed tym człowiekiem. Podszedł i witał ją cichemi słowami. Nie mówiąc nic do

siebie, odeszli z tego miejsca i machinalnie zbliżyli się ku oknom, gdzie było najmniej osób. Szczerbic zatrzymał się i mówił:

— Jak to szczęśliwie się składa, że panią tu spotykam! Właśnie miałem zamiar prosić, czyby pani nie zechciała zobaczyć się ze mną...

— Pan ma coś dla mnie? Wiadomość?

— Niestety! Nie mam nic. Nic! Pisałem do Paryża. Przepraszam... czy pani tu sama przyjechała?

— Nie. Przyjechałam z pewną parą Anglików. Państwo Dwarf...

— Ach, Dwarf. Znam. Pani gra?

— Nie. Nie mam szczęścia.

— I nie chce pani zupełnie próbować?

— Nie mam szczęścia! — rzekła z rozdrażnieniem, które jej ani na chwilę nie opuszczało.

— Szczęście raz jest, drugi raz go niema.

— A pan wygrywa? — spytała, żeby tylko coś powiedzieć.

Wobec gwaru, panującego w tej sali, musiała nachylić się ku niemu i mówić głośno.

— Czy pani uwierzy? Wygrałem — i nawet dużo. Gram ostrożnie i tylko *trente-et-quarante*. Ale już jadę.

— Jedzie pan? — szepnęła, blednąc.

Oto teraz dopiero zadała sobie pytanie, cóż ona zrobi ze sobą? Dopóki ten Szczerbic był tutaj, była spokojna o siebie, choć nie chciała go widywać. Ale teraz... on jedzie?

— Pan do kraju?

— Do kraju...—mówił cicho, patrząc jej w oczy.

— Oczywiście...

— Pani tu myśli zostać, czy wrócić?

Coś jakby łzy zamigotało w jego wpatrzonych oczach.

— Ja... widzi pan... Cóż tam ja! Pan przecie wie. Pan jeden jedyny wie wszystko...

Rozpacz przetrąciła jej twarz. Stała, jak spoliczkowana. Spłoszona ręka poprawiła włosy, wymykające się z pod kapelusza. Szczerbic milczał. Patrzył, nie odrywając oczu, myśląc głęboko. Ciche westchnienie odemknęło jego wargi. Zaczął mówić:

— Może Niepołomski jest w kraju. Przecież powinien pani szukać — prawda? Czy pani jest tego pewna, czy pani?...

— Czego pewna? Czego?

— Czy pani jest pewna, że on będzie szukał? Ja nie chcę powiedzieć o nim nic złego—przysięgam pani! — ale sam nie wiem. Mówię tylko o istocie rzeczy. Czy pani jest pewna?

— Widzi pan... Widzi pan... Tego już nie wiem.

— Nieszczęsne, najbiedniejsze!... — szeptał w szale, zbliżając się ku niej, jakby ją ramionami chciał zasłonić od świata.

— Czego pan chce?

— Ja nic przecie — nic a nic! Tak sobie oto mówię.

— Więc po cóż to mówić? Nie wszystko można mówić. Człowiek subtelny nie mówi wszystkiego, co myśli, czy tam... czuje, wie...

— Pojadę do kraju, będę w Warszawie, poszukam... Może był u mnie, może tam w mieście... u żydka...

— Tak, tak! — szepnęła z zaciśniętemi pięściami.

— A może w domu u rodziców...

— Tam niech pan nie chodzi!

— Nie pójdę, nie pójdę!

— A ja cóż mam czynić ze sobą? — spytała z posłuszeństwem.

— Właśnie... Sądzę, że pani... powinna zostać...

— W Nicei?

— Przez czas pewien w Nicei, a gdy tu będzie zbyt gorąco, wtedy, naprzykład, w Montreux, gdzieś w górach w Szwajcaryi... Pani napisze do mnie do Zgliszcz, dając mi znać. Bez adresu nie mógłbym skierować Niepołomskiego — w razie... Prawda?

— Tak.

— A więc pani napisze do mnie.

— Ależ ja... Niech pan tylko pomyśli... — zawołała raptownie, przypominając sobie. — Zdaje mi się, że pan rozumie, o co chodzi...

Mówił ze spuszczonemi oczami, prawie nie otwierając ust:

— Daję pani słowo, że teraz dla mnie nie będzie stanowiło żadnej literalnie różnicy, gdyż wygrałem, a już więcej grać nie mam ochoty.—Gdym tu jechał, — wtedy, wyznaję, było mi trudniej, teraz... pokażę pani...

Mówiąc to, wydobył jednym zamachem z bocznej kieszeni surduta gruby pęk białych biletów bankowych

po tysiąc franków. Kilka z nich, pięć czy sześć, jakby w roztargnieniu, wsunął w rękę Ewy.

— Panie! Co pan... ze mnie... robi! Co pan ze mnie!..

— Odda mi pani!—rzekł, odtrącając jej ręce. — On mi odda, ten Niepołomski!

— A jeśli on się nie znajdzie?—pytała z naiwną bezczelnością, — to z czegóż ja panu oddam te pieniądze? Ja nic nie mam, nic a nic. Jestem kasyerką z cukierni — więc jakże ja mogę... Panie!

Szczerbic łagodnie ujął jej dłonie i wskazał jej stoły gry.

— Niech-no pani spojrzy, — śmiał się z dobrocią, — niech się pani przypatrzy, jak się zapracowuje pieniądze. Ja te również zapracowałem, te *moje* pieniądze. Mogę zaraz podejść i za dziesięć minut mieć w kieszeni całego majątku dwadzieścia centimów.

— Ach, to wszystko. Mój mocny Boże!

— Cicho — cicho... Nie trzeba o Bogu mówić.

— Pan nie wie, co się dzieje ze mną...

— Mógłbym powiedzieć to samo: pani nie wie, co się dzieje ze mną. Mówi w jednem miejscu Szyler: „Ona mi to wyznaje! W przecudnych oczach, zwróconych ku mnie, maluje się miłość dla innego...“

Szeptał to, śmiejąc się nieprzyjemnie, z oczyma wlepionemi w ziemię.

— Jabym dla pana dała sobie uciąć rękę.—Oddałabym dla pana dziesięć lat życia! Pan mię jeden w Warszawie znalazł i dał mi jeszcze odetchnąć nadzieją... Ale czyż można należeć do dwóch mężczyzn?—

spytała z bezczelną prostotą.—Nie dobrze i nie wolno odtrącać takiego głębokiego i czystego umiłowania, jakie niezmiennie mam dla pana! Że pierwiastki, które dałam innemu, nie wchodzą w zakres tego, to nie moja wina, to nie odemnie zależy.

— Ja pani teraz nie robię już wielkiej nadziei co do Niepołomskiego, — rzekł twardym głosem. — Zupełnie nie wiem, co to jest za człowiek. Nie wiem.

— Powiedz pan, jeżeli wiesz coś pewnego!

— Nie wiem. Jutro pojadę.

Uścisnął jej rękę i odszedł. Gdy go już straciła z oczu, nagle wysunął się z tłumu i podbiegł znowu. Nachylił się do samych jej oczu. Szeptał głosem przeszywającym.

— Wszakże dotrzymałem danego słowa. Nieprawdaż, pani Ewo? Dotrzymałem słowa co do joty, ale to co do joty! Tak, czy nie?

Usłyszała w tem zapytaniu krzyk duszy. -Ujrzała w jego bladej twarzy spazmy namiętności, w oczach rozpaczliwą żądzę, w ustach skrzywionych i dygocących błaganie, które za chwilę mogło wybuchnąć szlochaniem, zniewagą, przekleństwem. Z oczyma tak w nią wlepionemi, jak krzywe haki, stał nieruchomy, wahający się. Nagle bez pożegnania odszedł i znikł.

Ewa spoglądała za nim przez czas pewien, wyczekując, że jeszcze wróci. Pragnęła słyszeć jeszcze jego przedziwny, zdyszany głos. Dawne echo przeżytych uczuć.., Widzenie tych samych uczuć jakby z pod spodu, z innego punktu...

Chciała powiedzieć prawdę... Podziękować serdeczniej za wszystko, co dla niej uczynił, zaprzeczyć temu, że jest względem niego niewdzięczna. Chciała mówić do niego o mnóstwie jeszcze spraw, które zjawiły się w myślach. Ale w pewnej chwili uczuła, że Szczerbic już napewno odszedł i że napewno nie wróci. Ukłucie żalu...

Trwoga nieznośna, jak powiew zimnego wiatru, pędzącego przez puste pola... Dreszcz ohydnego egoizmu przeszył ciało. Siadła na miękiej kanapie w pobliżu okna.

Od stołów gry szedł ku niej nieustający pogwar, szelest i jakby łoskot bezgranicznej rozkoszy i bezgranicznej rozpaczy tych serc, co pod blaskiem nizkich lamp szalenie biły. Słyszała, co się dzieje, bo nie mogła nie słyszeć, ale już dawno stąd odeszła duchem. Błąkała się i chwiała po obcych miejscach. Czuła, że coraz jest gorzej, że ją zła dola potrąca i pędzi z jednej wizyi w drugą, z kraju uczuć podłych w coraz podlejszy. Nie mogła dać sobie rady i nie mogła zapłakać. Widok krzywdy bez granic wydzierał z piersi krzyk, a krzyk nie mógł się wydrzeć i zamierał w zduszonej piersi.

Krążyło koło niej, oddalało się i znowu szło pytanie, co to są za ludzie, ci przy stołach gry? Co ich przypędziło ze wszystkich końców świata? Poco wydzierają sobie w męczarni garście złota, kiedy ono do niczego nie służy? Czemu są, jak poszarpane członki Dionizosa, które się wzajem napróżno szukają?

Obok ręki leżała zmięta gazetka miejscowa. Ewa zaczęła ją machinalnie czytać, nie bardzo wiedząc, poco

to robi i co czyta. Wśród mnóstwa banalnych plotek wydrukowane było grubemi czcionkami kilkakroć powtórzone zdarzenie. Łódź rybacka nie wróciła tego ranka z sześcioma ludźmi. „W burzy dzisiejszej nocy zginęli—mówiła druga wiadomość.—Szukano ich wszędzie, ale nie dotarli nigdzie. Jeden zostawił pięcioro dzieci, drugi troje, trzeci był to młody rybak, bezżenny".—Jeszcze jedna wiadomość—we dwanaście godzin później: „nie znaleziono nigdzie".

Wszystko, co było w życiu Ewy, teraz wyszło, jak wyzwolony tłum zbirów. Osaczył ją najniższy motłoch uczuć, co się wyrwał zza drzwi więzienia. Zamknęła oczy.

Machinalnie podniosła do ust chustkę i ocierała wargi.

Przemknęła myśl tak niepochwytna, że ledwie ją można było pojąć,—myśl o tem, że „Łukasz" jest to pewne widziadło — nic więcej. Usta same wyszeptały:

— Już go na świecie wcale niema. Zabił się.

Głuche, bezsilne szlochanie bez łez, jak suchy kaszel wydarło się z ust. Serce nie biegło swą własną, znaną drogą, lecz zdawało się skakać wpoprzek tej drogi. Jeszcze myśl:

— Gdzie teraz odnaleźć... Szczerbica?

Krzyk z głębi duszy:

— Łukasz!

Senny obraz Dwarf'ów, idących dokądś z kasyna,—na dół, na dół... Żal, sięgający do szpiku kości, i ściśnienie serca na wspomnienie twarzy pani Dwarf.

Później cisza — i znicestwienie wszelkiego wrażenia. Dobra, długa chwila ciszy. Och, żeby tak zawsze żyć w tej ciszy, leżeć, jakoby na posłaniu w domu rodzinnym za młodych lat, za dni minionych. W tej ciszy świętej tylko jedno przeszkadza, jedno dokucza i nie daje śnić...

Co parę chwil leci zzewnątrz, zza okien, osłoniętych wielkiemi storami... Wicher? Nie, to nie wicher... Czyżby krzyk rybaków z tej samotnej w morzu łodzi?

Daleko, strasznie daleko... Słychać! Wciąż!

Głos tęgi, łoskot i głuchy dźwięk *w-wach*. Cisza — i znowu *w-wach* — *w-wach!* Cisza — i znowu!

— Morze! — wyszeptała, otwierając oczy.

Teraz na wspomnienie morza uderzył w nią strach bez granic, boleść prawie fizyczna. Serce ścisnęło się i stuliło w sobie, jak ptaszek w nocy, osierociały wśród piorunów. Słychać, jak fale, wzdęte daleko, padają na wysokie skały, jak pękają olbrzymie wodne banie i jak jęczą, zapadając w głębinę. Ewa wstała ze swego miejsca i zbliżyła się do okna. Podniosła brzeg story, odchyliła go i patrzyła w noc głupiemi, szeroko rozwartemi oczyma. Twarda ciemność uderzyła jej oczy.

Wiatr kwiczał, ślizgając się po ogromnych szybach okien.

Deszcz prał w nie długiemi lejcami. Z podmuchów wichru wyrywały się raz wraz oszalałe skoki morza.

Otchłań ciemności wylewała z paszczy swej ryk bałwanów i strumienie zdruzgotanych kamieni.

I oto znowu jakby krzyk w morzu...

Myśl-dreszcz przeleciała tajemnym szlakiem nerwów:

— Nie warto żyć na świecie! Och, nie warto! Wszędzie to samo. Wszędzie krzywda, podłość, przemoc! Wszędzie! Niema nigdzie sprawiedliwego sądu i obrony!

Odwróciwszy się, spostrzegła, że ją pilnie obserwuje jeden ze służących kasyna, badając, widocznie, czy nie żywi zamiaru odebrania sobie w sali życia. Uczucie wzgardy i wyniosłości pchnęło ją naprzód. Poszła przez zatłoczone sale, ulicą, która się przed nią otwierała zawsze. Szeptano. Minęła wspaniały westibul, odepchnęła olbrzymie drzwi i znalazła się we wichrze. Wicher!—Jakby na nią od dawna czekał. Palmy skrzypiały w nim, miotając na wsze strony swe olbrzymie wachlarze. Marmurowy chodnik, biegnący na dół, zalany był wodą i lśnił się. Tępe światło bań elektrycznych, które wicher na wysokich słupach kołysał, ukazywało ów chodnik w dziwnem i strasznem świetle. Ewa biegła, czując, że deszcz przemoczył już jej stanik i zalewa ramiona, że nogi w płytkich lakierkach nurzają się w wodzie i marzną.

Czy to krzyk w morzu, czy w niej?

Słuchała.

Aż oto chodnik urwał się w jakiemś miejscu. Brnęła przez szyny, podkłady, znowu przez szyny. Upadała na ziemię. Nogi jej wlatywały między zwrotnice, jak w potrzaski z żelaza, pantofle wykręcały się na stopach.

Wicher zerwał z głowy woalkę i kapelusz, rozplątał włosy. Nie wiedziała teraz, dokąd biegnie i gdzie jest.

Nieznana siła popychała ją naprzód w tę stronę, skąd pochodziły straszliwe głosy morza.

Rybacy wołają, rybacy...

Zdławione serce jęczało posłusznie: idę już, idę...

Nie wiedząc o tem, że idzie, słyszała rozlegające się raz za razem stękanie zbieganych wód. Coś, jak gdyby jęk ludzki, wypadało z dołu, z pod ziemi i opasywało żebra arkanem rzemiennym, ciągnąc ku sobie. Szlochy, których przenigdy nie zapomni dusza, przetrącały nogi i zginały kolana.

Modlitwy jakieś, które charczą obumarłe gardziele i wykrztuszają konające usta, łkały nadaremnie, niewysłuchane w tej nocy. Ewa stanęła na brzegu skały. Poczuła nagością kolan, nóg i brzucha przepaść zimnego odmętu. Rozwarte jej oczy widziały w grubym mroku latające sznury i węzły pian. Ot — tam — to morze szaleje, wścieka się. Radeby skoczyć na jej nagie ciało! Zrozumiała biednym swoim rozumem, że to na nią zarzucają pętlice te dzikie siły. Chwyciła się ręką za serce i upraszała jeszcze tylko o chwilę spoczynku. Ale o słuch jej uderzyło to, co było najstraszliwszego w jej życiu: senny osłuch cichutkiego kwilenia...

Rączki stulają się i rozwierają. Kolanka dygocą od tego zimna... Zaraz zagaśnie, zagaśnie ten głos...

Zatrzęsła się wszystka, jakby ciało jej było słupem piasku, złamała się w sobie — i z krzykiem zleciała na dół.

Ręce jej konwulsyjnie chwyciły chropawe żelazne

ogniwa łańcuchą baryery, nogi wlokły się, jak poodrąbywane po jakowychś kamiennych schodach. Dzikie piany skakały jej do ramion, do oczu, rzucały się pod zmoczone suknie.

Stękanie konających, ryk pijanych sołdatów, dźwięki, zgrozę i milczenie siejące, stały dookoła. — Ewa odgarnęła z twarzy rozpuszczone włosy, które wicher z węzłów wyzwolił. Uczuła w sobie waleczność, jak w chwili porodu.

Rozejrzała się wokoło po chluszczących kłębach i pianach, po mroku nieprzezwyciężonym spokojnemi oczyma. Ścisnęła zęby, żeby nie krzyczeć w niebogłosy z szalonego uniesienia. Stanęła między pianami i we wrzask dzikich wód rzuciła głupie wyznanie: — zabiłam, tak! Ja sama z własnej woli zabiłam!

Wszystkiemu w sobie i za sobą nakazała ciszę. Była w pełni rozumu, wiedziała o tem, że ma rozum, ale rozum był bezwładny, na podobieństwo króla, z któregoby zdarto szaty i osadzono nagiego wysoko — wysoko, na samym szczycie gilotyny.

Myśli, jak szczękająca broń, roznosiły łoskot po głowie. Trwała tak przez chwilę w zachwycie nadczłowieczym, w smutku swoim-nieswoim, w uczuciu zgłębienia ludzkiego nieszczęścia. Czuła, że teraz w sobie dźwiga tłum ludzki, tam na górze widziany, a dźwiga z własnej woli, gdyż nie może nie dźwigać. Nigdy dotychczas nie doświadczane przeczucie niezbłaganych praw, rządzących grzechami ludzkimi, jakby w sądzie, przez moment zgłaszało pozew i obronę, o dziwo! w jej ubogiem sercu.

Dreszcze zimna, bijące po krzyżu raz za razem, jak ciosy ognistego bata, wyrwały ją z odrętwienia. Poczęła brnąć w górę po schodach, zalanych wodą, trzymając się rękami zimnych ogniw żelaznego łańcucha. Wyszła znowu na szeroki plac, pełen zwrotnic, szyn, czerwonych i zielonych latarek. Wicher wył tam w budach strażniczych, ledwie oświetlonych, jęczał dookoła słupów żelaznych. Pociąg z hukiem i skowytem zwrotnic przeleciał obok. Ewa była już zupełnie spokojna.

Widziała w zamyśleniu jego ogniste latarnie, twarz maszynisty czarną i ponurą. Zaznała gorąca kadłuba lokomotywy. Uśmiechnęła się z okrucieństwem do myśli, jak strasznym głuptasem jest maszynista, oddający się, licho go wie dlaczego, piekielnej pracy... Drżąc z zimna i szczękając zębami, biegła dokądś przed siebie. Nie mogła pojąć jednej tylko rzeczy: poco było zeskakiwać w morze? Oczy miała rozwarte i wbite w noc.

Jak i gdzie znaleźć numer hotelowy i ciepłą pościel?

Myśli wyczerpały się i krążyły około jakichś drobiazgowych zachceń, które z kolei mdlały i gasły.

Trafiła znowu na wązki, pochyły chodniczek i biegła po nim. Biegła długo, ściskając w lewej ręce rondo kapelusza, który jej wiatr zerwał był z głowy. Stanęła nagle przed oświetlonemi drzwiami knajpy *Gambrinus*, jakby wydrążonej we wnętrznościach skały, na której szczycie wznosi się sławne kasyno. Z rozkoszą wbiegła do wnętrza. Z uciechą poczuła, że już jej deszcz nie bije, a wicher na wskroś nie przeszywa. Usiadła na

pierwszej z brzegu sofie i poczęła wyżymać, skręcać w pukiel i spinać swe włosy. Poprawiła kapelusz, uporządkowała suknie. Trzewiki były zgoła potargane, pończochy mokre aż do kolan. Knajpa była dość ciemna i, zdawało się, zupełnie pusta. Jedna lampka elektryczna paliła się w całej wązkiej a długiej sali. Salę tę przegradzały kępy kamelii i oleandrów w wazonach. W głębi było wielkie lustro, które odbijało w sobie lampę elektryczną i salę, tworząc złudzenie dalekości. Jeden jakiś człowiek spał, siedząc przy stoliku, z głową, złożoną na rękach.

Nierychło podszedł do Ewy kelner, drab w wyświechtanym fraku. Między jego kamizelką i majtkami widać było kolorową, ale i tak brudną koszulę. Patrzył na Ewę podejrzliwie, z pode łba, obojętnie podciągając portki, podpasane skórzanym paskiem. Kazała podać sobie *fiasco* dobrego wina. Skoro tylko przyniósł, duszkiem wychyliła kielich—jeden i drugi. Ciepło zwolna, zwolna rozszerzyło się w jej piersiach, ramionach, nogach. Ogień zamigotał w oczach. Wypiła jeszcze jeden kieliszek i z rozkoszą uczuła, że pokonane dreszcze uciekają za dziesiątą górę. Oparła się plecami o ciepłą poduszkę sofy i wnet poczęła zapadać, zanurzać się, pogrążać w cichy półsen, półjawę. Wszystko ucichło, uspokoiło się. Słyszała dziwny szelest w uszach — ni to skrzypienie częstotliwe świerszczyków jesiennych w ścierniskach na wsi. W oczach piasek gorący. Wczuwała się z rozkoszą w ciepłe smugi, błądzące po ramionach, po skórze głowy, po udach, po stopach... Nie chciała zasnąć. Żeby aby nie zasnąć! Już kilkanaście razy postanawiała zadzwonić na kelnera i spytać go, gdzieby tu, w Monaco, można znaleźć numer ogrzany w hotelu i pościel. Miała jednak nieprzełamany wstręt do draba, który jej wino podawał. Nie mogła wskutek tego udźwignąć ręki, żeby zadzwonić. Jednakże ani na chwilę nie utraciła przytomności i nie przymknęła oczu. Poczęła marzyć...

Marzyła, pogrążona w sen na pół zapomniały, że siedzi sama, jak zawsze, na stopniach z granitu, co już tysiące lat trwają. Wysmukłe trawki kołyszą się za wiatrem. Wyrosły w szczelinach pomiędzy olbrzymimi blokami marmuru. Żal ich stopą podeptać. To Fiesole. W dali widać błękitne Apeniny, góry spalone od słońca, — jednobarwną smugę. Ciepły stamtąd wiatr leci i zapach drzew pomarańczy. Tam, w dole, pod stopami, arena starorzymskiego teatru. Tędy wyrzucano rozszarpane ciała, a tędy wpuszczano lwy. Cichy śmieszek przewija się przez wargi. Dziwna rzecz, że tutaj teraz niema knajpy z ostrygami i białem winem...

Słychać kroki. Mały, nawiany przez wiatr, żwirek zgrzyta pod stopami nadchodzącego. To idzie Łukasz. Serce słyszy jego kroki, a ciężki czar przygniata piersi. Nareszcie go się doczekała! Nie, nie odwróci głowy! Niechaj on pierwszy! Łukasz idzie po stopniach, po stopniach, po stopniach... Niesie na rękach dziewczyneczkę. Różane jej ciałko rozkryło się od wietrzyka. Okrągłe kolanko wystaje z pod ciemnej chusty. Pięta różana, maleńka, jak zawiązek jabłka, chuśta się na powietrzu. Toczona rączka z fałdami bogatemi tuż przy dłoni wiewa w zapachu pomarańczy. Maciusieńka dłoń,

boski pra-wzór ludzkiego kształtu. Doprawdy—to jest myśl Stwórcy o kształcie człowieka!

Paluszki, jak szypułeczki tulipana, przecudnie piękne kształty stawów, przeczyste i niesłychanie śmieszne paznokietki. Paluszki przezroczyste pod słońce, w których nieskazitelna krew płynie w żyłkach nie grubszych od żyłek w liściu. Otwarła oczy i uśmiecha się do błękitnego nieba, do chmurek cherubinowych na wysokościach.

Dokądże to on z nią idzie? Gdzie niesie dziecko? Druga rączka objęła go za szyję, a bezwładne paluszki błądzą po jego uchu. Dokąd też on tak idzie z dzieciną? Czy też ona wyżyje, czy też się zdrowo, córeńka, uchowa?

Ocknienie. Knajpa! Kelner!

Trzeźwa myśl o jeździe w przedziale kolejowym, w wagonie tramwaju przez nieskończenie długą *Avenue de la gare*, myśl o windzie w hotelu. Rozterka. Założyła nogę na nogę, ściskała kolana i przytulała plecy coraz szczelniej do oparcia kanapy, żeby zaznać jak najwięcej wewnętrznego ciepła. Jeszcze chwilę poczekać, jeszcze tylko tę chwilę... Podnieść rękę i zadzwonić. Podnieść rękę... Nagle usłyszała dźwięk, który ją pchnął z miejsca i otrzeźwił do cna. Ktoś obok niej, z tyłu, ktoś w tem miejscu wymówił po polsku.

— Zbawicielu! Zbawicielu!

Szept ten był tak strasznie bolesny, tak śmiertelnie głęboki, że zerwała się na równe nogi. Oczy jej padły w głąb sali i ujrzały w lustrze odbicie postaci człowieka, który spał. Siedział tyłem do Ewy, a twarzą

do lustra zwrócony. Łokcie jego rąk były oparte na marmurowym stoliku, a twarz ukryta w dłoniach. Ewa stała na miejscu, patrząc w lustro i usiłując zobaczyć twarz. Nagle spostrzegła, że prawa ręka nieznajomego bezwładnie opadła na marmurowy blat stołu, że zwolna sunęła się po nim i kurczowym ruchem pochwyciła rękojeść rewolweru, który tam leżał.

Szept straszliwy tych samych wyrazów.

Biała ręka wzniosła się i nagle znalazła tuż przy skroni. Ewa skokiem rzuciła się naprzód. Nie wiedząc wcale o tem, co czyni, znalazła się przy tym człowieku. Porwała obiema dłońmi kościstą, suchą rękę i wydarła z niej rewolwer. Ujrzała zblizka twarz nieznaną, szaro-białą, coś jakby twarz Dawida z nieśmiertelnego posągu Michała Anioła. Zdało się jej, że to biały kamień, szarym kurzem przysypany, patrzy na nią z półzmroku. Oczy skamieniałe, z których siła widzenia uciekła. Źrenice stały się dwiema czarnemi a nieruchomemi próżniami. Czoło sfałdowane, a każda zmarszczka stężała na zawsze... Usta zatrzaśnięte na zamek szatańskim uśmiechem. Ewa, nie wiedząc wcale o tem, co zrobiła, upadła na kolana i bezmyślnie okrywała pocałunkami ręce nieznajomego.

— Nie, nie! — szeptała w paroksyzmie.

Nim jeszcze jego ślepe źrenice przestały być martwemi dziurami, usta odemknęły się i dziwny głos, głos cichego niepokoju zapytał po polsku:

— Któż tu jest? Kto tu?

— Co pan chciałeś zrobić! Jak pan śmiesz podobną myśl? — krzyczała teraz w szale, zrywając się

na nogi i wymachując rewolwerem, który trzymała w rozpalonej dłoni.

Na to odpowiedział ów cichy i niewinny głos:

— Już nie mogłem, już nad siły... I dlatego...

— Kto pan jesteś? — krzyczała coraz głośniej.

Nieznajomy milczał, jakby sobie coś z mozołem przypominał. Rzekł głośniej:

— Kto ja jestem? O to chodzi, kto... No cóż... Pół-Polak. Adwokat spraw z kretesem przegranych. Zawsze chybiający bombiarz...

— Co takiego? Bombiarz?

— Rzucałem papierowe bomby w strupieszałe polskie narodzisko...

— No, więc rzucaj pan sobie swe bomby!

— Ba! Kiedy nie warto. Kołtun skręcił polską duszę. A przytem i ja sam... Siła w ręce stężała... Siła w ręce...

— Ale kto pan jesteś? Nazwisko pańskie!

— Nazwisko? Nazwisko — *Bandos*.

— *Bandos* — jest to literacki pseudonim poety Jaśniacha.

— To, to! Jaśniach...

W owej chwili oczy tego człowieka otrzymały siłę widzenia. Ramiona jego porwały się, brwi posępnie zsunęły, a między niemi wyryły się dwie pionowe zmarszczki.

— Kto panią uprosił do zajmowania się moją osobą i mojemi sprawami? — spytał głosem cichym a tak złowieszczym, że się o krok cofnęła.

— Sama się upoważniłam.

— Śliczny Apoloniusz z Tyany, zbawiający ludzi wbrew ich woli!

Mówiąc te słowa, bezwiednym ruchem poprawił na sobie surdut, wstał z krzesła i powtórnie przedstawił się:

— Jestem Rudolf Jaśniach — literat.

— Moje nazwisko — Ewa Pobratyńska.

Widocznie, nie mogąc ustać na nogach, siadł znowu i rozglądał się szczegółowo po tem miejscu. Brudny kelner, z hałasem rozsuwając krzesełka, odkręcił drugą lampkę elektryczną. Jasny blask padł na twarz i postać Jaśniacha. Ewa ujrzała dokładnie twarz jeszcze piękną, ale znoszoną i zdartą, wypełzłą od słońca i deszczu. Niezbyt gęsty, a dziwnie piękny zarost był jeszcze prawie młodzieńczy, a włosy na głowie już zupełnie siwe, rzadkie, tworzące dobrze już widoczną łysinę. Oczy były podkrążone niemal czarnemi podkowami, usta granatowe. Dziwnem w tej twarzy zjawiskiem były oczy. Miały w sobie coś z węgla, który się jeszcze żarzy, ale już powleczony jest martwicą popiołu. Dzikie, nienasycone szyderstwo i głęboka nadczułość zdawały się walczyć w tych oczach i wyganiać się z nich nawzajem. Jaśniach ubrany był ze skromnością, ale czysto i wytwornie. Ruchy jego stały się teraz prawidłowe, spokojne i przyzwoite. Widać było tylko, że siły są zupełnie wyczerpane, że nie jest w stanie trzymać się na nogach. Siedział z rękoma, ciężko i bezwładnie leżącemi na kolanach. Dziwnym swym, szyderczym, nieznośnym wzrokiem wpatrywał się w Ewę.

Ona rzekła wesoło:

— Jestem przekonana, że pan — na skałce — doszedł do dużego pugilaresu, — a teraz... zostało w bocznej kieszeni „dwadzieścia centimów".

Kiwał potakująco głową.

— Dużo pan wygrał?

— Dużo.

— A dużo też pan przegrał?

— O, dużo! Przegrałem już ostatni sen. „*Glamis hath murdered sleep, and therefore Cawdor shall sleep no more! — Macbeth shall sleep no more!*"

— Nie rozumiem.

— Bo też nie należy do rzeczy najłatwiejszych dokładne zrozumienie mowy bombiarza, który sobie w łeb strzela.

— Chciał strzelić...

— Strzela sobie w łeb tylko ten, kto tego mógł chcieć.

— Zakazuje się panu chcieć tego!

— Mógłby mi tego zakazać tylko ten, ktoby mi był poprzednio dał siłę, żebym chciał...

— Ja w imieniu tej właśnie władzy!

— Musiałaby pani przebyć poprzednio wszystkie siedem sfer O-Sir-Is'a — mądrość, miłość, sprawiedliwość, piękność, wspaniałość, wiedzę, nieśmiertelność— i zejść dopiero do tej spelunki. A pani nosi pantofle?

— Cóż to za pytanie?

— Chciałbym wiedzieć, czy pod jednym z nich siedzi — mąż?

— Noszę pantofle, nawet w dniu dzisiejszym mokre i podarte, ale męża... niestety...

— To może pani zechce zostać moją żoną, żebym mógł zająć wakującą posadę.

— Ależ naturalnie! Tylko musi się pan jeszcze odegrać.

— Nie, już nie! Już mi teraz nie potrzeba. Zresztą— najniższa stawka pięć franciszków, a ja nie mam nawet na zapłacenie za kieliszek wina, który tu przed swą śmiercią wypiłem.

— Pożyczę panu trzy tysiące franków. Ale pan powie, dlaczego to już panu nie są pieniądze potrzebne?

— Od czasu, kiedy w Polsce idee zostały wydeptane obcasami proboszczów, szlachciców, fabrykantów i szanownych panów dziennikarzy, kiedy, uważa pani, rozmnożyły się tam „stany posiadania", nie miałem innego wyjścia, tylko zdobyć pieniądze i tworzyć „stan posiadania" dla wydeptanych ideów—zapomocą... pieniędzy. Słyszała pani kiedy podobne chryje? Tymczasem — wygrałem — przegrałem — dwadzieścia centimów. Trzy tysiące franków? A jeżeli przegram i to?

— Ha! Wówczas...

— Widzi pani—po raz drugi kłaść w retortę te wszystkie czynniki, z których się wyprodukowuje odczynnik woli...

— Wówczas pożyczę panu jeszcze jeden biały tysiąc.

— Czy pani dziś wygrała?

— Ja... dziś? A tak.

— Skąd pani do mnie przyszła?

— Któż to wie?

— Należałoby przypuścić, że pani jest posłem z kraju Agni, z ziemi intelektu tworzącego, z okręgów ducha czystości...

— Chodźmy, panie literacie!

— Ale pani będzie przy mnie, gdy zacznę grać?

— Będę.

— Nie odejdzie Agni na krok, na krok.

— Na krok!

— Idźmy.

— Muszę jeszcze oczyścić swe suknie i poprawić włosy. Niech pan mi od tego kelnera przyniesie, z łaski swej, miotełkę, bo ja go się grubo lękam.

Jaśniach znikł w zagłębieniu sali. Po chwili wrócił w towarzystwie pomarszczonej wiedźmy, ohydnej powierzchowności, która pomogła Ewie oczyścić się i uczesać. Po chwili trzy tysiące franków znalazły się w ręku Jaśniacha. Płacąc za wino swoje i Ewy, zmienił jeden tysiąc na złoto. Wyszli. Właśnie przebiegała winda i zagarnęła ich na górę. Była godzina dziesiąta, gdy wchodzili na salę gry. Teraz tłum był największy. Dokoła każdego stołu tłoczyły się nieruchome gromady. Ewa ujrzała znowu odpadki ludzkie, bandę jednostek. W blasku lamp wszyscy wydawali się dziwnie znędzniałymi od troski. Patrzyła teraz obojętnie na tych gentelmanów i damy, których wszystkie uczucia, namiętności i popędy zostały sparaliżowane przez jeden nałóg. Rudolf Jaśniach przez czas dosyć długi stał w odrętwieniu przy *trente-et-quarante*. Ewa, niby cień fizyczny jego figury, tkwiła bezradnie, albo słaniała się w miarę jego poruszeń. Zaczął wreszcie stawiać dwudziestofrankówki na rozmaite strony. Parę razy wygrał, lecz i przegrywał. Był spokojny, zadumany. Ewa tymczasem myślała, że zarówno on, jak inni, mają zmysły znieczulone, nerwy dziko drgające, a głowy wypchane jedyną wiedzą, skierowaną ku temu jedynie pytaniu — z której strony należy stawiać pieniądze — z prawej, czy z lewej strony białej kresy na suknie. Od niechcenia patrzyła na rysy dziwnej twarzy Jaśniacha i usiłowała zrozumieć, co ona tu właściwie robi obok i w towarzystwie tego człowieka. Przez jeden moment tkwiło w jej piersiach przeświadczenie, że jej dola życiowa, jej los — to obcowanie z nieznanymi mężczyznami, z gatunkiem cudzym jej i wrogim. Inne kobiety znają jednego, dwu, a ona zna ich już tylu!

— Ja jestem piękna... — westchnęła.

I oto pierwszy raz w duszy jej ukazała się radość, wynikająca z racyi obcowania ze Szczerbicem, Dwarf'ami, tym Jaśniachem. Była pewna, że ten nowy kompanion przegra wszystko i, wbrew woli, wbrew samej sobie, pozwalała przemykać się myśli, co też się wówczas z nim stanie. — A jeśli to jest jaki łotr...— pomyślała niepostrzeżenie...

Nachyliła się, żeby lepiej widzieć. Jaśniach postawił dwa białe papiery po tysiąc franków każdy we dwa miejsca stołu — i po chwili trzymał w ręku dwa nowe. Wówczas wszystkie cztery postawił w jedno miejsce— i cztery nowe sfrunęły ku niemu ze strony croupier'a. Czynił to wszystko ociężale, automatycznie, jak człowiek, wtrącony przez chorobę w ciężką malignę. Wziął wygrane pieniądze i tylko przesunął je palcem na drugą

stronę białej kresy. Ewa schyliła się jeszcze niżej i ciekawie patrzyła ponad ramiona. Serce poczęło kołatać w jej piersiach. Croupier rozłożył karty i przysunął Jaśniachowi ośm tysięcy franków. On wziął z tej górki papierów cztery, włożył zgniecione nerwowo w boczną kieszeń surduta. Dwanaście tysięcy zostawił na miejscu. Croupier rozłożył karty i wnet przysunął graczowi niby książeczkę, złożoną z dwunastu arkuszów.

— Może dosyć? — szepnęła Ewa.

Odwrócił ku niej oczy zamglone, smutne i senne. Ujrzała, że grube krople potu okryły jego czoło, łysinę i zagłębienia koło nosa.

— Jeszcze tylko chwilę... — westchnął.

Książeczkę z dwunastoma tysiącami schował do kieszeni, a dwanaście tysięcy *enjeu* porozstawiał to tu, to tam ruchami zdecydowanymi, aczkolwiek nad wszelki wyraz obojętnie. Wyglądał, jak człowiek, który napewno wie, co czyni, gdyż tak musi. Kilka jego papierów kasyer zagarnął, ale na inne rzucił mu w dwójnasób. Wystarczyło tego na stawkę z dwunastu tysięcy. Nowa wygrana. Jaśniach wygraną schował w kieszeń, a tę samą stawkę przesunął na *noir*. Cały stół począł interesować się jego grą. Szczęście znowu dopisało.

Croupier z jadowitym uśmiechem rzucił mu nową paczkę. Jaśniach schował ją do kieszeni i raz jeszcze zaryzykował tę samą sumę. Ewa patrzyła znieruchomiałemi oczyma, z zapartym oddechem na szalone szczęście gracza. Serce prawie nie biło. Zgnieciona pustka stworzyła się w piersiach. Dokoła stołu szeptano, gdy nowa wygrana znikła w kieszeni Jaśniacha.

— Dosyć! — kazała Ewa.

— Jeszcze ten... jeden... Jeśli...

Tym razem grabki kasyera z dość widoczną skwapliwością zagarnęły przegrane dwanaście tysięcy.

— Dosyć... — zdecydował Jaśniach.

Wyszedł z tłumu, ścigany szyderskiem spojrzeniem croupier'a i szeptem, sykiem, zabójczym śmiechem nienawiści całego tłumu.

— Pięćdziesiąt dwa, pięćdziesiąt trzy... — mówił do Ewy, idąc powoli, ociężale ku wyjściu. — Cóż to znaczy w stosunku do tego, coby trzeba...

— Lepiej może było mieć to, co przed godziną?

— Nie, lepiej jest mieć to, co teraz. Ale to mało.

— Zarobić w ciągu kwadransa pięćdziesiąt kilka tysięcy franków — to mało!

— Pan Rockfeller, pan baron Rotszyld w ciągu każdej godziny...

— Ach, co to mnie obchodzi! Chodźmy już stąd!

— Chodźmy, chodźmy...

Ewa ani się spostrzegła, kiedy się znalazła w przedziale wagonu, zdążającego do Nicei. Jaśniach siedział naprzeciw niej. Był spokojny. Milczał uparcie. Głowa jego chwiała się i drgała, zależnie od skoków pociągu. W pewnej chwili nachylił się i zapytał:

— Proszę pani—do kogo właściwie należą owe wygrane pieniądze?

— Do pana. Odda mi pan trzy tysiące — z potrąceniem za wino i bilet w windzie.

— No nie. Takim znowu łapserdakiem nie jestem.

— Ja nie potrzebuję tych pieniędzy.

— A gdzie pani właściwie mieszka?

— Hotel *Suisse*.

— I długo tu pani myśli zabawić?

— Nie wiem. To nie zależy ode mnie.

— Bo widzi pani...

— Cóż tam nowego?

— Widzi pani — byłem już raz na Korsyce. — Gdyby się tak pani zgodziła...

— Pojechać tam razem z panem?

— Razem ze mną. Jabym tam pani opowiedział.

— I tu można bardzo wiele opowiedzieć.—Nikt nie przeszkadza.

— Nie, tu podle. Stamtąd — do kraju.

— Cóż pana tak ciągnie do kraju.

— Widzi pani...

— To niech pan sobie wraca.

— Teraz jeszcze nie mogę. Jeszcze śmierć mam w kosteczkach. Szpik w kościach zmarzł. — Muszę odtajać.

— Pan jest jakieś niezmierzone czupiradło.

— Bagatela!

— To też wie pan co: rozstańmy się na dworcu w Nicei. Dobrze.

— Jutro odchodzi statek na Korsykę o godzinie piątej. Tak się dobrze składa. Jechałoby się, jak przez Kocytus pod przewodem cudnego widzenia. Niech pani przyjedzie do nicejskiego portu. Pojedziemy do miasta Ajaccio. Ja swoim dworem, pani swoim. Mamy wspólne pieniądze.

— Mówiłam, że to są pańskie pieniądze.

— Wszystko pani wytłómaczę. Owszem, jeśli je pani przeznaczy, to je wezmę.

— Jakto — „przeznaczę“?

— Potem. Wytłómaczę na Korsyce.

— Ale pan już się mną rozporządza, jakbym była pańską żoną.

— Albo „kochanką?“ Nie, pani. Ja się w pani nie będę kochał, nawet się nie będę umizgał. Może, (a nawet z pewnością!) napiszę jaki misterny sonet na wieczną cześć włosów pani, ust, oczu, ale stąd do miłości olbrzymi kawał drogi. — Będzie to może ładne, jak u Owidyusza, albo Petrarki, ale zimne...

— Jak to pan wszystko wie, jak będzie i co będzie.

— Bo ja wszystko wiem. Zresztą pani mi darowała życie. Kto pani jest? Skąd pani przyszła do tej tawerny? Tego nie wiem.

— Przyszłam na nogach — z morza. Wie pan? Napewno z morza. A otóż i Nicea.

— Zaraz poznałem, że w pani jest zawarty płomień, przenikający wszystko na ziemi, — Agni ksiąg wedyjskich.

— Żegnam pana.

Wyskoczyła z pociągu i rzuciła się w tłum osób, zdążający ku tramwajom.

Nazajutrz o godzinie czwartej przyszła do portu. Padał drobny, rzęsisty deszcz. Pełne morze było siwe od pian. W zatoce panowała wprawdzie cisza, ale było

ponuro i groźnie. Kadłuby statków przybyłych, wciąż dyszące i ociekające zużytą parą, wielkie żaglowce z mnóstwem poprzecznych rej, płaskie łodzie pełne słupów marmuru i płyt ciosowego kamienia, mnóstwo pak, beczek, kuf, worów. Ewa brnęła wśród bagażów po mokrem wybrzeżu i już zdala ujrzała Jaśniacha.

Zbliżał się do budki kasyera odchodzącego statku, ulokowanej na wybrzeżu. Ewa dała mu znak ręką, żeby się zbliżył. Gdy nadszedł, niemal bez przywitania zażądała, żeby jej zwrócił pożyczone wczoraj trzy tysiące franków. Poeta zaczął rozpinać dziwnie obszerny *waterproof* i wykopywać z głębokiej kieszeni pugilares.

W trakcie tych czynności zapytał:

— Więc to pani nie pojedzie?

— Oczywiście, że nie pojadę.

— Mam pani oddać połowę — dobrze?

— Czego połowę?

— Wygranej. Dwadzieścia siedm tysięcy.

— Ma pan mi oddać moje własne trzy tysiące. Cóż za piła!

— Niech pani weźmie sobie połowę. Mnie te pieniądze i tak nie zbawią, bo to na mnie mało. Za dużo znowu, żeby przeżyć. Może pani zrobić coś dobrego.

— No więc — mówiła po głębokim namyśle — niech mi pan pożyczy jeszcze dziesięć tysięcy.

— Służę.

Wzięła trzynaście banknotów po tysiąc franków, kiwnęła Jaśniachowi głową i odeszła. W pewnej chwili stanęła i obejrzała się przez ramię. — Spostrzegła, że dziwadło stoi na miejscu i patrzy za nią. Rzekła głośno:

— O której odchodzi statek?

— Za godzinę z górą.

— Może tu jeszcze przyjdę pożegnać się z panem.

— Czekam.

Poszła szybko. Pewien właściciel karetki, który odwiózł pasażera do portu, zaproponował, żeby wsiadła. Wskoczyła do pudła i kazała się zawieźć do hotelu *des Anglais*.

Wbiegła szybko do hotelowego *parlour* i kazała lokajowi poprosić hrabiego Szczerbica. Za chwilę wezwany stał przed nią. Dziwne zdumienie targnęło jego twarz.

Ewa przystąpiła bliżej i podniosła na niego oczy szczere i czyste. Dość długo nie mogła mówić ani słowa. Nareszcie oświadczyła:

— Przyszłam prosić pana o łaską, o łaskę!

— Wszystko!

— Przyszłam prosić, żeby pan zechciał wziąć odemnie z powrotem, com od pana pożyczyła.

— Ach! — westchnął. — Z ochotą.

— Ileż jestem panu winna? Przepraszam, przepraszam za to pytanie po stokroć, po milion razy!

— Wygrała pani?

— Wygrałam.

Począł liczyć w pamięci, patrząc w okno. — Kilkakroć pociągnął ręką po czole.

— Wczoraj pięć tysięcy... dopomogła.

— Tak... A tak! Wczoraj pięć tysięcy.

— W Warszawie pięćset rubli.

— Tak, w Warszawie pięćset rubli.

— Droga...

— Wie pani — nie mogę tak na razie. Ja obliczę — i powiem jutro.

— Nie, jutro nie! Wie pan? Oddam teraz dziesięć tysięcy franków.

— Nie należy mi się tyle!

— Jeżeli będzie cokolwiek nadto—bełkotała pospiesznie — to po obliczeniu zwróci pan Niepołomskiemu, albo... mnie samej. Jeżeli będzie za mało, to dodamy. Zgoda? Dziś bardzo mi się spieszy. Bardzo mi pilno. Pan to zrozumie i przebaczy!

— A dokądże pani tak dąży?

— Spieszę się, muszę coprędzej!

Przelotne zwróciła na niego spojrzenie, gdy stał po drugiej stronie fotela blady, jak trup, z oczyma wbitemi w ziemię.

Wsunęła mu w rękę paczkę pieniędzy. Nie oponował.

Tylko ręce jego drgnęły, a brwi zsunęły się szybko. Miała już odejść i uczyniła ruch ku przerwaniu tej rozmowy.

Wtedy to cicho wymówił, nie podnosząc oczu, słowo po słowie:

— Niech pani pójdzie do mnie. Mieszkam tutaj, na piętrze.

— A pocóż to ja do pana?—spytała z naiwnem zdumieniem.

— Niech pani ze mną zostanie!

Zaśmiała się zcicha, maleńkim, szyderczym śmiechem, w którym zmieściło się morze naigrawania.

— Tem się skończyła opieka nademną! Nad „moją miłością!“

— Tem!—rzekł.—Tem się skończyła! Kocham się w pani. Zostań ze mną! Bądź moja. Rzucę wszystko: ten tam kraj... Sprzedam wszystko i tu zamieszkam. Otoczę cię zbytkiem, szczęściem, rozkoszą. Nie znasz tego wszystkiego, więc nie możesz pogardzać. Pojedziemy do Paryża. Będziemy tam mieszkać razem. Utoniemy w tem boskiem mieście. Chcesz? O, boska moja, o przecudna! Bez ciebie niema życia na tej czarnej ziemi, bez ciebie niema powietrza, niema słońca!—Bez ciebie jest śmierć na ziemi! Cóż ja mam począć? Zdradzam? Tak, zdradzam. No, tak, zdradzam—do wszystkich dyabłów! Ty zdradzisz? No tak! Ale będziemy szczęśliwi! O, dziecko! Będziesz szczęśliwa—to ci przysięgam na cienie mojej matki! Poznasz szczęście! Szczęście wesołe, radość życia! Pocóż masz cierpieć, ty, najpiękniejsza z kobiet na świecie, ty, stworzona do raju, ty, Ewo! Pomyśl! Cóż nas mogą obchodzić wszystkie religie, prawa, przepisy, ojczyzny, kodeksy?

— Panie hrabio...

Począł szeptać jednym tchem, chwytając powietrze ustami:

— Wynajmiemy willę w Antibes, w Awignonie—gdzie zechcesz! A teraz pojedziemy do Paryża. Zobaczysz Paryż na wiosnę. Ujrzysz przepych, skosztujesz, co to jest potęga pieniędzy! — Będziesz się ubierała u Wortha, albo u Paquina, u Rouffa, albo u Raudnitza—gdzie zechcesz. Na twe usługi będzie Lebouvier, Doucet i Callot!—A jeśli cię to znudzi, czy zmęczy—

pojedziemy znowu nad morze, na wyspę White, na Majorkę, albo na Sycylię... Ewo! gdy patrzę na ciebie, serce mi pęka ze szczęścia! Gdy ciebie niema, łamię ręce po całych dniach i tłukę się z kąta w kąt po całych nocach. Uśmieszek twoich maleńkich ust przebywa w mych piersiach, jak światło w ciemnej pustce. Twoje włosy są wiecznem pragnieniem moich ust. Twoje oczy, które na mnie nigdy nie patrzą, mieszkają wiecznie w mojem spojrzeniu. Ja oprócz ciebie nie widzę nic na ziemi! Kocham się w tobie! Miłuję cię nadewszystko! Zlituj się!

Ocknęła się, jak ze snu. Była uśmiechnięta a miała pełne oczy łez. Szybko, jak złota błyskawica, mignęła we drzwiach i znikła w wichrze i deszczu ulicy. Szczerbic runął na kanapę.

Ściskał konwulsyjnie czoło rękami...

Biegła szerokim, mokrym chodnikiem promenady *des Anglais*, marząc wpół przytomnie.

— Pojadę na ową Korsykę... Pojadę! Ucieknę z tem czupiradłem! Schowam się przed Szczerbicem. Brr! Już mu oddałam pieniądze! Kazałby mi rozbierać się do naga — nie, nie! Za nic na świecie! Nie chcę już za nic na świecie!

Wbiegła do hotelu *Suisse* i dostała się windą na swoje piętro. Kazała podać rachunek i zapłaciła należność, zmieniwszy tysiąc franków. Rzeczy miała mało i wszystkie prawie w walizie. W kilkanaście minut była gotowa.

Stary tragarz zjechał z nią windą i poniósł walizkę na plecach. Szła za nim w deszczu, w szarugę,

lekce sobie ważąc wszystko, co się dzieje. Czuła jedno, że dobrze robi, uciekając od Szczerbica. Gdyby nawet nie chciała, musi.

Cóż pocznie ze sobą? Gdyby tu została, Szczerbic by ją zwyciężył. Zwyciężyłby na pewno! Miły, słodki... biedny Szczerbic! Jeszcze przed sobą widziała jego oczy dzikie, zbielałe, obłąkane. Jeszcze miotały się przed nią jego prześliczne, białe ręce. Tak, teraz błąka się po swym pokoju, tłucze się z kąta w kąt, łamiąc te piękne, białe ręce. Musiałaby uledz jego waryackim prośbom, gdyby tylko została w tej przeklętej Nicei.—Jakże można było nie widzieć, co to się dzieje, do czego to zmierza! Dawał pieniądze, a ona brała, podła waryatka!

Któż to daje pieniądze za darmo, któż za nic bierze pieniądze? Straszliwe słowo znowu przemknęło przez mózg w drganiach bólu. Ludzie, podli ludzie! Ukuli na siebie kajdany i sami się w nie zakuwają. Można przejść przez najwstrętniejsze bagno i zostać czystą, jak gronostaj, ale nie można wyjść czystą z pomiędzy ludzkich sądów.—Ukamienują, „koniecznie ukamienują...“ O, jak bezmierną łaskę wyświadczył jej Jaśniach! Wyrwał ją z toni, wydźwignął z przepaści, wykupił z objęć Szczerbica! I cóż to za przedziwne zrządzenie losu: ona wyrwała mu z ręki rewolwer, a on ją odwiódł od ślicznych ust Szczerbica.

Sam zaś nie jest niebezpieczny — och, nie! — Gdyby nawet Łukasz zastał ich mieszkających w jednym hotelu, nie przerazi się. Zresztą ten Jaśniaszek oświadczył, że kochać jej nie będzie.

Szła szybko, coraz szybciej w te tropy za posłańcem. W pewnej chwili przypomniała sobie radosną myśl:

— Już nie jestem winna ani grosza Szczerbicowi. Ani grosza! Ani fenia! Przeciwnie, on mi jest winien. Czyż to nie cud? Co więcej—nie jestem winna i Jaśniachowi. Przeciwnie, jeszcze on mi jest winien— i to ile! W gruncie rzeczy nie wygrałam w Monte-Carlo. To on tam wygrał.

Zastanowiła ją ta dziwaczna myśl: oto, jak ciche widziadło, ukazała się w oddali świątynia złotego cielca na skale w Monte Carlo.

— Nie jesteś tak znowu bardzo zbrodnicza, świątyńko...—marzyła. — Mnie nieszczęśliwej przyniosłaś wyzwoliny.

Tragarz przynaglał do pośpiechu, gdyż syrena statku raz wraz rozlegała się, nękając wrzaskiem całą dzielnicę. Ewa pobiegła w kierunku budki kasyera. Było już późno i kasyer, stary wiarus rzeczypospolitej, z wymówkami i oficerskimi dąsami raczył wpisać na kartę nazwisko Ewy, sto razy dopytując się o nie i sto razy dziwując się, że takie nazwiska mogą egzystować na kontynencie europejskim.—Nareszcie załatwiono wszelkie formalności. Ewa dostała się na pokład i umieściła swe rzeczy. Wskazano jej kajutę, gdzie miała mieć za towarzyszki dwie czarnookie i czarno odziane Korsykanki.

Jaśniach stał na pokładzie. Przybycie Ewy powitał obojętnem spojrzeniem, jak gdyby najnaturalniejsze i zdawna obmyślane zjawisko. W gumowym płaszczu i czapeczce podróżnej wyglądał, jak zielony topielec, wydobyty przed chwilą z dna zatoki. Zapoznawszy się z kajutą, Ewa wyszła do niego na pokład. W porcie było zimno i obmierzle. Wszystko zostało zalane błotem, czarne od rozmiękłego węgla i ślizkie. Żelazne łańcuchy windy parowej wciąż jeszcze warczały i dzwoniły nieznośnie. Skrzynie towarów, padając na dno statku, wprawiały go w stan drżenia. Nareszcie odsunięto pomost. Odczepiono statek i, wydawszy wiele gwizdań, syczeń i pomruków, puszczono w ruch maszyny.

Długo Ewa zajęta była fizycznie tem, co się działo ze statkiem: lawirowaniem wśród innych stateczków, galarów i parowców. Nareszcie ujrzała ze zdziwieniem, jak dwie latarnie strażnicze z prawej i lewej strony poczęły zbliżać się szybko do statku. Ujrzała morze— wzdłuż położone, ujrzała idące fale. Ciemne chmury zwisały nad łanem morskim. Gdzieś w niedościgłej odległości słabo bielała jaśniejsza pręga. Z każdą chwilą równiny morskie stawały się twardsze. Wydało się, że jest to brunatna, sucha ziemia, porznięta w olbrzymie, nieprzejrzane skiby i bryły. Ale oto skiby poczęły łamać się, pękać i spinać jedna na drugą. Sucha rola zmieniła się w oczach w złomy granitu. Ciemnowodne tafle i bryły odziały się w piany i strzeliste bryzgi. Ląd, białe miasto Nicea, szereg świateł na długiej promenadzie angielskiej, daleka, daleka morska latarnia...

Oto jej błysk—raz—raz. Wszystko poczęło wyginać się, zwężać i biec chyżo ku sobie. Nagle dziwne, bolesne ściśnienie serca, ściśnienie nieznośne... Wszystko, cokolwiek jeszcze wzrok pochwycić może,

spajać się poczęło w jedno słowo, w jedno jedyne... Szczerbic...

Wiatr zadął ze wschodu. Stało się znagła zimno.

Parowiec jął wznosić się ruchem od przodu na tył, jakby się wspinał na grzbiet rumaka i jego skokami.

W piersiach szloch za znikającą ziemią,w czaszce głucha nieświadomość, oczy ze zdziwieniem a później ze straszną trwogą poczęły przywierać do fal, wznoszących się wyżej i wyżej, jak śpiczaste dachy.

' Ewa zeszła do sali jadalnej, stanowiącej zarazem salon statku, i kazała podać sobie filiżankę mocnej herbaty.

W pobliżu siedział gruby obywatel korsykański, którego już była zauważyła z tego powodu, że bez przerwy jadł, tudzież pił. I obecnie wciąga *birrę* z beczkowatego kufla ogromnymi haustami. W rogu salonu tuliły się trzy niewiasty. Zaledwie kelner przyniósł w filiżance jakąś dziwną, czarną i gęstą niemożliwość, gdy obywatel zajadacz doświadczył nieprzyjemnego (i to nietylko dla niego) uderzenia waporów pokarmowych do gardła, uderzenia, które w okolicach miasta Kielc (trudno zdecydować czy trafnie i z jakiego tytułu) zwie się *hepaniem*. Za pierwszym atakiem nastąpił niezwłocznie drugi, znacznie intensywniejszy. Pożeracz jadła i popijacz piwa spojrzał na całą okolicę wzrokiem szczególnie badawczym, jakie też to, co się stało, wywiera wrażenie, a wistocie rzeczy nie zwiastującym nic dobrego. Przez czas pewien wydębiał ze siebie jakoweś zduszone, okropne jęki i wycia, oraz częstotliwe gdakania, aż do chwili stanowczej. Ewa z podziwem zobaczyła, jak nagle zatkał sobie ogromną dłonią jamę ustną, wywalił na wierzch oczy i, rycząc po oślemu, runął przed siebie. Naprzód pędził wprost na Ewę, później zatoczył piorunujące półkole, huknął się ramieniem o drzwi, prowadzące do bufetu. Stamtąd, jak kula bilardowa poleciał ku kajutom i na szczęście znikł w jednej z nich za portyerą.—W tejże chwili dały się stamtąd słyszeć takie głosy, że Ewa z samego współczucia doświadczyła nudności. Spojrzała na Korsykanki, siedzące w rogu sali, i spostrzegła, że wszystkie trzy będą za chwilę chorowały, jak na komendę.

Wówczas wskok uciekła do swej kajuty, wdrapała się na górną szufladę, zwaną łóżkiem przez usłużnego portyera, przyłożyła głowę do ściany i zastosowała swą skołataną osobę do kaprysów statku. Kołysanie jego było zmienne, jak jej własny los. Zdawało się natrząsać z bezsilności człowieka. Kiedy bowiem zaczynał już zanadto męczyć i nużyć jednostajny, nieznośny sam przez się ruch statku z tyłu naprzód, uderzała z boku dla rozmaitości fala nieznana, jakby dla spowodowania ostatecznego zawrotu głowy.

Ponieważ jednak wszystko można przetrzymać (z wyjątkiem, oczywiście, samej śmierci), więc Ewa przetrzymała figle statku i wyszła z pośród nich z honorem, aczkolwiek i ze skłonnością do mizantropii. W sąsiednich kajutach rozgłośnie cierpiano.

W tym czasie doświadczała uczucia wstrętu i do samej siebie. Miała odrazę do wspomnienia ostatniej rozmowy ze Szczerbicem. Nie mogła wyznać tego przed

sobą, ale w istocie rzeczy sprawiały jej niejaką uciechę afekty hrabicza. Nie wiedząc niby, wiedziała o jego uczuciach. Była ich pewna. Przywykła jeszcze w Warszawie do faktu, że on w niej kocha się beznadziejnie, „platonicznie". Ani razu nie myślała o tem na seryo, ale miała go w myślach za swego człowieka, w taki sam sposób, jak się jest pewnym swego zdrowia, nigdy o tem nie myśląc i nic o tem nie wiedząc. Jeżeli co było w tym stosunku świadomego, to mniemanie, że on nigdy nie przekroczy granicy opieki, idealnej rysy, którą sam swem słowem honoru nakreślił. Było dawniej tak przyjemnie czuć się w pewności (nie myśląc o tem), że Szczerbic jest zawsze na rozkazy, zawsze jednako patrzy, zawsze jednako milczy, zawsze tak samo wszystkie trudności usunie! Głęboki, mądry, subtelny własny jej kontuś, miły przyjaciel, bezinteresowny opiekun. Miłoby było dawniej nawet poafiszować się z nim odrobinkę: niechże tam sobie rozmaici Horstowie i inna hołotka myśli i gada, co zechce. W gruncie bowiem rzeczy nie było nic, tylko jakaś wykwintna koleżeńskość, zrozumienie się w stanach duchowych, możnaby powiedzieć krótko, dla zwięzłości: dyskretna a jednostronna miłostka. Teraz wszystko najbrutalniej rozdarło się, jakby ktoś muślinową, krótką sukienkę dziewiczą nagle pijacką ręką zadarł do góry. Zapraszał mię poprostu do jakiejś willi w Antibes! Wygrał sporo w Monte, więc zapragnął nająć sobie pannę, wziąć na utrzymanie dziewczynę, z którą tyle dotychczas miał ambarasu. Zrobił to bez zabiegów,—prosto i otwarcie.—Chcesz

pójść do mnie na utrzymankę? — dobrze, mogę cię wziąć, aczkolwiek wiem o tobie wszystko.

Tak, on wie wszystko—pomyślała naraz zupełnie inaczej, w głuchem, złodziejskiem unicestwieniu.—Jeśliby zechciał mścić się, toby mógł, ile się zmieści.

Zakryła twarz rękami i z ulgą oddała się morzu na samowolne kołysanie. Poczęło ją morze kołysać na swych wieczystych falach. Wynosiło ku górze, niby można ręka, piastująca małe dzieciątko, które nic jeszcze nie wie, i przerzucało przez wysoki grzbiet, dźwigało znowu i niosło—het-het!—niosło...

Pragnęła myśli odmienić, ale nie dawały oderwać się od Szczerbica. Nie mogła tego spostrzedz w sobie, ale to z nią było w istocie, że głęboko bolała z rozczarowania. Taki to był ów Szczerbic... Po to wszystko urządził, dlatego był układny, wspaniałomyślny, bohaterski, dumny, żeby tem pewniej i niezawodniej zdobyć. To także środek... Przez chwilę nie czuła nic... Aż oto nagle—zdziwienie, jakby się odwaliło dno statku, a ona leciała w tonie morza:—tęsknota do jego białych rąk, do oczu pełnych rozpaczy, do skrzywienia w męczarni łagodnych ust... Mogłaa to wszystko uciszyć jednem skinieniem—i nie uciszyła..,

Przez chwilę znowu leżała bezuczuciowo. Aż nagle gdzieś na szczycie nowej fali wytrysło z duszo nowe uczucie goryczy, a tak głębokie, jakby wychodziło z rany, przeszywającej duszę. To zdrada, to postępek Szczerbica nagle stał się lustrem, w którem zobaczyła postępek Łukasza. Nie myślami, lecz raczej w chwili przebolesnego błądzenia serca po omacku

uczuła, że Łukasz tak samo dbał tylko o jej uściski, o pieszczoty, o „zwierzęcą“ uciechę.

Przypomniała sobie wyrafinowanie w rozkoszy, którego ją powyuczał. Przypomniała na zimno te słowa szczególne, lubieżne, okropne, słowa o przerażającej głębokości i władzy, słowa potwory, które wówczas były koniecznem dopełnieniem radości, ostatecznym przysmakiem i etykietą szczęścia. Nagłe uderzenia rzucały statkiem, jak gdyby go chciały strącić z obranego toru i cisnąć w odmęt.

Stopniowo ogarniało Ewę ciche drzemanie, pełne widzeń, przypomnień przelotnych, odczuć tego, co już nie istnieje. Warszawa... Kwietniowa noc... Rojowisko ludzi w ulicach... Podłe prace, które ludzie dla wygody innych dźwigają, wloką, ciągną. Młode dziewczęta, biedne woły w jarzmie... Trudzą się i szamocą, żeby wcześniej, czy później, zostać ofiarami kawalerów... Iść w służbę do tych mężczyzn, do tych łotrów i zapewniać im uciechy...

Spała snem, w którego ciągu wie się o jawie, słyszy i widzi wszystko. Około godziny trzeciej w nocy dało się słyszeć długotrwałe gwizdanie. Statek zbliżał się (i wszedł wreszcie) do portu Calvi już na Korsyce. Ktoś o tem mówił za portyerą kajuty. Ewa zerwała się z szuflady i wyszła do sali, a stamtąd na pokład. Deszcz drobny, rzęsisty wciąż padał. Błękitna, nieruchoma smuga latarni morskiej przerzynała czarną noc i czarną wodę zatoki. Wszystko absolutnie ginęło w mroku, nie wyłączając brzegu, gdzie błyszczał jeden jedyny oświetlony prostokąt — prawdopodobnie drzwi szynku. Ruchome

figury gęstej ciemności, czyli kapitan i ktoś drugi w gumowych płaszczach z wciągniętymi na głowy kapturami, stukając olbrzymimi buty o cholewach do pachwin, przesunęły się w świetle latarni. Gadali coś pomiędzy sobą po korsykańsku, czy owo zgoła po morsku, gdyż zrozumieć tego dla osoby płci żeńskiej z Królestwa nie było sposobu. Kilka łodzi zachlupało u brzegów statku dla zabrania pasażerów, poczty i towarów. Łodzie te zabrały i schorzałego grubasa, który wciąż jęczał, wydawał krzyki niespodziewane i wciąż jeszcze znosił karę za swe prostoduszne obżarstwo, tudzież piwne opilstwo. Kiedy go już postawiono nogami na lądzie, kiedy już uchwycił się rękoma zbawczego słupa latarni, jeszcze i tam piał, jak kura chora na pypcia i wciąż jeszcze wymiotował bezpośrednio w morze Śródziemne. Latarnie zginęły, gwar przewoźników ucichł. Nie było co robić na mokrym, ociekającym wodą, ślizkim pokładzie. Ewa zeszła do kajuty. Położyła się na legowisku i natychmiast zasnęła snem kamiennym. Kiedy statek wyszedł z portu, był już jasny dzień, godzina szósta. Ewa ocknęła się, ubrała i poszła na górę. Zaledwie z otworu, prowadzącego na pokład, wysunęła głowę, ujrzała długi, zachodni brzeg Korsyki, lecący przed oczy w nieskończoną dal. Została tak na schodach przez długą chwilę, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Było to niewiarogodne widziadło. Nigdy sen nie mógłby być tak fantastycznie piękny. Ledwie ockniona patrzyła w ten widok, na poły wierząc temu, że sen już się skończył, a to, co się widzi, to już jest jawa. Olbrzymie łańcuchy gór ślepymi złotami, nakreślonymi przez skoki piorunu z wyżyny

w dół spadały tam w morze. Chropawe, dzikie, bezpłodne skały, ledwo, ledwo porosłe nizką zielenią, — góry rude, szaro-popielate, czerwonawe, błękitne, granatowe, — jedne za drugiemi, — bez końca! W wyżynie, na ich łańcuchu, na szczerbach poprzecznych — biała, osierocona i bezradna chmurka, przejrzysta, jak ogon komety. Wargi Ewy poczęły szeptać dawno — dawno, od szkolnej ławy uwięzły w pamięci przecudny wiersz Lermontowa o chmureczce, co nocowała była w szczelinie góry granitowej... Rzęsiste łzy popłynęły z oczu na bezcenny widok tego wiotkiego i zwiewnego obłoczka, obrazu dawnego jej życia. — Już niema takiej Ewuni... — cicho jęczały usta.

W podnóża prostopadłych ścian trzaskały się i pieniły, lecąc z oddalenia szalonymi skoki, poranne fale morza. Wełny najprzezroczyściej niebieskie, nagle i w tejże samej chwili najintensywniej zielone, tryskające bryzgami białemi,—co, jak oko zasięgnąć zdołało, obsiadły skałę fałdą ruchomą śniegu. W jasnem powietrzu unosiły się nad statkiem wielkie, białe rybitwy. Co chwila któraś z nich rzucała się z piskiem w ogromny warkocz zielonych fal, zostający na szlaku statkowym. Już z dawna wstało słońce, ale go za łańcuchami gór Korsyki nie było widać. Fale w oczach przybierały kolor damasceńskiej stali. Góry w świetle stawały się coraz groźniejsze. Otwierały się przed oczyma ich nieprzejrzane wnętrza i trzewia, ciosane toporem wieczności. Urok ich dziki ścigał się w oczach z urokiem morza. Oto ukazał się widzialny zewsząd, olbrzymi cypel czerwony, nagi od stóp do głów, jakby był stosem gliny, spalonej na kolor cegły. W szwach tylko tej góry czerwonej —Monte Rosso,—którymi wody z wyżyny ściekają, a które muszą być groźnymi parowy, zieleniła się jakaś roślinność.

W łańcuchu szczytów, szeregiem, jeden za drugim idących, ukazała się na najwyższym cyplu okrągła wieża dziwnego kształtu, coś, jakby wielki moździerz, otworem zwrócony ku górze. Słońce na tej wysokości padało na czarne głazy bastyonu i krzywy jego kształt dziko lśnił w szerokiem niebie. Ewę popchnął naprzód niewymowny zachwyt. Tajemnicza strażnica, usadowiona tam, na wysokościach łańcucha granitów, nad tem morzem bez końca wściekłem i huczącem, nad ziemią bezludną i bezpłodną, była najwyższym wyrazem bezczelności człowieka, była, jak jego krzyk zuchwały, rzucony w słońce, w poświsty wichru pełnego morza i w głębię ziemskich przepaści.

Ewa szła przez pokład, oddając się coraz bardziej urokowi dzikiej na górach amfory. Przypadkiem rzuciła oczyma w innym kierunku i spostrzegła Jaśniacha. Siedział sam na ławce wyższej części pokładu. Ręce jego leżały na balustradzie statku, płaszcz był rozpięty, czapka zdjęta z głowy. Ewa doznała ściśnienia serca na jego widok. Nie był to człowiek, lecz literalnie—pajęczyna. Czaszka, zapadłe oczy, kości twarzy, wychudłe ręce. Teraz na tej twarzy wyschniętej i posępnej leżał nieruchomy uśmiech zachwytu. Bandos miał oczy wlepione w strażnicę na górach. Gdy Ewa podeszła bliżej, tylko przelotnie i z widomą niechęcią rzucił na nią okiem. Po chwili mówił:

— Jakże pani... się czuje?

— Nieźle. Panie, a co to za wieża?

— Ba! Żebym to wiedział!

— Od czegóż pan jest jakiś tam... pisarz?

— Od tego, żeby wyd(ł)awcy mieli przecie co obdzierać.

— No, dobrze, ale kto mógł wynieść na te straszliwe góry taką nową górę?

— Jakieś to musiały być morowce! Pewnie jacy, mniej zresztą obyci w świecie, Ligurowie, może Kartagińczycy, stamtąd, z południa, — może Rzymianie.

— Wszystko... może... ale po co?

— A po to, żeby czatować na szanownych bliźnich, których się kocha, jak siebie samego. Bliźni czasem skradał się pod te skały, albo plądrował w dolinach.

— Ktoby tu mógł co ugryźć, którędy lądować?

— A jednak pchali się tutaj najrozmaitsi — panowie Wandale (— takichbym chciał zobaczyć!), Ostgotowie, Grecy z Bizancyum, Frankowie, Saraceni, nie mówiąc nic o rozbójniczych frantach z Pizy, Lucc'i, a osobliwie z Genui. Ach, śliczna pani! cóż to za wieża... Ona jest może nawet tak piękna, jak pani.

Wyobraźmy sobie drabów, którzy tam siedzą, sołdatów, którzy czatują, patrząc w to przecudne morze i oddychając wiosennym zapachem macchii. Jakie musieli mieć oczy, jakie uśmiechy... Czy pani pamięta pieśń, którą śpiewali...

— Z trudnością mi to przychodzi pamiętać.

— Ich pieśń o morzu, o skałach, o żołdzie możnych panów z Lucci! A wyobrazić sobie kawalerów, którzy żeglują z daleka na swych galerach, schłostanych

Całą prawdę wiemy o tem my jedni, poeci.

Tę zbójecką wieżę tam na wysokościach wzniosły, dla obrony interesów kupców z Genui, spracowane ręce ludu. Nie budowali jej handlarze w atłasach i bisiorze, lecz strudzona brać kamieniarska, żołnierze, zbóje — przeciwko braciom swym, tak samo półnagim, — żeglarzom, żołdakom, zbójcom morskim, tak samo zostającym na żołdzie czyimś, jak oni sami...

— A gdzie też ja jestem, poeto? — spytała Ewa z drwiącym uśmieszkiem. — Gdzie się przytulę. Pan już sobie znalazł stanowisko — i wcale niezłe — (Tyrteusz...). Pan jest z ludu, w tym oto płaszczu zagranicznym i cudzoziemskiej czapeczce, wzorowanej na czapeczkach lordów angielskich, którzy z próżniactwa podróżują, — ale ja?...

— Można być w eleganckim kostyumie i żyć w rzędzie ludu, a można być w strzępach, gałganach, boso i z gołą czupryną, a należeć do „burżuazyi".

— No, to już są, przypuśćmy, *des* figle mądrości...

— Bynajmniej. Jakiś, dajmy na to, „poseł do dumy", quasi-chłop, choćby wdział cztery najbardziej cuchnące sukmany, dwie czapki baranie i wetknął w nie trzy pawie ogony, będzie i tak fagasem renciarzy rolnych, podczas gdy elegant w surducie z angielskiego kortu i we francuskim szapoklaku będzie stał w rzędzie ludu, jeżeli tam stanie duchem. Mnie się coś zdaje, że i pani, pomimo swej wykwintności, należy do nas. Bo lud, jak to sformułował w nieśmiertelnem prawie swem wielki poeta, — to „człowiek cierpiący, człowiek tęskniący i człowiek wolny na duchu". Jest w naszej

przeszłości pewne imię, które dla mnie jest światłem w ruinach: — Stanisław Worcel. Litewski magnat, wykwintny i subtelny pan, który zstąpił w lud i stał się jednym z ludu...

— Gdybyż to tak rzeczywiście było! Gdybyż to można do czegoś należeć, jak fala należy do morza! Gdybyż można uwierzyć, że jest jakiś olbrzymi lud, który czuje wraz ze mną...

— Lud-Duch... podszepnął Jaśniach zsiniałemi wargami.

— Lud-Duch... — powtórzyła z uśmiechem. — Gdyby uwierzyć, że on to złamie wszelkie kajdany, a umierającym dźwignie głowę strudzoną, złoży ją na swem łonie i twarz ich szlachetną obróci ku niebu. Och, Boże! Czuć się w rodzinie myślami nieogarnionej, krążyć w niej, jak fala krąży w morzu! Być tem samem, czem są w tem morzu wszystkie inne fale, a być sobą,— falą wolną, falą wspaniałą i piękną, którą wyniosła piana wieńczy! Bo pan nie wie, — mówiła, — co jest samotność. Samotność jednej jedynej kobiety, która jest sobą. To jest, jakby się było w tem oto morzu chrabąszczem, który na swoim dziurawym liściu chuśta się po falach. Ja wiem, co znaczy być samotną w całym rodzaju ludzkim. Więc gdzież jest ów pański lud?

— Trzeba go szukać wokoło siebie oczyma pełnemi zapału i pełnemi uniesienia, gdyż tylko prawdziwe uniesienie może człowieka spoić w jedno z ludem. Uniesienie długo trwające jest to ów z Apokalipsy „kamyk biały, a na owym kamyku imię nowe napisane, którego nikt nie zna, tylko ten, który je przyjmuje...“

Statek odbił się od wybrzeża i, skierowawszy bieg swój na zachód, zataczał w morzu rozległe koło.

Ukazała się w grzywach pian latarnia morska, stercząca na wysepkach *Iles Sanguinaires*, które wystają z fal śpiczastymi cyplami. Statek wyminął te wyspy i wszedł w granice zatoki Ajaccio. Fale tam były słabsze i coraz bardziej słabsze. — Morze pod ciepłem słońcem stawało się ciężkie, uśpione.

Przedziwnymi kręgami, mieniącymi się, jak barwy na szyi pawia, lelejały się fale, na których uroczo i cudnie poranek się kołysze. Na tych błękitno-zielonych zwojach i baniach lekki statek pomykał środkiem cichej zatoki pod promienistem słońcem, jakby przez senne jezioro Czterech Kantonów. Widniały obadwa błękitne brzegi. Nad temi wody cichego szemrania — stały olbrzymie łańcuchy i zwały gór pogruchotanych, zwalonych jedne na drugie, spiętrzonych wzajem na się: Bastelica, Bocognano, Monte d'Oro, Monte Rotondo... Od ich szczytów dalekich, śnieżystych, powiał chłód, dźwigający na skrzydłach zapach niewysłowiony, miodowy zapach macchii.

W tej części statku nie było nikogo. Ewa stała obok Jaśniacha i patrzyła na rozwarty widok. Przejął ją dreszcz zgrozy.

Poczuła, że płynie do miejsca swego przeznaczenia, że zamyka się w skalisty obręb, z którego niema już dla niej wyjścia.

Na pokładzie zjawił się bosy *mousse* okrętowy i począł przygotowywać do wywieszenia pawilonu okrętowego.

W chwili właściwej majtek ów wspiął się na sznurową drabinę i, jak pająk, zawisł w powietrzu. Patrząc na niego, Jaśniach znowu otrzymał dar owego uśmiechu, który już Ewa widziała na jego twarzy, a który ją napawał trwożną czcią dla tego człowieka.

Niespodzianie dla samej siebie, jakby pod wpływem widoku tych gór i pod wpływem cudnego zapachu macchii, zbliżyła się jeszcze bardziej do posępnego towarzysza drogi. Ogarnęło ją i popchnęło ku niemu niewyjaśnione wzruszenie. Nie wiedząc dlaczego, zadrżała... Ale wraz z tego drżenia wyłoniło się nieodwołalne, żelazne powzięcie duchowe:

— Panie, — rzekła cicho, dotykając ręką jego ręki, — muszę panu powiedzieć, kim ja właściwie jestem. Musi pan to wiedzieć.

— A mnie to po co? Ja nie chcę!

— Ja... zabiłam swe własne dziecko.

Twarz Jaśniacha zesztywniała w tym samym, co przedtem uśmiechu, ale nie zmieniła się ani o jotę. Ręka jego poczęła gładzić łagodnie dłoń Ewy. Oczy były zwrócone na okrągłe i poszarpane cyple gór. Zdawało się, że nie dosłyszał tego, co powiedziała. Czuła tedy konieczność powtórzenia tego samego, wymówienia głosno... Ale przycisnął jej rękę jakby na znak milczenia.

— Patrz, Ajaccio!.. — mówił cicho. — Tam się w ciasnej uliczce urodził Napoleon, którego niedościgły Hoene-Wroński nazywa „człowiekiem całej kuli ziemskiej“. Pomyśl, ilu on ludzi zamordował, aby spełnić swe dzieło. Podnieśmy się ku niemu — i patrzmy mu

prosto w oczy nieustraszoną źrenicą. Stańmy się jego następcami z ducha.

Już zwolna statek przybijał do przylądka, na którym stoi Ajaccio. Zanim skołataną nawę przymocowano linami do kamiennego bulwaru, widać było zgromadzonych tam mieszkańców głębokiej, zapadłej prowincyi. Zeszło się pół miasta patrzeć na przybyszów. Oglądano ze szczegółową bacznością każdą osobę, kroczącą przez pomost, a szczególniej każde odzienie, niesione przez danego reprezentanta Europy na samotną wyspę Korsykę.

— Oj, do licha, Kielce! — jęknął Jaśniach. — Tylko w Kielcach (no, — może zresztą i w Suwałkach!) da się widzieć takie twarze między urzędnikami z powiatu, gubernii i pałaty... Kielce! jak mi Bóg miły...

— A toż to przecie także chyba lud...—zemściła się Ewa, wyswobodzona już z poprzedniego nastroju.— Trzeba, żeby się pan wzbił na wysokość uniesienia.

Jaśniach zachichotał krótko i dziwnie smutno. Zmierzył Ewę niewyjaśnionem spojrzeniem i wielkimi krokami ruszył ze swym tłomoczkiem we drzwi komory celnej.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.